



MICHAEL PALMER

**Jedno uderzenie
serca**

**MICHAEL
PALMER**

**Jedno uderzenie
serca**

Z angielskiego przełożył
MAREK FEDYSZAK



Wydanie elektroniczne

O książce

Bezprecedensowy akt terroru inicjuje drugą kadencję prezydenta USA Jamesa Allaire'a. W wypełnionej po brzegi sali Izby Reprezentantów w Kapitolu dochodzi do jednoczesnej eksplozji kilkunastu pojemników zawierających wywołujący pandemię wirus WRX3883. Świadom śmiertelnego zagrożenia, Allaire zarządza natychmiastową przymusową kwarantannę kilkuset znajdujących się w budynku osób, włącznie z nim samym oraz niemal wszystkimi członkami sukcesji prezydenckiej, w tym wiceprezydentem, przewodniczącym Senatu, sekretarzem stanu, obrony i skarbu. Każdy próbujący opuścić siedzibę amerykańskiego Kongresu ma zostać zastrzelony na miejscu. Za atakiem stoi tajemnicza grupa Genesis – nieuchwytni terroryści, nie wysuwający na razie żadnych żądań, odpowiedzialni za wcześniejsze zamachy, w których zginęło wielu obywateli Stanów Zjednoczonych. Nikt nie wie, kim są; FBI nie dysponuje żadnymi tropami. Sytuacja jest niezwykle dramatyczna. Zakażenie wirusem kończy się śmiercią w potwornych męczarniach już po kilkunastu dniach. WRX3883 został stworzony przez człowieka, a prace nad nim prowadzono w tajnym rządowym laboratorium w Kansas. Była szefowa laboratorium, doktor Chen, przepadła bez śladu przed kilkoma miesiącami. Tylko jeden człowiek może ocalić życie uwięzionym w Kapitolu – wybitny wirusolog Griffin Rhodes – na rozkaz prezydenta wtrącony do więzienia o zaostrzonym rygorze za rzekomą próbę kradzieży wirusa. W zamian za obietnicę odzyskania wolności Rhodes zgadza się pomóc w stworzeniu szczepionki. Zaczyna się wyścig z czasem: umierają kolejne osoby zarażone wirusem, pogarsza się stan prezydenta. Niezidentyfikowani wrogowie – terroryści z Genesis oraz ich wspólnicy wśród członków rządu – śledzą każdy krok Griffina, robiąc wszystko, by zniweczyć jego wysiłki...

MICHAEL PALMER

(1942-2013)

Pisarz amerykański, z zawodu internista. Praktykował w szpitalach w Bostonie i Massachusetts, zajmował się także leczeniem uzależnień. Pełnił funkcję wicedyrektora Massachusetts Medical Society. Autor thrillerów medycznych, tłumaczonych na 35 języków. Napisał 19 powieści. Najbardziej znane to: **Krytyczna terapia**, **Szczepionka**, **Piąta fiołka**, **Pierwszy pacjent**, **Ostatni chirurg**, **Jedno uderzenie serca**, *Oath of Office* i *Political Suicide*. Pośmiertnie ukaże się *Resistant*.

www.michaelpalmerbooks.com

Spis treści

[O książce](#)

[MICHAEL PALMER \(1942-2013\)](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Kolejność sukcesji prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Tego autora

PACJENT

RECEPTA COREYA

SZCZEPIONKA

PRZEBŁYSKI PAMIĘCI

STOWARZYSZENIE HIPOKRATESA

PIĄTA FIOŁKA

SIOSTRZYCZKI

EKSPERYMENT

DRUGA DIAGNOZA

PIERWSZY PACJENT

OSTATNI CHIRURG

KRYTYCZNA TERAPIA

CICHA KURACJA

JEDNO UDERZENIE SERCA

PRZYSIĘGA

POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

ODPORNOŚĆ

Tytuł oryginału:
A HEARTBEAT AWAY

Copyright © Michael Palmer 2011 All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014
Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2014
Redakcja: Piotr Chojnacki
Ilustracja na okładce: Sean Gladwell/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-024-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

*Jennifer Enderlin, mojej redaktorce w St. Martin's Press, oraz Meg Ruley, mojej
agentce w Jane Rotrosen Agency
Jak bardzo szczęście może sprzyjać pisarzowi?*

Podziękowania

Podczas pracy nad książką pomoc przychodzi na wiele, często nieoczekiwanych, sposobów. Poza moją redaktorką i agentką na najserdeczniejsze podziękowania zasłużyli:

dr David Grass, neurolog; dr Geoffrey Sherwood, hematolog i onkolog; dr Connie Mariano, specjalistka od opieki medycznej w Białym Domu;

Paul Weiss, specjalista od energetyki;

Robin Broady, licencjonowany pracownik opieki społecznej; Jessica Bladd Palmer;

Dave Pascoe, pilot;

Steve Westfall, specjalista od ochrony przed skażeniem biologicznym;

oraz moi na zawsze:

Daniel, Luke i Matthew, Kluczowa Postać.

Dziękuję również wszystkim, których nieświadomie pominąłem. Obiecuję, że następnym razem na pewno was uwzględnię.

Kolejność sukcesji prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych

1. Wiceprezydent
2. Przewodniczący Izby Reprezentantów
3. Przewodniczący pro tempore Senatu
4. Sekretarz stanu
5. Sekretarz skarbu
6. Sekretarz obrony
7. Prokurator generalny
8. Sekretarz zasobów wewnętrznych
9. Sekretarz rolnictwa
10. Sekretarz handlu
11. Sekretarz pracy
12. Sekretarz zdrowia i opieki społecznej
13. Sekretarz urbanizacji
14. Sekretarz transportu
15. Sekretarz energetyki
16. Sekretarz edukacji
17. Sekretarz ds. weteranów
18. Sekretarz bezpieczeństwa krajowego

Prolog

W czwartkowy wieczór dwudziestego drugiego maja Eddie Gostowski z pewnością nie myślał o tym, że niebawem umrze.

Przez pierwszą godzinę nocnej służby strażnika obiektów NYISO, gigantycznego dystrybutora energii, myślał o Jankesach i zastanawiał się, czy mają dość ikry, żeby ponownie zwyciężyć w rozgrywkach dywizji wschodniej American League. Przez drugą godzinę rozważał, czy w tym roku kupić swojej ukochanej Mary na urodziny kwiaty czy słodycze.

Eddie patrolował tę sterownię firmy New York Independent System Operator przez większość z jedenastu lat jej istnienia i nigdy, ani razu, nie wydarzyło się nic – absolutnie nic – niezwykłego. Rozumiał wymogi swojej pracy, rozumiał też, czym grozi sytuacja, w której NYISO jakimś cudem pozbędzie się całego swojego ładunku naraz – ogromnym zaciemnieniem na nieopisaną skalę, obejmującym cały obszar od Albany po Nowy Jork i Long Island. Eddie oraz inne ogniwa w łańcuchu praktycznie bezawaryjnych mechanizmów gwarantujących stabilną pracę sterowni mieli dopilnować, żeby taka katastrofa nigdy nie nastąpiła.

Ale w jego sterowni nigdy, ani razu, nie zdarzyło się nic – absolutnie nic – niezwykłego.

Jak co noc o tej porze Eddie nastawił budzik i szykował się do piętnastominutowej drzemki. Najpierw jednak ostatnia kontrola. Potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, że kilka mierników musiało się zepsuć. Wyłączyły się sterowane automatycznie stacje elektroenergetyczne obsługujące linie z Marcy do Albany i z Albany do Leeds.

Dziwne.

Eddie zaczął rozważać wszystkie możliwe wyjaśnienia tego dziwnego zdarzenia, ale niewiele to dało. Gdyby wskazania mierników były prawidłowe, a to przecież wykluczone, oznaczałoby to, że do okręgu stołecznego, który otaczał i obejmował Albany, w ogóle nie docierał prąd.

Wciąż bardziej zdumiony, niż zatrwożony, Eddie przesunął się w lewo. Sprzęt informował o tym samym zjawisku w innych stacjach elektroenergetycznych. Linie z Dunwoodie na Long Island i Ravensbrook w Queens też wyłączyły się samoczynnie. Goethals i Farragut, sterujące zasilaniem dużych obszarów Nowego Jorku, również padły. Przy założeniu, że wszystkie odczyty są prawidłowe, cały system był niestabilny, a największe miasto w kraju znajdowało się na krawędzi czegoś potwornego.

Eddie zadzwonił do najbliższej niezautomatyzowanej stacji w oddalonym o dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ Albany. Po siódmym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

Nawet jakiś wybuch w Albany nie spowodowałby takiej utraty zasilania. Od momentu powstania NYISO likwidowała luki w swoim systemie tak skutecznie, że poważne problemy mogły się pojawić jedynie wskutek wystąpienia niemal niewyobrażalnej ilości awarii.

A jednak, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, te awarie właśnie miały miejsce.

Jego sterownia była jedyną zaporą przed zaciemnieniem, które ogarnęłoby znaczną część wschodniej części stanu Nowy Jork z Long Island i pięcioma gminami stolicy włącznie.

Eddie popędził do telefonu, odczytał numer alarmowy FBI z tablicy na ścianie i zaczął go wybierać.

I wtedy właśnie poczuł na karku ostrze noża.

– Odłóż słuchawkę, kolego – powiedział chropawy męski głos z akcentem, który trochę przypominał brytyjski.

Czubek noża opadł, jakby zamierzał przeciąć kręgosłup Eddiego.

– P-proszę. To boli.

– Jak się nazywasz, kolego?

– Eddie. Eddie Gostowski. Proszę.

– Opuszczę nóż, Eddie, ale jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co mówię, jesteś trupem. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Pytam, czy zrozumiałeś?!

– Tak! Tak! Ale pro...

– W porządku, kolego, mamy mało czasu. Zaraz się odwrócisz i spojrzysz mi w oczy. Jeżeli wykręcisz mi jakiś numer, poderżnę ci gardło. Czy to jasne? Dobra, teraz się odwróć.

Eddie zrobił, jak mu kazano. Przed nim stał wysoki mężczyzna – metr dziewięćdziesiąt wzrostu, może więcej, o potężnych ramionach, które wydawały

się przesłaniać pomieszczenie. Był ubrany na czarno: marynarska czapka, dżinsy i golf, a twarz pokrywała czarna szminka. Oczy miał ciemne i zimne. W dłoni trzymał nóż myśliwski – szeroki i zakrzywiony na końcu – długości co najmniej dwudziestu pięciu centymetrów.

Za nim, po jego prawej ręce, stał w rozkroku ze skrzyżowanymi rękami drugi mężczyzna w identycznym ubraniu i z identyczną szminką na twarzy.

Mimo przerażenia Eddie nie mógł wyzbyć się myśli o katastrofie, która nastąpi, jeżeli strefa częściowego zaciemnienia będzie się dalej rozszerzać. Jakby w odpowiedzi na jego obawy dryblas przytknął mu ostrze noża do podbródka i zmusił do zadarcia głowy.

– Nie spieraj się ze mną – ostrzegł. – Masz użyć wszystkiego, czym dysponujesz, żeby wyłączyć ten obiekt.

– Ale...

Dryblas przeciągnął Eddiemu po gardle ostrym jak brzytwa nożem, który pozostawił na skórze płytkie rozcięcie biegnące z jednej strony żuchwy na drugą.

– Powiedziałem, żebyś się ze mną nie spierał, kolego! A teraz zrób, co ci każę, a nie spotka cię już żadna przykrość. Zadrzyj ze mną, to umrzesz w męczarniach, a my i tak znajdziemy wyłącznik.

Wyciągnął z tylnej kieszeni chustkę i podał ją Eddiemu, by zatamował krew.

Strażnik przeszedł chwiejnym krokiem do sąsiedniego pomieszczenia, zawahał się, po czym przestawił wyłącznik. W stacji natychmiast zrobiło się ciemno. Chwilę później włączył się generator i na powrót zapaliły się światła.

– Musimy zrobić coś jeszcze? – zapytał dryblas drugiego mężczyznę.

– Mamy meldunki od wszystkich czterech zespołów. Żadnych problemów.

Gestem dali znak Eddiemu, by wrócił do sterowni i siadł na swoim krześle.

– To wasza linia alarmowa, kolego? – Mężczyzna wskazał czerwony telefon na ścianie.

– Tak – wykrztusił Eddie, dalej przyciskając przesiąkniętą krwią chusteczkę do rany.

– Czy ktoś przy niej dyżuruje?

– Tak, ale nie jestem pewien, czy ktokolwiek tam jest podczas zaciemnienia.

– Jednak zgłoszenie zostanie zapewne nagrane, prawda? Prawda?

– P...prawda.

– W takim razie wszystko gra. To jest ten numer?

– Tak... Tak, proszę pana.

Dopiero wtedy Eddie zdał sobie sprawę, że mężczyzna nosi gumowe rękawiczki.

Nieproszony gość wyciągnął z tylnej kieszeni kartkę i rozłożył ją przed sobą. Potem wybrał numer. Eddie usłyszał nagrany na taśmie komunikat. Na dźwięk

sygnału mężczyzna uniósł kartkę i lekko drżącym głosem przeczytał zapisany na niej tekst.

– „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«”¹. Teraz Genesis zgasło tę światłość. To dopiero początek.

– Dobra, kolego, bardzo nam pomogłeś... naprawdę bardzo pomogłeś.

– Dzięki – odparł potulnie Eddie.

Mężczyzna odwrócił się, by odejść, po czym nagłym ruchem poderżnął Eddiemu Gostowskiemu gardło.

– Chyba powinienem go uprzedzić, że czasami nie można mi wierzyć – powiedział.

Rozdział 1

DZIEŃ 1

20.30 EST²

– Pani przewodnicząca, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Na te słowa woźnego Izby Reprezentantów zebrani wstali, a prezydent James Allaire wkroczył do sali posiedzeń przyjęty burzą oklasków i wiwatami. Allaire zerknął na dwóch agentów Secret Service stojących naprzeciw siebie w wejściu prosto i nieruchomo niczym czarno-złote kolumny jońskie dzielące ścianę za trybuną. Sean O’Neil, szef oddziału prezydenckiego Secret Service, podążał za Allaire’em jak cień, gdy serdecznie witany prezydent zmierzał długim korytarzem wyłożonym szafirowym dywanem.

Prezydenckie serce zareagowało na przypływ adrenaliny, gdy oklaski zahuczały niczym startujący odrzutowiec. Co kilka kroków Allaire przystawał, by wymieniać uściski dłoni lub brać w objęcia mężczyzn w ciemnych garniturach i starannie dobranych krawatach oraz nienagannie ubrane kobiety pachnące egzotycznymi perfumami. Przed sobą widział dziewięcioro sędziów Sądu Najwyższego i pięciu członków Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

Allaire wyczuł, że O’Neil staje za nim o krok bliżej, gdy jakiś kongresmen z Missouri z wielkim uniesieniem potrząsnął jego dłonią, a potem krzyknął:

– Niech pan ich załatwi, panie prezydencie! Niech im pan pokaże!

Zgadza się, pomyślał Allaire. Mam taki zamiar.

Na początku pierwszej kadencji doktor Jim Allaire wielokrotnie zastanawiał się w duchu nad decyzją, którą był zmuszony podjąć. Jedna ustawa, korzystna, jak się mogło z początku wydawać, często niosła za sobą zaskakujące skutki i niezamierzone konsekwencje, które przydawały mu siwych włosów i pogłębiały kurze łapki w kącikach szarobłękitnych oczu.

Wygłoszenie pierwszego w drugiej kadencji orędzia o stanie państwa nie było jednak jedną z chwil takiego zwątpienia w siebie. Allaire uzyskał reelekcję z dość dużą przewagą nad przewodniczącą Izby Reprezentantów Ursulą Ellis i teraz,

mimo utrzymującej się między nimi skrywanej wrogości, nadszedł czas, by odsunąć politykę na bok i załatwić pewną sprawę.

Przez ostatnią godzinę Allaire przemierzał gabinet przywódcy mniejszości w Izbie Reprezentantów, popijając dietetyczną pepsi i pozwalając sobie powtórnie nałożyć makijaż na potrzeby telewizji. Przez cały czas starał się powściągnąć nerwowe rozedrganie. Uczucie, jakie miał przed przemówieniem takiej rangi, przypominało mu o czasach, gdy był rozgrywającym w Spartanach, futbolowej drużynie uniwersytetu Case Western Reserve, gdzie również uzyskał dyplom lekarski.

W okresie dzielącym karierę uczelnianego futbolisty od lat spędzonych na etacie internisty w klinice w Cleveland Allaire dowiedział się, jak istotne jest wyważenie pewności siebie z pełnym szacunku lękiem przed niepowodzeniem. Uważany za trybuna ludowego, niezmiennie wysoki poziom aprobaty dla swojej prezydentury zawdzięczał prawdziwej trosce o ludzi, tej samej, która uczyniła zeń szanowanego lekarza. W sytuacji gdy problemy świata stawały się coraz bardziej złożone, a terroryzm zaprzętał umysły wszystkich Amerykanów, naród potrzebował przywódcy, w którym mógłby pokładać wiarę – człowieka pewnego siebie i dostojnego, godnego zaufania. Allaire solennie przyrzekł sobie, że dziś wieczorem potwierdzi, iż jest właśnie tym człowiekiem, i wygłosi przemówienie, które wszystkim zapadnie w pamięć.

Prezydent dotarł na podium, gdzie współpracownik, który pisał jego najważniejsze przemówienia, wyraźnie bardziej zdenerwowany niż szef, umieścił dwa oprawione w skórę egzemplarze dzisiejszego starannie strzeżonego orędzia. Allaire odwrócił się i wręczył pierwszy egzemplarz wiceprezydentowi Henry'emu Tildenowi jako przewodniczącemu Senatowi, a drugi Ursuli Ellis, która z trudem utrzymywała kontakt wzrokowy i podała mu dłoń bezwładną jak śnięta ryba. Prezydent powstrzymał uśmiech, chociaż podejrzewał, że Ellis wie, o czym myśli – pięćdziesiąt trzy do czterdziestu czterech, o różnicy, jaką pokonał ją w wyborach.

Allaire ćwiczył swoje przemówienie dziesiątki razy i przypuszczalnie mógłby je wygłosić bez pomocy teleprompterów umieszczonych po obu stronach mównicy. Aplauz nie cichł. Z flagą amerykańską w tle, prezydent stał zwrócony twarzą do tych ludzi i machał z wdzięcznością. Potem ułożył dłonie po bokach pulpitu na znak, że jest gotów zacząć przemówienie. Na chwilę napotkał wzrok Rebecki, swojej żony od dwudziestu siedmiu lat, bardzo lubianej pierwszej damy, i siedzącej obok ich jedynej córki Samantha, która – wciąż nie mógł w to uwierzyć – studiowała na ostatnim roku w Georgetown i wybierała się na prawo w Harvardzie.

Oklaski nie milkły. Przewodnicząca Ellis podniosła się z fotela i kilka razy uderzyła młotkiem. W końcu wśród siedmiuset zebranych zapadła głęboka cisza.

Zegar na gzymsie nad ich głowami wskazywał dokładnie dwudziestą. Allaire pobiegł myślami ku wyrytemu na fryzie mottu – W BOGU POKŁADAMY NADZIEJĘ. O lekarzach krążył dowcip, że skrót M.D. przed nazwiskiem oznaczał tak naprawdę Mr Deity³. Allaire był człowiekiem głęboko wierzącym i zawsze czuł się skrępowany myślą o lekarzach jako bogach. Wiedział jednak, że w tym momencie był bliższy roli Boga niż jakikolwiek lekarz.

Wskutek powtarzających się ataków tajemniczej, najprawdopodobniej krajowej grupy określającej się mianem Genesis pierwszą sprawą do poruszenia tego wieczoru musiał być terroryzm. Ludzie byli na krawędzi. Cztery ataki zorganizowane przez tę grupę, śmiałe, bezlitosne, aroganckie, miały bardzo dramatyczny przebieg. I wciąż tylko zniszczenie i śmierć – napastnicy nie wysunęli jeszcze żadnych żądań. Zamierzał zacząć mocno: od uprzedzenia terrorystów o solidarności Amerykanów i zapewnienia, że schwytanie i skuteczne oskarżenie przestępców stanowią najważniejszy cel jego drugiej kadencji.

Hank Tomlinson, szef liczącego półtora tysiąca funkcjonariuszy oddziału kapitołińskiej policji, zapewnił go, że przed wieczorną inauguracją dodatkowo zaostrzono środki bezpieczeństwa: zastosowano najnowocześniejsze magnetometry, ciąg kamer i ręczne przeszukiwanie torebek, nie mówiąc o tych nowoczesnych prześwietlarkach rentgenowskich. Teraz od prezydenta i autorów jego przemówień zależało, czy przekona Amerykanów, że są równie bezpieczni jak ci tutaj, z nim, w Kapitolu.

Orędzie Allaire'a pojawiło się na praktycznie niewidocznych dla zgromadzonych teleprompterach.

– Pani przewodnicząca, panie wiceprezydencie, współobywatele. Ponieważ zbiera się nowy Kongres, pamiętam o zaszcycie, którym wy, naród amerykański, obdarzyliście wszystkich wybranych przez siebie urzędników, i przyjmuję go z pokorą. Zanim więc rozpocznę dzisiejsze orędzie o stanie państwa, w imieniu wszystkich, którzy cieszą się waszym zaufaniem, chcę wyrazić mą niezmierną wdzięczność za kolejną kadencję tego, co mój ojciec nazwałby porządną, stałą pracą.

Allaire zrobił pauzę, wyczekując z doskonałym wyczuciem, aż ucichnie śmiech. Było to strategiczne otwarcie, do którego przekonywał autorów swoich przemówień. Wszyscy oni uważali, że należy rozpocząć na bardziej ponurą nutę. Jak zwykle miał rację. Orędzie o stanie państwa dawało wspaniałą okazję, by oprócz zakomunikowania wyborcom, że jest zdeterminowany i wystarczająco odważny, by uczynić to, co słuszne i niezbędne, zaprezentować swoje człowieczeństwo.

– Lecz w parze z tą odpowiedzialnością idą wielkie wyzwania, którym musimy

wspólnym wysiłkiem sprostać. Nasza gospodarka obecnie się wzmacnia, jednak sporo jest jeszcze do zrobienia. Bezrobocie spadło do najniższego poziomu od ponad dziesięciolecia. Powoli wygrywamy wojnę z ubóstwem. Nasze optymistyczne przekonanie, że jako naród potrafimy pokonać wszelkie trudności i osiągnąć niespotykany dotąd na całym świecie pokój i dobrobyt, nigdy nie było mocniejsze, a nasze państwo jest silne.

Allaire uśmiechnął się promiennie, gdy kongresmeni po obu stronach przejścia i na galerii powstali równocześnie, głośno wiwatując. Słyszał gwizdy na tle oklasków i zrobił pauzę, by wziąć powolny i głęboki oddech. W następnych kilku niezwykle istotnych minutach swojego przemówienia miał się skupić na międzynarodowym i krajowym terroryzmie. Zebrani się uspokoili. Allaire popatrzył po ich twarzach. Potrafił poznać, czy są gotowi na dalszy ciąg.

Gdy w sali zaległa głęboka cisza, prezydent usłyszał nagle niepokojący dźwięk – trzask, a zaraz potem coś, co przypominało brzęk pękającego szkła. Ów odgłos dobiegł z prawej części sali. Allaire i wielu innych odwrócili się i obserwowali, jak Arlene Cogan, senator z Kalifornii, otwiera torebkę, którą schowała wcześniej pod swój fotel. W tej samej chwili wydobyła się z niej rzadka biała mgiełka, przesłaniając jej mocno umalowaną twarz niczym para z kąpieli. Po niespełna kilku sekundach Cogan i osoby siedzące najbliżej niej zaczęły kaszleć – i to bardzo gwałtownie.

Allaire natychmiast dał umówiony znak koordynującemu uroczystość dyrektorowi technicznemu, nakazując mu zastosowanie procedur przewidzianych na wypadek demonstracji i wyłączenie kamer przekazujących obraz z Kapitolu.

Pomruki z widowni nasilały się, gdy po drugiej stronie sali obrad rozległ się kolejny trzask, a po nim jeszcze jeden, i kolejny, każdemu z nich towarzyszył zaś odgłos pęknięcia cienkiego szkła, biała mgiełka i kolejne wybuchy kaszlu. Pomruki ustąpiły miejsca okrzykom. Otwarto następną teczkę i torebkę, wypuszczając identyczne rzadkie smugi dymu.

- Nie otwieraj! – wrzasnął ktoś.
- Nie mogę oddychać!
- Na litość boską, to ty! To twoja torebka!
- Wynoście się stąd! Wynośmy się!

Trzaski i brzęk pękającego szkła rozlegały się nadal.

Dwa następne... trzy... cztery... pięć.

Allaire spostrzegł, że mgiełka unosi się nawet z paru toreb, których nikt jeszcze nie otworzył. Szybko naliczył piętnaście pióropuszy dymu rozproszonych po całej sali, może więcej.

- Nie otwierajcie swoich teczek ani torebek! – krzyknął do mikrofonu. Uderzył

otwartą dłonią w mównicę. – Proszę, by wszyscy zachowali spokój!

Agenci Secret Service pospiesznie weszli na podium i szybko otoczyli prezydenta. Próbowali wyprowadzić go w bezpieczne miejsce, ale opierał się im i nadal głośno wzywał do zachowania porządku. W tym momencie dostrzegł coś na dwóch teleprompterach umieszczonych przed mównicą.

Zmroziło mu krew w żyłach.

Orędzie, które widniało na nich kilka sekund wcześniej, czytelnie wypisane helweticą rozmiar czternaście, zniknęło z ekranów. Zamiast niego pojawiły się trzy linijki tekstu. Allaire niemal wstrzymał oddech, czytając ten komunikat.

Bóg uczynił dwa duże ciała jaśniejące:

większe, aby rządziło dniem, i mniejsze, aby rządziło nocą, oraz gwiazdy.

I TAK UPŁYNAŁ (...) DZIEŃ CZWARTY.

A Genesis uwolniło WRX3883

Rozdział 2

DZIEŃ 1

21.10 EST

WRX3883

Jim Allaire od razu zrozumiał, co się stało. Genesis zadało śmiertelny cios rządowi Stanów Zjednoczonych i samemu sercu kraju. W niebezpieczeństwie znaleźli się wszyscy zebrani w gmachu Kapitolu z nim samym, wiceprezydentem i niemal wszyscy z linii sukcesji prezydenckiej włącznie. Jeżeli miała pozostać jakakolwiek nadzieja na zapobieżenie jeszcze bardziej bezprecedensowej katastrofie, musiał opanować sytuację. Poczł ucisk w piersi i zastanawiał się, czy to tylko strach, czy coś zdecydowanie bardziej przerażającego – coś w jego krwiobiegu, już działające, atakujące jego organizm.

WRX3883

Świadomość skali narastającego kryzysu na chwilę go sparaliżowała. Z mównicy dostrzegł, że panika zaczęła już ogarniać wiele z siedmiuset osób, które zgromadziły się, by wysłuchać orędzia. Instynkt samozachowawczy brał górę nad dobrym wychowaniem. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, znani mu nieraz od dziesięcioleci, przepychali się do wyjść, niektórzy bez pardonu. Pierwszym zadaniem, uznał Allaire, będzie obstawienie wszystkich drzwi.

W środkowym rzędzie balkonu stały nieruchomo, ramię w ramię, Rebecca i Samantha. Nawet z tej odległości potrafił dostrzec bladość ich twarzy i strach w oczach. Zanim jednak przystąpił do działania, kilku agentów wzięło go za ramiona i zaczęło odsuwać od mikrofonu. Inni też wkroczyli do akcji i zaczęli torować im drogę w kierunku tylnego wyjścia awaryjnego.

– Nie! – wykrzyknął Allaire. – Pilnujcie drzwi! Drzwi!

Zobaczył ku swemu przerażeniu, że ludzie zbliżali się już do wyjść, wiedział też, że wszystkich trzeba będzie sprowadzić z powrotem, w razie konieczności siłą. Przyszło kilku następnych agentów.

Po prostu próbują zapewnić mi bezpieczeństwo – pomyślał. – Nie zdają sobie

jednak sprawy, że tutaj nie ma bezpiecznego miejsca.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

Allaire skręcił gwałtownie tułów w prawo, wrywając się agentowi ustawionemu tuż za nim i równocześnie chwytając drugiego agenta za klapy marynarki. Przyciągnął go do swojej twarzy, żeby mieć pewność, iż jego polecenia zostaną usłyszane w narastającym zgiełku.

– Zadzwoń i każ natychmiast obstawić wszystkie wyjścia z sali! Zamknijcie je na klucz!

– Ależ panie prezydencie, musimy się ewakuować.

– Posłuchaj mnie! Nikt nie ma prawa opuścić tego budynku. Absolutnie nikt! Natychmiast ściągnijcie z powrotem wszystkich, którzy wychodzą z sali. To kwestia życia i śmierci. Rozumiesz?

– Ale...

– Pytałem, czy rozumiesz?!

– Tak, panie prezydencie.

– Macie przy wszystkich wyjściach ustawić strażników. Wyłączcie windy na galerię i tamte drzwi też zablokujcie. W razie potrzeby użyjcie broni. Nikt stąd nie wychodzi. Żadnych wyjątków.

– Ale panie...

– Do cholery, zrób to albo siadaj!

Prezydentowi poczerwieniała twarz. Czuł pulsowanie krwi w tętnicach szyjnych. Otaczający go agenci cofnęli się jak po naradzie na boisku futbolowym. Główny agent Sean O’Neil, stojący zaledwie o krok od niego, wyrzaskiwał rozkazy do radiotelefonu.

– Sean – powiedział Allaire, gdy gestem kazał mu się przybliżyć – mamy do czynienia z niezwykle groźną sytuacją. Z wirusem. Zabierz trzech swoich ludzi do galerii dla prasy i skonfiskujcie telefony komórkowe, pagery i wszystko, co nadaje się do rejestracji lub transmisji. Jeżeli będziecie musieli, użyjcie siły. Powiedzcie dziennikarzom, że wkrótce wyjaśnię, o co chodzi.

O’Neil zawahał się, na jego twarzy pojawił się cień wątpliwości.

– Panie prezy...

– Bez sprzeciwów, Sean! Ruszaj się!

Krzyki uciekających narastały, gdy policjanci i agenci Secret Service zajęli stanowiska i z trudem zaczęli zapędzać ich z powrotem do sali obrad. Allaire oszacował, że do holu zdołało wyjść nie więcej niż trzydzieści osób. Jego żona i córka pozostały na swoich miejscach, należąc do nielicznego grona tych, którzy się nie ruszyli. Wtedy zobaczył, jak Rebecca kilka razy zakasłała. W tym samym rzędzie kaszlał również kongresmen z New Hampshire.

Allaire wypatrywał pióropuszy dymu w najbliższym otoczeniu swojej rodziny, ale rozwiął się on niemal całkowicie.

Jestem za to odpowiedzialny – pomyślał, przeciskając się z powrotem na mównicę. – Nie powinienem był do tego dopuścić.

– Nie możecie blokować wyjść! – zagrzemiał znajomy głos jakiegoś senatora.

– Nie mają prawa tego robić! – zawołała jakaś kobieta. – Nie mogą nas tutaj więzić!

– Co się, u diabła, dzieje?

– Nie wróć tam. Nie wróć!

Pot spływał mu po czole, szczypiąc w oczy i pozostawiając słony posmak na wargach.

– Panie prezydencie...

Allaire odwrócił się w stronę głosu dobiegającego ze środkowego przejścia, którym przed kilkoma zaledwie minutami wchodził z taką pompą. Architekt Kapitolu Jordan Lamar, zażywny Afroamerykanin, przepychał się ku niemu przez gęsty tłum.

– Panie prezydencie... – zawołał znowu.

Allaire dał mu znak, żeby się pospieszył. Na mównicy dołączył do nich Hank Tomlinson, szef półtora tysiąca funkcjonariuszy kapitoliińskiej policji.

– Co się, u diabła, dzieje, panie prezydencie? – zapytał Lamar. – Musimy pana stąd wyprowadzić.

– Nigdzie nie pójde. Nikt się stąd nie ruszy. A teraz niech pan posłucha. Wszyscy muszą natychmiast wrócić na swoje miejsca. Dopilnujcie, by wszystkie drzwi prowadzące na zewnątrz były szczelnie zamknięte. Nikt nie wchodzi do środka i nikt nie wychodzi. Nikt znaczy: nikt.

W zgiełku panującym w sali i na galerii trudno było cokolwiek usłyszeć. Teraz gdy rozeszła się wieść, że zamykane są wyjścia, rozległy się również głośne krzyki.

– Panie prezydencie, nie rozumiem – odparł Tomlinson. – Co się stało?

Allaire usiłował zachować spokój – co zwykle przychodziło mu z łatwością. Ponad głową szefa policji dostrzegł, że Rebecca i Samantha wraz z paroma innymi osobami z powrotem odruchowo usiadły.

– Powiem ci, Hank. Powiem wszystkim – odparł Allaire. – Najpierw jednak trzeba zaprowadzić porządek w sali, i to zaraz.

– Ale jak...?

Allaire dość się już nasłuchał. Chwycił mocno Tomlinsona za klapę marynarki i przyciągnął go do siebie, rozpraszając uwagę policjanta na wystarczająco długą chwilę, by wyciągnąć mu broń z zawieszanej na ramieniu kabury. Z półautomatycznego SIG P226 nauczył się strzelać w ramach operacji

„Pamiętka”, realizowanego od wielu lat programu Secret Service. Operacja ta miała na celu zapoznanie prezydenta Stanów Zjednoczonych ze szkoleniem bojowym żołnierzy sił specjalnych na wypadek sytuacji nadzwyczajnej. Zanim Tomlinson zdążył zareagować, Allaire uniósł broń wysoko nad głowę.

Cztery pociski, wystrzelone szybko, jeden po drugim, wyleciały z gromkim, wzmocnionym przez głośniki hukiem z czarnej stalowej lufy. Wystrzały odbiły się ogłuszającym echem w zamkniętej sali. Tynk odłupany z sufitu przez kule opadł na kilka zaskoczonych osób. Szybko zapadła cisza. Allaire nie marnował czasu. Chwycił za mikrofon i podkreślał dźwięk, dopóki nie nastąpiło sprzężenie.

– Mówi prezydent Stanów Zjednoczonych. Proszę wrócić na swoje miejsca... dokładnie tam, gdzie siedzieliście. Rozkazuję wojskowym, agentom Secret Service i funkcjonariuszom kapitolńskiej policji dopilnować, by nie podejmowano żadnych prób opuszczenia tego budynku. Wszystkie wyjścia zostały zabezpieczone. W tej chwili chcę, żeby każdy z was natychmiast usiadł na wcześniej zajmowanym miejscu. Musicie siedzieć dokładnie tam, gdzie byliście przed tym zajściem. To bezpośredni rozkaz waszego prezydenta. Gdy wrócicie na miejsca i się uspokoiacie, wyjaśnię, co się dzieje.

Początkowo wydawało się, że tylko kilkadziesiąt osób reaguje na jego słowa. Wtedy Allaire wystrzelił dwa następne pociski i po niespełna trzydziestu sekundach niemal wszystkie fotele zajęto. Nieliczni, którzy nie chcieli zastosować się do prezydenckiego żądania, zostali brutalnie posadzeni przez najbliższego żołnierza lub policjanta.

Allaire omiół wzrokiem rzędy dygnitarzy. Wielu z nich należało do grona najlepszych i najbystrzejszych przedstawicieli jego kraju, z wieloma łączyła go przyjaźń. Teraz wszyscy znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. Rebecca i Sam siedziały obok siebie na fotelach, które wcześniej zarezerwował dla nich jego personel. Na chwilę napotkał rozpaczliwe spojrzenie swojej żony. Wtedy wymówił bezgłośnie słowa „kocham cię” i przytknął palec najpierw do oka, a później do serca, po czym wskazał na córkę. Był to znak miłości, który wymyślili, gdy Samantha była jeszcze dzieckiem. Obie odwzajemniły ten gest. Allaire nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem czuł do nich większą miłość.

Gdy wyławiał w tłumie kolejne twarze, nie mógł się wyzbyć jednej myśli. Jeszcze nigdy nie widział tyle strachu.

Tych siedemset osób nie miało jednak pojęcia, jak bardzo powinny się bać.

Rozdział 3

DZIEŃ 1

21.30 EST

Allaire stał wsparty mocno rękami na mównicy, próbując ułożyć swoją wypowiedź. Spoglądał nieruchomym wzrokiem przed siebie. Zaschło mu w gardle. Zawsze bardzo lubił pracę lekarza, ale po piętnastu latach praktyki poczuł, że chciałby zrobić więcej, i zajął się polityką. Wiele razy w latach poprzedzających rezygnację z medycyny siedział ze swoimi pacjentami i przekazywał im okropną wieść, że o ile nie zdarzy się cud, choroba ich zabije. Miał wrażenie, że dzięki autentycznej wrażliwości i szczeremu współczuciu umiał to robić we właściwy sposób.

Nie tego wieczoru.

Uwaga widowni nadal skupiała się na nim. Niespokojna cisza, przerywana tylko sporadycznymi atakami kaszlu, była pełna napięcia. Allaire wiedział, że nadeszła pora. Ci ludzie pragnęli – potrzebowali – wyjaśnień, ale on był głęboko przekonany, że gdyby wyjawiał całą prawdę o tym wirusie, wybuchłaby nieopanowana panika.

– Co się dzieje? – krzyknął nagle jakiś mężczyzna z galerii, uprzedzając Allaire’a.

– Czy to ma coś wspólnego z Genesis? – zawołał drugi.

– Tak – usłyszał, jak mówi z wymuszonym spokojem. – Niestety tak.

Pierwszym aktem terroru, który przypisało sobie Genesis, było Wielkie Nowojorskie Zaciemnienie przed ośmioma czy dziewięcioma miesiącami. W telefonie do FBI terroryści opatrzyli tamten dzień mianem Dnia Pierwszego. Bóg rzekł: „Niech stanie się światłość!”, a Genesis powiedziało: „Niech stanie się ciemność”. Coś w tym stylu. Podczas aktów sabotażu w kilku stacjach elektroenergetycznych ofiarą brutalnych mordów padło trzech mężczyzn. Oceniano też, że kolejne sto osób zmarło wskutek trzydniowej przerwy w dostawie prądu. Genesis nie postawiło żadnych żądań.

Dzień Drugi, stworzenie nieba, odznaczył się dokonaną po godzinach otwarcia eksplozją, która zniszczyła skrzydło Muzeum Techniki Lotniczej i Astronautycznej w San Diego. Trzy osoby zabite – ofiar byłyby setki, gdyby wybuch nastąpił sześć godzin wcześniej. I znowu żadnych żądań.

Dzień Trzeci, zaledwie dwa miesiące temu, symbolizował stworzenie suchego łądu oraz wydanie na świat roślin i rodzących owoce drzew. W tym dniu okazały szklany National Horticultural Building został zrównany z powierzchnią ziemi przez potężny wybuch, uśmiercając kolejnych dwanaście i raniąc pięćdziesiąt osób.

A teraz w matni znalazło się ponad siedemset, z samym Allaire'em, jego żoną i córką włącznie.

Był to Dzień Czwarty.

Nagle prezydent kaszlnął.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej, gdy ogarnęła go panika. Zaryzykował zerknięcie na swoje dłonie, modląc się w duchu, by nie było na nich czerwonych plam lub kręgow. Czy to się już dzieje? Nie, jego dłonie były bez skazy i wyglądały normalnie. Wydał z siebie westchnienie ulgi, nagłośnione przez mikrofon. Tylko swędzenie w gardle. Na razie tylko swędzenie.

Jakaś kobieta, siedząca na galerii na wprost prezydenta, wstała, chwytając za rękę chłopca mającego nie więcej niż trzynaście lat, przypuszczalnie swojego syna.

– Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Prezydent zrobił głęboki wdech i powolny wydech.

– Nie mamy wystarczająco dużo informacji, żeby w tym momencie odpowiedzieć na pani pytanie. Niewykluczone – ciągnął, starannie dobierając słowa – że zostaliśmy narażeni na kontakt z czynnikiem chorobotwórczym... jakimś wirusem. Dla bezpieczeństwa, dopóki nie uzyskam więcej danych, proszę, by wszyscy zachowali spokój, a co najważniejsze, by pozostali na swoich miejscach. Omówię sytuację dokładniej, gdy przedyskutuję to, co wiemy, z moimi doradcami. Jako głównodowodzący rozkazałem ochronie, by do tego czasu stosowała wszelkie środki niezbędne do zatrzymania państwa w tej sali i tych fotelach. A teraz proszę uzbroić się w cierpliwość. Muszę przeanalizować dotychczasowy rozwój wydarzeń z moimi doradcami.

Na te słowa kilkanaście osób zerwało się z miejsc i zaczęło równocześnie wykrzykiwać pytania. Uwagę prezydenta zwrócił senator z Georgii Saul Kennistone. Senator otwierał już usta, by coś do niego krzyknąć, lecz nagły atak kaszlu wstrząsający jego ciałem stłumił słowa.

A więc zaczęło się, pomyślał Allaire.

Jego niepokój na pewno był widoczny.

– Dlaczego on kaszle?! – wykrzyknął ktoś z sali. – Czy to ten wirus?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie kilka osób przyłączyło się do senatora chóralnym kaszlem.

– Badamy to – przebił się przez ten chór Allaire. – W tej chwili nie mogę nic więcej powiedzieć. A teraz proszę, by oprócz szefa kapitolńskiej policji Tomlinsona, agenta O’Neila i wiceprezydenta Tildena na podium natychmiast stawiły się następujące osoby...

Prezydent wezwał szefową personelu Białego Domu Megan McAndrews, sekretarza obrony Gary’ego Salitasa, sekretarza zdrowia Kate Broussard, sekretarza bezpieczeństwa krajowego Paula Rappaporta, przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów admirała Archibalda Jakesa oraz architekta Kapitolu Jordana Lamara. Ostatnią wezwaną była doktor Bethany Townsend, osobisty lekarz i długoletnia przyjaciółka rodziny Allaire’a.

Na sali znowu podniósł się nerwowy zgiełk, przerywany sporadycznym długotrwałym kaszlem. Osoby zajmujące miejsca na parterze, zarezerwowane dla oficjeli z Senatu, Izby Reprezentantów, Sądu Najwyższego, gabinetu prezydenta i korpusu dyplomatycznego, podporządkowały się zarządzeniom głowy państwa i pozostały w fotelach. Ludzie, których wezwał, wstali i ruszyli w stronę mównicy.

Osoby na górnej galerii – nieszczęśnicy, którzy zdobyli upragnioną przepustkę na ceremonię wygłoszenia orędzia o stanie państwa, oraz członkowie ekip prasowych i telewizyjnych – były jednak mniej uległe. Nie doszło do masowego exodusu, jak zaobserwował Allaire, ale i tak dużo osób ruszyło w stronę wyjść. Prezydent z irytacją i ogromnym smutkiem przyglądał się, jak są zawracani siłą przez strażników ustawionych przy wszystkich drzwiach. Jeden szczególnie agresywny człowiek, który rzucił się z pazurami na umundurowanego ochroniarza, został błyskawicznie zmuszony do posłuszeństwa kolbą pistoletu.

Allaire ścisnął Seana O’Neila za ramię.

– Sean, opróżnij miejsce wokół nas.

O’Neil polecił trzem agentom, by odepchnęli ludzi od ich grupy. Potem szybko stanął z powrotem u boku prezydenta.

– Musimy dopilnować, by nikt nie opuścił sali obrad – powiedział z naciskiem Allaire.

– Pilnujemy, panie prezydencie.

– Chodzi mi o dopilnowanie w stu procentach.

– Panie prezydencie?

– Psiakrew, Sean... – Prezydent szybko się opanował i pochylił, żeby dopowiedzieć szeptem. – Ten wirus jest ogromnie zaraźliwy. Jeżeli się stąd wydostanie, nie wiadomo, co może się wydarzyć. Każ swoim ludziom i pozostałym ochroniarzom unieszkodliwić każdego, kto spróbuje wydostać się na zewnątrz.

Użyjcie wszelkiego niezbędnego przymusu i siły.

– Tak jest.

O’Neil, wysoki, szczupły i wyzbyty wszelkich emocji z wyjątkiem czujności widocznej w ciemnych oczach, przekazał dyrektywę prezydenta przez bezpieczny radiotelefon. Allaire wrócił na mównicę. Pochylił się tak nisko, że musnął ustami metalową siatkę mikrofonu.

– Panie i panowie. Proszę o spokój. Proszę, uciszcie się natychmiast!

Dopiero po kilku dodatkowych wezwaniach w sali zapadła nerwowa cisza. Oczy wszystkich zwróciły się teraz na prezydenta. Allaire spojrział ukradkiem w stronę żony i córki. Obawa wryta na ich twarzach zmusiła go po paru sekundach do odwrócenia wzroku.

– Muszę bardzo wyraźnie stwierdzić – powiedział – że dopóki nie dowiemy się więcej o tym, z czym mogliśmy mieć kontakt, nie mogę pozwolić, by ktokolwiek wyszedł z sali. Obiecuję podzielić się posiadanymi informacjami, gdy staną się dostępne. Na razie żądam od was współpracy.

– A jeżeli nie będziemy współpracować?

Jakiś niezidentyfikowany mężczyzna wykrzyknął tę słabo maskowaną groźbę gdzieś z górnych rzędów galerii.

– To, z czym mieliśmy kontakt, mogło być bardzo zaraźliwe – zagrział wzmocniony głos Allaire’a. – Dopóki nie będziemy mieli więcej informacji, nie mogę narażać zdrowia ogółu. Dla ochrony bezpieczeństwa publicznego zatwierdziłem użycie radykalnych środków przeciwko każdemu, kto spróbuje wyjść z tego budynku. To ostateczny rozkaz waszego prezydenta. A teraz musicie mi wybaczyć. Wkrótce wrócę z dodatkowymi informacjami i propozycją kolejnych kroków uzgodnionych z moim sztabem.

Po raz kolejny w sali rozległ się chaotyczny gwar. Jako pierwsza podeszła do Allaire’a szefowa personelu Białego Domu, reagująca emocjonalnie intelektualistka Megan McAndrews.

– Panie prezydencie – wyszeptała. – Nie uwzględnił pan przewodniczącej Izby Reprezentantów.

McAndrews niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazała siedzącą na trybunie Ursulę Ellis.

– Jeżeli kogoś nie wezwałem – odparł z rozdrażnieniem Allaire – to albo go nie potrzebuję, albo mu nie ufam.

Rozdział 4

DZIEŃ 1

21.45 EST

Ursula Ellis zakładała, że Allaire włączył ją do grona oficjeli, których wezwał na naradę. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że jest inaczej. Wcześniej zastanawiała się, czy źle usłyszała w panującym zgiełku – albo tak się stało, albo strzały prezydenta chwilowo nadwerężyły jej słuch.

Wiceprezydent Henry Tilden siedział obok niej na trybunie. Był wysokim tyczkowatym niezdarą, który jej zdaniem nie figurował na niczyjej liście największych intelektualistów w krajowej polityce.

– Czy prezydent mnie uwzględnił? – zapytała, przechyliwszy się ku niemu.

– Chyba nie, Ursulo – odparł Tilden, podnosząc się z miejsca i starannie unikając kontaktu wzrokowego. – Ale nie słuchałem zbyt uważnie. Wybacz mi, proszę. Muszę iść.

Tak, oczywiście, idź – pomyślała Ellis. – Idź i jak zawsze bądź posłusznym fagasem.

Przewodnicząca Izby pozostała na swoim miejscu, demonstrując – jak uznała – królewskie opanowanie. Kiedy uzyskała partyjną nominację do walki z Allaire’em, prognozowano, że przegra z nim różnicą czternastu punktów procentowych. Wielu politycznych komentatorów nazywało ją kandydatem jednorazowego użytku, uparcie trzymając się tego wyobrażenia nawet wtedy, gdy podczas wyborów wyraźnie zmniejszyła dystans dzielący ją od przeciwnika. Jeszcze miesiąc i dopadłaby drania – taka refleksja nachodziła ją wielokrotnie.

Jeszcze jeden miesiąc.

Skupiła się na zachowaniu pozorów spokoju. Ludzie patrzyli. Allaire wygłupił się, strzelając z pistoletu. Ona musiała pokazać, że jest ponad to. Wielu zebranych zdawało sobie pewnie sprawę z afrontu, który właśnie ja spotkał ze strony tego człowieka. Szare eminencje i niedowiarki musiały zobaczyć kobietę nieczułą na ogarniający ich chaos – prawdziwą przywódczynię, nieustraszoną w obliczu

zbliżającej się nieuchronnie katastrofy.

Ellis patrzyła na Allaire'a z ukosa. Na jego widok żołądek podjeżdżał jej do gardła. Może teraz Amerykanie przejrzą na oczy. Może zobaczą, że na przekór wezwaniom ich tak zwanego przywódcy do współpracy między władzą ustawodawczą i wykonawczą oraz do jedności, gdy przyszło co do czego, przewodniczącej Izby Reprezentantów przypadła rola obserwatora.

Cóż, świetnie – pomyślała. Gdy on wymykał się chyłkiem na spotkanie z potakiwaczami, ona była tam, gdzie obecność naprawdę się liczyła – z narodem. Prędzej czy później ten afront może okazać się zgubny dla Allaire'a. Ci, którzy czekali, aż upora się z wydarzeniami, pewnie widzieli, jak pobladł; jak makijaż spłynął ze strużką potu po jego zeszywniałej od botoksu twarzy; jak trzęsły mu się ręce. Ten człowiek emanował słabością i niepewnością.

W momencie ogłoszenia wyniku wyborów, w chwili uznania swojej porażki, Ursula Ellis zaczęła myśleć o kolejnych wyborach. W gabinecie miała listy potencjalnych rywali w swojej partii i w ugrupowaniu Allaire'a. Żaden z nich nie robił specjalnego wrażenia. Prywatnie jej doradcy zadawali pytanie, czy nie pora wycofać się z polityki i zrezygnować z miejsca w Kongresie, żeby zebrać siły i poskładać zespół prowadzący jej kampanię. Ellis jednak była na tyle dalekowzroczna, by przewidzieć brak rozstrzygnięcia w walce o kontrolę nad Izbą Reprezentantów, i postanowiła ubiegać się jednocześnie o ponowny wybór do Kongresu. I proszę, w swoim okręgu wygrała przytłaczającą większością głosów i wróciła na funkcję przewodniczącej.

Przy podejmowaniu decyzji, by zachować mandat, kierowała się uporczywym głosem wewnętrznym, który mówił jej, że nie czas się wycofywać. Ten łagodny głos, bezbłędnie prowadzący ją w przeszłości, dał jasno do zrozumienia, że Bóg ma wobec niej plany – plany przewodzenia temu krajowi. Po prostu musiała pozostać w centrum zainteresowania.

Allaire zlustrował wzrokiem swoich wybrańców. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć.

I o to chodzi – pomyślała Ellis. Bez względu na to, co się działo, prezydent nie potrafił sobie z tym poradzić. Prędzej czy później się potknie – popełni gruby błąd w ocenie sytuacji. A wtedy ona będzie gotowa, by wystąpić naprzód. W istocie rzeczy miała pewność, że jej rywal całkowicie błędnie interpretuje tę sytuację.

Zanim jednak zdoła sprzeciwić się działaniom, które zamierzał podjąć, będzie potrzebowała informacji.

Allaire był wytrawnym spiskowcem. Co knuł tym razem? Czy była to jakaś demonstracja – test, niczym wywołane przez obronę cywilną przerwy w nadawaniu sygnału radiowego?

Czy naprawdę wierzył, że jakiś wirus atakuje siedmiuset najbardziej wpływowych Amerykanów?

Jeżeli w tym, co powiedział, tkwiło ziarno prawdy, to ludzie potrzebowali badań i opieki lekarskiej – jedzenia i wody, a nie grózb i izolacji. Ale najprawdopodobniej cała ta sprawa to jakiś szwindel. Allaire’owi brakowało umiejętności przywódczych. Ona natomiast pod tym względem była lepsza niż kiedykolwiek. Jeżeli rzeczywiście pojawił się jakiś wirus, dysponowała wystarczającą inteligencją i charyzmą, żeby zjednoczyć naród.

To Bóg chciał, by w tym momencie znalazła się w tym miejscu.

Ellis zauważyła, że nikt z zaufanych doradców prezydenta zgromadzonych teraz przy mównicy nie zdradza żadnych objawów, które mogły być wywołane przez to, co terroryści wypuścili w powietrze. Nikt, to znaczy nikt oprócz szefa Kolegium Połączonych Szefów Sztabów admirała Archiego Jakesa, który bezskutecznie usiłował stłumić niemal ciągły kaszel. Gdzie siedział, gdy wypuszczono szkodliwe opary? Odpowiedź na to pytanie byłaby interesująca – być może nawet bardzo interesująca.

Poczuła dreszcz, który żartobliwie opisywała swojemu sztabowi jako „pajęczy zmysł”. Ten niewielki skok napięcia w neuronach pomagał jej odróżnić wartościowe informacje od bezwartościowych.

Leland Gladstone, jej prawa ręka, był gorliwym wykonawcą każdego zadania. Musiał odszukać innych kaszlących w sali i zorientować się, gdzie siedzieli podczas minieksplzji. Dziecinna igraszka dla człowieka, który omal został szefem jej sztabu w Białym Domu i który nadal mógł ubiegać się o to stanowisko, gdyby wszystko poszło po jej myśli.

Ellis zwróciła uwagę na pilniejszą sprawę. W sali posiedzeń Izby Reprezentantów – jej sali, o czym mogłaby przypomnieć Allaire’owi – właśnie działo się coś niesamowitego. Bez względu na to, że byli wyborczymi przeciwnikami, przewodnicząca Izby Reprezentantów powinna uczestniczyć w każdej odprawie za zamkniętymi drzwiami.

Wstała i wygładziła zmarszczki na dopasowanej czarnej spódnicy. Była szczupłą, atrakcyjną brunetką, kiedyś została królową zjazdu absolwentów uniwersytetu stanowego Missisipi. Starając się nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi, podeszła do prezydenta, który stał odwrócony do niej plecami.

– Panie prezydencie?

Allaire nadal rozmawiał z Garym Salitasem.

– Panie prezydencie, czy może mi pan wyjaśnić, co się dzieje?

Allaire albo zignorował to pytanie, albo po prostu nie usłyszał go w tym tumultcie. Ellis poczuła nagłą złość, którą szybko stłumiła. Nie przywykła do tego,

by ktokolwiek, z prezydentem włącznie, ją ignorował. Allaire mówił dalej, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, tłumacząc teraz coś ściszym głosem szefowi Secret Service Seanowi O'Neilowi. Ellis usiłowała dosłyszeć jakieś słowa, ale nie udało się jej.

– Panie prezydencie, czy chciałby pan, żebym dołączyła do zespołu na odprawie? – zapytała głośniejszym głosem niż poprzednio.

Tym razem Allaire odwrócił się do niej.

– Ursula. Cieszę się, że cię widzę. Dobrze się czujesz?

– Tak, czuję się świetnie. Dziękuję. Chciałabym jednak uczestniczyć w tej odprawie, panie prezydencie... O ile mnie pan potrzebuje.

– Nie. Potrzebne mi są twoje zdolności przywódcze tutaj, w sali. Będę cię informował w miarę rozwoju sytuacji.

Co znaczy, że gównu mi powiesz – pomyślała Ellis.

Allaire odwrócił się i podjął na nowo rozmowę z O'Neilem.

Ellis stała za prezydentem, płonąąc z nienawiści.

– Dobrze się czujesz?

Obok niej pojawił się Gladstone. Chudy i ciemnowłosy, z jasnoniebieskimi oczami, które czasami przyprawiały Ellis o dreszcze, uosabiał to, czego każdy przywódca kongresowej frakcji szukał u bliskiego współpracownika – wdzięk, urodę i elastyczną moralność.

Ellis odciągnęła go od prezydenta i pozostałych notabli.

– Jestem wkurzona – odparła w końcu. – Jak miałabym się czuć?

Gladstone poklepał się po kieszeni marynarki.

– Założyłem, że chcesz znać miejsca wybuchów. Na razie zlokalizowałem siedem z piętnastu lub szesnastu pękniętych szklanych pojemników. Pozostałe namierzę niebawem. Potem, zakładając, że chcesz, bym to zrobił, zacznę sprawdzać sąsiednie fotele.

– Jesteś przewidujący jak zwykle.

– Na razie nie dostrzegam żadnej prawidłowości.

– Zawsze jest jakaś prawidłowość, drogi Lelandzie. Czasami niezbyt oczywista, ale we wszystkim zawsze występuje jakaś prawidłowość. Skończ wypełniać ten diagram, ale miej radiotelefon pod ręką. Dopóki ten problem się nie rozwiąże i nie zatańczymy walca na Pennsylvania Avenue, będziemy bardzo zajęci.

Najbliższy współpracownik przewodniczącej ruszył w kierunku galerii, podczas gdy ona sama pozostała niedaleko miejsca, z którego Jim Allaire miał zaraz udać się na spotkanie z grupą swoich pupilów. Wyraz skrępowania na twarzy tego człowieka był balsamem na jej duszę. Zaczęła sobie wyobrażać sparing z nim na ringu, jak tańczy w bokierskich rękawicach, szukając sposobności do ataku. Teraz

jednak, żeby wyrządzić mu jakąś prawdziwą szkodę, potrzebowała informacji. I gdy prezydent odwrócił się do wyjścia, zdała sobie sprawę, gdzie może je znaleźć.

Szybko przemieściwszy się na prawe skrzydło grupy, wzięła pod rękę Seana O'Neila i pociągnęła go ku sobie.

– Nie mam czasu na rozmowy, pani przewodnicząca – powiedział. – Prezydent mnie potrzebuje.

– Gdy ja będę cię potrzebowała, Sean, a właśnie jesteś mi potrzebny, znajdziesz dla mnie czas.

O'Neil zawahał się, a potem pozwolił jej odprowadzić się na miejsce, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć.

– Czego pani chce? – zapytał stłumionym szeptem.

– To proste. Chcę wiedzieć, co prezydent mówi na odprawie, na którą się wybierasz.

– To tajne. Nieobecni nie mogą wiedzieć.

Ellis uśmiechnęła się i jej cienkie wargi rozciągnęły się w ledwie widoczne kreski.

– Oboje wiemy, że to zła strategia. Jestem przewodniczącą Izby Reprezentantów. Naród amerykański będzie oczekiwał ode mnie wiedzy o tym, co się dzieje. Allaire prowadzi polityczną grę w chwili narodowego kryzysu.

– W takim razie powinna pani zainteresować tym prezydenta.

Sean odwrócił się, żeby odejść, ale Ellis złapała go za rękę.

– Przypuśćmy, że zainteresuję go również tym, co ty i ta śliczna młoda stażystka robiliście w Sypialni Lincolna, gdy para prezydencka wyjechała na wakacje. Jestem pewna, że Allaire'owie bardzo chętnie obejrzeliby nagrania ochrony... zwłaszcza tę ich część, w której z taką wprawą i czułością wciągnąłeś jakiś biały proszek pomiędzy piersi tej słodkiej istoty.

O'Neil pobladł.

– Jak...? Jak pani...?

– Oczy i uszy, mój kochany. Korzystam z nich... oraz pomocy paru przyjaciół ulokowanych we właściwych miejscach. Tak naprawdę przez lata pracy dla narodu amerykańskiego zgromadziłam na twój temat także inne przydatne ciekawostki. Na przykład paskudna batalia o opiekę nad małym Duncanem z twoją byłą. Jak myślisz, na ile tego rodzaju rewelacje zwiększą twoje szanse, drogi Seanie, nie mówiąc o pomocy w karierze?

O'Neil odwrócił wzrok.

– Przekażę pani to, co będę mógł – wymamrotał.

– Przekażesz mi to, czego ja chcę. Czy to jasne?

O'Neil odwrócił się bez słowa i ruszył w pośpiechu, żeby dogonić prezydenta.

Ellis przyglądała mu się, dopóki cała grupa nie zniknęła za drzwiami strzeżonego wyjścia.

Trzecia.

To słowo rozbrzmiewało w jej myślach. Była trzecia w kolejności do objęcia rządów nad najpotężniejszym państwem na ziemi. A wyglądało na to, że dwójka przed nią nagle wkroczyła na bardzo niepewny grunt.

Rozdział 5

DZIEŃ 1

22.00 EST

Allaire poprowadził swój zespół obok agentów Secret Service strzegących mahoniowych dwuskrzydłowych drzwi umieszczonych dokładnie na prawo od trybuny. Korytarz, dostępny tylko członkom Kongresu i personelowi ich biur, miał wzmocnione ściany, które tłumiły gwar docierający z sali posiedzeń.

Na końcu korytarza prezydent użył karty magnetycznej do otwarcia następných drewnianych drzwi. Czujniki wykryły ruch w pograżonym w całkowitym mroku pokoju i włączyły kilka baterii jarzeniówek.

Allaire podszedł do klawiatury na ścianie z prawej strony. Wstukując kod, czekał, aż zadziała hydraulika. Po kilku sekundach ściana naprzeciw niego osunęła się bezgłośnie w dół i zniknęła, ukazując Schron. Zestaw sprzętu telekomunikacyjnego – telefonów satelitarnych, zawieszonych na ścianach monitorów, odbiorników radiowych, drukarek, radiolokacyjnych systemów obrazowania i laptopów – rozniecił w nim na chwilę przekonanie, że jego rząd posiada zdolność zwyciężenia każdego przeciwnika. Potem przypomniał sobie, że to nie jest zwyczajny przeciwnik – że to wirus WRX3883 w rękach zdeprawowanych zabójców, i w tym momencie w tym pomieszczeniu ani żadnym innym nie ma nic, co mogłoby pokonać tę kombinację.

Wokół dużego stołu konferencyjnego pośrodku zasiedli dwaj członkowie gabinetu – sekretarze Salitas i Broussard, lekarz Allaire'a Bethany Townsend, wiceprezydent, umundurowany admirał Archie Jakes (przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów), szef kapitolińskiej policji Hank Tomlinson, architekt Kapitolu Jordan Lamar i szefowa personelu Białego Domu Megan McAndrews. O'Neil, śniady i z kwadratową szczęką, stanął pod tylną ścianą.

– Gdzie jest Paul Rappaport? – zapytał Allaire.

– Paul jest w swoim domu w Minnesocie, panie prezydencie – odparła McAndrews. – Opiekuje się córką.

Minnesota. Allaire jęknął. Sam zgodził się na tę podróż.

– Tak, oczywiście – rzekł. – Przepraszam.

Na czas tegorocznego orędzia o stanie państwa Paul Rappaport został tak zwanym wyznaczonym sukcesorem.

Każdemu orędziu o stanie państwa, inauguracji prezydentury oraz innym doniosłym wydarzeniom towarzyszyło wyznaczenie sukcesora – nazywanego przez niektórych sukcesorem sądnego dnia. Był on jednym z piętnastu członków gabinetu – będących z urzędu następcami prezydenta – który przy takiej okazji celowo przebywał z dala od Waszyngtonu. Wybierali go na tę funkcję wojskowi za pośrednictwem prezydenckiego centrum kryzysowego, czyli PEOC⁴ –jednostki która kontrolowała również Schron.

Zważywszy na to, że podczas ważnych imprez wszyscy członkowie gabinetu chcieli być w pobliżu prezydenta, wybrany sukcesor, zazwyczaj dalsze ogniwo w łańcuchu sukcesji, wcale nie pragnął tego zaszczytu. Wyznaczenie Paula Rappaporta było jednak nominacją logiczną – taką, której egzubernator rzeczywiście sobie życzył.

Stanowisko sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego zostało utworzone niedawno, ale jego wybór wynikał nie tylko z tego powodu. Zaledwie tydzień wcześniej włamano się do mieszkania córki Rappaporta i splądrowano je, gdy ona brała prysznic. Skradziono torebkę, portfel, laptopa, iPoda, telefon komórkowy, srebro stołowe i biżuterię. Co gorsza, jak dowiedział się prezydent, jej bielizna została wyciągnięta z szuflady komody, pocięta i rozłożona na łóżku. Córka Rappaporta, Renee, już wcześniej miewała głębokie stany lękowe i depresję, a wskutek tej grabieży doznała załamania. Została właśnie po kilkudniowym pobycie wypisana ze szpitala psychiatrycznego i przebywała w domu rodziców.

Allaire wyobraził sobie, że Rappaport, człowiek ekstrawagancki i żarliwy patriota, siedzi teraz z żoną oraz córką jedynaczką, chroniony przez niewielki oddział agentów Secret Service, i ogląda to, co miało być orędziem prezydenta, wciąż nieświadomy, jak niewiele dzieliło go od zapisania się na kartach historii.

– Panie prezydencie, z całym szacunkiem proponuję, byśmy kontynuowali odprawę – rzekł Gary Salitas, najbliższy przyjaciel Allaire’a w Waszyngtonie.

Prezydent się ożywił. Pograżony w myślach i przytłoczony brzemieniem zdarzeń milczał zbyt długo.

– Tak, oczywiście, Gary. Dziękuję. Sean, możesz mi przekazać najświeższe informacje na temat konfiskowania telefonów?

O’Neil odsunął się od ściany.

– Agenci zbierają je zgodnie z pańskim poleceniem, panie prezydencie. Jak jednak można sobie wyobrazić, to niełatwe zadanie. Wielu z obecnych w sali obrad

nie nawykło do słuchania rozkazów. Wątpię, by dziennikarze naprawdę oddawali wszystkie telefony, jakie mają przy sobie. Być może będziemy musieli się uciec do rewizji osobistej.

Allaire westchnął. Według najbardziej prawdopodobnego, a przy tym zatrważającego scenariusza wieści już się rozchodziły za pośrednictwem SMS-ów, rozmów telefonicznych, transmisji z wozów stacji telewizyjnych poza Kapitołem oraz przekazów internetowych. Podczas uroczystości ogłoszenia orędzia o stanie państwa dzieje się coś dramatycznego, lecz nikt nie wie dokładnie co. Domysły szybko dotrą do wszystkich krajów świata, wszędzie – od dużych miast począwszy, a na odludnej wiosce z najmniejszym choćby urządzeniem odbiorczym skończywszy.

„Kryzys w Kapitolu”.

Możliwe, że producenci programów CNN zamówili już odpowiednie grafiki.

Przy dużym szczęściu Allaire mógł liczyć na spowolnienie procesu przekazywania informacji – prawdziwych i fałszywych – do czasu, aż zdoła ustalić, jak powinny być prezentowane oraz rozpowszechniane i jak zapobiec reakcji na wszelkie dostrzeżone słabości rządu.

Spojrzał na Salitasa z niemą prośbą o sugestie.

– Musimy myśleć szerzej, panie prezydencie – rzekł Salitas, siwiejący absolwent MIT. – Powinniśmy odciąć wszelką łączność... komórkową, linie naziemne, internet, przekaz telewizyjny w promieniu jakichś ośmiu kilometrów od Kapitolu.

– Potrafimy to zrobić?

– Możemy spróbować.

– I mimo to będę mógł wygłosić telewizyjne przemówienie do narodu?

– Przy odrobinie szczęścia.

– Zróbcie to.

Salitas przeszedł do centrum łączności na przeciwległym końcu pokoju i zaczął telefonować.

– W porządku, pora zacząć – rzekł Allaire. – Mam zamiar wydać wam wszystkim instrukcje. Niebawem podzielę się tą informacją z pozostałymi ofiarami.

– Ofiarami? – zdziwiła się sekretarz zdrowia Kate Broussard.

– Tak, Kate. Ofiarami. Teraz nimi właśnie jesteśmy. Wszyscy bez wyjątku. – Przytoczył komunikat z telepromptera. – Jeśli założymy, że szklane pojemniki eksplodujące w torebkach i teczkach zawierały WRX3883 w aerozolu, musimy uznać, że każda osoba znajdująca się dzisiaj w gmachu Kapitolu została narażona na kontakt z nim lub niebawem będzie narażona w mniejszym lub większym stopniu.

– Co to jest WRX3883, u licha? – zapytała Broussard.

– To środek biologiczny, którego od pewnego czasu szukamy.

Stojący na drugim końcu pokoju Salitas zmrużył oczy. Posłał Allaire'owi spojrzenie, które ten uznał za przestrożę.

– Czyj środek biologiczny? Mówimy o Al-Kaidzie? – zdołał zapytać admirał Jakes między kolejnymi napadami kaszlu.

– Nie. Genesis przypisało sobie tę zasługę. To wirus, o którym jednak wiemy. Najwyraźniej ukradli go.

– Czemu nie uświadomiono nam tego wcześniej? Jak on działa?

– Przykro mi, Archie. Postanowiłem zachować wszystkie informacje o wirusie dla siebie, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tym, z czym mamy do czynienia. Zarazek należał do nas. Powstał w Columbia University w Nowym Jorku. Przejęliśmy go i pracowaliśmy nad nim w laboratorium czwartego stopnia biobezpieczeństwa w Kansas. Jakies dziewięć miesięcy temu zablokowałem fundusze na ten projekt. Najwyraźniej Genesis znalazło sposób na wykradzenie wirusa.

– Cóż, teraz gdy został wypuszczony, jak realne jest zagrożenie dla zdrowia ogółu? – zapytała Broussard.

Allaire i Salitas znowu wymienili ledwie dostrzegalne spojrzenia.

– To odmiana grypy – odparł Allaire. – Która atakuje funkcje oddechowe bardzo podobnie jak wirus grypy, tylko o wiele gwałtowniej.

Broussard, posiadaczka doktoratu z immunologii, zmarszczyła brwi.

– Więc to niezwykle silna grypa? – zdziwiła się. – To niemożliwe.

– W tym szczególnym przypadku nie chodzi o wirus grypy typu A – odparł Allaire, zakładając, że Broussard wiedziała, iż grypa typu A jest jedyną z trzech odmian wirusa, który kiedykolwiek powodował pandemię.

– Czego możemy się spodziewać? – odezwał się po raz pierwszy wiceprezydent Tilden. – Objawy? Zasięg? Skutek? Czy przypomina SARS?

Tilden, dawny senator z Alabamy, był bliski pokonania Allaire'a w prawyborach przed pierwszą elekcją i został kandydatem na wiceprezydenta w ramach politycznych ustępstw wobec konserwatystów z Południa. Szanowano go za cięty dowcip i opanowanie pod ostrzałem, lecz podobnie jak większość jego poprzedników, podczas pierwszej kadencji swojego urzędowania niemal zniknął z pola widzenia.

– Nie wiem, Henry. Mam zamiar skontaktować się ze specjalistami z ośrodków zwalczania chorób.

Hank Tomlinson, mocno zbudowany szef kapitolńskiej policji, wstał i zapytał:

– Jakim cudem ktoś zdołał przemyścić wirus do Kapitolu i zdetonować piętnaście ładunków? Otwarte było tylko jedno wejście i użyliśmy naszych najlepszych

prześwietlarek. W dodatku sprawdzaliśmy wszystkie torebki i teczki.

– Cóż, Hank – odparł prezydent – oczekuję, że jako szef tutejszego oddziału ochrony dowiesz się tego.

– Tak jest – wymamrotał Tomlinson.

Usiadł i nie odrywał wzroku od swoich dłoni.

– Musimy stawić temu czoło jak każdej sytuacji kryzysowej – rzekł Allaire. – A to znaczy, że skupimy się na najważniejszych rzeczach. Zapewniam was, że sprostamy temu wyzwaniu. I zrobimy to razem.

– Czym mamy się zająć, Jim? – zapytał Tilden.

– Czekając na dane o tym wirusie, musimy skoncentrować nasze wysiłki na dwóch frontach: ludziach i komunikacji. Opinia, że cały amerykański rząd jest w bezpośrednim niebezpieczeństwie, zdezorganizuje światową gospodarkę. Musimy maksymalnie ograniczyć to ryzyko.

– Co pan sugeruje?

– Przygotuj przesłanie, Henry. W razie potrzeby możesz skorzystać z pomocy autorów moich przemówień. Niech świat wie, że nic się nam nie stanie, ale do czasu uzyskania całkowitej pewności, że nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia się wirusa, będziemy dmuchać na zimne. Możesz napisać, że doszło do kontaktu z bardzo zaraźliwym czynnikiem chorobotwórczym, ale nasi mikrobiolodzy pracują intensywnie nad jego identyfikacją i neutralizacją. Niech naród wie, że nic nam się nie stanie, ale potrzebujemy czasu na gruntowną ocenę sytuacji.

– Rozumiem – odparł Tilden, który wydawał się wręcz podniesiony na duchu nałożeniem tego obowiązku.

Allaire przyglądał się, jakjego zastępcę zawzięcie coś notuje.

– Popracuj nad tym z Megan. Gdy będziecie gotowi, pokażcie mi tekst. Do przekazania tej wiadomości wykorzystamy Connie Lawson z NBC. Ona ma umiejętność chłodnego przedstawiania faktów.

Admirał Jakes podniósł rękę.

– Panie prezydencie, zmobilizuję... – Przerwał, zakrztusiwszy się silnym i wcale nie suchym kaszlem.

– ...zmobilizuj armię – zakończył za niego Allaire.

Jakes, sześćdziesięcioparolatek, miał popielatą cerę i niemal szkliste spojrzenie. Broussard i McAndrew, siedzące po obu jego stronach, podświadomie odsunęły krzesła o kilka centymetrów i zerknęły na admirała z lękiem połączonym z odrazą. Allaire skinął na Salitasa, który zakończył rozmowę telefoniczną i przyniósł Jakesowi kubek z wodą.

– Chcę podzielić wszystkich zebranych w sali na trzy grupy. Żeby ułatwić

rozdział środków, każda grupa zostanie ulokowana w innym pomieszczeniu. Admirale, chciałbym, żeby został pan przywódcą grupy C. Zajmie pan salę obrad Senatu i tam zorganizuje centrum dowodzenia. Niech pan wyznaczy innych szefów sztabów do pomocy każdej grupie oraz naszym policjantom.

– Kto będzie w mojej grupie? – zapytał Jakes.

– Gary i ja będziemy osobiście nadzorować przydziały do poszczególnych grup. Potrzebujemy trochę czasu na sporządzenie listy.

Uczestnicy odprawy wymienili niespokojne spojrzenia. Allaire wyczuł, że zdaniem współpracowników prezydentowi w kryzysowej sytuacji nie przystoi to zadanie. Nie mogli jednak zdawać sobie sprawy, że zadanie, które przydzielił sobie i Salitasowi, jest w tym momencie najważniejsze ze wszystkich.

– Co mamy w tym czasie robić? – zdołał zapytać admirał i znowu kaszlnął. Na jego czoło wystąpił połyskliwy pot.

– Zróbcie listę zapasów, których waszym zdaniem będziemy potrzebowali – odparł Allaire i ciągnął: – Kate, chciałbym, żebyś przewodziła grupie B, a Henry weźmie grupę A. Grupa A może zostać w sali posiedzeń Izby Reprezentantów, a ludzi przydzielonych do grupy B przeniesiemy do Sali Rzeźb. Ustalcie między sobą, czego będziemy potrzebować na jednolub dwudniowy pobyt. Pozyskajcie pomoc od pozostałych członków gabinetu i kogokolwiek zechcecie. Megan będzie spełniać funkcję mojego łącznika. Waszemu uznaniu pozostawiam ustalenie zasad korzystania z toalet, ale ważne jest, byśmy nie wymieszali grup podczas przenoszenia ludzi.

– Dlaczego? – zapytała Broussard.

– Żeby mieć kontrolę nad zapasami, Kate. Będziemy nimi gospodarować stosownie do liczebności grup i ludzie nie powinni sądzić, że mogą swobodnie przechodzić z jednej do drugiej.

Wyglądało na to, że sekretarz zdrowia jest równie sceptyczna wobec planu Allaire'a, jak była wobec jego wyjaśnień w kwestii natury zagrożenia.

– Rozumiem, Jim – powiedziała przez zaciśnięte usta.

Agenci Secret Service pod dowództwem Seana O'Neila mieli zająć się utrzymywaniem bezpieczeństwa.

– Informujcie mnie o postępach. Megan, zapowiedz, proszę, że za dwadzieścia minut wygłoszę przemówienie w sali posiedzeń Izby Reprezentantów. Wtedy podam aktualne informacje o naszej sytuacji i opowiem, jak zatroszczymy się o wszystkich w czasie wyjaśniania problemu.

Szefowa personelu Białego Domu skinęła głową.

– Jordan i Hank, zostańcie tu na kilka minut. Pani też, pani doktor. Reszta z was ma swoje zadania. Zachowajcie spokój, podzielcie się obowiązkami z innymi i nie

stracie kontroli nad sytuacją. Jesteście tu przywódcami. Oczekuję od was, że staniecie na czele. Powodzenia.

Po naciśnięciu guzika układ hydrauliczny sterujący osłoną Schronu odsunął drzwi w ścianie.

Gary Salitas też został, choć go o to nie poproszono. Pokój opustoszał i sterowane hydraulicznie drzwi się zamknęły. Ci, którzy pozostali w środku, znowu usiedli.

Prezydent westchnął, głęboko i powoli.

– Cóż, moi przyjaciele – zaczął – muszę zacząć od stwierdzenia, że to, co przed chwilą powiedziałem w tym pokoju, tylko częściowo jest prawdą.

Rozdział 6

DZIEŃ 1

22.05 EST

Angela Fletcher przejechała dopiero połowę z codziennej porcji szesnastu kilometrów na rowerze treningowym, gdy ekran jej nowego telewizora marki Sony, na którym w trybie HD pokazywano orędzie o stanie państwa, zrobił się ciemny. Pilotem zaczęła przełączać kanały w dekodерze kablówki, ale na wszystkich stacjach informacyjnych był taki sam czarny ekran. Wyglądało na to, że inne kanały, nietransmitujące prezydenckiego orędzia, działały idealnie. Jednakże wszystkie główne sieci telewizyjne z CNN, MSNBC i Fox News włącznie nadawały to samo, czyli nic.

Ze swojego siodełka, otoczona zestawem roślin domowych, z których każdą potrafiła nazwać, Angie wyłączyła telewizor, włączyła go znowu i to samo zrobiła z dekodерem. Tym razem stacje zaprezentowały swoje wersje komunikatu o kłopotach technicznych, informując widzów, że pracują nad rozwiązaniem tego problemu.

Angie zeskoczyła z roweru, przeszła przez przestronny salon do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę aromatyzowanej wody o zwiększonej zawartości witamin. W wieku trzydziestu ośmiu lat, mimo metodycznego przestrzegania diety wegetariańskiej, oraz gruntownej znajomości ziół i zasad zdrowego żywienia, miała wolniejszą przemianę materii. Zmiany obwodu w biodrach przypominały o tym codziennie, chociaż prawdopodobnie tylko ona była ich świadoma.

Rower i zestaw hantli stanowiły jej sposób walki z tym procesem. Najlepsze – dla kogoś, kto nie mógł wysiedzieć na większości filmów, sztuk i koncertów – było to, że ten sprzęt pozwalał wykonywać wiele czynności równocześnie. Pisać e-maile i jeździć na rowerze. Oglądać CNN i podnosić ciężary. Czytać i pedałowac. Jeżeli nie spała, a przeznaczala na sen co najwyzej pięć godzin na dobę, zawsze wydawała się robić dwie rzeczy naraz. Ta cecha była źródłem ciągłej konsternacji, a nawet rozdrażnienia jej przyjaciela Billa Collinsa. Słowo „była” właściwie

opisywało sytuację, gdyż Collins teraz stanowił już postać z jej przeszłości.

Wracając do salonu, Angie porwała swój blackberry, żeby sprawdzić pocztę. W skrzynce nie było nic na temat utraty sygnału. Wyłącznie codzienna masa e-maili od rozmaitych naukowców. Wszyscy chcieli tego samego – artykułu w jej gazecie, „The Washington Post”, a co ważniejsze dla Angie Fletcher, szanowanej reporterki działu naukowego tej gazety, dziennikarskiej relacji z najnowszego przełomu lub odkrycia, które ich zdaniem należało przedstawić światu.

Angie znowu spróbowała włączyć telewizor. Nic. Głosowała na Allaire’a, tak jak większość jej znajomych, i podobnie jak oni nie mogła się doczekać dzisiejszego przemówienia. Bardzo się jej podobało, że w jego zawodowej przeszłości medycyna i nauka odegrały równie znaczącą rolę jak polityka. Ponieważ zaś dzięki jego oratorskim zdolnościom nawet spis rzeczy do prania mógł wydać się ważnym dokumentem, Angie czuła się mocno zawiedziona tym, że nie wysłucha choćby części pierwszego orędzia o stanie państwa na początku drugiej kadencji.

Uznawszy, że mogą działać przekazy internetowe, z telefonu próbowała wejść na CNN.com oraz na stronę swojej gazety. Na obu ukazały się praktycznie identyczne wytłuszczone nagłówki: „Przerwa w transmisji orędzia o stanie państwa”. Bardzo już teraz ciekawa przyczyny, Angie zaczęła sprawdzać, ale nie znalazła żadnych linków do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Minęło niemal sześć miesięcy, odkąd przeprowadziła się z Georgetown do odnowionej kamienicy z brunatnego piaskowca w Dupont Circle, bardzo atrakcyjnym rejonie Waszyngtonu. Jej sąsiad z 2B, bezpośrednio pod jej dwupokojowym mieszkaniem, pracował w Białym Domu i Angie zastanawiała się, czy nie zapytać go, czy słyszał o jakichś niezwykłych wydarzeniach w Kapitolu. Zamiast tego postanowiła się wytrzeć i złapać taksówkę.

Wpadła do kuchni, wciąż z telefonem w dłoni, po czym zatrzymała się nagle, by zabrać zraszacz z blatu; chciała zrosić domowy ogródek ziół, które wydawały się prawie gotowe do zbioru, przynajmniej mięta. Królowa ADHD, tak często nazywał ją Collins. Co z tego – pomyślała, pędząc do łazienki, by włożyć spodnie i obszerny marynarski sweter.

Wróciła w pośpiechu do salonu i podeszła do Horacego, na którym wieszła płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Ludzie od przeprowadzek nie wspomnieli o tym ani słowem, zauważyła jednak, jak wypakowując ludzki szkielet, wymieniają niespokojne spojrzenia.

Gdy przez kilka miesięcy spotykała się z Collinsem, lobbystą reprezentującym branżę ubezpieczeniową, stale się dziwił, że trzyma szkielet w salonie, a jej zagracona sypialnia przypomina pokój w akademiku. Zapewniła go jednak, że

Horacy ma związek z jej zainteresowaniami biologią, a nie jest gotyckim fetyszem, którego musi się bać, w sypialni zaś zawsze panuje idealny porządek – z wyjątkiem sytuacji, gdy akurat zjawiał się w jej mieszkaniu.

Brak zrozumienia dla obecności Horacego z jego strony od początku powinien dać jej do myślenia, ale Collins był dobrze wychowany, dowcipny i piekielnie przystojny – ewidentnie jedna z dziesięciu najlepszych partii w Waszyngtonie, jak oceniły go przyjaciółki Angie. Niewątpliwie dlatego czekała tak długo, chociaż w końcu to on uznał, że powinni zacząć „widywać się z innymi osobami”. Ponieważ Angie była zmęczona randkami, ponieważ bardzo zależało jej na związaniu się z jakimś partnerem na całe życie i ponieważ znała statystyki dotyczące wieku rozrodczego i płodności, to rozstanie oznaczało zrzucenie ogromnego ciężaru z jej barków.

Zsunęła wygodną dwurzędową kurtkę z ramion Horacego i ściągnęła czerwoną wełnianą czapkę ze stojaka, na którym się wspierał. W Kapitolu coś się działo. Czula to. To właśnie dzięki talentowi do wyławiania ciekawych wiadomości stała się jednym z najbardziej wziętych reporterów w „The Post”. Wiedziała, że każdy temat pojawiający się na Wzgórzu Kapitolimskim zostanie zrelacjonowany przez zespoły reporterów politycznych lub krajowych i przypuszczalnie żaden z nich nie będzie miał pojęcia o nauce i technice. Lecz myśl o przeoczeniu jakiegoś wydarzenia rozgrywającego się na jej własnym podwórku była nie do przyjęcia, a nagła, szczególna i powszechna utrata sygnału z transmisji orędzia o stanie państwa zapowiadała wręcz sensację.

Postanowiła pojechać taksówką i właśnie szukała torebki pod stertami rzeczy na kuchennych krzesłach, gdy zadzwieczał telefon. Skrzywiła się na widok nazwiska telefonującego. Zanim poznała Billa, był w jej życiu John Davis, szef sztabu jednego z bardziej wpływowych kongresmenów w Kapitolu. Davis uganiał się za Angie z takim uporem, że najpierw nie była zainteresowana, a niedługo potem zaczęła się niepokoić. Dzwonił do niej po raz pierwszy od kilku miesięcy, gdy po raz ostatni poprosiła, by zrezygnował, bo choć jest bardzo miły, do niczego między nimi nie dojdzie – zwłaszcza że ona spotyka się już z kimś innym. Odczekała, aż włączy się poczta głosowa.

Potem zadzwonił jeszcze raz.

Dziwne, nawet na kogoś tak upartego jak John, pomyślała. Musiał przecież wiedzieć, że ogląda orędzie prezydenta. Tak naprawdę, o ile nie został zwolniony, musiał być w Kapitolu podczas orędzia. Być może stracił sygnał i nie uzyskał połączenia z pocztą głosową. Gdy zatelefonował po raz trzeci, odebrała.

– John?

– Angie! Jesteś, dzięki Bogu – rzekł ochrypłym szeptem. – Nie wiedziałem, do

kogo jeszcze zadzwonić.

Miała wrażenie, że boi się, iż ktoś może go usłyszeć.

– John, co się dzieje? Wybieram się właśnie do Kapitolu, żeby sprawdzić, dlaczego transmisja na wszystkich stacjach została przerwana.

Odnalazła torebkę, chwyciła szczotkę leżącą na krześle obok niej i przeciągnęła nią dwa razy po sięgających do ramion rudobrunatnych włosach. Następnie zebrała je z tyłu w koński ogon i ściągnęła gumką, z przyjemnością wspominając przez chwilę, jak wkurzała Collinsa tym uczesaniem.

– Nie sądzę, byś zbliżyła się do niego na mniej niż pięćset metrów – odparł Davis – ale potrzebuję twojej pomocy. Chyba miałem z czymś kontakt. Wszyscy mieliśmy.

– Wszyscy? O czym ty mówisz?

– Jestem w Kapitolu i mówię, że wszyscy obecni na orędziu o stanie państwa mieli kontakt z jakąś substancją biologiczną, z jakimś wirusem. Tak powiedział Allaire.

– O Boże! – Ta wiadomość przyprawiła Angie o gwałtowne bicie serca. – Nic ci nie jest?

– Na razie chyba nie. Ale zacząłem kaszleć i naprawdę świruję. Wszyscy świrujemy.

– Poczekaj chwilę.

Włożyła kurtkę oraz czapkę i wzięła jeden ze swoich notesów ze spiralnym grzbietem.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał Davis.

– Jestem, jestem. A teraz spróbuj się uspokoić i powiedz mi, co się dzieje.

– Nie wiem. Dowiedzieliśmy się, że to była jakaś broń biologiczna. Allaire powiedział, że Genesis ma z tym jakiś związek.

– Psiakrew, John, ledwie cię słyszę. Nie możesz mówić głośniej?

– Nie. Nie chcę, żeby mnie usłyszano. Secret Service i policja kapitolińska konfiskują wszystkie telefony. Przypuszczam, że Allaire nie chce wywołać paniki.

– Dlatego właśnie przerwano transmisję?

– Nie wiedziałem o tym.

Wetknąwszy telefon między ucho i ramię, Angie posmarowała wargi pomadką ochronną w sztyfcie, nabazgrała coś w notesie stenograficznymi znakami, które tylko ona mogła odszyfrować, i znowu włączyła telewizor. CNN donosiła tylko, że coś się wydarzyło w Izbie Reprezentantów i próbują usilnie zdobyć więcej informacji. Ekran wypełniał ziarnisty obraz przesłany z czyjejś drżącej komórki.

Angie usłyszała w tle głośne wycie syren i przyglądała się z wybałuszonymi oczami, jak obiektyw aparatu ukazuje coraz większe zamieszanie. Pamiętała takie

samo denerwujące uczucie, gdy zaczęły spływać pierwsze doniesienia o atakach z jedenastego września. Tak jak wtedy, tak i teraz działo się coś naprawdę strasznego.

– Gdzie dokładnie jesteś? – zapytała. – Co to był za atak? Czy komuś coś się stało? Kiedy do tego doszło?

– Powoli, Angie. Powoli.

– Jesteś pewny, że to sprawka Genesis?

– Angie, boję się, że umrę, że wszyscy umrzemy.

Serce zabiło jej szybciej.

– Chcę ci pomóc, John. Tylko spróbuj mi to ułatwić.

– Do...dobrze.

– Jak doszło do tego ataku? Jak ten wirus został dostarczony? Widziałeś to?

Davis kaszlnął. Angie zadrżała na ten dźwięk. Czy to objaw infekcji?

– Tak. Z toreb, teczek i torebek wydobywały się niewyraźne pióropusze dymu z jakiejś mikrobomby, tak to brzmiało. Jedna wybuchła tuż obok Dawn Bloom, kongresmenki z Massachusetts, siedzącej dwa rzędy przede mną.

Angie wetknęła rękawiczki do torby na laptop i wrzuciła do niej pomadkę, kilka długopisów i jeszcze jeden notes.

– Co dzieje się teraz?

Davis stłumił częściowo kolejne kasznięcie.

– Prezydent nakazał, by wszyscy wrócili na swoje miejsca. Obstawił drzwi uzbrojonymi strażnikami. Angie, ja naprawdę się boję. Wiesz o broni biologicznej więcej niż którakolwiek ze znanych mi osób. Co to, u diabła, mogło być? O cholera, chyba zauważyli mój telefon. Będę rozmawiał tak długo, jak tylko mogę. – Davis znowu zaniósł się kaszlem, głębokim, wilgotnym i przejmującym.

– John, nic ci nie jest? Rozmawiaj ze mną!

– Przyszli po mój telefon... Słuchajcie, sukinsyny! To jest Ameryka. Mamy prawa. Nie możecie tego robić!

Połączenie zostało przerwane.

Rozdział 7

DZIEŃ 1

23.00 EST

Grupka pozostałych w Schronie wymieniła zdziwione spojrzenia i tylko Gary Salitas nadal wpatrywał się w Allaire'a.

Przyjaźń między nimi zaczęła się niemal dwadzieścia pięć lat temu, na zebraniu prezydenckiej komisji śledczej do spraw narkomanii w podupadłej części śródmieścia. Zebranie, jedna z wielu takich pokazówek, na które Salitasa od lat zapraszano, należało też do szczególnie frustrujących, ponieważ każdy z luminarzy polityki i nauki był zdecydowany zrobić wrażenie lub przyćmić pozostałych retoryką i przybraną pozą.

W chwili gdy Salitas zastanawiał się, czy zdoła wytrzymać resztę popołudnia, jakiś szczupły i kościsty mężczyzna wstał bez pytania i zaczął mówić. Na plakietce widniał napis: DR MED. JAMES ALLAIRE, CLEVELAND, OHIO. Mężczyzna był zły. Był zły, że ludzie mówili o kartelach narkotykowych w Ameryce Łacińskiej i minimalnych wyrokach więzienia, o usuwaniu dyktatorów i uchwalaniu nowych, surowszych ustaw.

O kolejnych prezydenckich komisjach śledczych. Ale nikt ani słowem nie wspomniał o żalosnej bezradności dzieci z tej części miasta. Ani razu nikt nie zasugerował związku między zażywaniem narkotyków a liczebnością klas szkolnych. Nikt nie zaproponował planu nawiązania partnerskich stosunków między biznesem, przemysłem i twórcami programów mających zapewnić każdemu z tych dzieci komputer.

Allaire mówił tego dnia przez niespełna pięć minut, ale elokwencja, przekonanie do swoich racji oraz siła jego słów zrobiły niezatarte wrażenie. I gdy lekarz z Ohio wygłosił swoje uwagi, zebrał notatki i wyszedł zamaszystym krokiem z sali, Gary Salitas poprzysiągł sobie, że zwiąże swoje losy z tym mierzącym wysoko człowiekiem.

I po dziś dzień ani razu nie żałował tej decyzji.

– Za chwilę wyjaśnię tyle, ile mogę – zaczął prezydent. – Najpierw jednak chcę się upewnić, czy znacie Jordana Lamara. – Skinął głową w stronę krępego mężczyzny o dziecięcej twarzy siedzącego o kilka krzeseł na prawo od Salitasa. – Oficjalnie Jordan nosi tytuł architekta Kapitolu. Jordan, to jest mój osobisty lekarz Bethany Townsend, szefowa służby medycznej Białego Domu.

– Poznaliśmy się już – rzekł Lamar, ściskając dłoń Townsend i upewniając się, czy lekarka zna piątego członka grupy, Hanka Tomlinsona, szefa półtoratysięcznego zastępu kapitoliińskiej policji.

– Dobrze więc – rzekł Allaire. – Ci dwaj ludzie znają każdy detal kompleksu zabudowań Kapitolu, od topografii jego otoczenia po charakter i lokalizację urządzeń, korytarzy, wejść i wyjść. Nakazuję, by od tej chwili zarząd tutejszej policji, reprezentowany przez Jordana i Hanka, oraz wojsko, koordynowane przez sekretarza Salitasa, działały wspólnie. Ta operacja będzie nosić kryptonim „Orzeł Stróż”, a jej celem będzie neutralizacja tego, co dziś wieczorem zrobili terroryści z Genesis.

– A co to ma wspólnego z wojskiem? – zapytał Tomlinson.

– Pozostali członkowie Kolegium Połączonych Szefów Sztabów pomogą nam przy tej operacji, lecz będą dysponowali wyłącznie takimi informacjami, jakie są im potrzebne do działania, a moje polecenia przekazywał im będzie sekretarz obrony. Jedyne osoby w pełni świadome przebiegu operacji siedzą tu, w tym pokoju. Czy to jasne? Dobrze, Gary, upoważniam cię do wyznaczenia na swoich zastępców dowolnego wojskowego, funkcjonariusza Gwardii Narodowej lub innego federalnego organu ochrony porządku publicznego, kogo tylko uznasz za konieczne wsparcie. FBI, NSA, CIA... masz do dyspozycji cały nasz personel i wszystkie zasoby.

– Tak jest – odparł Salitas.

– Chcę, żeby wokół Kapitolu ustanowiono strefę bezpieczeństwa. Naprzeciw wszystkich wyjść ulokuj snajperów i miotacze ognia. Jordan dopilnuje, byś żadnego nie przeoczył. Użyj barykad, żeby utworzyć dodatkową strefę ograniczającą dostęp. W razie konieczności powstrzymajcie ludzi siłą.

– Tak jest.

Prezydent odwrócił się na chwilę, żeby zapanować nad sobą. Gdy ponownie na nich spojrzął, miał kamienny wyraz twarzy i zbiegłe wargi.

– I jeszcze jedno – rzekł. – Każdy, kto opuszcza ten budynek, powtarzam: każdy, z każdym z nas włącznie, ma otrzymać jedno i tylko jedno ustne ostrzeżenie, by zawrócić. Potem ma być zastrzelony na miejscu, a jego ciało natychmiast spalone i uprzątnięte jako źródło zagrożenia biologicznego.

Rozdział 8

DZIEŃ 1

23.10 EST

Strzelać tak, żeby zabić.

Spalić zwłoki.

Allaire, podobnie jak pozostali obecni w Schronie, rozumiał, że jako prezydent Stanów Zjednoczonych właśnie użył swojej władzy zwierzchnika sił zbrojnych, by usankcjonować mordowanie cywilów z zimną krwią. Przez chwilę czuł, że zaraz się załamie pod wpływem niedowierzających spojrzeń. Przez myśl przemknęła mu fotografia Johna Kennedy'ego podczas kubańskiego kryzysu raketowego. Z relacji, które czytał, wynikało, że młody prezydent uporał się z decydującym dla jego rządów wydarzeniem z żelazną determinacją. Oceń premiera Chruszczowa trafnie i ocal planetę. Popęnij błąd w ocenie tego człowieka, a nuklearna pożoga pochłonie miliony.

Ale w tym kryzysie nie chodziło o rakiety. Chodziło o WRX3883. I chociaż decyzja prezydenta Jima Allaire'a o poddaniu Kapitolu kwarantannie mogła uratować miliony przed rozszalałą pandemią, według wszelkiego prawdopodobieństwa on i jego rodzina nie mieli się znaleźć wśród ocalonych.

Jaka szkoda, że nie odrzucił tego pomysłu na samym początku. Jaka szkoda, że po prostu nie wysłuchał propozycji doktor Sylvii Chen i nie odesłał jej z kwitkiem.

Allaire miał nadzieję, że wygląda jak człowiek silny i pewny siebie. Gdyby stracił kontrolę i tłum w sali obrad Izby Reprezentantów ruszyłby gwałtownie w stronę wyjść, nie wiadomo, co wirus unoszący się w powietrzu i zagnieżdżający się w ich ciałach uczyniłby w świecie na zewnątrz.

Nie mógł do tego dopuścić.

Musiał tak dobierać słowa, aby powstrzymać ten tłum. Musiał zdecydować, iloma informacjami się podzielić i jak je przekazać.

Równocześnie jednak musiał komuś zaufać.

Kennedy miał swojego brata Roberta, członków Rady Bezpieczeństwa

Narodowego oraz Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Jim Allaire miał ludzi zebranych w tym pokoju: swojego lekarza, architekta, szefa kapitolńskiej policji i Gary'ego Salitasa, który był jedyną oprócz niego osobą znającą całą prawdę. Niektórzy ze świeżo sformowanego wąskiego grona jego współpracowników nadal wyglądali na oszołomionych prezydenckim rozkazem natychmiastowego zabijania. Allaire był absolutnie pewny, że gdyby mieli pełną wiedzę o zagrożeniu, jakie stanowił wirus, a już niebawem mieli ją dysponować, postąpiliby dokładnie tak samo.

To rozumowanie dawało jednak słabą pociechę.

– Hank, udzielam kapitolńskiej policji pełnej władzy operacyjnej w strefie zewnętrznej. To miejsce musi być szczelnie, naprawdę szczelnie zamknięte. Wirus, z którym mamy do czynienia, jest bardzo zaraźliwy. Nie wiadomo, jakie byłyby konsekwencje, gdyby się rozprzestrzenił.

Tomlinson skinął głową. Jordan Lamar także.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie – rzekł szef policji – nie udzielił nam pan zbyt wielu informacji o tym, co się tutaj naprawdę dzieje. Zrobię wszystko, co niezbędne, żeby chronić nasz kraj i mu służyć, ale nie możemy walczyć z czymś, czego nie rozumiemy.

– Tak, oczywiście, Hank. – Allaire znowu przerwał, żeby nie stracić zimnej krwi. – Dostępu do informacji, którymi się zaraz z wami podzielę, nie zapewniają żadne certyfikaty bezpieczeństwa. Ufam, że zachowacie je w tajemnicy. Ich ujawnienie mogłoby wywołać panikę, która doprowadziłaby do nieobliczalnych strat w ludziach. Mogę wam je powierzyć? Czy mam na to słowo każdego z was?

Zebrani wymienili pytające spojrzenia.

– Ma pan nasze słowo, panie prezydencie – odparł Tomlinson.

Allaire skinął głową. Po raz pierwszy, odkąd poprzednia grupa otrzymała swoje zadania i została odesłana ze Schronu, prezydent zwrócił się bezpośrednio do lekarki.

– Doktor Townsend, przypomina sobie pani akta z Kalvesty?

Bethany Townsend, drobna kobieta z ładnym uśmiechem i ogorzałą twarzą, zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Tak, oczywiście – odparła. – To sprawa sprzed prawie dwóch lat. Poprosił pan, bym przeanalizowała raport patologa. Jeśli dobrze pamiętam, dotyczył on pięcioosobowej rodziny. Nie, sześćosobowej. Mąż, żona i czworo dzieci, wszyscy stracili przytomność we śnie. Zaczadzenie zostało szybko wykluczone jako możliwa przyczyna zdarzenia.

– Zgadza się. Mieszkali w domu, który udostępnił im w Kalveście w Kansas. Mąż, podpułkownik Jeremy Jackson, pracował tam w supertajnym

ośrodka badań nad bronią biologiczną. Żaden z członków Kolegium Połączonych Szefów Sztabu nie zdaje sobie sprawy z istnienia takiego ośrodka. Gary?

Sekretarz obrony podjął opowieść.

– Wiedza operacyjna o naszych próbach w Kalveście była ograniczona i ściśle kontrolowana. Żona podpułkownika sądziła, że jej mąż jest zatrudniony w stanowym Departamencie Ochrony Przyrody i Parków. W rzeczywistości był członkiem zespołu pracującego nad nowym środkiem biologicznym dla naszego rządu. Z uwagi na konsekwencje militarne naszych prac byłem jedynym członkiem gabinetu w pełni poinformowanym o Kalveście.

– Mów dalej, Gary.

– Gdyby wiadomość o tych badaniach rozeszła się przedwcześnie, mielibyśmy do czynienia z prawdziwą burzą w mediach. Tak olbrzymie znaczenie dla naszego narodowego bezpieczeństwa miał środek, nad którym pracowaliśmy.

– A co to był za środek? – zapytała Townsend, a wyraz jej twarzy świadczył o tym, że właśnie znalazła odpowiedź na swoje pytanie.

– WRX3883 – odparł prezydent.

Rozdział 9

DZIEŃ 1

23.20 EST

Twarz doktor Bethany Townsend wyrażała w równym stopniu niedowierzanie i strach.

– Chce pan powiedzieć, że przyczyną śmierci Jacksonów był ten sam czynnik biologiczny, z którym wszyscy mieliśmy kontakt?

– Niestety, to właśnie mówię – odparł Allaire. – Zarówno pani, jak i ten patolog nie zdołaliście określić przyczyny ich śmierci, ponieważ celowo nie informowaliśmy was o projekcie „Veritas”. Z waszych ustaleń dowiedzieliśmy się jednak wiele o tym, jak WRX3883 atakuje organizm.

– Pan wybacz, ale „Veritas”? – zdziwiła się lekarka.

– „Veritas” jak prawda. Nawet wiceprezydent Tilden o tym nie wiedział, chociaż miałem zamiar powiedzieć mu w momencie, gdy postanowiłem wstrzymać finansowanie badań. Jednak po obcięciu funduszy i zamknięciu projektu wydawało się, że nie ma potrzeby informować kogokolwiek.

– Trochę za późno dla Jacksonów – zauważyła Townsend. Allaire pochylił głowę. Czując, że prezydent potrzebuje czasu na zebranie myśli, Salitas wyjaśnił:

– Ludzie realizujący projekt „Veritas” dokładnie zbadali skafander ochronny podpułkownika Jacksona i znaleźli małą dziurę przy nadgarstku, prawdopodobnie od strzykawki lub skalpela. W tym czasie zespół doktor Chen pracował nad nowym szczepem wirusa, próbując zwiększyć jego siłę działania i skuteczność. Ta nieszczelność w kombinezonie Jacksona wystarczyła, by wirus przeniknął do organizmu. Podpułkownik wrócił do domu, czując się świetnie, i spędził wieczór z rodziną. Zaraził wszystkich, nie wiedząc, że jest chodzącym niebezpieczeństwem.

– Chryste Panie – mruknął Hank Tomlinson.

– Zespół „Veritas” natychmiast zniszczył tę linię komórkową i wznowił prace nad poprzednim szczepem. Wzmocnili go i sprawdzili, jak szybko działa. Nigdy go

jednak nie udoskonalono. A potem prezydent zakończył ten program.

– Co się stało z Jacksonami? – zapytał Tomlinson.

Allaire popatrzył na Salitasa zaczerwienionymi oczami.

Sekretarz obrony podszedł do automatu z wodą i przyniósł dwa kubki. Allaire wypił jednym haustem i mógł kontynuować.

– Zostali poddani ścisłej kwarantannie. Leczą ich ogromnymi dawkami podawanych dożylnie leków przeciwwirusowych. Żaden jednak nie działał. Zmarli po zaledwie kilku dniach.

– Mój Boże. I z tym właśnie wirusem mieliśmy kontakt?

– Z tym lub z jego odmianą. Wszyscy byliśmy zdruzgotani tym, co się przydarzyło rodzinie Jacksonów, ale musieliśmy obok tej tragedii położyć na szali możliwość zakończenia wojny z terroryzmem.

– Zakończenia wojny z terroryzmem? Panie prezydencie, jak działa ten wirus? – zapytał szef policji.

– Celem tego drobnoustroju jest grupa tkanek w śródmózgowiu z podwzgórzem, korą przednią zakrętu obręczy, jądrem migdałowatym i układem limbicznym łącznie. Te struktury, zbudowane z istoty szarej, wpływają na wiele funkcji, ale łącznie kontrolują wolę: zdolność podejmowania świadomych decyzji, specyficzną dla ludzi zdolność kłamania. Gdy doktor Chen, profesor Columbia University, po raz pierwszy zwróciła moją uwagę na ten drobnoustrój, jej badania na zwierzętach wykazały, że koty zarażone tym wirusem pływały bez wytchnienia. Istoty całkowicie mięsożerne można było nauczyć jądania mieszanki warzyw i witamin, a śmiertelnych wrogów można było szybko nauczyć mieszkania w tej samej klatce.

– Więc? Odkąd to zajmujemy się pracami nad bronią biologiczną?

– Odkąd terroryści wbili się samolotami w budynki World Trade Centre – odparł Gary Salitas, wracając do stołu. – Od tego czasu. I nie nazwałbym WRX bronią. Ten kraj jest pokryty siecią komórek wroga, który nie przejawia specjalnej ochoty do ujawniania nam swoich planów.

– Sugerujecie, że ten wirus go do tego skłoni?

– Taki był pomysł – odparł Allaire. – W sytuacji gdy liberalna prasa stale bierze pod lupę nasze techniki przesłuchiwań, mamy bardzo ograniczone możliwości wydobywania informacji od tych... osobników. Pracowaliśmy nad tym wirusem i testowaliśmy go w nadziei, że skłonimy schwytanych terrorystów do ujawnienia ich wiedzy, nie uciekając się do bardziej surowych środków. I przez pewien czas wyglądało na to, że projekt „Veritas” zakończy się sukcesem.

– Ale nawet ten nowy szczep wirusa wciąż powodował działanie uboczne – dodał Salitas.

– O jakich działaniach ubocznych mówimy, panie prezydencie? – zapytała

spokojnym tonem Bethany Townsend.

– Wcześniej doktor Chan zapewniła mnie, że wyniki prób szczepu nowej odmiany są bardzo zachęcające – wyjaśnił Allaire. – Ale gdy czytałem jej raporty, było coraz wyraźniej widać, że z tym drobnoustrojem nadal są poważne problemy. Ciągłe mutował, nie było też postępu w kontrolowaniu jego przenoszenia na kolejnych żywicieli. W rzeczywistości te dane świadczyły o tym, że wysoka zaraźliwość wirusa stała się jeszcze wyższa.

– Wtedy więc zakończył pan ten program? – zapytał Tomlinson.

– Z perspektywy czasu żałuję, że tak się nie stało, Hank. Mimo tych komplikacji nadal wierzyliśmy, że WRX3883 to cudowna broń. Projekt „Veritas” nadal realizowano. Do czasu kradzieży.

– Kradzieży?

– Tak. Dziewięć miesięcy temu domniemany terrorysta pracujący w tym laboratorium wykradł pięć pojemników z wirusem. Tyle przynajmniej odzyskaliśmy ze skrytki w ścianie jego piwnicy, gdy go aresztowaliśmy. Niedługo potem ostatecznie nakazałem zakończyć projekt.

– Czy w tym laboratorium były zwierzęta doświadczalne? – zapytała Townsend.

– Owszem. Głównie ssaki z rzędu naczelnych. Takie wybrała doktor Chen. Przywiozła jednak do Kansas jeszcze jednego wirusologa... uczonego, który stanowczo sprzeciwiał się testom i eksperymentom na zwierzętach. Prowadził badania przy użyciu nowoczesnych modeli komputerowych wirusa i symulacji rozmaitych sposobów leczenia. Twierdził, że dzięki jego metodom można przewidzieć z dziewięćdziesięcioprocentową dokładnością charakter mutacji wirusa oraz skutek działania różnych leków przeciwwirusowych.

– Dziewięćdziesięcioprocentowa dokładność wydaje się założeniem trochę zbyt optymistycznym – zauważyła lekarka. – Zwłaszcza że jego metoda chyba nie sprawdziła się lepiej od metody Chen. Cóż więc nas tutaj czeka?

– O tym, na co jesteśmy narażeni i czego możemy się spodziewać, poinformuję was wszystkich za chwilę – odparł Allaire. – Jeśli jednak chodzi o czynnik zakażający, statystyki dotyczące jego penetracji nie są zachęcające. Bethany, wiem, że jesteś zła, ale naprawdę cię potrzebuję. Jeżeli się zgodzisz, uczynię cię osobą odpowiedzialną za przygotowanie strategii powstrzymywania infekcji. Centralę zespołu realizującego „Veritas” umieszczono w podziemnym obiekcie. Laboratorium miało czwarty stopień biobezpieczeństwa i poza kradzieżą, o której wam opowiedziałem, nigdy nie doszło w nim do żadnych incydentów. Gary przekaże ci namiary na byłego dyrektora. A tymczasem skontaktuj się z CDC⁵ i każdym, kogo potrzebujesz, i każ im sobie pomóc. Staraj się zachować pewną kontrolę nad tym, co komu mówisz. Będziemy potrzebowali całej masy skafandrów

ochronnych i bezpiecznego sposobu sprowadzenia tu żywności, leków i personelu medycznego.

Przez pół minuty Townsend po prostu siedziała nieruchomo. Potem, nieznośnie powoli, wstała i przeszła do centrum łączności, mówiąc:

– Jak pan sobie życzy, panie prezydencie.

– Jeśli chodzi o resztę z was – ciągnął Allaire – musicie być cierpliwi. I maksymalnie spokojni. Powierzyłem wam te informacje, ponieważ uważam, że sobie z nimi poradzicie, i dlatego że potrzebuję waszej pomocy. Nie możemy ryzykować wywołania zbiorowej paniki. Teraz pozostaje nam nadzieja, że opracujemy sposób na neutralizację tego wirusa i zatrzymanie go w Kapitolu. Całą energię i uwagę powinniśmy skupić na tym zadaniu. A co najważniejsze, musicie w pełni popierać mnie i moje decyzje. – Allaire odwrócił się do architekta. – Niebawem rozpęta się piekło, Jordanie. Ten gmach przez jakiś czas będzie naszym domem. Liczę na to, że uczynisz go jak najwygodniejszym dla wszystkich. Chociaż jest środek zimy, obawiam się, że sale wypełnione siedmiuset osobami szybko się ogrzeją, musimy więc chyba podkręcić klimatyzację.

– Tak, panie prezydencie.

– Gary, musisz mi pomóc w nawiązaniu dwóch połączeń telefonicznych.

– Tak, panie prezydencie.

– Najpierw połącz mnie z Paulem Rappaportem w Minnesocie.

– Nie ma problemu. A to drugie połączenie?

– Muszę porozmawiać z dyrektorem zakładu penitencjarnego we Florence w Kolorado.

Rozdział 10

DZIEŃ 2

12.15 CST⁶

Uderzenia pałki strażnika o drzwi celi wdarły się do koszmarnego snu Griffina Rhodesa, nie zdołały go jednak całkowicie odpędzić.

Tym razem powracający sen był szczególnie żywy, pełen intensywnych dźwięków i kolorów. oraz bólu, który niczym sztylet przeszywał mu oczy.

Ten straszny ból – potężne skurcze – czuł także w brzuchu, jakby dostał skrętu kiszek. Griff poczuł, że puszcza mu zwieracz odbytu, i wiedział, że trysnęła z niego krew.

„Wirus marburski! Mam... wirus marburski. Pozwólcie mi umrzeć! Błagam, pozwólcie mi umrzeć”.

Próbował wykrzyknąć te słowa, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk – czuł jedynie okropne skurcze.

Griff walił bezlitośnie o ścianę przy głowie.

– Doktorze Rhodes. Słyszysz mnie pan? Doktorze Rhodes?

Głos we śnie należał do kobiety – kenijskiej lekarki o imieniu Marielle – doktor Marielle. Okazała mu niewiarygodną życzliwość.

Ile czasu upłynęło? Ile dni? Ile tygodni?

Kolejne uderzenia o stalowe drzwi celi. Strażnicy uwielbiali go dręczyć w ten sposób.

Stał teraz przed lustrem wsparty o brzeg zardzewiałej umywalki, wpatrując się w coraz rozleglejsze sińce na twarzy i w swoje oczy. To dzieło wirusa Marburg. Świadczyły o tym krwistoczerwone twardówki. Bał się zakażenia od dnia, w którym rozpoczęła się jego fascynacja zabójczymi wirusami. Teraz to się działo. Marburg – najprawdopodobniej odmiana eboli. Gorączka krwotoczna. Pocienie się. Niewyobrażalne bóle w mięśniach. Krew tryskająca z nosa i przewodu pokarmowego. Krew w ścięgnach i skórze. Krew w mózgu.

Wskaźnik umieralności osiemdziesiąt procent.

Krew.

Przez wiele lat bał się tego spotkania, czekał na ten lub podobny atak. Przez wiele lat spodziewał się, że nadejdzie moment, gdy zastosowane środki ostrożności nie wystarczą, gdy życie na krawędzi okaże się fatalne w skutkach – gdy z łowcy przeobrazi się w ofiarę.

W końcu z powodu idiotycznego błędu w obliczeniach, popełnionego przed grotą w dżungli niedaleko Kisimu na wschodnim brzegu Jeziora Wiktorii, miał umrzeć, i to umrzeć w bólu i cierpieniach. Najlepszym, na co mógł liczyć przed śmiercią, było szczelne zamknięcie jaskini i wprowadzenie środków biobezpieczeństwa czwartego stopnia we wszystkich okolicznych szpitalach... o ile przeżyłby wystarczająco długo, by do tego doprowadzić.

Niszczące skurcze się nasiliły. Teraz stał na czworakach na jakimś polu. Krew ściekała z jego nozdrzy, spadając na spaloną ziemię gęstymi, gniewnymi kroplami. W oddali widział bryłę swojego laboratorium, rozległy monolit z pustaków, wycinający szeroki prostokąt z lazurowego afrykańskiego nieba.

Nad jego głową krążyły sępy wielkości samolotu. Jeden z nich opadał lotem ślizgowym, po czym wylądował niezgrabnie i zbliżał się do niego kaczym chodem, zdecydowany rozdziobać jego ciało.

„Jeszcze nie teraz, psiakrew! Jeszcze nie teraz!”

I znowu jego oczy zaczęły pulsować. Griff zawsze się zastanawiał, jakie uczucie będzie towarzyszyło zakażeniu wirusem Ebola. Teraz wiedział. W swojej wyobraźni nie docenił tego wirusa. Modlitwa o śmierć była chyba najlepszym rozwiązaniem.

– Doktorze Rhodes. doktorze Rhodes, słyszy mnie pan?... To ja, doktor Marielle... Przysięgam, że otworzył oczy... Widzieliście to?

Walenie w stalowe drzwi rozległo się na nowo, rozbrzmiewając w zbudowanym z pustaków piekle jego pojedynczej celi.

Co było gorsze – ten senny koszmar czy rzeczywistość?

Do sępa dołączył jeszcze jeden, a potem kolejny – olbrzymie czarne cienie o płonących oczach, opadające, by go rozszarpać. Każde dziobnięcie wywoływało ból – ból i kolejne krwawienie. Griff rzucał się na pryczy i usiłował je odegnąć.

„Pomóżcie!... Pomóżcie mi!”

Sępy były teraz bezlitosne, odrywały wielkie kawałki jego ciała, próbując go obudzić.

Leżąc twarzą do przesiąkniętej krwią ziemi, Griff nadal młócił rękami powietrze w obronie przed olbrzymimi ptakami.

Nagły szcęk drzwi celi sprawił, że wyrwał się ze szponów koszmaru. Ponure obrazy zatarły się niechętnie.

– Rhodes. Rhodes. Ej, dupku, obudź się!

Donald Spinelli, zwalisty strażnik o opadających powiekach, stał w drugim końcu pomieszczenia przy pozbawionej deski muszli klozetowej, uderzając niecierpliwie pałką o udo.

Griff potarł oczy, odwrócił się od gołej ściany i zerknął na mężczyznę. Potem obrócił się na bok, znowu twarzą do muru z pustaków, zupełnie wyczerpany. Koszmary będące reminiscencją z czasów walki z wirusem nie nawiedzały go co noc, ale nawet po dziesięciu latach pojawiały się dość często i były równie żywe i nieubłagane jak zawsze.

Strażnik stanął obok pryczy Griffa i uderzył go mocno w podeszwę bosej stopy. Nie chcąc dawać brutalowi satysfakcji, Griff zacisnął z bólu zęby i chwycił się za gęstą brodę. Miał doświadczenie w radzeniu sobie z bólem. Trzeba było czegoś więcej niż uderzenia w stopę, żeby zmusić go do krzyku. Znacznie więcej. Przez prawie dziesięć miesięcy zamknięcia w izolacji wszyscy strażnicy więzienni odnosili się do niego mniej lub bardziej obelżywie. Ale Spinelli był najgorszy. Griff w żadnym razie nie dałby satysfakcji temu sadyście. Nie warto było jednak go prowokować.

– Czego chcesz?

– Ubierz się odświętnie, Rhodes. Wychodzisz.

– Co?!

– To, co powiedziałem. Wychodzisz stąd.

– Dziewięć miesięcy w tej celi z godziną samotnego spaceru na dziedzińcu dziennie i nagle, tak po prostu, wychodzę? To twój pomysł na zabawny żart?

– Żałuję, ale nie. To prawda. Informacja prosto od dyrektora.

– Co jest grane?

– Nie mam pojęcia. Może gdy tam się znajdziesz... – strażnik wskazał małe zakratowane okno wychodzące na spacerniak – zapytasz tych gości w helikopterze?

Rozdział 11

DZIEŃ 2 1.20 EST

Senator Harlan Mackey dość się już naoglądał. Strach i chaos wybuchały wokół niego niczym wulkan. Rzucających się do wyjść ludzi zawracano siłą. A gdzie się podział przywódca Ameryki? Wyszedł. Zniknął w jakimś pomieszczeniu na zapleczu ze swoim skandalicznie nieudolnym gabinetem. Wyglądał przy tym niczym nowe wcielenie „Bossa” Tweeda⁷.

Senator z Kentucky odpowiedzialny za dyscyplinę w partii mającej większość w Izbie nie zamierzał tolerować nieudolności Allaire’a ani sekundy dłużej. Dobrze znane motto Mackeya – „Wykluczone, w żadnym razie!” – stosowało się do tego kryzysu tak samo jak do każdego aktu legislacyjnego, który starał się utracić. I jak Allaire śmiał naruszyć świętość Izby Reprezentantów – strzelał z broni palnej, jakby był Wyattem Earpem przejmującym władzę nad miastem bezprawia na Dzikim Zachodzie. Ludzie byli chorzy, a z tego, co widział, ich stan tylko się pogarszał. Jim Allaire nie był im potrzebny. Potrzebowali opieki medycznej.

Mackey mógł przynajmniej dziękować losowi, że nauczyciel matematyki nie zgodził się na zmianę daty egzaminu jego syna. Wskutek nieugiętości tego człowieka Jacka i jego matkę ominęła pielgrzymka do Waszyngtonu na orędzie o stanie państwa. Szczęściarze.

Wiele osób zaczęło niechętnie wracać na swoje miejsca, chociaż liczna grupa wciąż kręciła się w przejściach i przepychała w stronę drzwi, żądając coraz bardziej natarczywie, żeby ich wypuszczono. Mackey zastanawiał się, kiedy coś – coś poważnego – stanie się komuś za sprawą jednego z policyjnych zbirów Allaire’a.

No i z czym dokładnie mieli kontakt? Czy Genesis rzeczywiście jest odpowiedzialne za atak? Czy wirus faktycznie stanowi zagrożenie uzasadniające przetrzymywanie członków Kongresu i tylu innych osób jako zakładników? Jeżeli tak, dlaczego po prostu nie obejmą kaszlących kwarantanną, a całej reszcie nie pozwolą wyjść? Najbliższy obłok dymu znajdował się daleko od miejsca, w którym

siedział, i nie poczuł jeszcze żadnych symptomów zakażenia. Bóg świadkiem, że co najmniej jedna trzecia Izby miała teraz ten suchy kaszel. Gdyby to on tu rządził, postąpiłby właśnie tak: odseparował chorych od zdrowych.

Cholerny Allaire.

Czy ten człowiek myśli, że ma do czynienia z samymi idiotami? Pewnie tak. Arogancja Allaire'a przekraczała wszelkie granice. Cóż, jeżeli myśli, że Harlan Mackey będzie posłusznym żołnierzem i pozostanie w potencjalnie śmiertelnej pułapce, to zdecydowanie nie docenia jego determinacji.

Tłum nadal kłębił się wokół Mackeya, który właśnie postanowił, że ucieknie od tego koszmaru.

– Senatorze Mackey! Senatorze Mackey!

Ludzie wciąż gromadzący się w środkowym przejściu, krzyczący na strażników, kaszlący i płaczący, utrudniali Mackeyowi dostrzeżenie Frosta Keatona, młodego asystenta z jego biura, który machał rękami i wykrzykiwał jego nazwisko. Biedny Frost. Za przykładowe wyniki w pracy Mackey nagroził go bardzo pożądanym biletem na uroczystość wygłoszenia orędzia. Keaton przecisnął się przez tłum i jak zwykle wydawał się bardziej niepokoić o swojego szefa niż o siebie. Głupi dzieciak.

– Co się dzieje, senatorze? – zapytał Keaton. – Czy to prawda, że kryje się za tym Genesis?

– Nie wiem, chłopcze. Podobnie jak ty czekam na powrót prezydenta. Jestem pewien, że niebawem wszyscy się czegoś dowiemy.

– Cóż, wpadłem na parę nowych pomysłów do naszej ustawy o drogach. Chyba po prostu popracuję nad nimi, póki czekamy.

Mackey poczuł przez chwilę wyrzuty sumienia wobec dwudziestodwuletniego absolwenta uniwersytetu dysponującego niewyczerpanymi zasobami energii i optymizmu.

– Niepokoi się pan? – zapytał Keaton.

– Ja? Nie, mój chłopcze. To wszystko to zdecydowanie za mało, by zaniepokoić starego farmera.

Mackeyowi przemknęło przez myśl, że zabierze Keatona z sobą. Ale dokładnie w tym momencie chłopak kaszlnął.

Czy teraz kaszle więcej osób? – zastanawiał się senator. Skoro tak, to będzie musiał działać jeszcze szybciej.

– Słuchaj, chłopcze, zostaniesz tutaj. Mam zamiar sprawdzić, co tu jest grane. Dam ci znać, czego się dowiedziałem. Na razie nie ruszaj się stąd i czekaj, aż wrócę.

– Dziękuję, panie senatorze – bąknął Keaton.

Mackey jako jeden z dziesięciu zasiadał w kapitolńskiej Radzie Budżetowej. Komisja zajmowała się wszystkim, od zasobów ludzkich dla licznego sztabu operacyjnego Kapitolu po rutynowe sprawy konserwacji obiektów. Niewiele osób znało wszystkie tajemnice kompleksu budynków w Kapitolu. Dzięki tej komisji Mackey wiedział o nich prawie wszystko. Znał każde wejście i, co najważniejsze, każde wyjście. Przynajmniej teraz jałowe godziny spędzone na targach w tej okropnej komisji mogły okazać się warte zachodu.

Przewodnicząca Izby Ursula Ellis opuściła swoje miejsce i wędrowała po części sali zajmowanej przez członków partii. Ellis była niesamowicie kompetentną kobietą i jeszcze jeden miesiąc, a mogłaby wygrać wybory. Senator miał nadzieję, że teraz mobilizowała ludzi do wystąpienia przeciwko Allaire'owi niezależnie od stanowiska, jakie zajął.

Nikt nie stał koło podium, a ludzie przesuwali się tłumnie w przeciwnym kierunku. Doskonale.

Mackey przeszedł obok mównicy aż do pewnego miejsca w korytarzu sześć metrów dalej. Kłapa pod dywanem była prawie niewidoczna. Zainstalowano ją, żeby umożliwić dotarcie na niższy poziom, gdzie mieścił się mechanizm windy, która zapewniała dostęp do trybuny osobom na wózku inwalidzkim.

Nikt nie zauważył senatora, gdy ten szybko zszedł po schodach i zamknął za sobą kłapę. Ogarnęła go niemal zupełna ciemność. Znalazł przełącznik na ścianie i zlokalizował niski, wilgotny tunel, słabo oświetlony rzędem nagich lamp przymocowanych do ścian. Biegł od podstawy windy w kierunku wschód – zachód. Mackey poszedł nim do miejsca, w którym, jak wiedział, tunel rozdzielał się na dwa korytarze.

Dłuższy z nich, wyłożony kafelkami, lepiej oświetlony i czystszy, kończył się dalej schodami prowadzącymi na korytarz łączący biurowiec Rayburna z Kapitołem. Solidne drewniane drzwi otwierały się tylko z tamtej strony. Mackey podejrzewał, że tunel prowadzący do Rayburn House będzie strzeżony przy wejściu, ponieważ wiele osób pracujących w Kongresie korzystało z niego, żeby ominąć kolejki do stanowisk ochrony w centrum informacyjnym dla zwiedzających. Plan senatora zawiódł go do mroczniejszego tunelu po lewej.

Poruszając się dość wolno, po pięciu minutach doszedł do nieoznaczonego wyjścia, które znajdowało się zaledwie sto metrów od wejścia do Kapitolu od strony Pierwszej Ulicy. Architekt Kapitolu Jordan Lamar w pewnym momencie zażyczył sobie funduszy na modernizację tego tunelu i drzwi, lecz komisja Mackeya odłożyła dyskusję nad tym wnioskiem i nigdy do niej nie wróciła.

Sędziwy senator z Kentucky ostrożnie pchnął drzwi. Noc była bezchmurna, a powietrze zimne, lecz nawet bez płaszcza dało się znieść to zimno. Pójdzie

szybko Delaware Avenue do pierwszej lub drugiej przecznicy i stamtąd pojedzie taksówką do swojego mieszkania w Georgetown. Potem zaś należy sobie szklaneczkę bourbona i w telewizji obejrzeć Allaire'a w kłopotliwej sytuacji.

Pozwolił, by drzwi powoli zamknęły się za nim. W nieruchomym powietrzu rozległ się trzask stalowego zamka. Senator zawahał się, po czym zrobił dwa niepewne kroki w ocienionej niszy. Nic się nie stało.

Gdyby się odwrócił i spojrział w okno biegnące piętro wyżej wzdłuż korytarza prowadzącego do Rayburn House, zobaczyłby w mroku jakąś sylwetkę. Ale on patrzył przed siebie.

Następne dwa kroki.

Nadal dobrze.

I nagle, z drugiej strony Constitution Avenue, padł na jego twarz potężny snop punktowego światła.

– Odwróć się i natychmiast wejdź do budynku! – zawołał wzmocniony przez megafon głos. – Drugi raz nie będziemy o to prosić.

Mrużąc oczy przed silnym blaskiem, Mackey sięgnął za siebie. Wiedział jednak, że ciężkie drzwi są zamknięte. Odwrócił się i zrobił krok w stronę światła, zasłaniając rękami oczy.

– Zaczekajcie! – krzyknął. – To ja, senator Harlan Mackey z Ken...

W tej samej chwili otrzymał cios w środek czoła – a przynajmniej przez ułamek sekundy miał takie wrażenie. Potem poczuł piekący ból. Z otchłani nocy dotarł do niego huk wystrzału. Niemal w tym samym momencie senator pofrunął do tyłu, uderzając potylicą w metalowe drzwi. Zanim ugięły się pod nim kolana, w sensie neurologicznym już nie żył, choć jego serce nadal biło, kiedy osuwał się na lodowaty chodnik.

Gdy zbliżająca się do niego trójka żołnierzy zatrzymała się w odległości trzydziestu metrów, senator Harlan Mackey był martwy praktycznie pod każdym względem.

Jeden z żołnierzy skierował ku niemu dyszę przenośnego miotacza ognia M2A1-7.

– Wiem, że nie powinniśmy kwestionować rozkazów – rzekł do stojącego obok snajpera – ale mam wielką nadzieję, że ci ludzie mają naprawdę dobrze uzasadniony powód, by robić to, co robią.

Nie czekając na odpowiedź, poprawił okulary ochronne i nacisnął spust. Długa jaskrawa włócznia z płonącego napalmu przecięła ciemności w drodze do nieruchomego ciała człowieka, którego właśnie zastrzelili. Okrywające je ubranie zniknęło natychmiast, a skóra pokryła się bąblami, a potem zwęgliła. Odór palącego się ciała zmieszał się z silną wonią napalmu. Przez pięć, dziesięć,

piętnaście sekund strumień substancji zapalającej opadał na czerniejące zwłoki.

Ciało ich ofiary obróciło się w popiół. Trzeci żołnierz, noszący maskę przeciwgazową, podszedł do tłącej się jeszcze sterty i odczekał, aż wystarczająco ostygnie. Potem zmiotł resztki senatora metalową szczotką na zwężającą się szufelkę i wrzucił je do pojemnika na odpady biologiczne. Kolejny zespół miał przybyć niebawem, żeby zakończyć utylizację.

Nie oglądając się za siebie, trzej żołnierze cofnęli się i zajęli wyjściowe pozycje. Po niespełna trzech minutach przyjechał pojazd utylizacyjny i wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

*

Leland Gladstone, prawa ręka Ursuli Ellis, nie był dłużej w stanie powstrzymać wzbierających mdłości. Odwrócił się gwałtownie, osunął na betonową posadzkę i na czworakach zwymiotował. Mieszkał na przedmieściach, był absolwentem prywatnych szkół, posiadaczem dyplomu Yale i nigdy nie widział trupa, a tym bardziej nie był świadkiem mordowania człowieka w tak przerażający sposób.

Ursula wiedziała, że szykuje się coś ważnego. Zauważyła, jak Harlan Mackey znika za podium przewodniczącego.

– Masz jeszcze swój blackberry, drogi Lelandzie, czy odebrały ci go roboty Allaire’a? – zapytała.

– Nadal go mam.

Gladstone pomacał się po plecach, gdzie ukrył aparat pod koszulą i unieruchomił go paskiem od spodni.

– Można na nim nagrywać filmy?

– Można. Lepszej jakości niż na większości kamer wideo.

– Śledź Mackeya. Zobacz, dokąd idzie. Nie wiem, co Allaire rozumiał przez wyjątkowe kroki, a O’Neil nie przekazał mi żadnych przydatnych informacji. Powiedział tylko, że za tym atakiem mogą się kryć Rosjanie lub Chińczycy i że przygotowują nas na dłuższy pobyt. To, z czym mieliśmy kontakt, jest przypuszczalnie jakimś wirusem grypy. Nie zabójczym, ale prawdopodobnie bardzo zaraźliwym.

– To mi wygląda na przydatną informację – zauważył Gladstone.

– Być może. Ale O’Neil nie był na odprawie do końca i intuicja podpowiada mi, że Allaire więcej ukrywa, niż ujawnia.

Gladstone znał tunele w Kapitolu niemal równie dobrze jak Mackey, postanowił więc pójść korytarzem biegnącym powyżej tego, który wybrał senator. Mackey

mógł zmierzać tylko w jedno miejsce. Gladstone uklęknął z aparatem w rękę przy parapecie okiennym i obserwował, jak piętro niżej otwierają się ciężkie metalowe drzwi. Śmierć znanego, wybitnego polityka, spalenie i usunięcie resztek jego ciała nastąpiły tak szybko i sprawnie, że rejestrując te zdarzenia, ledwie zakodował je w swojej pamięci.

Teraz odsunął się chwiejnie od własnych wymiocin i wstał, opierając się o ścianę. Żołnierze zamordowali Harlana Mackeya, niemal na pewno na mocy rozkazu prezydenta.

Gladstone zastanawiał się, czy Ellis wiedziała, że jej kolega i lojalny stronnik w kampanii wyborczej jest w niebezpieczeństwie. Czy poświęciła go, żeby zaspokoić własną ciekawość co do prawdziwych zamiarów Allaire'a? Bez względu na to, jak było, nakręcony przez niego film stanowił najlepsze uzasadnienie dalszej wierności i wsparcia dla Ellis. A przewodnicząca Izby Reprezentantów z pewnością będzie wiedziała, co zrobić z tymi nowymi informacjami... i z filmem.

Rozdział 12

DZIEŃ 2

12.45 CST

– Rusz tyłek, Rhodes!

Gdy Griff wyszedł na ubitą ziemię spacerniaka więzienia federalnego we Florence, strażnik Donald Spinelli zmusił go do marszu jednym celnym dźgnięciem pałki w krzyż. Griff potknął się, ale gwałtowne podmuchy powietrza porywanego przez wirujące łopaty helikoptera pomogły mu utrzymać równowagę. Wpadający do oczu pył kłuł niczym metalowe opiłki.

Odkąd Griff po raz ostatni miał na sobie swoje ulubione niebieskie dżinsy, zrobiły się tak luźne, że niemal zsuwały mu się z bioder. Wywołany ruchem łopat wiatr sprawiał, że kowbojska koszula z flaneli w szkocką kratę przylegała do jego kiedyś żylastego, a teraz chudego niczym szkielet ciała.

Dwusilnikowy helikopter oderwał się od ziemi i po chwili znowu opadł na spacerniak. Griff zrozumiał, że pilot się spieszy i nie ma zamiaru wyłączyć wirników. W czasach swoich afrykańskich polowań na wirusy wynajmował niekiedy helikoptery, ale były to zdezelowane maszyny, przystosowane raczej do spadania niż do latania. Ten statek powietrzny przypominał mu jednak swoim ciemnym kadłubem i białym dachem prezydencki Marine One z obudowami silników ozdobionymi amerykańską flagą.

Na ogonie helikoptera widniał biały napis UNITED STATES MARINE CORPS. Gdy Griff uświadomił sobie, że jego zwolnienie z więzienia zwanego Alcatraz Gór Skalistych może być akcją zorganizowaną przez wojsko, dostał skurczu żołądka. Odkąd stał się celem innej operacji wojskowej, minęło niewiele ponad dziesięć miesięcy – to wtedy spędził ostatnie chwile na wolności.

Tyle zmian.

Jego splełtana, przyprószona siwizną czarna broda natychmiast pokryła się cienką warstwą pyłu z więziennego dziedzińca. Zastanawiał się, czy oprócz mrocznych wspomnień dziewięciu miesięcy odosobnienia ów pył będzie wszystkim, co

wywiezie z sobą z Florence. Z pewnością. Bez względu na to, co miała przynieść przyszłość, nie zamierzał tu wrócić. Dziewięć miesięcy wycięte z życia, które opierało się na czynieniu tego, co słuszne, i godzeniu się z konsekwencjami własnych decyzji, takimi jak zarażenie ebolą. Dziewięć miesięcy, gdy nie miał kontaktu z żadnymi ludźmi, oprócz strażników, którzy uparcie zadawali mu ból. Dziewięć miesięcy dezorientacji co do przyczyny uwięzienia i tego, co przyniesie przyszłość. Dziewięć miesięcy, podczas których jedyną wskazówką, jaką otrzymał w tym względzie, była etykieta „terrorysty”.

Ledwie wsiadł do helikoptera, poczuł, że maszyna odrywa się od ziemi. Żołnierz w porządnie wyprasowanym moro wręczył mu czarny jak smoła hełm lotniczy, po czym wskazał twardy fotel. Griff zapiął pasy i po raz ostatni spojrział przez owalne okno na Florence, wzdragając się na widok wież strażniczych i betonowego bloku okolonego drutem kolczastym, teraz szybko ginących z pola widzenia. Ciekawe, czy ktoś obserwujący ich z wewnątrz, oprócz dyrektora i kilku strażników, w ogóle znał jego nazwisko.

Terrorysta.

Wbudowane w hełm radio pozwalało Griffowi słyszeć głos siedzącego naprzeciwko żołnierza mimo ryku silników.

– Doktorze Rhodes, nazywam się Timothy Lewis, jestem kapitanem piechoty morskiej. Zgodnie z rozkazem prezydenta Stanów Zjednoczonych mam zaszczyt powitać pana na pokładzie helikoptera VH-60N.

– Niech pan powie prezydentowi, że nic, co robi, nie skłoni mnie do głosowania na niego.

Kapitan się uśmiechnął.

– Myślę, że będzie pan miał okazję zrobić to osobiście, doktorze.

– Właściwie to gdy o tym myślę, uświadamiam sobie, że w ogóle nie miałem okazji głosować. Nie wiem nawet tak naprawdę, kto wygrał wybory.

– Przykro mi, panie doktorze. Prezydent Allaire znowu wygrał z dość dużą przewagą.

Allaire.

Griff spojrział w ciemność za oknem. Ze wszystkich absurdalnych zdarzeń, które mu się przytrafiły, to nagłe wypuszczenie z pojedynczej celi w ściśle strzeżonym więzieniu federalnym było pewnie najdziwniejsze. Teraz jednak informacja, że znalazł się tu na rozkaz prezydenta, przebiła je wszystkie.

– Dzięki za tę wiadomość – odparł. – Wiadomo panu, dlaczego po mnie posłał?

– Panie doktorze, prezydent będzie się z panem łączył o dwudziestej zero zero czasu wschodnioamerykańskiego. Mam rozkaz przewieźć pana do bazy wojsk powietrznych w Tinker w Oklahomie. Stamtąd samolot zabierze pana do

Waszyngtonu.

– Do Waszyngtonu? Po co?

– To już wyjaśni panu prezydent. Na razie niech pan się po prostu odpręży i przyjemnie spędzi lot. Na pokładzie mamy przekąski, gdyby miał pan ochotę.

– A świeże owoce?

– Też, panie doktorze.

– A babeczki Hostess?

– Oczywiście.

– Poproszę jedno i drugie oraz wodę mineralną.

– Załatwione.

Żołnierz wręczył Griffowi wyjętą z lodówki butelkę dasani.

– Oraz butterfingera lub heatha, jeśli je macie – dodał doktor. – Po dwa batony.

O dziwo, kapitan zrealizował zamówienie, z babeczkami włącznie.

– Przyjemnej podróży, panie doktorze – rzekł, kładąc Griffowi na kolanach tekturową tacę.

Przyjemnej podróży.

Dokładnie takie same słowa wypowiedział inny żołnierz przed dziewięcioma miesiącami, tuż po tym, jak brutalnie kopnął Griffa w zębra, a następnie założył mu ciężkie kajdanki z łańcuchem.

Przyjemnej podróży.

Był cichy niedzielny wieczór, gdy drzwi do domu Griffa w Kalveście otworzyły się z trzaskiem. Jak zwykle siedział przy komputerze, studiując dane. Tak naprawdę, jeśli nie liczyć rzadkich okazji, gdy grał w brydża lub szachy w sieci, zawsze studiował dane. Jego badania koncentrowały się na eksperymentalnych modyfikacjach mRNA – matrycowego kwasu rybonukleinowego – wirusów. Zasadniczym celem jego prac było zmuszenie określonego wirusa do włączenia obcej sekwencji nukleotydów podczas replikacji. W rezultacie miały powstać drobnoustroje niezdolne do dalszej reprodukcji.

Dane te, oparte na modelu, który zaczął opracowywać wiele lat wcześniej w Afryce, ostatnio wyglądały naprawdę obiecująco. To najlepsze: cała jego praca dokonywała się z użyciem obrazów generowanych komputerowo i nowoczesnego przetwarzania danych. Żadnych żywych obiektów badań. Griff od dawna sobie to obiecywał. Żadnych zwierząt. Czuł, że powoli, krok po kroku zbliża się do wynalezienia potencjalnie rewolucyjnej terapii antywirusowej.

Równocześnie z rozwaleniem drzwi jego domu odcięto dopływ prądu. W całkowitych ciemnościach słyszał, jak roztrzaskują się szyby w oknach. Nagle snopy światła latarek wycięły z mroku pasy biegnące we wszystkich kierunkach, gdy żołnierze, żandarmi wojskowi i członkowie SWAT, z bronią w rękach

i w maskach przeciwgazowych, zaroili się w środku niczym mrówki na kupce cukru. Tyle było krzyku, że Griff niewiele mógł zrozumieć z tego, co mówiono. Zrozumiał dopiero wtedy, gdy zaatakowali go żołnierze.

– Padnij! Padnij, do kurwy nędzy! Twarzą do ziemi, już!

Wycelowali w niego broń. Trzej żołnierze zmusili go, by położył się na brzuchu. But przytknięty mocno do karku Griffa przycisnął jego twarz do dębowej podłogi. Wtedy właśnie otrzymał pierwsze z wielu kopnięć – tym razem w bok. Gdy powietrze w pośpiechu uciekało z płuc, miał wrażenie, że w jego ciele obluzowały się organy.

– Gdzie to jest? – zapytał jeden z napastników.

– Gdzie co jest? – wykrztusił Griff.

Kolejne kopnięcie. Tym razem mocniejsze. Czubek buta wbił się mu między żebra. Poczul eksplozję bólu i nie mógł złapać tchu.

– Przewróćcie wszystko do góry nogami!

Światła znowu zapłonęły. Dwaj ludzie zmusili Griffa do leżenia twarzą do ziemi. Wokół słyszał odgłosy destrukcji – tłuczenia szkła, rozdierania tkanin, rozbijania przedmiotów. Co jakiś czas żołnierz brutalnie unosił mu głowę za włosy i żądał informacji, gdzie „to” jest.

– Nie wiem, o czym mówicie!

Wtedy znowu go kopali. Zawsze w to samo miejsce, żeby jak najbardziej bolało.

Ciągnęło się to w nieskończoność, po czym jakaś kobieta zawołała z małej, częściowo wykończonej piwnicy jego domu:

– Znalazłam! Kapitanie, znalazłam!

Griff usłyszał szybkie kroki na schodach piwnicy. Ktoś chwycił go i poderwał do góry za koszulę. Wtedy ujrzał drobną brunetkę w żołnierskim mundurze trzymającą zielony cylindryczny pojemnik oklejony ostrzeżeniami przed zagrożeniem biologicznym.

To niemożliwe!

Dobrze znał ten metalowy pojemnik. WRX3883. Pochodził on ze strefy ochrony na poziomie czwartym, gdzie Griff pracował w laboratorium – z najlepiej strzeżonego obszaru w ich systemie. Przyglądał mu się przez chwilę, nie chcąc uwierzyć, że właśnie wydobyto go z piwnicy jego domu. Jeżeli pojemnik zawierał wirus ze strefy czwartego stopnia bezpieczeństwa, wciąż rozwijający się w kulturze tkankowej, to zawierał też śmierć – potworną, powolną, nieubłaganą śmierć.

– Ile ich znaleźliście? – warknął najwyższy rangą oficer.

– W sumie pięć pojemników, panie kapitanie – odparła brunetka. – Były w pakamerze, ukryte za boazerią w piwnicy.

– Zamknijcie go – rozkazał kapitan.

Dwaj żołnierze stojący za Griffem postawili go i skrępowali mu ręce na plecach. Dowódca zrobił krok i nie raz, lecz dwa razy mocno uderzył Griffa w brzuch. Pokój zawirował.

Trzymający doktora żołnierze musieli go teraz również wesprzeć. Na dodatek krzyczeli na niego bezustannie; chcieli się dowiedzieć, czy znaleźli już wszystkie pojemniki.

– Było ich więcej?

– Sylvia Chen... moja szefowa... porozmawiajcie z nią. Nie zabrałem tych pojemników. Znajdźcie Sylwię... ona za mnie poręczy. Jestem tylko badaczem, ja...

Kolejny potężny cios w brzuch przerwał mu w pół słowa. Griff opadł na kolana, zbierało mu się na wymioty. Żołnierze otoczyli go i wywlekli z domu na rześkie nocne powietrze. I znowu brutalnie skrępowali mu ręce na plecach. Krzyknął z bólu. Kajdanki wciąły mu się w skórę na nadgarstkach.

– Są za ciasne – powiedział.

– Kiepska sprawa – odparł żołnierz.

Wepchnęli go do hummera w barwach ochronnych i usiedli z obu stron.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Do więzienia. Przyjemnej podróży.

Dziewięć miesięcy bez odpowiedzi, bez wyjaśnień. Dziewięć miesięcy izolacji, brudu i znęcania się. Dziewięć miesięcy pompek na betonowej posadzce i ćwiczenia jogi w brudnym kącie celi. Teraz, nagle, otwarte drzwi, ostatnia seria ciosów wymierzonych przez jednego ze strażników i lot helikopterem na zaproszenie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mógłby być w szampańskim nastroju. Chyba powinien.

Ale nie był.

Zamiast szampańskiego nastroju miał przeczucie, że być może przeszedł z jednego kręgu piekła do następnego.

– Panie doktorze, mam połączenie satelitarne z prezydentem Allaire'em – poinformował kapitan Lewis. – Chce z panem porozmawiać.

Oficer podał mu telefon satelitarny w nieporęcznej obudowie ze stali nierdzewnej. Żeby rozmawiać, Griff musiał zdjąć hełm. Miarowy odgłos obracających się wirników utrudniał rozmowę, ale jej nie uniemożliwił.

– Doktor Griffin Rhodes? Mówi prezydent Jim Allaire – powiedział głos słyszalny mimo zakłóceń.

– Witam, panie prezydencie.

Griff wiedział wszystko o zaangażowaniu Allaire'a w projekt „Veritas”, lecz tylko Sylvia Chen i kilku jej zwierzchników mieli bezpośredni kontakt z tym człowiekiem. Griff podejrzewał, że wkrótce pożałuje, iż dołączył do grona tych,

którzy dostąpili tego zaszczytu.

– Doktorze Rhodes, doszło do masowego kontaktu z WRX3883 – rzekł Allaire.

Griff zacisnął szczęki. Kapitan Lewis najwyraźniej wyczuł napięcie i odwrócił się do okna. Pewnie uznał, iż złe wieści mogą poczekać.

– Gdzie? Jak poważnego w skutkach?

– Mamy powody sądzić, że za tym atakiem stoi Genesis.

– Kto?

Prezydent się zawahał.

– Nie wie pan o Genesis?

– Cóż, przez ostatnie dziewięć miesięcy nie miałem zbyt wielu okazji do czytania.

– Rozumiem. Mogę to panu później wyjaśnić.

– Gdzie doszło do tego kontaktu?

– Podczas mojego orędzia o stanie państwa.

– Słucham?

– Nie przesłyszał się pan. W sali obrad Izby Reprezentantów. Piętnaście osobnych źródeł wirusa w różnych punktach.

– Jak się wydostał?

– Z eksplodujących szklanych cylindrów. Pojemniki zostały jakoś podłożone do torebek i teczek, a potem zdetonowane, prawdopodobnie za pomocą nadajnika radiowego.

– Zamknęliście budynek?

– Tak.

– Szczelnie?

– Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Zarówno sala obrad, jak i budynek zostały szczelnie zamknięte. Poza tym w odległości pięćdziesięciu metrów od Kapitolu wytyczono nieprzekraczalną granicę. Jeden człowiek... senator z Kentucky... próbował wymknąć się rzadko używanym wyjściem. Został zlikwidowany przez snajpera, a jego ciało spalono.

Griff głęboko westchnął. Przynajmniej tyle zrobili.

– Miał pan bezpośredni kontakt z wirusem, panie prezydencie?

– Minęło pięć godzin. Wszyscy mieliśmy... lub będziemy mieli.

– Zatwierdził pan projekt „Veritas”. Wie pan o postępującej degradacji umysłowej zarażonych?

– Wiem. Między innymi dlatego w końcu zawiesiłem badania i zamknąłem laboratorium.

– Kiedy?

– Osiem lub dziewięć miesięcy temu.

Griff poczuł, że robi mu się słabo. Ostrzegwał Sylwię Chen, że projekt jest zbyt niebezpieczny, a wirus zbyt łatwo ulega mutacjom. Ostrzegwał wszystkich.

– Wie pan, że nie potrafimy tego leczyć – powiedział.

– Właśnie dlatego ściągam pana do Waszyngtonu, doktorze. Musi pan znaleźć jakiś sposób.

Griff szanował Allaire'a za orientację w biologii i fizjologii. Według Sylvii Chen prezydent nie tylko czytał przydługie raporty naukowe Griffa, ale również je rozumiał. Allaire musiał być świadom, jak niewielkiego postępu dokonał w poszukiwaniach leku na WRX3883, co znaczyło, że wiedział też, iż oczekuje rzeczy niemożliwej.

– Panie prezydencie, zanim przejdziemy dalej, muszę coś wiedzieć.

– Słucham.

– Czy to pan zezwolił na moje aresztowanie?

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Mieliśmy dowody – odparł prezydent. – Niepodważalny film ochrony ukazujący, jak kradnie pan pojemniki z wirusem, nad którym pan pracował. Na mocy Patriot Act był pan terrorystą. Co by pan zrobił na moim miejscu?

– Nie jestem terrorystą i niczego nie ukradłem. A teraz niech pan mi powie, czy zezwolił pan na moje aresztowanie.

– Czy moja odpowiedź wpłynie na pańską decyzję w sprawie udzielenia nam pomocy?

„Nie mogę wam pomóc, bo zanim cokolwiek zdołam zrobić, pan i inni będziecie już na tamym świecie”.

– Niezależnie od tego, co pan powie, zrobię, co w mojej mocy. Ale chcę znać prawdę.

– Tak, rzeczywiście zezwoliłem na pańskie aresztowanie i dzisiaj postąpiłbym tak samo.

– A przetrzymywanie w pojedynczej celi?

– Byłem przekonany, że pan zdradził. Sądziłem, że jest pan terrorystą i stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Zrobiłem to, co według mnie leżało w najlepszym interesie naszego kraju. Zamierzaliśmy izolować pana, a potem w końcu...

– Poddać torturom.

– Byli w moim otoczeniu tacy, którzy chcieli zrobić to od razu – odparł prezydent.

Rozdział 13

DZIEŃ 2 3.00 EST

Allaire zrobił wszystko, co mógł. Mimo oczywistej pogardy dla Rhodesa sprawił, że ten człowiek był teraz w drodze do Waszyngtonu. Pierwsza z dwóch przenośnych śluz powietrznych z tunelami łączącymi znalazła się na swoim miejscu. Pudła z zaopatrzeniem wysyłano teraz do Kapitolu po przenośniku z metalowymi rolkami. Zgodnie z ostatnim raportem drugi tunel był na ukończeniu.

Wojskowi nadal żądali większego dostępu do Kapitolu, ale Allaire trzymał ich na dystans. Do czasu aż Griffin Rhodes będzie miał szansę zbadać sytuację i przedstawić wstępną ocenę, Kapitol pozostawał niedostępny dla każdego, kto nie był absolutnie niezbędny.

Dzięki zapisowi kamer monitorujących salę obrad Allaire i Salitas załatwili sprawę przydziału do poszczególnych grup szybciej, niż przypuszczali. Żeby ustalić zasady segregacji, przeanalizowali umiejscowienie piętnastu wybuchów. Grupa B, średnio narażonych na kontakt z wirusem, liczyła niewiele ponad trzysta osób. Grupie A, najmniej narażonych, pozwolono zostać w sali posiedzeń. Osób, które Allaire uznał za najbardziej narażone, było sześćdziesiąt. Przydzielono je do grupy C kierowanej przez admirała Jakesa.

Oni mieli umrzeć jako pierwsi.

Dzięki Bogu Rebecca i Samantha były w grupie A.

Pomysł utworzenia grup kwarantannowych podsunęły Allaire'owi raporty Sylvii Chen szczegółowo wyjaśniające, jak WRX3883 przenosi się na kolejnego potencjalnego nosiciela. Chen przedstawiła przekonujące dowody, że wydłużony kontakt z nosicielami infekcji w bardziej zaawansowanej postaci zwiększał ilość wirusa przekazywanego nowemu nosicielowi. Allaire miał uzasadniony powód sądzić, że styczność z osobami silnie narażonymi na kontakt z WRX3883 przyspieszy występowanie objawów u ludzi z mniejszą ilością wirusa w organizmach.

Prezydent zrozumiał, że to on w znacznej mierze odpowiada za tę katastrofę. Należało wcześniej obciąć fundusze na projekt „Veritas”. Przede wszystkim powinien chyba wtajemniczyć w ten plan więcej osób, zanim zezwolił na jego realizację. Zawsze uważał, że na jego stanowisku chodzi o wierność sobie i obronę tego, w co się wierzy.

Ale tym razem był w błędzie. Mylił się też jego najbliższy przyjaciel i doradca Gary Salitas. A co najgorsze, zważywszy na jego lekarskie wykształcenie, mylili się również uczeni, którym postanowił zaufać. Przekonali go, że potęgę WRX3883 da się okiełznać – że niepożądane skutki działania wirusa można wyeliminować. Poparłszy ich pogląd, najprawdopodobniej podpisał wyrok śmierci na siebie, a także na swą żonę i córkę oraz bardzo wiele innych osób.

Raport o makabrycznym końcu tego zrzędy Harlana Mackeya był strasznym ciosem. Teraz śmierć z powodu wirusa miała już twarz – przypuszczalnie pierwszą z wielu.

Na życzenie prezydenta Gary Salitas, Jordan Lamar i doktor Bethany Townsend pozostali w Schronie. Allaire usiłował uzmysłwić sobie potworność tego, co kryło się za drzwiami. To nie był najlepszy moment na wyrzuty sumienia i użalanie się nad sobą. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiał znaleźć w sobie prawdziwie prezydenckie cechy, wiedząc, że podjęte działania mogą być ostatnimi posunięciami jego administracji.

Pozostali obserwowali go i czekali.

– Ile zamierza im pan powiedzieć? – zapytał w końcu sekretarz obrony.

– Nie wiem. Wolałbym nie mówić o Mackeyu.

– Zgoda. O ile nikt nie zacznie robić afery z jego nieobecności. Myślę, że nawet wtedy możemy po prostu snuć domysły. A co z wirusem?

Prezydent wzruszył ramionami i odparł:

– Chyba najlepiej ujawniać informacje stopniowo.

Townsend spojrzała na dwóch przyjaciół z zaciekawieniem, ale się nie odezwała. Była lekarzem Allaire’a od czasu pierwszej nominacji i cieszyła się powszechnym szacunkiem dzięki szczerości w kontaktach z mediami i lojalności wobec rodziny prezydenta. Formułowanie ostrzeżeń o rosnącym poziomie cholesterolu we krwi najpotężniejszego człowieka na ziemi już wcześniej przestało ją krępować, ale w tej sytuacji czuła się bezradna. Trafiła wprawdzie do grupy A, ale już niebawem przerażające objawy choroby, która zabrała rodzinę Jacksonów, mogły wystąpić i u niej. Z Kapitolu nie zdołałaby uzyskać dostępu do akt z Kalvesty, ale pamiętała makabryczne szczegóły tej sprawy.

Wzrok jej się zamglił, gdy grot bólu przeszył jej czaszkę tuż nad grzbietem nosa. Kolejna migrena. Zdarzały się rzadko, zazwyczaj w sytuacjach pełnych napięcia,

ale nikt tak naprawdę o nich nie wiedział. A może to był wirus, atakujący jej organizm w niespodziewany sposób? Odtąd każde ukłucie, każde kaszlnięcie bądź ból miały być postrzegane jako zwiastun choroby lub śmierci.

Po wysłuchaniu wstępnych informacji Allaire'a Townsend postanowiła zrezygnować ze swojej funkcji prezydenckiego lekarza. Odrazą, jaką czuła na myśl o wojnie biologicznej, kazała jej wątpić we własną zdolność wspierania prezydenta w roli jego lekarza, przyjaciela lub nawet współobywatela.

Potem, gdy porozmawiał z nią w cztery oczy i poprosił, by została z nim w Schronie – znał ją dobrze i wyczuwał oburzenie decyzją Townsend o pracach nad wirusem WRX3883, ale potrzebował jej błyskotliwości, naukowej przenikliwości oraz głębokiego współczucia – gniew lekarki zaczął słabnąć. Wcześniej często próbowała sobie wyobrazić siebie na jego miejscu, dokonującą codziennie bolesnych wyborów, które mogły wpłynąć na życie milionów czy nawet miliardów ludzi. W końcu nauczyła się nie oceniać jego decyzji zbyt pochopnie.

– Gary, kiedy spodziewasz się przylotu Rhodesa? – zapytał Allaire.

– Wyląduje w bazie lotniczej w Bolling około szóstej, panie prezydencie. Czeka tam na niego helikopter.

– Dobrze. Chcę, żebyś koordynował jego wejście do Kapitolu. Skontaktowaliście się już z człowiekiem, którego potrzebował?

– To miał być jego były asystent z laboratorium – odparł Salitas, sprawdzając w telefonie. – Forbush... Melvin Forbush. Jesteśmy gotowi połączyć rozmowę, gdy Rhodes przybędzie na miejsce.

– Mamy coś na tego gościa? Myślisz, że był zamieszany w kradzież wirusa?

– Wygląda na to, że nie. Obecnie jeszcze raz to wszystko sprawdzamy.

– Gdzie teraz jest?

– Nadal w laboratorium w Kansas.

– Przecież je zamknęliśmy.

– Jest tam sam. Jako ktoś w rodzaju dozorca.

– Ale po co?

– Najwyraźniej nikt inny nie chciał zostać. Początkowo w całym laboratorium było pięćdziesiąt osób. Teraz gdy zakończono jedyny projekt, nad którym pracowali, został tylko Forbush. Trzymamy to miejsce w gotowości, ponieważ nie mamy zbyt dużo ośrodków badawczych czwartego stopnia biobezpieczeństwa, a przecież nie wiadomo, kiedy może nam być potrzebne.

– Ależ bałagan. Wtrącamy jednego człowieka za kraty za terroryzm, a laboratorium zostawiamy pod opieką jego asystenta.

– To tylko pusty szkielet, panie prezydencie.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie ufam Rhodesowi, ale jeżeli ten Forbush

pracował dla niego, to jemu też nie ufam.

– To zrozumiałe.

– Ale Rhodes to nasza największa nadzieja na znalezienie lekarstwa.

– Sądzę, że to prawda.

– Nasza największa szansa na ocalenie z tego koszmaru.

– Rozumiem.

Salitas przerwał i zacisnął usta.

– Jim, jeżeli sądzisz, że może być w jakiejś mierze odpowiedzialny za ten atak, to czemu myślisz, że będzie z nami współpracował?

Prezydent zerknął na Townsend i Lamara, a potem znowu spojrzął na Salitasa.

– Nie wiem, czy będzie współpracował – odparł. – Zanim cię w to wszystko wprowadziłem, spotkałem się w tajemnicy z doktor Syla Chen.

– Wiedźmą. Wiem. To inteligentna kobieta. WRX3883 to jej dziecko.

– Cóż, na jednym z naszych pierwszych spotkań opowiedziała mi o Griffinie Rhodesie, który pracował w jej laboratorium nad szczepionką lub lekiem przeciwwirusowym mającym zwalczać zakażenie wirusem WRX.

– Niech pan mówi dalej.

– Parę lat wcześniej pracował w Afryce... w Kenii. Chen opowiedziała mi, że namierzając ogniska epidemii wywołanych najbardziej zabójczymi wirusami, jakie zna człowiek, zachowywał się jak kowboj. Był nieustraszony. Niczym ludzie, którzy zarabiają na życie występami w rodeo. Był też specem od komputerów, który irytował ludzi ze swojego otoczenia, nie chcąc wykorzystywać zwierząt w swoich badaniach... stosował wyłącznie modele komputerowe. Według Chen w tamtych czasach poszukiwał źródła rozszerzającej się infekcji wirusem Ebola, która zbliżała się do położonej w dolinie gęsto zaludnionej wioski. Rhodes znalazł w zboczu góry grootę wypełnioną guanem nietoperzy, które w badaniach wykazało zawartość wirusa. Sprowadził ekipę i szczelnie zamknął kilka bocznych otworów w ścianach groty, po czym detonując ładunek dynamitu, zasypał główne wejście. W drodze na dół natrafił na chatę. W środku były ślady krwi. Cała rodzina zmarła w wyniku gorączki krwotocznej. Cała, z wyjątkiem jednego dziecka... małej dziewczynki kulącej się pod stertą odpadków. Zaczęła właśnie wykazywać symptomy choroby. Rhodes odesłał wszystkich robotników do wioski, żeby uniknęli kontaktu z wirusem, po czym zaniósł dziewczynkę do odległego o osiem kilometrów szpitala. Siedem dni później dziewczynka zmarła, a u niego wystąpiły objawy eboli.

– Pierwsze słyszę – rzekł Salitas.

– Moja wina, że ci o tym nie wspomniałem. Dowody przeciwko niemu w sprawie kradzieży WRX3883 były niezbite. Po prostu wykradł ten wirus.

Mieliśmy filmy pokazujące, jak to robi, a do tego potwierdzające kradzież dowody, o których wiesz. Ale nie mogłem wyrzucić z pamięci tej opowieści, którą usłyszałem od Sylvii Chen.

– Czy dlatego właśnie sprzeciwiał się pan zastosowaniu tortur w celu wykrycia, z kim współpracował?

Prezydent wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Być może. Z tego, co wiedziałem o tym człowieku, a nigdy nie spotkałem się z nim twarzą w twarz, wywnioskowałem, że jego działania może tłumaczyć tylko to, iż zwariował. W tej sytuacji nie potrafiłem się zgodzić na torturowanie go. Pamiętaj, że Genesis pojawiło się dopiero potem. I tak zresztą nie powiążałbym ich wtedy z sobą.

– Chyba że Genesis to on. Więc teraz mu ufasz?

– Nie. Jakże mógłbym mu ufać? Ale jesteśmy w paskudnych tarapatkach, Gary. Ile mamy czasu? Godziny? Dni? Może najwyżej parę tygodni. Ludzie wkrótce zaczną umierać. Wiesz przecież, jak zaraźliwy jest ten cholerny wirus. Ale zdaję sobie również sprawę, że Griffin Rhodes to jedyna karta, jaką mamy w ręku.

– Tak jest, panie prezydencie.

– Chcę, żeby towarzyszył mu jakiś zespół i żebyś ty go zorganizował. W ścisłej tajemnicy, niewielka grupa. Najlepsi, jakich mamy. Od chwili gdy wysiądzie z samolotu, twoi ludzie mają być przy nim. Nie może to być jednak nikt z wewnątrz. Ponieważ wszyscy mieliśmy kontakt z wirusem, nie możemy zbyt długo liczyć na nikogo.

– Pan wybaczy, panie prezydencie – odezwała się milcząca dotąd Townsend – ...ale nie rozumiem tego ostatniego stwierdzenia.

– Wyjaśnię ci to później, Bethany – odparł prezydent. – Ale dość powiedzieć, że właśnie dlatego potrzebuję cię teraz tutaj, przy mnie.

– A czemuż to? – nie dała za wygraną.

– Za sprawą tego wirusa prędzej czy później, chyba już niebawem, przestanę być intelektualnie zdolny do pełnienia swojej funkcji.

Rozdział 14

DZIEŃ 2

3.15 EST

Doktor Bethany Townsend odwróciła się i odeszła, usiłując się opanować, zanim znowu zdoła spojrzeć Allaire'owi w oczy.

– Dość tych gier, Jim – powiedziała w końcu. – Dość półprawd i, do cholery, dość zwyczajnych kłamstw. Jako twój lekarz i przyjaciel oczekuję pełnej jawności, natychmiast, albo przyjmij moją rezygnację.

Allaire zachęcił lekarzkę, by usiadła, i nalał jej wody.

– Zgadzam się. Obiecuję. Jesteś mi potrzebna, żeby opracować sposób wspólnej oceny stanu mojego umysłu.

– Czy przez „sposób” rozumiesz jakiś test? Wiem z akt Kalvesty, co wirus zrobił z ośrodkowym układem nerwowym Jacksonów. Ale myślałam, że to zagrożenie zostało zneutralizowane. Sugerujesz, że skutkiem ubocznym tej postaci wirusa jest również upośledzenie umysłu?

– Niezupełnie ubocznym. Po nieszczęsnej śmierci Jacksonów, zanim zupełnie przerwaliśmy realizację projektu „Veritas”, wirus działał doskonale. Wiesz, co to jest interferon, prawda?

– Oczywiście.

– Znam tę nazwę – wtrącił Salitas – i wiem, że stosuje się go w pewnych procedurach przeciwrakowych, ale nie pamiętam, jaką odgrywa w nich rolę.

– Interferon jest białkiem wytwarzanym w sposób naturalny przez organizm – wyjaśniła Townsend. – Powstaje w reakcji na pewne infekcje oraz na ataki komórek rakowych... zwłaszcza w przypadku nowotworów złośliwych wywołanych przez wirusy.

– Trochę jak przeciwciało – dodał prezydent.

– Tyle że działa znacznie mniej wybiórczo i przypuszczalnie znacznie słabiej. Pomyśl o opryszczkach. W ich przypadku infekcja ujawnia się gwałtownie, po czym ustępuje, ale zazwyczaj wirus nie zostaje usunięty z organizmu całkowicie.

Część zarazków w stanie uśpienia nadal znajduje się w skórze lub wzdłuż korzeni nerwu. Po czym stres lub jakiś inny czynnik budzi je z tego stanu. Następuje wybuch infekcji i ten cykliczny proces znowu się powtarza. Sądzimy, że interferon jest jedną z naturalnych substancji chemicznych, która zmusza wirus do zejścia do podziemia. Powstaje w reakcji na zakażenie.

– Rozumiem – rzekł Salitas. – Więc zwykle przeziębienia mogą wychodzić nam na zdrowie, jeżeli tylko stymulują wytwarzanie interferonu.

– Właśnie – potwierdziła Townsend. – Interferon wytwarzany w reakcji na pospolite przeziębienie może chronić przed wirusami powodującymi białaczkę. Ta możliwość nadal jest badana.

Prezydent przejął rolę wyjaśniającego.

– Cóż, wydawało się, że WRX3883 jest powstrzymywany lub wręcz niszczone przez interferon i przeciwciała... Do czasu.

– Mutacja – stwierdziła raczej, niż zapytała Townsend.

– Niespodziewanie okazało się, że doktor Chen i jej zespół po prostu nie potrafili utrzymać go w ryzach. Tak jakby wirus uodpornił się na działanie interferonu. Pamiętajcie, co wam mówiłem o ich próbach klinicznych, w których koty ochoczo pływały w basenie, a samice małp przestawały karmić młode.

– Tak.

– W chwili gdy Chen myślała, że wirus jest pod kontrolą, obiekty jej badań, przeważnie małpy, zaczęły ulegać stopniowej degeneracji neurologicznej: demencja, niespodziewane zmiany nastroju, agresja, osłabienie.

– Chryste – mruknęła Townsend, kręcąc głową. – Nie wierzę, że to się dzieje.

– Z chwilą gdy ich zwierzęta zaczęły się „sypać”, zmiany postępowały w jednym kierunku. Wirus dalej się replikował i atakował ich mózgi. Śmierć następowała wskutek ataków i wyłączenia ośrodkowego układu nerwowego.

– Uważasz więc, że wszyscy zmierzamy ku demencji i śmierci.

– Owszem.

– I chcesz, żebym znalazła test psychologiczny, który wykaze, kiedy nie będziesz już mógł być prezydentem?

– Tak.

– I co wtedy?

– Gary, czy Paul Rappaport przebywa teraz w bezpiecznym miejscu? – zapytał Allaire.

Salitas skinął głową.

– W tej chwili przewożą go do bazy lotniczej 934. Dywizjonu Lotniczego w Minneapolis – St. Paul w północnej części tamtejszego lotniska międzynarodowego. Mają zaszyfrowaną linię. Właściwie to może już tam być.

– Dobrze. Skontaktuj się z nim, proszę.

– Tak, panie prezydencie.

O tym, że Salitas powrócił do oficjalnego tonu, świadczył sposób, w jaki zapytał Bethany Townsend, czy popiera bez zastrzeżeń swojego pacjenta.

– Panie prezydencie, czego możemy się teraz spodziewać po tym wirusie? – zapytała Townsend w odpowiedzi. – Jakie będą symptomy zakażenia?

– Ustalenie tego jest twoim drugim zadaniem, chociaż masz się trzymać z daleka od grupy C, grupy admirała Jakesa. Musimy założyć, że jej członkowie wkrótce staną się ofiarami wirusa.

– Dlaczego?

– Wszyscy w strefie zerowej, powiedzmy w promieniu trzech metrów od miejsca wybuchu, najpierw przez kilka godzin będą kasłać w niepohamowany sposób, wymiotować, cierpieć na silne bóle i zawroty głowy oraz mieć problemy z utrzymaniem równowagi. Po siedmiu–dziesięciu dniach rozpoczną się krwotoki wywołane zniszczeniem czynników krzepliwości krwi. Pod tym względem WRX3883 przypomina wirusy gorączki krwotocznej, zwłaszcza ebolę. Obok krwawej biegunki pojawią się potężne siniaki. Skóra ofiary zacznie wiotczeć i oddzieli się od ukrytych pod nią tkanek. Twardówki oczu staną się jasnoczerwone. Zbliżający się koniec oznajmią czarne i gęste wymioty. Śmierć wskutek odwodnienia i biegunki nastąpi gdzieś między dziesiątym a czternastym dniem od zakażenia.

– Panie prezydencie, grupa C liczy ponad sześćdziesiąt osób. Czy jest coś... cokolwiek... co możemy dla nich zrobić?

– Posłałem po wirusologa, który odpowiadał za opracowanie terapii na WRX. Przy odrobinie szczęścia zdoła znaleźć jakiś sposób. A tymczasem doktor Broussard załatwia dostawę dużej ilości wszystkich leków przeciwwirusowych, jakimi dysponujemy. Obie będziecie odpowiedzialne za koordynację procesu ich podawania. Decyzja należy do was, ale ja skupiłbym się na grupach B i A. Nie sądzę, byśmy mieli środki do zabicia tego wirusa, ale może uda się wam spowolnić jego działanie.

– Czego możemy się spodziewać w sensie neurologicznym?

– Z tego, co wiem z raportów doktor Chen na temat zachowań jej zwierząt, w przypadkach niezbyt bliskiego kontaktu z wirusem wystąpi okres stopniowej dezorientacji i chwiejności emocjonalnej, a potem utrata woli i głęboka podatność na sugestię. Ten dość stabilny okres potrwa dwa lub trzy dni. Wtedy właśnie infekcja miała ustępować.

– A później?

– Neurologiczna degradacja: chwiejny krok, chrząkanie, ślinienie się,

niekontrolowane skurcze mięśni kończyn, postępująca demencja, skłonność do przemocy i wreszcie ataki padaczkowe, wysoka gorączka i śmierć.

– Cholera. Więc my troje należymy do grupy A?

– Gary jest bliski zakwalifikowania do grupy B, ale tak.

– Ile zatem mamy czasu?

Allaire wzruszył ramionami.

– Dwa tygodnie. Może trzy. W końcu śmierć nastąpi wskutek ataków padaczkowych i wyłączenia ośrodkowego układu nerwowego.

– Kiedy więc będę badała pana stan umysłowy, kto będzie sprawdzał mój? – zapytała z goryczą lekarka.

– Panie prezydencie – wtrącił się Salitas – mam Paula Rappaporta na linii.

Allaire pomyślał przelotnie o córce Paula, z której powodu sekretarz spraw wewnętrznych w jego rządzie poprosił o wyznaczenie mu roli sukcesora prezydenckiego urzędu. Poznał ją na ceremonii zaprzysiężenia Rappaporta. Była bladą, chudą jak patyk i trochę nieśmiałą kobietą. Ludzie, którzy prześwieltali kandydata, informowali, że miała za sobą dwa pobyty w szpitalu z powodu napadów lękowych i depresji, lecz Allaire nie widział powodu, by z uwagi na jej psychiatryczne problemy wycofać swoje poparcie dla człowieka o niemal nieskazitelnym życiorysie. W końcu jego troska o córkę tak naprawdę świadczyła na jego korzyść.

Przez pierwsze cztery lata, kiedy ten dawny gubernator Minnesoty należał do gabinetu, od czasu do czasu przekraczał granice swoich kompetencji. Ale w sumie był dobrym i lojalnym współpracownikiem prezydenta.

Allaire wziął aparat od Salitasa, ustawił go na tryb głośnomówiący i usiadł na obitym czerwonobrunatną skórą krześle z wysokim oparciem, stojącym u szczytu stołu konferencyjnego.

– Panie prezydencie, czy wszystko w porządku? – zaczął Rappaport. – Media spekulują, że doszło do jakiegoś ataku terrorystycznego z użyciem broni biologicznej.

Prezydent udzielił Rappaportowi wyczerpujących informacji. Żadnych półprawd, żadnych przemilczeń. Potem zapadła cisza. Allaire zastanawiał się, czy połączenie zostało przerwane.

– Słyszysz mnie? – zapytał.

– Słyszę, panie prezydencie. Jestem do dyspozycji, gotowy uczynić wszystko, co niezbędne. – W jego słowach kryła się siła, zdumiewająca wręcz dla Allaire'a pewnością siebie. – Co teraz?

Prezydent odchrząknął.

– Doktor Townsend opracuje test do oceny działania mojego umysłu... żeby

ustalić, czy moja wola bądź intelekt zostały w jakiś sposób osłabione.

– Ile to potrwa?

– Zważywszy na stopień mojego kontaktu z wirusem, dwa tygodnie. Może więcej, może mniej.

– Co pan proponuje, panie prezydencie?

– Po zamachu na Kennedy’ego Lyndon Johnson został zaprzysiężony na pokładzie Air Force One. Gdy nadejdzie czas, sprowadzimy cię do Białego Domu.

– Gdy nadejdzie czas?

– Gdy stwierdzi to mój lekarz. Zakładając, że nikt z poprzedzających cię osób nie będzie w stanie mnie zastąpić, złożysz przysięgę prezydencką.

– Mój Boże. To całkiem spore brzemię, panie prezydencie.

– Człowiek robi to, co musi... mimo konsekwencji, mimo przeszkód, niebezpieczeństw i nacisków. i na tym zasada się cała ludzka moralność.

– John Fitzgerald Kennedy.

– Bardzo dobrze, przyjacielu. Miejmy nadzieję, że twój moment nie nadejdzie, ale jeżeli nadejdzie, ufam, że zrobisz to, co słuszne i sprawiedliwe.

– Dziękuję panu za zaufanie.

– Jak wygląda twoja ochrona, Paul?

– Mnie i mojej rodzinie towarzyszy dwóch agentów Secret Service. To wszystko.

– To za mało – stwierdził Allaire. – Masz dobę na umieszczenie swojej rodziny w bezpiecznym miejscu. Do tego czasu wasze lokum ma być zabezpieczone jak Biały Dom. Skanery biometryczne. Alarmy obwodowe na podczerwień. Kamery monitorujące z zapisem wideo, pełny zestaw. Każę popracować nad tym Gary’emu Salitasowi. Wyślemy tam jak najszybciej oddział agentów Secret Service.

– Te środki bezpieczeństwa nie są potrzebne, panie prezydencie – odparł Rappaport. – Oprócz ochrony Secret Service. Za pośrednictwem Biura Bezpieczeństwa Krajowego mam dostęp do najlepszych fachowców od systemów zabezpieczeń na świecie. Zadzwońię do Rogera Coruma. Jest dyrektorem naczelnym Staghorn Security i ma kontakty ze wszystkimi ważnymi graczami w tej branży. Jest już zatwierdzonym przez nas sprzedawcą i wykonywał dla nas wiele robót.

– Świetnie. Powodzenia, Paul. Wkrótce znowu się z tobą skontaktujemy.

– Tak jest. Panie prezydencie?

– Słucham.

– Jeżeli ten czas rzeczywiście nadejdzie, to zapewniam, że będę znakomitym prezydentem.

Rozdział 15

DZIEŃ 2

6.30 EST

VH-60N przechylił się płynnie na prawą stronę i powoli obniżył lot. Griff siedział nieruchomo w obitym skórą fotelu, spoglądając na granitowe budowle Waszyngtonu. Ten helikopter, choć był tego samego typu co helikopter, który wiele godzin wcześniej uniósł go ku wolności, miał luksusowo wykończone wnętrze i najwyraźniej wykorzystywano go do przewozu pasażerów wysokiego szczebla. Griff pokonywał ostatni etap podróży z pojedynczej celi zakładu karnego o podwyższonym rygorze na spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Po prostu kolejny typowy dzień.

Griff poleciał na wschód z bazy lotniczej do Bolling pustym samolotem transportowym C-22B. Lot trwał niespełna trzy i pół godziny, a na każdym z trzech etapów podróży na odległość ponad trzech tysięcy kilometrów eskortowały go różne zespoły wojskowych. Teraz, tuż przed jej końcem, przycisnął czoło do małego okrągłego okna i pozwolił, by przez głowę przepływały mu obrazy ludzi i miejsc.

Odkąd pamiętał, powodowało nim jedno pragnienie, by nie być normalnym. Jego rodzice byli bezbarwnymi, konserwatywnymi, pracowitymi mieszkańcami Środkowego Zachodu, oboje zmarli wcześniej: matka na raka, a ojciec w wypadku na budowie, który ustawił Griffa i jego starszą siostrę Louise finansowo. W szkole był buntownikiem – wielu nazywało go przemądrzałym dupkiem. Odznaczał się dobrą koordynacją ruchową, lecz sport go nie interesował; był błyskotliwym uczniem, osiągającym wyniki poniżej możliwości, do czego przyczyniała się jego arogancja. W kolegach budził szacunek i lęk zuchwałym lekceważeniem niebezpieczeństw i brakiem poszanowania dla własnego ciała. Dziewczyny, z nielicznymi wyjątkami, trzymały się od niego z daleka. Gliniarze uważali go za wichrzyciela, awanturnika. Często lądował na ostrym dyżurze pobity przez jakiegoś osiłka dwa razy większego niż on.

Potem zmarła Louisa.

Zapalenie opon mózgowych, usłyszał Griff. Zapalenie meningokokowe. Po niespełna godzinie od wystąpienia pierwszego objawu, bólu głowy, zapadła w śpiączkę. Niecałe trzydzieści sześć godzin później zmarła, ani na moment nie odzyskując świadomości. Miała dwadzieścia cztery lata. On siedemnaście.

Griff obserwował drobne fale wywołane na powierzchni Reflecting Pool ruchem potężnych wirników. Eskortowany przez kilka samolotów wojskowych helikopter przeleciał bez przeszkód przez strefę ograniczonego ruchu lotniczego i wylądował na otoczonym kordonem skrawku zamrażanego trawnika między East Capitol Street a Capitol Driveway. Griff studiował po drodze plany kapitolijnского kompleksu i wiedział, że wylądowali koło wejścia do niedawno zbudowanego centrum informacji turystycznej.

Gdy wyłaniał się z wnętrza maszyny, miał zeszywniałe nogi, bolały go mięśnie, a w skroniach zaczęła pulsować krew. Zmęczenie? Odwodnienie? Stres? Chyba tylko wyjście na wolność po dziewięciomiesięcznym pobycie w pojedynczej betonowej celi o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra przez dwadzieścia trzy godziny na dobę.

Zastanawiał się, jakie objawy wystąpiły już u około siedmiuset osób w Kapitolu. Z pewnością pojawił się już kaszel. U znacznego odsetka badanych przez Sylwię Chen małp, którym zaaplikowano WRX3883 w aerozolu, wystąpił suchy kaszel, któremu towarzyszył wypływ śluzu. Kilka z tych zwierząt zdechło, zanim jeszcze wirus zdążył zaatakować ich układ nerwowy, przypuszczalnie wskutek nagłej niedrożności dróg oddechowych. Jednak przyczyną mogła też być jakaś reakcja uczuleniowa na same zarazki.

Griff dzwonił kilka razy do weterynarza pracującego dla Chen i domagał się leczenia tych zwierząt. Ale ta kobieta, opryskliwa i arogancka, przyznała, że wprawdzie jest lekarzem weterynarii, ale specjalizuje się w patologii i płacą jej raczej za sekcje zwłok obiektów badań niż za utrzymywanie ich przy życiu.

Olbrzymie przenośne reflektory punktowe rozświetlały mrok przedświtę dostatecznie mocno, by zmienić noc w dzień. Wojskowa kurtka w barwach ochronnych, dostarczona wcześniej, chroniła Griffa przed porannym chłodem. Pomasował powieki i odruchowo pociągnął za swą splątaną brodę. Wiele godzin wcześniej załoga C-22B wręczyła mu ciężkie nożyczki, paczkę jednorazówek Gillette oraz pojemnik z kremem do golenia, ale nie skorzystał z propozycji.

Prezydent musi ujrzeć człowieka, którego stworzył.

Oślaniając się przed podmuchami wywołanymi przez wirniki, Griff z zaciekawieniem i trwogą ogarnął wzrokiem nowe otoczenie. Zestaw barier – betonowe bloki, niskie stalowe bramy, drewniane kozły i beczki – wyznaczał

bezpieczną granicę wzdłuż wszystkich dróg okalających Kapitol, które mógł dostrzec. Umundurowani żołnierze, funkcjonariusze policji, agenci FBI i gotowy do walki personel ze SWAT patrolowali tę prowizoryczną granicę z bronią w gotowości. W regularnych odstępach, za trójnogami, na których wspierały się ich dalekonośne karabiny, stali snajperzy.

W sporej odległości za żołnierzami i policją tłoczyli się ciekawscy, miejscami w pięciu, a nawet dziesięciu szeregach. Griff oszacował, że tłum liczy ponad tysiąc osób, a wciąż przybywali nowi ludzie. Wydychane przez nich kłęby pary wirowały w mroźnym strumieniu zaśmigłowym. Niektórzy mieli imponujące aparaty fotograficzne i wyglądali na reporterów, inni używali telefonów komórkowych i przenośnych kamer wideo, żeby uchwycić to, co może zaraz nastąpić.

Wydarzenia, które przejdą do historii.

Gdyby tylko wiedzieli.

Na oczach wojskowych i tłumu gapiów z kilku dużych ciężarówek wyładowywano do wielkiego namiotu pudła, w których prawie na pewno znajdowały się zapasy żywności. Od dudniących generatorów zapewniających oświetlenie i ciepło po trawniku wiły się niczym węże przewody zasilające. Griff oglądał tę surrealistyczną scenę, zestawiając ją ze wspomnieniem nagich ścian swojej celi w zakładzie karnym we Florence, gdzie zaczął się dla niego ten dzień. Był pod wrażeniem sprawnej organizacji i szybkości, z jaką wojskowi reagowali na kryzys. Wiedział jednak, że w żaden sposób nie mogą wejść w to logistyczne grzęzawisko i wyjść z niego, nie powodując katastrofy.

Ponieważ raczej prędzej niż później WRX3883 wydostanie się na zewnątrz.

Tłum ludzi najbliżej miejsca, w którym Griffin wysiadł z helikoptera, od razu go zauważył.

– Kto to taki, Unabomber?

– Czy wysiada ktoś jeszcze?... Nie, tylko on... Tylko on?

– Może to premier jakiegoś kraju?

– Nie wierzę, by pozwolili mu tam wejść bez kąpieli.

– Wygląda jak duch Howarda Hughesa.

Griff przewyciężył gwałtowną chęć przystąpienia i poinformowania gęstniejącej ciżby, że gdyby wiedzieli, co się dzieje w środku, woleliby trzymać się od tego miejsca z daleka. Zamiast tego naciągnął kaptur kurtki i powłókł się naprzód w kordonie żołnierzy noszących podobne wojskowe mundury w barwach ochronnych.

Wirniki stojącego za nim helikoptera zatrzymały się nagle. Z pawilonu dla zwiedzających wyłonił się wysoki i wyprostowany jak trzcina mężczyzna bez nakrycia głowy, z siwymi, przystrzyżonymi na jeża włosami. Był ubrany tak jak

inni żołnierze, lecz Griff od razu poznał, że to jakaś szycha.

– Doktorze Rhodes, generał Frank Egan, dowódca obrony terytorialnej kraju – przedstawił się mężczyzna, wyciągając okrytą rękawiczką dłoń. Nie odrywał stalowego spojrzenia od twarzy Griffa, najwyraźniej chcąc wyrobić sobie opinię o swoim rozmówcy. – Na rozkaz prezydenta mam pana wprowadzić do kompleksu budynków Kapitolu i jak najszybciej doprowadzić do sali obrad Izby Reprezentantów.

– Cóż, niech pan w takim razie to zrobi.

– Od kilku godzin mamy tu naszych najlepszych ludzi. Tam znajduje się namiot tranzytowy rozbity dla pana i innych, którzy będą się przebierać w skafandry zabezpieczające przed skażeniem biologicznym. To skafandry kosmiczne, ciśnieniowe, z dopływem dokładnie przefiltrowanego powietrza i systemem rezerwowego zasilania. Następne są w drodze. Sądzę, że takich właśnie pan sobie zażyczył.

Griff skinął ponuro głową i uśmiechnął się do siebie na myśl, że te bardzo techniczne opisy przypominają mu opowieści ze szkolnego elementarza. Nikt, kto był przy nim w tygodniach po śmierci jego siostry, nigdy by nie przewidział transformacji, która miała niebawem nastąpić.

Gdy sposepniał i zachowywał się coraz bardziej przekornie, dyrekcja jego liceum spotkała się z jego ciotką i wujem – jedynymi pozostałymi przy życiu krewnymi. Oni z kolei sprowadzili swojego pastora, a potem funkcjonariusza policji odpowiadającego za kontakty z lokalną społecznością, który robił co w jego mocy, nie zdołał jednak dotrzeć do ponurego, zobojętniałego nastolatka. Podczas tych spotkań Griff stał niewzruszony, patrząc w ścianę lub przez okno i niewiele mówiąc. Po czym, po trzech tygodniach nieobecności w szkole, które spędził, śpiąc na kanapach w suterrenach przyjaciół lub w opuszczonych budynkach, od lat stanowiących jego ulubione miejsca, nagle wkroczył do klasy i zdał celująco egzamin końcowy z chemii, na którą w ogóle nie uczęszczał.

– Czy to ekipa, która będzie mnie eskortować do Kapitolu? – zapytał Egana, wskazując sześciu żołnierzy, którzy stali na spocznij z buńczuczными minami.

– Owszem.

– Domyślam się, że nie są specjalistami od bezpieczeństwa biologicznego.

– Trafnie się pan domyśla.

– Są uzbrojeni?

– To ma jakieś znaczenie?

– Allaire chce, żebym uratował sytuację, ale mi nie ufa, zgadza się?

– Mam rozkazy, doktorze. Ci żołnierze są gotowi poświęcić życie dla tej misji. Włożą skafandry i będą panu towarzyszyć na każdym kroku.

Griff tylko skinął głową. Zaskoczyło go jednak, że surowy wyraz oczu generała nagle złagodniał.

– Doktorze Rhodes, nie wiem, co dzieje się w środku, ale powiem ogólnie, że pański przylot tutaj ma olbrzymie znaczenie dla przebywających tam osób i naszego kraju. Prezydent wyjawiał mi, gdzie pan spędził dziewięć ostatnich miesięcy i dlaczego. Mogę jedynie prosić, by zrobił pan, co w pańskiej mocy, żeby pomóc jemu i towarzyszącym mu ludziom.

– Zrobię to, generale – odparł Griff, któremu nieprzyjemnie zaschło w ustach.

Egan spojrzał na niego badawczo.

– Wierzę panu – rzekł w końcu.

– Generale, jeszcze jedno.

– Słucham.

– Przykro mi, że nie jestem optymistą, ale musi się pan przygotować na najgorsze.

Griff wrócił myślami do pracy przy projekcie „Veritas”, a dokładnie do modeli komputerowych, nad którymi pracował przez lata, usiłując odejść od doświadczeń na zwierzętach. Jego najnowsze programy wykonały bezbłędnie animacje komputerowe rozmaitych kombinacji modelu rybonukleinowego wirusa WRX3883, jak również innych pokrewnych wirusów RNA, takich jak SARS i wirus zapalenia wątroby typu C oraz wiele wirusów dezoksyrybonukleinowych.

Jego programy, z których najbardziej obiecujący otrzymał kryptonim „Orion”, mogły generować niezliczone trójwymiarowe połączenia molekuł, które stanowiły trzon submikroskopowych drobnoustrojów. Nie potrafiły za to, przynajmniej wtedy, opracować sekwencji, która by je skutecznie zabiła.

W tym momencie jednak nie potrzebował symulacji komputerowej, żeby zobaczyć to, co już wiedział. W ciągu niespełna czternastu – maksimum dwudziestu jeden – dni wszyscy zgromadzeni w Kapitolu mieli umrzeć w sposób równie potworny jak w jego najgorszym koszmarze o eboli.

Przed aresztowaniem przez lata, mimo wsparcia finansowego i sprzętu, o jakie mógł prosić w ramach ścisłych procedur bezpieczeństwa projektu „Veritas”, nie zdołał odkryć brakującego ogniwa w sekwencjonowaniu RNA, które pozwoliłoby stworzyć skuteczny lek uśmiercający wirusy. Było naiwnością ze strony Jima Allaire’a wierzyć, że w ciągu czternastu dni nagle pojawi się rozwiązanie.

– Wygląda na to, że zamieniłem jedną celę na inną – zauważył Griff, wskazując ruchem ręki swoją eskortę.

– Niech pan ich traktuje jak ochroniarzy – poradził generał.

– Tak właśnie opisał ich panu prezydent?

– Niezupełnie.

Jeszcze niegotowy zająć się Eganem i jego milicją, Griff odwrócił się i ruszył w stronę tłumu. Drugi helikopter, unoszący się trzydzieści metrów nad ziemią, natychmiast skierował potężny reflektor punktowy prosto na niego. Blask raził Griffa w oczy.

– Chyba obawiają się, że spróbuję uciec – rzucił w przestrzeń.

Zwolnił, ale nadal oddalał się od generała, ciesząc się poczuciem swobody, choćby złudnej. Nikt za nim nie poszedł. Punktowy reflektor nadal go oświetlał – Egan się asekurował. Gdy Griff zbliżył się do tłumu, który powiększył się chyba dwukrotnie od chwili jego przylotu, ludzie znowu zaczęli wykrzykiwać.

– Hej, szaleńcze!

– Ty z brodą!

– Możesz nam powiedzieć, co jest grane?

– Tutaj, tutaj. Pozwól, że zrobię ci zdjęcie. Tylko jedno.

Błysnęły flesze.

W tym zgiełku i kakofonii głosów nagle wyróżnił się jeden – głos kobiety dobiegający gdzieś z głębi tłumu. To wystarczyło, by Griff spojrzał przed siebie, szukając jej wzrokiem. Ale każda minuta była niezwykle istotna, a w świetle szperacza odbijającym się od morza parujących w mroźnym powietrzu oddechów nie miał szans cokolwiek dostrzec. Odwrócił się i ruszył w kierunku miejsca, w którym czekał szef obrony terytorialnej kraju. Gdy doszedł do generała, jeszcze raz w panującym zgiełku usłyszał głos tej kobiety.

Spośród wszystkich krzyczących tylko ona wołała go po imieniu.

Rozdział 16

DZIEŃ 2 7.00 EST

Griff podniósł winylową połę polowego namiotu w barwach ochronnych i wszedł do środka. Uznał, że w tym momencie nie ma sensu wyjaśniać dowódcy obrony terytorialnej kraju, że ma zadawnione pretensje do wojskowych.

Porywisty styczniowy wiatr marszczył ściany przestronnego namiotu. Wzdłuż jednej z nich stało w równych odstępach siedem wysokich metalowych szafek. Po przeciwnej stronie znajdowała się przenośna umywalka i regał wypełniony rękawicami z magazynu armii. Wnętrze ogrzewały przenośne grzejniki gazowe.

Griff i ochroniarze z sił specjalnych rozbierali się, nie marnując czasu. Nie było przekomarzania się i rozmów o niczym. Zamienili swoje ubrania na zielone bluzy i spodnie chirurgiczne wyjęte z szafek. Griffowi trudno było zaciągnąć tasiemkę wystarczająco mocno, by spodnie nie zsuwały mu się z wychudłych bioder. W końcu wyciągnął swój skafander ze szczelnie wypełnionej szafki i rozłożył go na podłodze. Z dużą wprawą wsadził do niego stopy, potem wsunął ręce w rękawy, prostując palce, dopóki dłonie nie wpasowały się w doszyte rękawice.

– Wiecie, panowie, że należy bardzo uważać na ręce, prawda? Jedna mała dziura mogłaby was zabić.

– Wiemy, jak dbać o nasz sprzęt – padła zwięzła odpowiedź.

– Rozumiem – rzekł Griff, unosząc dłonie w obronnym geście.

Pozostali żołnierze zmierzili go oziębłym wzrokiem. Przypomniawszy sobie, że dla nich jest człowiekiem skazanym za terroryzm. Tak naprawdę żadna z osób, które spotkał tej nocy, nie uważała inaczej. Bez orkiestr. Bez transparentów. Bez ceremonii powitalnej na wolności, Griff.

– Nie wiem, jak duże jest wasze dotychczasowe doświadczenie ze strefami skażenia – powiedział. – Ten wirus jest zabójczy. Nie jesteście choć trochę ciekawi, w co oni was pakują?

– Nikt nas w nic nie pakuje – odparł żołnierz na prawo od niego. – Zgłosiliśmy

się na ochotnika. Mamy rozkaz śledzić każdy pana krok i chronić pana, gdy ktoś spróbuje... spróbuje...

– Nie krępuj się, powiedz to.

– Pana sprzątnąć.

– Cóż, jestem pewien, że świetnie sobie dacie radę.

Griff naciągnął na głowę elastyczny kaptur. Niewielka ilość pary skroplonej na osłonie oczu ulotniła się, gdy tylko uruchomił system respiratorów ciśnieniowych. Bez wbudowanego w skafander mikrofonu musiał podnosić głos, aby być wyraźnie słyszany. Chociaż rękawice i buty były właściwie zespolone ze skafandrem, owinał sobie nadgarstki i kostki taśmą. Tego dodatkowego środka zapobiegawczego nie zastosował żaden z żołnierzy.

– Oklejam je taśmą – powiedział. – Proponowałbym, żebyście zrobili to samo.

– Po co?

– Po to, żeby wzmocnić słabe punkty.

– Nie widzę żadnych słabych punktów.

– Nadgarstki i kostki. Ten wirus nie dba o to, jak bardzo ci się wydaje, że jesteś ostrożny. Ma jedno zadanie, identycznie jak ty. Jego zadanie to znaleźć drogę do twojego krwiobiegu, namierzyć organ, w którym przeznaczone mu jest się zagnieździć i namnażać. Gdyby był organizmem doskonałym, wykorzystałby cię na tyle, byście obaj żyli bez końca. Tak byłoby o wiele łatwiej. Lecz ten wirus nie jest doskonały, więc zabije cię bez względu na to, czy tego chce, czy nie, i w sposób, jakiego nie potrafisz sobie nawet wyobrazić.

Żołnierze spojrzeli po sobie. W końcu jeden skinął głową. Griff rzucił mu rolkę taśmy i rzekł:

– Powiedzcie, gdy będziecie gotowi.

Kilka minut później cała siódemka wyszła z namiotu i ruszyła po zamarzniętej ziemi w stronę wejścia do centrum informacyjnego dla zwiedzających. Maszerujący astronauta. Skafander, jak zawsze, przyprawiał Griffa o lekką klaustrofobię, mimo że był elastyczny i obszerny. Nie miał wątpliwości, że to wrażenie zawdzięcza po trosze niewidzialnym zabójcom oddzielonym od niego tylko warstwą winylu grubości jednej dziesiątej milimetra.

Zlustrował twarze idących po bokach żołnierzy, szukając za osłonami z przezroczystego plastiku oznak przygnębienia. Najwyraźniej byli twardzi i skupieni, ale z drugiej strony żaden z nich nie zaraził się wcześniej wirusem czwartego poziomu, takim jak ebola lub WRX3883. Niebawem najprawdopodobniej się to zmieni.

Gdy szli, Griff znowu słyszał okrzyki gapiów, choć kaptur tłumiał ich głosy. Nagle usłyszał wykrzyknięte kobiecym głosem swoje imię – raz, potem znowu.

Zanim jednak zdążył zlokalizować źródło, zza transportera opancerzonego wyłonił się generał Egan i rozkazał ochroniarzom zatrzymać się o metr od przenośnej śluzy powietrznej.

– Sierzancie Stafford, będziecie mnie informować przez radio o przebiegu marszu.

– Tak jest, panie generale.

Krzepki żołnierz, który przedstawił się Rhodesowi jako sierżant Chad Stafford, zawiesił na szyi okazałych rozmiarów radio, przytroczone do długiego pasa. Trzem innym wręczono karabiny szturmowe M16A4, a dwaj otrzymali latarki o dużej mocy. Griff zauważył, że żaden nie dostał apteczki.

– Dopilnujcie, żeby cały ten sprzęt został wewnątrz, gdy wrócicie – przypomniał Egan.

– Generale – wtrącił się Griff – te karabiny jedynie zwiększą ryzyko perforacji skafandra.

– Z całym szacunkiem, doktorze Rhodes, ale to ja będę o tym decydował – odparł Egan. – Mamy rozkaz trzymać pana na oku i uważać na każdego, kto mógłby przysporzyć panu kłopotów.

Stosując się do generalskiego rozkazu, dwaj strażnicy przy wejściu do śluzy odsunęli się na bok. Griff przystanął, by dokładnie obejrzeć wzniesioną naprędcę konstrukcję. Miała dwie wyraźnie widoczne części: śluzę powietrzną i tunel łączący. Obie składały się z ustawionych na wytrzymałych aluminiowych ramach winylowych płyt, które tworzyły przezroczystą barierę. Śluza była dostatecznie duża, by ich wszystkich pomieścić. Jednak tunel, do którego można było się dostać przez winylowe drzwi wewnątrz śluzy, zmuszał ich, by do wejścia do Kapitolu szli gęsiego.

Śluza spełniała jego kryteria bezpieczeństwa, lecz tylko dla drobnoustrojów trzeciego stopnia agresywności lub niższych. Wkładki z pianki neoprenowej uszczelniały połączenia ram.

Zainstalowane pod sufitem filtry powietrza HEPA wytwarzały optymalne podciśnienie. W samej śluzie powietrznej znajdowały się trzy przenośne natryski, których mieli użyć do chemicznego odkażania, zanim będą mogli wyjść na dwór.

Ta prymitywna konstrukcja, zaprojektowana, aby można było wejść do Kapitolu i z niego wyjść, do minimum ograniczając ryzyko wydostania się wirusa, nie spełniała norm bezpieczeństwa dla laboratorium przystosowanego do pracy z bardzo agresywnymi organizmami. Mimo swoich zastrzeżeń Griff uznał, że ta struktura jest lepsza niż żadna – i najlepsza w zaistniałych okolicznościach.

W śluzie użył miernika liczby mikronowych cząstek substancji zanieczyszczających unoszących się w powietrzu, którego wcześniej zażądał.

Uzyskawszy trzy zadowolające odczyty, otworzył drzwi uszczelniające służę od strony tunelu. W drodze na zewnątrz każdy z nich będzie musiał wziąć dwudziestominutowy prysznic chemiczny, po którym Griff znowu zmierzy wskaźnik czystości powietrza. Trzy kolejne bezpieczne wskazania miernika sprawią, że zaryzykuje otwarcie drzwi zewnętrznych służy.

Proste jak drut.

– Wejście do Kapitolu od strony centrum informacji dla zwiedzających powinno być otwarte – krzyknął sierżant Stafford. Griff ledwie go słyszał w głośnym szumie zainstalowanych pod sufitem tunelu oczyszczaczy powietrza. – Wyjdzie po was prezydencki lekarz, a ludzie z Secret Service zaprowadzą was do prezydenta Allaire’a.

– Przyjąłem – odparł jeden z żołnierzy.

Zespół wszedł gęsiego. Gdy przechodzili przez drzwi centrum informacji, nikt się nie odzywał. W Kapitolu Griff zatrzymał się, oswajając zmysły z nowym otoczeniem. Panowała cisza.

Grobowa cisza.

Z dwuminutowym opóźnieniem pojawiło się czworo agentów – dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Ich miny świadczyły o tym, że nie spodziewali się ujrzeć ludzi w skafandrach ochronnych. Być może chodziło też o podobieństwo Griffa do Unabombera.

– Gdzie jest lekarz? – zapytał sierżant Stafford.

– Zatrzymały go obowiązki. Ludzie zaczynają chorować. Mamy leki i zapasy żywności dostarczone wagonikiem do tutejszej stacji metra.

Griff odwrócił się do agenta.

– Muszę mieć dostęp do tych tuneli, żeby pobrać próbki powietrza. Być może trzeba będzie je szczelnie zamknąć. Nie mamy pojęcia, jak wędruje w nich powietrze.

– Co powoduje ten wirus? – zapytał agent.

– Nic dobrego – odparł Griff.

Agenci przedstawili mu się, ale on nie zwracał uwagi na nazwiska. Przyglądał się im za to w poszukiwaniu oznak napięcia. Potem poprosił ich o pokazanie rąk. U zwierząt poddawanych testom przez Chen w miarę nasilania się infekcji pojawiły się dziwne zaczerwienienia na dłoniach – purpurowe zawijasy lub koncentryczne, przypominające tarcze strzelnicze zmiany skórne. Z czworga agentów tylko jeden z mężczyzn, wysoki i kościsty, miał lekko przyspieszony oddech. Być może zdradzał objawy hiperwentylacji z uwagi na napiętą sytuację, albo w jego ciele rozwijał się wirus.

Od pierwszego kontaktu minęło nieco ponad dziesięć godzin.

– Po co nosicie marynarki? – zapytał Griff. – W tych skafandrach jest nam gorąco, a mamy włączone wentylatory. Wy pewnie się gotujecie.

– Nosimy pod pachą kabury – wyjaśniła jedna z kobiet. – Ludzie są tak zdenerwowani, że nie powinni dodatkowo oglądać uzbrojonych ochroniarzy.

– Jaka temperatura panuje w sali obrad?

– Nie mam pojęcia, ale jest wysoka. Dopiero teraz uruchomiła się klimatyzacja. Już raz wyłączyli. Staramy się utrzymać chłód w sali obrad Izby Reprezentantów i w innych pomieszczeniach. To miejsce pod wpływem ciepła emanującego z ciał zamienia się w saunę.

– Połączcie się natychmiast z kimś przez radio i każcie wyłączyć klimatyzację. Wystarczy, że wokół wszystkich okien w tym starym budynku są szpary. Mówimy tu o wirusach, małych... niewyobrażalnie małych dla większości ludzi. I jak powiedziałem, nie wiemy, jak przepływa powietrze ani jak będą się rozprzestrzeniały zarazki. Nie pomagajmy im wędrować kanałami wentylacyjnymi.

Agent Secret Service przekazał polecenie Griffa drogą radiową i zespół w skafandrach ochronnych oraz jego przewodnicy podjęli na nowo wędrówkę w głąb piekła. Przeszli po wypolerowanej marmurowej posadzce, a potem krótkimi schodami w dół dostali się do Emancipation Hall. Stamtąd, mijając model Statuy Wolności, wspięli się pod schodach do rotundy. Griff nie zwracał specjalnej uwagi na wspaniałości kopuły z kremowo-złotymi torusami, fryzem Brumidiego i jego olśniewającym freskiem u szczytu. Rotunda i, tak naprawdę, reszta Kapitolu stały się jedynie bogato zdobioną trumną. Przeszli pod kopułą w milczeniu, ale przed sobą Griff słyszał głosy. Zgiełk nasilił się, gdy zespół zbliżał się do Sali Rzeźb.

– Nie wszyscy pozostali w sali obrad? – zapytał, przypominając sobie plany gmachu, które studiował w drodze przez Stany.

– Przenieśliśmy część osób. Na rozkaz prezydenta.

– Z uwagi na zróżnicowane poziomy zagrożenia?

– Nikt nam tego nie wyjaśnił. Po prostu powiedzieli, kogo należy przenieść i dokąd.

W skafandrze Griffa można się było ugotować, lecz scena, którą ujrzał w pięknej Sali Rzeźb, zmroziła mu krew w żyłach. Wchodząc między posągi Waszyngtona i Jeffersona, znaleźli się w dużym dwukondygnacyjnym, półkolistym pomieszczeniu pełnym ludzi. Wielu z nich leżało na kocach rozłożonych na porządnie wyfroterowanej czarno-białej posadzce. Inni siedzieli oparci o postumenty z popiersiami bohaterów każdego ze stanów Ameryki.

Ludzie tworzący to żałosne zgromadzenie byli odziani w najlepsze stroje wieczorowe, które częściowo pozdejmowali z siebie pod wpływem skwaru. Griff w pierwszym odruchu pomyślał: oto scena niczym z wojny secesyjnej – tyle że bez

zakrwawionych bandaży i zrobionych własnoręcznie kul.

Sala skąpana była w upiornym blasku przenośnego oświetlenia wzmacniającego światło żyrandoli.

Wzdłuż ściany ustawiono kilka łóżek polowych zajętych głównie przez starsze, podłączone do kroplówek osoby. Koło nich stały wypełnione po brzegi duże pojemniki na śmieci, a obok nich kolumny pudeł, po pięć w każdej, z wykonanym za pomocą szablonu napisem: RACJE ŻYWNOSCIOWE ARMII USA.

Gdy Griff i reszta weszli do sali, ucichły głosy i zapadła grobowa cisza. Wielu uwięzionych ludzi, wynędzniałych, z porozpinanymi koszulami i zmierzwionymi włosami, powoli wstało i śledziło wzrokiem ruchy wirusologa. Po czym, bez uprzedzenia, z obłędem w oczach rzuciła się na niego niewielka, dziesięcio – lub dwunastoosobowa grupa. Niektórzy łapali go za skafander. Inni próbowali dosięgnąć jego maski.

– Co się dzieje? – krzyknęła jakaś kobieta. – Niech nam pan powie!

– Proszę nam pomóc!

– Kim pan jest?

– Na litość boską, zróbcie coś! Wyprowadźcie nas stąd!

Ta gwałtowna reakcja była zupełnie nieoczekiwana. Jedno pęknięcie w skafandrze, jedno mikroskopijne rozdarcie w uszczelce między maską a kapturem i byłby załatwiony. Griff opędał się od nich. Żołnierze i agenci Secret Service, także zaskoczeni, z kilkusekundowym opóźnieniem wdarli się w końcu w ten tłum, odpychając jednych na bok, a innych powalając na ziemię. Agenci wyciągnęli noszoną u boku broń, a dwaj żołnierze puścili w ruch swoje M16, rozcinając lufą twarz nobliwie wyglądającemu dżentelmenowi. Jakaś kobieta podeszła z boku do Griffa. Jej włosy były splątane i mokre od potu, a makijaż spłynął już po policzku.

– Błagam – prosiła – mam syna. Męża. Skoro to tylko wirus grypy, dlaczego nie możemy stąd wyjść?

– Grypy? – powtórzył Griff. – Tak właśnie wam powiedziano?

– Owszem.

Griff zacisnął zęby i przecisnął się obok niej, prowadzony i ubezpieczony z tyłu przez ludzi wyznaczonych do jego ochrony.

– Zaczekajcie – powiedział jeden z żołnierzy za jego plecami.

Odwrócili się ku niemu całą grupą. Był Afroamerykaninem o szerokich ramionach i wąskiej talii sztangisty. Teraz stał nieruchomo z wyciągniętą prawą ręką. Taśma zabezpieczająca nadgarstek została zerwana, a spod uszkodzonego spojenia rękawicy i rękawa widać było skórę.

– Przykro mi – powiedział szeptem Griff, kładąc rękę na ramieniu człowieka,

który prawdopodobnie ocalił mu życie kosztem własnego. – Naprawdę mi przykro.

Żołnierz bez słowa odłożył karabin, obok umieścił swój hełm i z uniesioną głową poszedł z powrotem do Sali Rzeźb.

Przez pewien czas nikt nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Miejmy nadzieję, że jesteś tego wart, kolego – rzekł w końcu jeden z pozostałych. – Miejmy nadzieję.

Grupa została zaprowadzona korytarzem do nieoznakowanych drzwi tuż obok sali obrad Izby Reprezentantów.

– Prezydent czeka na pana w środku – wyjaśnił agent.

Griff odetchnął głęboko i otworzył drzwi. Z miejsca przy biurku stojącym w małym gabinecie wstał James Allaire. Przez jakiś czas dwaj mężczyźni stali w odległości paru metrów, mierząc się nawzajem wzrokiem.

– Okłamuje pan tych ludzi.

– Jestem prezydentem tego kraju, do cholery. Robię to, co uważam za konieczne, żeby utrzymać porządek i chronić obywateli. Liczę na to, że uratuje im pan życie.

– Mylił się pan co do mnie. Wie pan o tym? Nie jestem terrorystą.

– Niech pan więc tego dowiedzie.

Rozdział 17

DZIEŃ 2 8.00 EST

Fasada budynku S&S Trading Co. do złudzenia przypominała inne autokomisys i podupadłe murowane magazyny ciągnące się przez pół kilometra wzdłuż K Street w południowo-wschodnim Waszyngtonie. Doniesienia o spadku liczby aktów przemocy w dzielnicy znanej z wysokiej przestępczości były warte niewiele więcej niż reakcja ustosunkowanej Rady Gospodarczej miasta na stały przypływ łapówek od właścicieli domów czynszowych. Liczba morderstw wzrosła, prostytutka się szerzyła, a przychody z podatków spadały. Coraz głośniejsze domagano się zaprowadzenia porządku w tym rejonie, aby podnieść jego status, zanosilo się więc, że prędzej czy później nastąpi wielka rozprawa z miejscowymi przestępcami.

Ale jeszcze nie tej nocy.

W sytuacji gdy wszystkich policjantów w stolicy wezwano do Kapitolu, patroli w gruncie rzeczy nie było i tutejsi przestępcy, prostytutki oraz alfonsi wylegli tłumnie na ulice. Podstarzałe dziwki i nastoletni dilerzy narkotyków przechadzali się obok S&S Trading Co., nie zwracając uwagi na budynek. Z poziomu ulicy nie widzieli zestawu skomplikowanych anten satelitarnych zainstalowanych na dachu. Za masywnymi rozsuwanymi drzwiami ze stali w nijakim rdzawobrązowym kolorze po przeciwnych stronach składanego stołu siedziało dwóch mężczyzn, paląc cygara, popijając kawę i grając w karty. Mężczyźni, jeden Afroamerykanin, drugi biały, mieli na sobie mundury polowe.

Goła żarówka zwisała z przewodu zawieszzonego metr nad nimi. W snopie jej światła unosił się dym. Z boku mrocznego pomieszczenia siedział trzeci mężczyzna. Żyłasty i śniady, z ładną niegdyś twarzą zeszpeconą efektowną blizną, która biegła od czoła przez łuk brwiowy do prawego policzka. W słuchawkach na uszach, skupiał się na pokrytej kilkunastoma monitorami ścianie.

Obrazy na każdym z ekranów zmieniały się samoczynnie co trzy minuty wraz z towarzyszącym im dźwiękiem. Joystick umożliwiał mężczyźnie korygowanie

kąta i stopnia oddalenia obrazów ukazywanych przez ukryte kamery, które ustawiono w całym gmachu Kapitolu. Kilkoma z nich mógł zrobić najazd na tyle blisko, by odczytać tabliczki z numerami na krzesłach w sali obrad, a kolejne dwie obrócić o trzysta sześćdziesiąt stopni w celu obserwacji chaosu narastającego w Sali Rzeźb.

Przy monitorach było miejsce dla drugiego operatora, ale w tym momencie mężczyzna obsługiwał je sam.

Nagle w głośniku zawieszonym na ścianie tuż nad monitorami rozległy się trzaski, zaskakując mężczyznę, który nazywał się Alex Ramirez. Ramirez, specjalista od elektroniki, który służył w armii na kilkunastu wojnach na całym świecie, zerknął na kamery, które wcześniej zainstalował – teraz monitorujące jego i pozostałe osoby w S&S Trading Company.

– Nie płacę wam, dekownicy, za grę w karty – zagrzmiał bezcielesny męski głos.

– Wracajcie do autokomisu i popracujcie nad sprzętem. Ramirez, gdzie się podział Fink?

Pozostali mężczyźni przestali grać w karty i zwrócili uwagę na monitory, które ich przedstawiały.

– Fink przyciął komara na zapleczu – odparł Ramirez.

– Więc go obudź – warknął głos.

Ramirez okręcił się w fotelu.

– Hej, dekownicy, czy jeden z was może w drodze do komisu obudzić Finka? Powiedzcie mu, że dzwoni Kain.

Ramirez już wcześniej rozpoznał głos Kaina.

– Jeżeli będziecie stosować się do rozkazów – powiedział Kain pierwszego dnia – zostaniecie wynagrodzeni tak, jak ustalił to z wami Matt Fink. Jeżeli zakwestionujecie nasz patriotyzm lub nie zechcecie stosować się do zaleceń, zostaniecie trwale i boleśnie usunięci z tego oddziału i z grona żywych.

Zamontowane na ścianie głośniki znowu przemówiły.

– Ramirez, przejmij ręczną kontrolę nad kamerą numer dziewięć i przygotuj ją dla Finka – rzekł Kain. – Chcę, żeby zobaczył, co się dzieje.

Mężczyzna mówił pewnym, rozkazującym tonem, do którego Ramirez przywykł przez lata służby w różnych armiach.

Kain, Genesis – pięknie. Ramirez jak zwykle zachichotał na myśl o tym, jak jego noszącej Biblię w torebce, mającej obsesję na punkcie Boga matce spodobałaby się jego praca dla ludzi, którzy opierali swą działalność na Piśmie Świętym, a zwłaszcza na Księdze Rodzaju, jej ulubionej części Starego Testamentu. Gdyby tylko matka dożyła pięćdziesiątki.

Biedna naiwna kobiecina.

Po wielu wspólnych misjach Ramirez nabrał pełnego zaufania do swojego przyjaciela Matta Finka. Najpierw jednak omal nie przyplącił gardłem rzuconej mimochodem uwagi o jego nazwisku⁸.

– To nazwisko nosił mój ojciec, a przed nim mój dziadek – powiedział Fink, podnosząc Ramireza jedną ręką, a w drugiej trzymając wielki nóż. – Pierwszy człowiek, którego zabiłem, też uważał, że kpiny z mojego nazwiska to dobry pomysł.

Początkowo Ramirez miał wątpliwości co do tej konkretnej roboty. Po zaciągnięciu się do Genesis przez pewien czas ich nie ujawniał. I wtedy na jego rachunek w szwajcarskim banku trafiła pierwsza wpłata i obawy pierzchły niczym ciemności w dniu stworzenia świata. Uznał, że dopóki te pieniądze będą wpływać, on z ochotą zapali na kolanach pieprzoną świeczkę, jeżeli tego właśnie zażyczy sobie Genesis.

Co ty na to, mamusiu?

W przestronnym wysokim magazynie rozległy się ciężkie kroki Matta Finka. Fink zawsze miał lekki sen i zawsze miał pod ręką jakąś broń – najczęściej nóż myśliwski lub lugera, a czasami jedno i drugie. Ludzie lubili sobie żartować, że kiedyś podczas jakiegoś koszmarnego snu ten olbrzym się zastrzeli i poderżnie sobie gardło. Zanim Fink dotarł do monitorów, był w pełni świadomy i całkowicie czujny. Pomachał ręką do kamery.

– Cześć, Kain, mój staruszk. Co słychać?

– Zdajesz sobie sprawę, co się dzieje w Kapitolu?

– Nie doniesiono mi o żadnych incydentach, które zagrażają naszej misji.

– Ramirez, zrób najazd dziewiątką na tę grupę w skafandrach. Niedawno weszli do budynku.

Ramirez przycisnęła guzik na pulpicie sterowniczym. Monitor opatrzony napisem KAMERA NUMER DZIEWIĘĆ zamigotał, gdy obiektyw automatycznie ustawił ostrość na wyznaczonych celach. Nagranie ukazywało siedem osób w skafandrach ochronnych, przemierzających marmurową posadzkę niczym badacze Księżyca.

– To żołnierze – zauważył Fink. – Spodziewaliśmy się tego. W niczym nie zagraża to naszym staraniom.

– Sześciu z nich jest żołnierzami – odparł Kain. – Ale kim, u licha, jest ten brodac?

Fink zerknął na ekran, po czym pochylił się i sam przejął kontrolę nad kamerą.

– Pozwól, że zrobię mu porządne zbliżenie – powiedział.

– Nie poruszaj sprzętem zbyt gwałtownie. Nie chcę, żeby wiedzieli, że ich obserwujemy, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment.

– Jak sobie życzysz, kolego.

– I przestań nazywać mnie kolegą.

– Pochodzę z pieprzonej Afryki Południowej. Do papieża też byśmy się tak zwracali.

– A tymczasem – dodał Kain – spróbujcie mi wyjaśnić, jakim cudem straciliśmy prezydenta z oczu na ponad trzy kwadransy?

– Pewnie jest martwa strefa, w której nasze kamery nie mogą go zdjąć – zasugerował Ramirez.

– To niemożliwe – odparł Kain. – Kazaliśmy pokryć każdy cal budynku. Ktoś dał ciała.

– Z pewnością nie ty – mruknął pod nosem Ramirez.

– Co?

– Nic, szefie. Przepraszam, że coś przeoczyliśmy.

– Dobra. A teraz pokaż mi twarz tego brodacza.

Fink manewrował i ustawiał kamerę, aż znużone oblicze brodatego mężczyzny stało się bardziej ostre.

– Dobrze. Bardzo dobrze – rzekł Kain. – Możemy użyć oprogramowania do identyfikacji twarzy, żeby dowiedzieć się kto to taki. W razie potrzeby można nawet usunąć brodę. Dostarczymy ci szczegółowe informacje o tym człowieku, gdy określimy jego tożsamość. Mam wrażenie, że już wiem, kim on jest.

– Będziemy czekać – odparł Fink.

– A tymczasem masz tam pojechać i wmieszać się w tłum. Weź z sobą dwóch ludzi. Ramirez będzie miał oko na pana Brodatego... może powinienem powiedzieć doktora Brodatego... i skontaktujemy się, gdy uzyskamy pewne informacje.

– Załatwione, ko... panie Kain.

– Mają aparaty tlenowe zasilane z baterii. Prędzej czy później ten gość będzie musiał wyjść na zewnątrz.

– Możesz liczyć, że wtedy będziemy w pobliżu.

Rozdział 18

DZIEŃ 2

8.15 EST

– W porządku. Jeżeli zrobię co w mojej mocy, żeby znaleźć sposób na unieszkodliwienie tego wirusa, jestem wolny bez względu na to, czy zdołam tego dokonać. Bezwarunkowo. Dobrze zrozumiałem?

– Taka jest umowa – potwierdził prezydent.

– Chociaż pan nadal sądzi, że wykradłem ten wirus z własnego laboratorium.

– Kamery ochrony zarejestrowały kilka doskonałych ujęć pańskiej twarzy za osłoną. Na pańskich butach były cząstki z podłogi na najniższym poziomie laboratorium, a pojemniki znaleźliśmy u pana ukryte w niedawno skonstruowanej skrytce za ścianą sutereny. Sportową torbę, w której przewoził pan pojemniki, znaleziono w szafie wnękowej pańskiej sypialni.

– To nie byłem ja.

Spotkanie z Jamesem Allaire'em odbywało się w sali konferencyjnej, nieoznaczonej na żadnym z planów Kapitolu, które wcześniej oglądał. Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział na prawo od Griffa przy ogromnym mahoniowym stole. Sekretarz obrony Gary Salitas zasiadł z lewej strony, o kilka krzeseł dalej, obok doktor Bethany Townsend i mężczyzny, którego przedstawiono mu jako kapitolińskiego architekta. Pod ścianą za nimi stali dwaj agenci Secret Service, przypuszczalnie gotowi ocalić prezydenta przed terrorystą w niebieskim skafandrze ochronnym. Reszta sali była pusta.

Griff czuł gniew na tego człowieka, który ukradł mu dziewięć miesięcy życia, co doprowadzało mu krew niemal do wrzenia.

– Mamy jakąś szansę? – zapytał Allaire, wyraźnie nie chcąc wdawać się w spór o winę lub niewinność Griffa.

– Gdyby to była grypa, jak wmawia pan tym biedakom za drzwiami, odpowiedź brzmiałaby „tak”. Ale to nie jest grypa.

– Postanowiliśmy wyjawiać fakty stopniowo – wyjaśnił Salitas.

– Stopniowo, mówi pan. Oni chyba nie dali się nabrać na tę bajkę z grypą, panie sekretarzu – odparł Griff.

– Niech pan posłucha – warknął Salitas – jeżeli będzie pan przemądrzałym dupkiem...

– Spokojnie, Gary – wtrącił Allaire. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. – W porządku, doktorze Rhodes, wpakowaliśmy się w prawdziwe tarapaty. Nie mamy zbyt wielu atutów. Tak naprawdę w tej chwili jest pan niemal jedyną naszą nadzieją.

– Przepraszam, jeżeli sprawiam wrażenie trochę wytrąconego z równowagi, panie prezydencie – odparł Griff. – Ale rozumie pan zapewne to, że w tym momencie nie zalicza się pan do moich ulubionych prezydentów.

Salitas wykonał ruch w jego stronę, a ochroniarze zareagowali podobnie, lecz Allaire powstrzymał ich uniesioną dłonią.

– Rozumiem – powiedział. – Niech pan mi powie, doktorze Rhodes. Kiedy... trafił pan do więzienia, jak bliski był pan znalezienia czegoś, co zabiłoby WRX3883 lub przynajmniej powstrzymało ten wirus?

– Powiedziałbym, że podjąłem próbę. Dwukrotnie zbudowałem model komputerowy tego wirusa. Jednak w obu przypadkach coś się zmieniło w drobnoustroju.

– Mutacja.

– Właśnie. Byliśmy po odwróconej transkrypcji, podmianie jednego z enzymów, które ten wirus wytwarza, żeby wspomóc samoreplikację. Gdybyśmy zdołali podać lek, który przerwałby proces tworzenia się tego enzymu, prawdopodobnie moglibyśmy zneutralizować to paskudztwo, zanim zdążyłoby się rozmnożyć.

– Dlaczego miał pan tyle problemów?

– Ten wirus mutuje szybciej, niż mogłem modyfikować transkrypcję. W moim sekwencjonowaniu czegoś brakowało, ale zanim zdołałem stwierdzić czego dokładnie, wyłączył mnie pan z badań. Wiedział pan, że pojedyncze cele we Florence mają dwa i pół metra na dwa i pół metra z toaletą łącznie? To mniej niż długość tego stołu.

– Jak długo będzie pan dochodził do tego, gdzie popełnił pan błąd? – zapytał Salitas przez zaciśnięte szczęki.

– Wiedział pan, że poza strażnikami, którzy podczas bicia pałkami nazywali mnie terrorystą, nikt nigdy mi nie powiedział, dlaczego zostałem uwięziony? Ani centa na telefon z automatu, żadnego adwokata, żadnych przesłuchań. Nic.

– Wystarczy! – warknął Salitas, waląc pięścią w stół.

– Gary, proszę cię. Doktor Rhodes jest na nas zły. Inaczej niż my postrzega naszą odpowiedzialność wobec ludności tego kraju. I w tym momencie ma do tego

prawo. Potrzebujemy go, Gary. Wszyscy go potrzebujemy... Doktorze Rhodes?

– Musimy myśleć o tym, czy, a nie kiedy do tego dojdę – odparł Griff. – Nie wiem, jak działa ten wirus na ludzi. Mieliśmy parę katastrofalnych zakażeń u małego doktor Chen, ale nigdy nie doszło do zarażenia ludzi.

Wymiana dziwnych spojrzeń między prezydentem a sekretarzem obrony trwała tylko chwilę, lecz Griff zauważył to i zaczął się zastanawiać, czy wiedzą o czymś, o czym on nie ma pojęcia.

Odłożył to pytanie na później. Allaire pokazał już, że jest zdolny do kłamstw, jeżeli uzna je za niezbędne. Jego też pewnie nie zawahałby się okłamać.

– A moje laboratorium? W jakim jest stanie? – zapytał.

– Pański pracownik Melvin Forbush pełni w nim funkcję stróża. Właśnie się z nim skontaktowaliśmy. Zaczyna przygotowywać je do użytku.

– Umieszczamy też w laboratorium „Veritasu” ekipę posiłkową wirusologów z CDC – dodał Salitas.

– Odwołajcie ich – odparł szorstko Griff. – Nie potrzebuję cudzych opinii. Potrzebne mi są za to próbki krwi od dwudziestu lub trzydziestu zakażonych nosicieli. Na wszystkich poziomach zakażenia. Wraz z Melvinem, moimi komputerami oraz laboratorium zrobimy to, jeżeli tylko da się to zrobić. To moja praca. Nikogo poza mną nie potrzebujecie.

– Niestety, nie mogę na to pozwolić – odparł Allaire. – Mamy pańskie notatki z laboratorium. Jestem pewien, że nasi naukowcy potrafią je jakoś wykorzystać.

– W takim razie chcę, żeby na czele tego drugiego zespołu stanęła Sylvia Chen.

Ponowna wymiana spojrzeń.

– Hm... Doktor Chen zniknęła... dwa dni po pańskim aresztowaniu – wyjaśnił prezydent. – Od tego czasu nie mamy z nią kontaktu. Podejrzewaliśmy, że może jest pańską współpracowniczką, ale tak naprawdę nie mamy jeszcze żadnych dowodów na poparcie tej tezy.

– Wysłaliście na jej poszukiwanie swoich ludzi? FBI?

– Oczywiście.

– I nadal jej szukają?

– Niektórzy.

– Niektórzy?

– Kilku funkcjonariuszy nadal pracuje nad tą sprawą.

– Psiakrew, to ja spędziłem sporą część życia w betonowym pudle, a wy przestajecie szukać jedynej osoby, która mogłaby...

– Dość się już nasłuchałem! – wybuchnął Salitas, zrywając się na równe nogi i rzucając na Griffa. Policzki mu poczerwieniały, na szyję wystąpiły żyły.

– Gary! Zostaw go, do cholery! Ma prawo być tym wkurzony. Przykro mi,

doktorze Rhodes. Sylvia Chen zniknęła bez śladu, a ja potrzebowałem wszystkich agentów do poszukiwań Genesis.

– Niech pan każe swojemu koledze spędzić parę dni w odosobnieniu w Alcatraz Gór Skalistych – odparł Griff. – I wtedy może mnie atakować, o ile będzie miał jeszcze na to siłę. Wie pan, czego Genesis chce? To jest jakaś grupa czy jeden człowiek?

– Niemal na pewno grupa... najprawdopodobniej krajowa. Nie wiem, jakie mają zamiary poza chęcią siania strachu i niezgody.

– Fanatycy religijni?

– Być może. Zakładamy, że to jacyś fundamentaliści... Więc jak, dogadamy się czy nie?

Griff bazgrał przez jakiś czas na kartce żółtego papieru.

– Ściągnął więc pan uczonych, żeby mieć pewność, że pracuję – rzekł w końcu – oraz wojskowe psy, żebym nie uciekł. Zgadza się?

– Tak – odparł prezydent. – Jestem gotów pana uwolnić bez względu na wyniki pańskich badań, pod warunkiem że nasi ludzie powiedzą mi, że się pan stara. Pełne prezydenckie ułaskawienie.

– A jeżeli odmówię?

– Wtedy wsadzę pana z powrotem do więzienia i gnijąc w nim, będzie pan miał na rękach krew siedmiuset osób.

Wydawało się, że siła słów Allaire'a wstrząsnęła salą konferencyjną.

– W takim razie żądam od pana jednego. Ponieważ tak naprawdę nie ufamy sobie nawzajem, chcę, żeby wszystko, co robię, było dokumentowane przez osobę trzecią... kogoś niezwiązanego z pańską administracją. Jakiegoś reportera. W ten sposób wykluczmy nieporozumienia i potajemne próby zmiany faktów w fikcję. Niech pan potraktuje to jako polisę ubezpieczeniową na swoje słowo.

– Zadzwonię do paru osób.

– Nie ma potrzeby – odparł Griff. – Niech pan ściągnie Angelę Fletcher.

– Reporterkę z działu naukowego „The Post”? – upewnił się prezydent.

– Przesyłała już relacje ze stref skażenia.

Allaire i Salitas naradzili się po cichu i przystali na propozycję Griffa.

– Zobaczę, czy uda się nam ją odnaleźć.

Griff przypomniał sobie scenę przed Kapitołem, zamieszanie w gromadzącym się tłumie i bezcielesny kobiecy głos wykrzykujący jego imię.

– Nie trzeba jej szukać, panie prezydencie – powiedział. – Sądzę, że w tej chwili jest przed Kapitołem.

Rozdział 19

DZIEŃ 2

10.30 EST

– Wiedziałałam, że to ty! – zawołała Angie. – Wiedziałałam! Griff był przy tym, gdy wchodziła do Kapitolu przez służbę powietrzną. Towarzyszący mu żołnierze utrzymywali pełen szacunku dystans.

– Witaj w piekle – odparł, ujmując jej okryte rękawicami dłonie.

– Mało brakowało, a nie wzięłabym z sobą lornetki, ale w ostatniej chwili wrzuciłam ją do torby. Wystarczyło tylko dobrze się przyjrzeć twojej twarzy i już wiedziałam, że to ty, mimo tej wieśniackiej brody.

– To długa historia.

Przez osłonę oczu w butylowym kapturze jej skafandra Griff zobaczył, że jest jeszcze piękniejsza niż kobieta z jego wspomnień... cudowna cera, zmysłowe, wydęte buńczucznie wargi, aksamitne ciemnobrązowe oczy. Trudno było uwierzyć, że od ich pierwszego spotkania w Kenii minęło dwanaście lat. Musiała być wtedy jeszcze dziewczyną.

– Jeżeli ty tutaj jesteś, to sytuacja musi być naprawdę dramatyczna – zauważyła.

– Gorsza, niż możesz sobie wyobrazić.

Angela położyła dłoń na jego rękę.

– Czegokolwiek od ciebie chcę, wiem, że potrafisz to zrobić. Cieszę się, że wróciłeś do gry.

Temperatura w skafandrze Griffa podniosła się o kilka stopni.

„Wiem, że potrafisz to zrobić”.

Dokładnie te same słowa słyszał z jej ust już wcześniej. Najpierw w Afryce, a potem, wiele lat później, znowu na swojej łodzi mieszkalnej w Keys.

„Wiem, że potrafisz to zrobić”.

Angela Fletcher zawsze wierzyła w niego bardziej niż on sam w siebie. Nigdy jej tego nie powiedział i przypuszczalnie nigdy nie powie, ale była jedyną kobietą, którą kochał.

Brezentowy plecak Angie zawierał zestawy do pobierania próbek krwi. Przez jedno ramię przewiesiła lekką kamerę wideo i cyfrową lustrzanę, czyli wszystko, czego zażyczył sobie Griff.

– Jak skafander, dziecinko? – zapytał.

– Trochę w nim niewygodnie, ale jakoś to zniosę.

– Z początku jest dość klaustrofobicznie. Ale masz jeszcze czas się wycofać, jeżeli się boisz. Wierz mi, nikt, a tym bardziej ja, nie będzie miał ci tego za złe.

– Jestem reporterką. To jest temat stulecia. Nigdzie nie pójdę. Poza tym może mogłabym w czymś pomóc.

– Już pomogłaś.

– Powiesz mi, o co chodzi z tą brodą?

– Gdy będziemy mieli czas. Czy pobierałaś kiedyś krew?

– Zanim zrezygnowałam z kursu przygotowawczego na medycynę, pobierałam krew w college'u. Ale chyba nigdy nie robiłam tego w niewygodnych rękawicach.

– Mamy prezydenckiego lekarza do pomocy, zobaczymy też, czy jest tutaj jakiś sanitariusz wojskowy. Ja mogę zająć się resztą. Na wypadek, gdybyś się nie domyśliła, informuję, że dziury w tych skafandrach są bardzo niepożądane. Przejdźmy się.

– Więc co wiesz o tym wirusie? – zapytała Angie. – I jak tutaj trafiłeś? O ile pamiętam, to gdy znalazłam cię na tej twojej łodzi, zaklinałeś się, że wykończyło cię spotkanie z ebolą i że dałeś sobie spokój z wirusami.

– Wszystko się może zdarzyć, ludzie się zmieniają – odparł.

Mijał kolejny dzień w niekończącym się ciągu wędkowania, drzemek i kolejnych porcji bourbona, gdy Angie zjawiała się na pokładzie *Sanktuarium*, sześćdziesięciostopowej łodzi mieszkalnej marki Sumerset w kolorze mchu, którą Griff kupił na aukcji Drug Enforcement Agency i zakotwiczył w niewielkiej sennej marinie w Key Largo. Minęło siedem lat od ich pierwszego spotkania w Kenii – sześć lat i dziewięć miesięcy, odkąd Griff, nie wdając się w wyjaśnienia, zakończył ich namiętny romans i wyjechał w poszukiwaniu źródła śmiertelnej gorączki Lassa.

Angie przybyła do Afryki z zadaniem zrobienia reportażu o łowcach wirusów dla „Science Time Digest”. Artykuł w końcu został opatrzony tytułem *Kowboje z dżungli*. Była młoda, piękna, bystra i żądna przygód. Pełny zestaw. Trudno powiedzieć które z nich zakochało się szybciej... i mocniej. Nagła dezercja Griffa była chyba równie zaskakująca dla niego, jak i dla niej, chociaż on dość szybko zrozumiał przyczynę.

Po ponadtygodniowym oczekiwaniu na jego powrót lub przynajmniej jakiś kontakt Angie wyjechała do Stanów. Znajomi powiedzieli mu, że wyjeżdżała zraniona i zła, nie wiedząc, dlaczego opuścił ją w taki sposób.

Griff drzemał na rufie *Sanktuarium*, gdy Angela weszła na pokład, niosąc kwiatek w doniczce, i zapukała w ścianę mesy.

– „Nie chodzi o ciebie, ale o mnie” – powiedziała. – Nie mogłeś wykazać trochę więcej inwencji?

Griff poczuł ucisk w gardle.

– Twórcze pisanie nigdy nie było moją najmocniejszą stroną – zdołał wykrztusić, wdzięczny losowi, że na stole stała napełniona do połowy szklanka bourbona.

– Chyba nie.

– Wiem, że to trochę spóźnione, ale wierz albo nie, że jest mi przykro.

Usiadła obok. Jej zapach przyprawiał o zawrót głowy.

– Kilka tygodni temu pracowałam nad artykułem o wypadku z ebolą i od jednego z kowbojów, z którymi robiłam wywiady, dowiedziałam się, co ci się przytrafiło.

– Drobiazg... Wyszłaś za męża?

– Zaręczyłam się. A ty?

– Lubię tu sobie siedzieć, wędkować i pić. I oglądać, jak słońce wędruje po niebie. Myślę, że kobiety oczekują zwykle od męża czegoś więcej.

– Bałeś się, że umrzesz. I dlatego właśnie odszedłeś ode mnie, prawda?

– Prawie. Nigdy nie bałem się śmierci. Bałem się tego, jak moja śmierć wpłynie na ciebie. Nie zasłużyłaś sobie na to.

– Mogłeś mnie wtajemniczyć.

– Uważałem inaczej. Zawsze byłem skazany na porażkę. To było tylko kwestią miejsca i czasu oraz tego, ile ze mnie zostanie, gdy walka się skończy.

– Kiedyś powiedziałeś, że dążysz do perfekcji. Nie do końca wiedziałam, co to znaczy.

– Ale teraz wiesz.

– Tak, chyba tak.

– Powinienem być zostać toreadorem – zauważył, ciskając w zamyśleniu kamyk do nieruchomej wody. – Miałbym większych przeciwników.

– Ale wtedy musiałbyś zabijać byki, a przecież nie uśmiercasz zwierząt.

– Usypiałbym je śpiewem.

Rozmawiali przez całą noc i część następnego dnia. Angie pracowała nad artykułem dla „The Post” o badaczach, którzy nie przeprowadzali doświadczeń na zwierzętach, a mimo to uzyskiwali wyniki. Nowatorski referat Griffa na ten temat był przywoływany w bibliografiach częściej niż jakikolwiek inny.

Zanim zebrała notatki i przygotowała się do powrotu na lotnisko w Miami, Griff dał jej dość materiału na cały cykl artykułów. W przerwach między zapisywaniem kolejnych stron wyjątkowo nieczytelnymi znakami stenograficznymi zdołała

wysprzątać kuchnię, zmienić pościel, złowić rybę, sprawić ją i ugotować we wrzątku razem z zawartością kilku niemal pustych pudełek i mieszanką resztek z lodówki.

– Czemu tak długo trzymasz się z dala od laboratorium? – zapytała, pakując teczkę.

– Jest w nim zbyt niebezpiecznie. Wirusy są jak słonie... nie zapominają.

– Daj spokój, Griff. Pytam poważnie. Jesteś potrzebny ludziom. I nauce.

– A tobie nie?

– Cholera, nie utrudniaj sprawy. Kocham wspomnienia tego, co nas łączyło. Nie chcę być zmuszona odsuwać ich od siebie.

– Przepraszam.

– Możesz wrócić do swoich badań. Wiem, że potrafisz. Dlaczego nie widzisz, jak wiele masz światu do zaoferowania?

– Nie wiem. Przypuszczam, że otarcie się o śmierć zwykle wpływa na człowieka. Podczas pobytu w Afryce miałem wrażenie, że jestem całkowicie przygotowany na to, co nieuchronne. Chyba jednak nie byłem.

– Nie miałeś spędzić życia w ten sposób. Jeśli potrzebujesz pomocy, to poproś o nią, do cholery. Zażywaj leki, jeśli musisz. Ale nie pozbawiaj nas wszystkich tego, co w sobie masz... zwłaszcza swojej odwagi.

Griff potem myślał codziennie o jej wizycie. Obiecał, że zadzwoni do Angie i da jej znać, co się dzieje, ale nigdy tego nie zrobił. Mimo to w momencie gdy zeszła z pokładu jego łodzi i odjechała, poczuł, że coś zaczyna się w nim zmieniać.

– Wezmę ten plecak, Angie – powiedział.

Plecak, wypełniony zestawami do pobierania krwi, nie ważył dużo, ale ograniczona swoboda ruchów w skafandrze sprawiała, że był nieporęczny. Angie przeszła za Griffem przez Salę Wyzwolenia, z żołnierzami tuż za sobą. Marsz kosmitów. W tym czasie on robił, co mógł, żeby opisać okoliczności, które doprowadziły do tej chwili, szczególnie zaś dziewięć przerażających miesięcy spędzonych w pojedynczej celi za coś, co najwyraźniej zostało ukartowane.

Jej bliskość oszałamiała go, tym bardziej że dowiedział się, iż niedługo po wyjeździe z Keys w końcu pogodziła się z tym, że nie kocha swojego narzeczonego, i zerwała zaręczyny.

– I co się potem stało?

– Niewiele. Stałam się wzorem seryjnej monogamii. Ale, jak zawsze, pozostaję wieczną optymistką.

Gdy zbliżali się do Sali Rzeźb, serce Griffa zaczęło bić szybciej. Postanowił wyjawić jej swoje uczucia... kiedy tylko nadejdzie stosowny moment.

Pod ścianą na lewo od nich kapitolinscy policjanci sortowali wygodną odzież,

przypuszczalnie z miejscowych domów towarowych, przygotowując się do jej rozdzielania.

– Uprzedzam, że to nie będzie przyjemny widok. Ludzie są bardzo zaniepokojeni. Niektórzy już zaczynają chorować. Wcześniej jedna grupa rzuciła się na mnie i rozdarła skafander jednemu z moich ochroniarzy. Po prostu bądź czujna i idź przed siebie. Jeśli spróbują się do ciebie zbliżyć, zatrzymamy ich.

Jeżeli nawet je słyszała, to nie zareagowała na jego słowa. W chwili gdy przeszli sklepionym przejściem z posągami Jeffersona i Waszyngtona po bokach, zwolniła kroku i zatrzymała się tuż za progiem rozległej sali.

– Nie rozpraszaaj się! – przypomniał szeptem Griff. – Idź dalej. Idź dalej, do cholery!

Lecz ona pozostała na miejscu, lustrując wzrokiem przerażającą i żalną scenę. Patrzyła na ludzi rozłożonych na podłodze i tych opartych plecami o ścianę. Potem uklękła obok zrozpaczonej kobiety. Czterdziestoparoletnia i chyba dość ładna kobieta miała na sobie czarną suknię wieczorową, którą rozdarła w różnych miejscach w obronie przed męczącym ciepłem emanującym z ciał stłoczonych w sali ludzi. Duża ametystowa broszka spinająca dekolt sukni była otwarta. Kobieta siedziała oparta plecami o ścianę i szlochała spazmatycznie.

Najwyraźniej nie dbając o swoje bezpieczeństwo, Angie kawałkami materiału starła jej pot i makijaż z twarzy, przyglądziła włosy, po czym ku przerażeniu Griffa zręcznym ruchem zapięła broszkę.

– Jesteśmy tu, żeby wam pomóc na tyle, na ile tylko możemy – wyjaśniła cicho.

Kobieta odzyskała resztki panowania nad sobą.

– Jestem przerażona – powiedziała, łkając.

– Wiem. Wszystko będzie w porządku. Jak się pani nazywa?

– Emily. Emily Wells. Mój mąż jest kongresmenem z Utah. Pierwsza kadencja. Zachorował i dał mi swój bilet.

– Cóż, Emily, może spróbujesz pomóc innym. Dzięki temu czas będzie szybciej płynął. Nazywam się Angela Fletcher, jestem z „The Post”. Ten mężczyzna ze mną to światowej sławy wirusolog. Jest tutaj, żeby pomóc rozgryźć cały ten problem. – Angie wzięła kobietę za rękę. – Bądź silna. Wielu ludzi pracuje, żeby was stąd wydostać.

– Dzię...ki.

Angie pomogła Emily Wells wstać i zaprowadziła ją do miejsca, gdzie kilka innych osób wydawało żywność.

Griff spostrzegł, że część z tych, którzy zbliżali się do nich z lewej strony, znajdowała się w grupie, która wcześniej się na niego rzuciła. Szybko odciągnął stamtąd Angelę, ale zdążyła jeszcze uspokajająco poklepać kilka osób po ramieniu

i pomóc starszemu zdezorientowanemu mężczyźnie znaleźć butelkę z wodą. Żołnierz, któremu rozerwano skafander, wkroczył do akcji i pomógł zapanować nad sfrustrowanym tłumem.

– Świetnie sobie pani radzi – pochwalił Angie w odpowiedzi na jej niezadane pytanie.

– Pamiętaj, co mówiłem – przypomniał jej błagalnie Griff, gdy wycofali się z sali. – Nie rozpraszaaj się.

– Tylu ich jest.

– To tylko jedna z trzech sal. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby im pomóc, Angie, ale nie będziesz mogła pomóc nikomu, jeżeli rozedrą ci skafander, tak jak rozdarli temu biednemu żołnierzowi. A teraz zobaczymy się z Allaire'em.

– Co takiego mu powiedziałaś, żeby mnie ściągnął?

Zostali wprowadzeni do poczekalni przy Schronie.

– Powiedziałem, że będziesz tutaj w roli bezstronnego obserwatora, żeby udokumentować moje poczynania. Nasza umowa przewiduje, że nawet jeśli nic nie wymyślę, ułaskawi mnie, o ile poinformujesz, że zrobiłem, co w mojej mocy.

– Nie jestem w pełni bezstronna, doktorze Rhodes. Czy on wie o nas? To znaczy o naszej przeszłości.

– Nie. Powiedziałem mu tylko, że nasze drogi się już spotkały i że dysponujesz potrzebną mi wiedzą, a poza tym masz wyższe niż on wskaźniki aprobaty społecznej.

– Więc on nic nie wie?

Griff zerknął na żołnierzy i zyskał pewność, że są zbyt daleko, by ich usłyszeć.

– Nie. Wierz mi, ma poważniejsze zmartwienia.

W tym momencie ściana Schronu rozsunała się i wyszedł z niego prezydent Allaire. Wyglądał na wyczerpanego.

– Panno Fletcher, miło mi – rzekł, wyciągając do niej dłoń, a potem przedstawiając ją Gary'emu Salitasowi. – Przez lata często korzystałem z pani pracy... zwłaszcza jako lekarz i trochę maniak naukowy.

– Dziękuję, panie prezydencie.

– Nadal widuje się pani z tym lobbystą z branży ubezpieczeniowej? Collins, prawda? Bill Collins?

Angie pobladła na myśl, że prezydent zna takie szczegóły z jej życia osobistego.

– Przestaliśmy się... spotykać przed kilkoma miesiącami. Skąd pan wie...?

– Pani przyjaciel doktor Rhodes stał się obiektem zainteresowania naszego rządu, gdy zaczął pracować nad ściśle tajnym projektem wirusologicznym. Po czym, dziewięć miesięcy temu, gdy został nagrany na taśmie wideo, jak kradnie pojemniki z wirusem, który w końcu miał nas wpakować w to bagno, stał się

obiektem, jak mawiam, najwyższego zainteresowania. Wiemy o nim więcej, niż on przypuszczalnie wie o sobie, ponieważ zaś jest pani znaną postacią medialną kojarzoną z doktorem Rhodesem, dołożyliśmy starań, aby panią też poznać.

– Cóż – odparła Angie, uświadamiając sobie, że Allaire posyła zarówno jej, jak i Griffowi wyraźne ostrzeżenie – jest to dla mnie trochę niepokojące.

– Proszę się nie martwić, panno Fletcher. To właśnie wiedza o ludziach, z którymi mamy do czynienia, zapewnia siłę naszemu rządowi. Ludzie, którym płaci się, żeby to dla nas robili, to specjaliści. Gdybyśmy musieli, pewnie moglibyśmy sfotografować to, co doktor Rhodes zjadł na śniadanie w dniu pani ostatnich urodzin, które wypadają... – Allaire sprawdził na kartce z notatkami leżącej na stole przed nim – ...dwudziestego dziewiątego maja. Wiemy też o waszym wspólnym pobycie w Afryce, a także o pani wizycie przed kilkoma laty na jęgu łodzi w Key Largo. Zbierała pani informacje do artykułu i została na noc.

– Nie podoba mi się to – odparł Griff, czując pod kapturem gorący rumieniec na twarzy.

Allaire skierował na niego stalowe spojrzenie.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co się panu podoba, a co nie. Dla mnie na razie jest pan terrorystą, który z jakiegoś powodu przedłożył swój interes nad interesy swojego kraju. Sądzi pan, że mógłby po prostu wybrać kogoś na naszego informatora, a my byśmy go ot tak, beztrąsko tu zaprosili? Wiemy o panie Fletcher wystarczająco dużo, by wierzyć, że w odróżnieniu od pana przedłożył potrzeby i bezpieczeństwo kraju nad swoje własne. Mylę się co do tego, panno Fletcher?

– Nie, panie prezydencie – odparła Angie z niewzruszonym przekonaniem. – Nie myli się pan. Moje informacje dla pana będą relacją z tego, co naprawdę się dzieje. Chcę jednak podkreślić, jak nieprzyjemnie jest się dowiedzieć, że moje życie zostało do tego stopnia prześwietlone przez rząd mojego kraju.

– Zastrzeżenie odnotowane – odparł lekceważąco Allaire. – W porządku zatem, panie Rhodes. Mam nadzieję, że jasno określiłem kroki, jakie jestem skłonny podjąć w interesie bezpieczeństwa narodowego. Z tą myślą daję panu jedną i tylko jedną przestrożę: jeżeli chce pan trzymać się z daleka od więziennej celi we Florence, niech pan już więcej mnie nie wkurwia.

Rozdział 20

DZIEŃ 2

12.30 EST

Zdaniem Ursuli Ellis jedyny wirus zatruwający Kapitol stał wsparty rękami na mównicy w sali obrad Izby Reprezentantów. Spoglądała gniewnie na Jima Allaire'a ze swojego miejsca na trybunie i czuła nienawiść do tego człowieka działającego na najwyższych obrotach. Odwróciwszy spojrzenie, nawiązała kontakt wzrokowy z Lelandem Gladstone'em, który był już na stanowisku. Jej bliski współpracownik dyskretnym uniesieniem kciuka zasygnalizował, że panuje nad sytuacją. Usiłowała ukryć uśmiech. Skinęła głową na znak, że otrzymała jego komunikat.

Już niebawem – pomyślała. Już niebawem.

Allaire nakazał trzystu osobom przetrzymywanym wbrew woli w sali obrad Izby Reprezentantów, by ponownie usiadły na swoich miejscach, i Ellis ucieszyła się, widząc, że stracił swój zwykle niewzruszony spokój. Twarz miał szarą i wynędzniałą. Nastroje w sali odzwierciedlały jego gwałtownie słabnącą popularność.

– Obiecałem, że przekażę wam najświeższe informacje, gdy tylko je otrzymam – powiedział do mikrofonu. – W tym momencie na miejscu jest zespół specjalistów od wirusa, z którym zapewne mieliśmy kontakt.

Jakiś senator zerwał się na równe nogi.

– Powiedział pan „zapewne”, panie prezydencie. Czy są co do tego jakieś wątpliwości? Czy to wszystko mogło być niepotrzebne?

Jego pytanie rozzłościło Allaire'a, który przez chwilę szukał odpowiednich słów, po czym się poprawił:

– Niemal na pewno mieliśmy z czymś kontakt. Jednak charakter tego patogenu wciąż budzi wątpliwości. Trwa hodowla i podejmowane są inne próby ostatecznego określenia rodzaju zarazka.

Ellis przyklasnęła w duchu przedstawicielowi Dakoty Południowej, że zadał

pytanie, które od dawna chodziło jej po głowie. Allaire paplał dalej. Półprawdy i zwyczajne kłamstwa.

– Skafandry ochronne, które widzieliście, są używane jako środek zabezpieczający – wyjaśnił prezydent w odpowiedzi na czyjeś pytanie. – Oprócz przebadania niektórych z was zespół specjalistów pobierze próbki krwi. Pomogą one stworzyć harmonogram wypuszczenia was stąd. Zanim pozwolimy na opuszczenie Kapitolu, musimy mieć pewność, że nie ma powszechnego zagrożenia dla zdrowia ludzi. Tymczasem pracujemy nad demontażem foteli, żeby lepiej rozłokować miejsca do spania. Ponieważ do łazienek ustawiają się długie kolejki, będziemy także dostarczać przenośne toalety.

– A co z kontaktem z naszymi rodzinami? Mój telefon komórkowy jest bezużyteczny. Co wy, u diabła, wyprawiacie?... I dlaczego?

Mężczyzna stał na fotelu, wymachując wyzywająco aparatem. Tłum nagradzał go burzliwymi oklaskami, dopóki nie został pospiesznie poskromiony przez dwóch agentów Secret Service. Najwyraźniej nie powiedziano im, że w komórkach, których jeszcze nie skonfiskowali, zablokowana została transmisja sygnału. Ursula z przyjemnością obserwowała, jak agenci wyrywają senatorowi telefon z ręki.

Nastroje w Kapitolu się pogarszały. Wszyscy chcieli się stamtąd wydostać – wszyscy z wyjątkiem, być może, Ellis, której zależało, by Allaire nadal więził ten tłum. Zgodnie z politycznym abecadłem im bardziej ludzie czują się uciskani, tym łatwiej ich przeciągnąć na swoją stronę. Ujawnienie prawdy o tym człowieku stanowiło jej obowiązek, a rosnąca paranoja Allaire'a była wodą na jej młyn.

– Rozumiem, że bardzo martwicie się o swoje rodziny – rozwodził się Allaire. – Pracujemy nad tą sprawą, ale to trochę potrwa. Bądźcie pewni, że mój personel w tej chwili kontaktuje się z waszymi rodzinami, informując je o sytuacji i donosząc o moim zobowiązaniu, że rozwiążemy ten kryzys tak szybko i sprawnie jak to możliwe. Niebawem będziecie mogli sami dzwonić. Pracujemy nad zorganizowaniem łączności telefonicznej i sprowadzeniem leków dla tych z was, którzy ich potrzebują. Ze względu na wymogi bezpieczeństwa narodowego nie możecie podzielić się wszystkimi informacjami.

Ellis się wzdrygnęła. To jest Ameryka, do cholery, a nie jakaś dyktatura z bananowej republiki. Żona i córka Allaire'a siedziały naprzeciw niego w sali obrad, spoglądając na niego z miłością. Ellis zastanawiała się, jaki wyraz odmaluje się na ich twarzach za parę minut.

– Wiem, że nie takich informacji oczekiwaliście – ciągnął prezydent. – Pewnie mieliście nadzieję, że powiem, iż kryzys minął i możemy już wszyscy wyjść. Z najgłębszym żalem informuję, że tak nie jest.

Nadeszła pora. Leland Gładstone wstał i podniósł rękę. Serce Ellis zabiło

szybciej w reakcji na przyływ adrenaliny.

– Panie prezydencie! – zawołał Gladstone. – Znalazłem w toalecie leki należące do senatora Harlana Mackeya. Poszedłem mu je oddać, ale nie mogłem go tutaj znaleźć. Czy został przeniesiony do innej części Kapitolu?

Ellis słyszała własny oddech. Zastanawiała się, jaki los może spotkać Gladstone’a w konsekwencji tego, co niebawem miało się wydarzyć. Cokolwiek Allaire mógł zrobić jej współpracownikowi, ona dopilnuje, by to naprawić.

– Owszem, senator Mackey został przeniesiony – odparł Allaire. – Może pan dostarczyć te leki mojemu lekarzowi, doktor Bethany Townsend, a ona zadba o to, by je dostał.

– To dobrze – rzekł Gladstone. – Więc film, którym dysponuję, nie przedstawia senatora Mackeya.

Ellis przepełniło takie samo uczucie dumy, jakiego doznawała, ilekroć jej utalentowane dzieci wyróżniały się w czymś szczególnym. Allaire zachwiał się, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Jaki film?

– Pokażę panu.

Gladstone włączył projektor cyfrowy, który wcześniej ukrył pod fotelem. Znalazł go w zamkniętej na klucz szafce w galerii dla prasy, dokładnie tam, gdzie miał być zdaniem Ursuli. Sean O’Neil dostarczył jej klucz, a Gladstone znalazł również kabel do podłączenia projektora do swojego blackberry. Sztylet światła wbił się w boczną ścianę sali obrad. Ziarnisty obraz przedstawiał pasaż prowadzący do wschodniego wyjścia z Kapitolu.

– Co to jest? Co to ma znaczyć? – zagrzemiał poczerwieniały Allaire.

Gladstone zbliżył się do sedna.

– W początkowym zamieszaniu po wybuchu ładunków trafiłem jakoś na pierwsze piętro Kapitolu. Filmowałem to pandemonium, gdy... cóż, gdy stało się to.

Gladstone wskazał prowizoryczny ekran, na którym teraz ukazał się mężczyzna wchodzący w kadr. Mężczyzna zrobił kilka kroków naprzód. Szedł odwrócony plecami do kamery, lecz blask księżycy i ulicznych latarni po obu stronach pasażu sprawiały, że był skąpany w przyćmionym świetle. Ci, którzy znali Mackeya, mogli z łatwością rozpoznać jego sylwetkę.

Mackey zrobił jeszcze jeden krok, po czym zatrzymał się i okręcił na pięcie tak, że stanął twarzą do obiektywu kamery Gladstone’a. Obraz był nieostry, lecz niektórzy zgromadzeni wydali stłumione okrzyki na widok znajomej twarzy senatora. Ten wykrzyknął coś, ale nagranie było pozbawione dźwięku. Kamera w telefonie Blackberry powędrowała w dół, by ukazać, jak mężczyzna

bezsukutecznie próbuje otworzyć zatrzaśnięte drzwi.

– Przerwijcie to natychmiast! – zawołał Allaire.

Kilku agentów Secret Service rzuciło się ku Gladstone'owi.

Mackey zrobił krok naprzód i uniósł ręce, żeby zasłonić twarz. W chwili gdy agenci dotarli do projektora, głowa senatora odskoczyła do tyłu. Z dziury wielkości cytryny, która pojawiła się z tyłu jego czaszki, trysnęła krew. Obraz poruszył się gwałtownie i pociemniał.

Agenci wyrwali Gladstone'owi projektor i spojrzeli z zakłopotaniem na prezydenta w oczekiwaniu na wskazówki.

Ursula Ellis potraktowała to jako sygnał do działania. Zerwała się na równe nogi i sięgnęła po mikrofon.

– Panie prezydencie – zagrzmiął jej mocny głos – sądzę, że nadszedł czas, by powiedział nam pan prawdę.

Rozdział 21

DZIEŃ 2

13.00 EST

James Allaire i jego doradcy otrzymali celny cios.

Żegnany chóralnymi okrzykami oburzenia tych, którzy oglądali zabójstwo Harlana Mackeya, prezydent opuścił salę w otoczeniu agentów Secret Service. Wcześniej przez mikrofon obiecał wszystko wyjaśnić, lecz jego słowa niemal utonęły w zgiełku.

W chwili gdy zszedł z mównicy, rozkazał Seanowi O’Neilowi zatrzymać zarówno Gladstone’a, jak i Ellis na przesłuchanie. Gary Salitas stanowczo sprzeciwił się tej decyzji.

– Robiąc to, podzielisz ludzi na obozy – ostrzegł – i to nie tylko według przynależności partyjnej. Jeżeli odizolujesz Ellis, dasz jej znacznie więcej władzy.

Allaire mruknął coś pod nosem i zapytał:

– Cóż więc mam zrobić?

Salitas potwierdził swoją lojalność, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu prezydenta.

– Proponuję, byśmy znaleźli sposób na wyjaśnienie tego, co ten smarkacz właśnie pokazał. Ale postępuj ostrożnie, Jim. Ursuli Ellis nie należy lekceważyć.

Allaire niechętnie uchylił swój rozkaz, po czym stłumił gniew na przewodniczącą Izby Reprezentantów i wrócił ze swoim zespołem do Schronu. Były inne pilne sprawy, na których musieli się skupić.

– Twierdzisz więc, Hank – rzekł do szefa kapitoliińskiej policji – że ponownie sprawdzisz, czy na oficjalnej liście obecności nie ma śladu ewentualnych oszustw.

Tomlinson skinął głową.

– Tak, panie prezydencie.

– I nie znalazłeś żadnych nieprawidłowości, nic niezwykłego.

– Zgadza się – odparł Tomlinson.

– A kamery ochrony? Sugerujesz, że odtworzenie ich zapisu nie wykazało

podejrzanych działań w sali obrad przed rozpoczęciem mojego orędzia.

Tomlinson znowu skinął głową.

– Tak, panie prezydencie. Nie było żadnych podejrzanych działań.

Allaire zacisnął zęby. Czuł, jak rośnie jego złość na Tomlinsona, i odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić. WRX3883 mógł wywołać nieodpowiedzialne zachowanie, a nawet gwałtowną agresję. Czy był po prostu zdenerwowany brakiem postępu w poczynaniach Tomlinsona, czy też doświadczał zmian fizjologicznych? Zadrzał na myśl o takiej ewentualności. Ukradkiem spojrzął na swą dłoń w poszukiwaniu charakterystycznych plamek.

Ani śladu.

Cóż by zrobił, gdyby się nagle pojawiły?

– Co nam pozostaje, Hank? – zdołał zapytać. – Nie mamy przecież do czynienia ze zjawami. To terroryści z krwi i kości. Musimy wiedzieć, jakie nasze słabe punkty wykorzystali. Może w ten sposób ich namierzemy.

– Mój zespół jest otwarty na sugestie, panie prezydencie – odparł Tomlinson. – Chcemy schwytać tego, kto to zrobił, tak samo jak wszyscy tutaj obecni.

Kamery monitorujące przestrzeń na zewnątrz Schronu zarejestrowały przybycie Rhodesa i Fletcher wraz z towarzyszącymi im uzbrojonymi mężczyznami. Allaire dał znak Salitasowi, by wpuścił ich do środka. Griff i Angie weszli, niosąc skrzynki z – jak przypuszczał Allaire – próbkami krwi. Za nimi do tajnego pokoju wlało się morze niebieskich skafandrów. Na kilka pełnych napięcia chwil szum aparatów oddechowych zakłócił panującą ciszę.

– W jakim stanie jest grupa C? – zapytał Allaire.

Wirusolog odwrócił się do prezydenta. Chociaż twarz Griffa częściowo skrywały osłona i gęsta broda, Allaire dostrzegł w jego oczach przygnębienie.

– Zaczynają mieć widoczne trudności z oddychaniem i objawy dezorientacji – wyjaśnił Griff. – Ofiar nie ma, ale na to jest jeszcze za wcześnie.

– A admirał Jakes? – zadał pytanie prezydent.

– Nie czuje się dobrze. Wszyscy marnie się czują.

– Dziękuję.

Griff zawahał się przez chwilę, po czym dodał:

– Słyszałem o tym, co się wydarzyło w sali obrad. O nagraniu wideo...

Allaire uniósł dłoń.

– Nie teraz, doktorze Rhodes – powiedział. – Próbuje rozgryźć, jak ci terroryści wnieśli pojemniki z wirusem do Kapitolu. Pan najlepiej zna ten wirus. Ma pan jakieś teorie na ten temat?

– Sam próbowałem do tego dojść. Muszę wierzyć, że jest jakiś związek między uzyskaniem WRX3883 przez Genesis a wrobieciem mnie w jego kradzież. – Griff

zrobił pauzę. Przez moment patrzyli na siebie z zażenowaniem, po czym mówił dalej: – Jeśli zaś chodzi o to, jak im się udało je wnieść, cóż, w tym momencie nie mam żadnych sensownych hipotez.

Prezydent wstał z fotela i odwrócił się do zebranych plecami. Milczał, usiłując wymyślić gorączkowo jakiś przekonujący scenariusz. Potem wypowiedział głośno łacińską sentencję, często przytaczaną przez jego profesorów z wydziału medycyny:

– *Res ipsa loquitur*. – Powtórzył ją dwukrotnie, drugi raz, gdy znowu odwrócił się do nich twarzą.

– Co pan mówi? – zapytał Tomlinson.

Inni też mieli niepewne miny.

– To po łacinie. Znaczy „rzecz mówi sama za siebie” – wyjaśnił Allaire. – W procesach o błąd w sztuce oskarżyciele, którzy z powodzeniem dowiodą, że *res ipsa loquitur*, mają zapewnioną sowitą wypłatę. Nasze sądy działają, opierając się na domniemaniu niewinności. *Res ipsa loquitur* stawia to założenie na głowie. Stwierdza, że skoro wydarzyło się coś, co normalnie nie powinno się zdarzyć, ty, oskarżony, jesteś winny spowodowania, że się zdarzyło. I dlatego jesteś winien błędu w sztuce. *Res ipsa loquitur*.

Jordan Lamar wydawał się jeszcze bardziej speszony.

– Przepraszam, panie prezydencie, ale nie rozumiem, jak to ma nam pomóc.

Allaire znowu odwrócił się do nich plecami i podszedł do szafki na akta z czarnego metalu, wypełnionej zapasami materiałów biurowych.

– Może pomóc, Jordanie – odparł prezydent, sięgając do środka – ponieważ oznacza, że ten atak mówi za siebie. Wydarzył się. To jest oczywiste, tak samo jak sytuacja, w której adwokat może dowieść, że pacjent wjechał do sali zabiegowej na operację dużego palca u nogi i wyjechał bez kończyny. – Allaire wyprostował się, nie odwracając się do nich. – Powiedzcie mi, co Genesis zrobiło takiego, co mówi za siebie?

Allaire odwrócił się i okazało się, że chociaż sięgnął po coś do szafki, ręce miał puste. Czekał, aż ktoś się odezwie.

W końcu odpowiedziała Bethany Townsend.

– Umieściła fiolki z WRX3883 w torbach wybranych osób przybyłych na inaugurację.

– Właśnie, pani doktor – potwierdził prezydent. Stał pośrodku pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi. – To właśnie zrobili. I to mówi za siebie.

To powiedziawszy, Allaire opuścił ręce. Drewniana linijka długości trzydziestu centymetrów wysunęła się z rękawa jego marynarki, w którym była ukryta, i uderzyła ze stukiem o drewniany stół, po czym znieruchomiała.

Twarz Allaire'a nie wyrażała triumfu.

– Hank, chcę znać pełny skład twojej ochrony. Jestem pewien, że stwierdzisz, iż jednego ochroniarza brakuje.

Tomlinson nadal wyglądał na zdziwionego, gdy zapytał:

– Co pan sugeruje?

Allaire nie stracił cierpliwości.

– Ktoś pracujący na stanowisku kontrolnym nie szukał kontrabandy wnoszonej do Kapitolu – wyjaśnił. – Wykorzystywał swoje stanowisko do wniesienia fiolek i włożenia ich do toreb podczas ich przeszukiwania.

Tomlinson ożywił się, gdy zdał sobie z tego sprawę.

– Natychmiast się tym zajmę, panie prezydencie – zapewnił.

Pokój szybko opustoszał. Griff wychodził ostatni.

– Niezła jazda – zauważył, odwracając się ku drzwiom. – Kazałbym przeczesać każdy cal tego gmachu w poszukiwaniu kamer. Ci ludzie przygotowywali się do tego od dłuższego czasu.

– Doktorze Rhodes, jak pana zdaniem powinienem załatwić problem Mackeya?

– Na pewno chce pan poznać opinię jakiegoś terrorysty?

– Doktorze, obaj mamy z tym wystarczająco duże problemy bez skakania sobie do oczu. Musimy zawrzeć jakiś rozejm.

Griff przyjrzał się bacznie temu człowiekowi. Wydawało się, że Allaire w ciągu zaledwie kilku godzin postarzał się o wiele lat.

– W tym wypadku rozważyłbym oddzielenie tego, co pan wie, od zwyczajowych reguł polityki. Choć to może być trudne, bo oznacza koniec kłamstw.

Allaire wytrzymał jego spojrzenie.

– Zastanowię się nad tym – rzekł w końcu.

Rozdział 22

DZIEŃ 3 1.00 EST

Mimo niesłabnącego gniewu na prezydenta za to, że odmówił mu prawa do należytego procesu po aresztowaniu w Kalveście, Griff musiał niechętnie przyznać, iż podziwia go za umiejętność panowania nad sobą w obliczu sytuacji wymagającej podjęcia ważkich decyzji.

Kilka lat wcześniej Griff recenzował artykuł analizujący układ nerwowy zawodowych tenisistów. Autorzy stawiali w nim hipotezę, że zważywszy na normalne tempo przewodzenia impulsów nerwowych i prędkość serwowanej piłki, zanim tenisista zdołałby zareagować i ją odbić, piłka wylądowałaby w siatce za jego plecami. A jednak odbijał ją – raz za razem. Badacze wyciągnęli wniosek, że szybkość przewodzenia impulsów nerwowych u najlepszych graczy jest swego rodzaju wybrykiem natury – być może skutkiem mutacji.

Przyglądając się poczynaniom Allaire'a, zastanawiając nad często historycznymi konsekwencjami jego działań i decyzji, Griff zaczął snuć przypuszczenia, że układ nerwowy tego człowieka funkcjonuje inaczej niż u większości osób. Gdy ludzie, u których procesy podejmowania decyzji przebiegały normalnie, dopiero decydowali, co należy zrobić, prezydent Stanów Zjednoczonych już to zrobił.

Na rozkaz Allaire'a przeprowadzono dyskretne, lecz gruntowne przeszukanie Kapitolu. Wykryło ono kamery ukryte w każdym pomieszczeniu – w sumie dwa tuziny.

Ale żadnej w Schronie.

Kontratak Allaire'a rozpoczął się od tego, że architekt Jordan Lamar przeszedł szybko obok Griffa. Ten dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że przy okazji wcisnął mu do ręki jakiś krótki list.

Cała korespondencja ode mnie będzie przechodzić przez ręce Lamara. J.A.

Każdy z członków prezydenckiego zespołu otrzymywał kolejno instrukcje. Schron był jedynym miejscem do bezpiecznej łączności, ale miał być

wykorzystywany tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Część kamer miała być zdemontowana, część pozostawiona dla niepoznaki.

Doktorze – brzmiał jeden z pierwszych listów – musimy założyć, że Genesis wie, kim pan jest i dlaczego pana tutaj sprowadziliśmy. JEST PAN TERAZ DLA NICH ZAGROŻENIEM... Niech pan się na razie trzyma z daleka od linii metra prowadzącej do Izby Reprezentantów. Tamtędy właśnie będzie pan stąd wracał do swojego laboratorium. J.A.

Griff poczuł ucisk w żołądku. Wkroczył do Kapitolu, obawiając się prezydenta i nie ufając mu. Wyglądało na to, że w dodatku teraz stał się celem Genesis.

To niebezpieczne – odpisał. – Nie ma strefy odkażania. Ryzyko przeniesienia wirusa na zewnątrz.

Niech pan nam pomoże je zneutralizować. Wojskowi udzielą wsparcia. J.A.

Zespół kierowany przez Salitasa wykrył sześć kamer fachowo ukrytych w czujnikach dymu w korytarzu przed metrem.

Nowoczesny sprzęt wideo zapewniał ogląd trasy dostaw zaopatrzenia biegnącej od podziemnego wejścia do kompleksu kapitolijnego.

Allaire nakazał wyłączyć połowę kamer, a resztę zostawić i skierować w inną stronę. Żadna z nich nie mogła rejestrować jakiegokolwiek wzrostu aktywności.

Kamery nie były jedynym odkryciem, jakiego dokonano w ciągu kilku następnych godzin. Hank Tomlinson nie zdołał zlokalizować jednego ze swoich funkcjonariuszy, służącego od pięciu lat w kapitolijniej policji weterana o nazwisku Tannen. Peter Tannen był przydzielony do służby w punkcie kontroli, w którym doszło do naruszenia zasad bezpieczeństwa, i teraz zakładano, że jest człowiekiem Genesis. FBI poddało życiorys tego człowieka drobiazgowej analizie z intensywnością przypominającą dochodzenie w sprawie zamachu z 11 września. Podejrzewano, że nie ma go już w gronie żywych.

Griff i Angie wślizgnęli się do tunelu metra. Mieli wydostać się z Kapitolu i wrócić do laboratorium w Kalveście. Wirusolog spojrział na zegar ścienny i obliczył w myślach czas, który upłynął od pierwszego kontaktu z wirusem.

Dwadzieścia osiem godzin.

Pierwsze doniesienia o ofiarach śmiertelnych mogły się pojawić za dwie doby. Nie potrzebował zegara, by wiedzieć, że prędzej czy później wszystkich obecnych w Kapitolu dosięgnie śmierć.

Towarzyszyli mu żołnierze sił specjalnych przeszkoleni do reagowania na ataki bioterrorystów. Zanim rozpoczęła się operacja, Griff poinformował całą grupę o zagrożeniach, jakie niesie WRX3883.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do neutralizacji węglików – powiedział jeden z agentów na zakończenie krótkiej prezentacji Griffa. – Nie powinno być większej

różnicy.

– Jeżeli zarazicie się WRX3883, będziecie żałowali, że to nie węglik. Bądźcie ostrożni, ale pracujcie jak najszybciej.

Dwie godziny później ubrana w niebieski skafander ochronny kobieta dowodząca ekipą z oddziału operacji specjalnych podeszła do Griffa. Przez osłonę na twarz widział, że podobnie jak on jest złana potem.

– Jesteśmy gotowi do kontroli – oświadczyła. – Kimkolwiek jest ta Angie, to piekielnie pracowita dziewczyna.

– Wiem o tym.

Skończyli grubo przed czasem.

– Może być – orzekł Griff, kiwając głową z aprobatą dla naprawdę imponującego dzieła.

W zdumiewająco szybkim czasie zespół Oddziału Operacji Specjalnych stworzył dość bezpieczną i w pełni funkcjonalną strefę odkażania między Izbą Reprezentantów a linią metra łączącą Kapitol z pobliskimi budynkami biurowymi. Usłyszał, jak jeden z żołnierzy powiedział, że właśnie zbudowali przejście między życiem a śmiercią.

Czas wyruszyć do Kalvesty – napisał do Allaire’a.

Liczy na pana wiele osób – odpisał prezydent. – Niech pan nas nie zawiedzie.

Angie pojawiła się obok Griffa.

– Jak się spisaliśmy? – zapytała.

– Ludzie z Operacji Specjalnych chcą cię przyjąć w swoje szeregi.

– Dzięki. Byli gotowi pójść dla ciebie w ogień. Coraz bardziej przypominasz mi tego kowboja, który tak przypadł mi do serca w Kenii.

Wydawało się, że oczy Angie rozświetlają przestrzeń za osłoną.

– Jesteś gotowa do odkażania? – zapytał.

– Jesteśmy gotowi do wyjazdu?

– Gdy tylko Allaire tak stwierdzi.

– Prowadź.

– To proste – odparł Griff. – Najpierw weźmiemy kąpiel w promieniach ultrafioletowych.

Wskazał miejsce, w którym mieściło się kilka lamp wielkości dużego spodka, zamocowanych na wysokich metalowych statywach. Podłączono je do generatora.

– Jakie jest ich zadanie? – zapytała Angie.

– Zabić każdy wirus przywierający do skafandra. Stamtąd przejdziemy do przenośnej śluzu powietrznej. – Skinął w stronę kostki z przezrystego plastiku wzniesionej obok wejścia oddzielającego Kapitol od linii metra.

– Czy skażone powietrze nie wydostanie się stąd, gdy tam wejdziemy?

– W służbie panuje podciśnienie – odparł Griff – tak żeby skażone powietrze z Kapitolu nie uleciało do tunelu.

– A kto poprowadzi pociąg?

– Tutejszy system transportu wykorzystuje bezzałogowy wagon do przewożenia członków Kongresu oraz ich gości między Kapitołem a biurowcem Rayburna. Jedna osoba mniej do odkażania.

– Będziesz odkażany jako pierwszy?

– Nie, ty.

– Dlaczego ja?

– Cóż, wszystkie kobiety idą w pierwszym rzucie.

– Z jakiego powodu?

– Po kąpieli świetlnej weźmiecie prysznic chemiczny. Wtedy będziecie się musiały rozebrać do naga. W pociągu czekają na was nowe ubrania. Swoje skafandry umieścicie w czerwonych workach na toksyczne odpady i zostawicie je po tej stronie służby powietrznej.

– Nie mogłeś postawić przepierzenia?

– Powiedziałem zespołowi, że dla zaoszczędzenia czasu po prostu się odwrócimy.

– Tyle poświęceń dla kraju.

Angie ścisnęła mu rękę i dołączyła do trzech kobiet na stanowisku kąpieli ultrafioletowej.

Rozdział 23

DZIEŃ 3 5.00 EST

Griff opuścił śluzę powietrzną ostatni. Przeszedł przez nią nago, ale zamiast czuć skrępowanie, myślał o siedmiuset osobach uwięzionych w budynku, z którego wychodził. Dla wielu z nich już stał się piekłem.

A miało być znacznie gorzej.

Zastanawiał się nad brakiem skrupułów, którym odznaczyli się członkowie Genesis, kimkolwiek byli. Śmierć w nowojorskich elektrowniach. Śmierć w muzeum w San Diego. Śmierć w ogrodzie miejskim w Waszyngtonie. I teraz śmierć na naprawdę wielką skalę. Nim też targały wielkie namiętności, ale żadna nie była wystarczająco silna, żeby pod jej wpływem zabić. Mógł teoretyzować na temat terroryzmu, ale tak naprawdę nigdy nie potrafił go zrozumieć.

Teraz zaś postawiono go na drodze ekstremistów, dla których ich sprawa była wszystkim, a zabijanie niczym. Nawet gdyby jakoś zdołał przeżyć, nawet gdyby w Kalveście wszystko udało mu się poskładać w całość, a Genesis zostałyby zniszczone, to i tak ich nienawiść i ich sprawa by przetrwała. Wymyśliliby coś innego. Jakąś nową demonstrację zaangażowania i zdecydowania, by osiągnąć... no właśnie, co?

A przy okazji zmarłoby jeszcze więcej osób.

Mógł liczyć co najwyżej na to, że pozostanie przy życiu i spróbuje zniweczyć ich plan... tym razem.

Griff wsiadł do czekającego pociągu i Angie, odwracając twarz, wręczyła mu ręcznik i komplet odzieży.

– Będziemy musieli wypełnić trochę ten worek z kośćmi, doktoru.

– Podglądałaś. Kiedy byłem zamknięty w pojedynczej celi, niemal codziennie ćwiczyłem jogę i gimnastykowałem się, ale dla utrzymania kondycji brakowało mi chyba niezbędnych składników odżywczych.

– Gdy dotrzemy do Kansas, zajmę się gotowaniem. Od kilku lat mam bzika na

punkcie chińskiej kuchni. Przekonasz się do niej. W kiełkach fasoli jest więcej kalorii, niż myślisz.

– Bywały chwile, gdy rozważałem pożarcie jednego ze strażników.

– Fuj! – Angie zrobiła mu miejsce obok siebie na ławce i jej bliskość natychmiast obudziła w nim dawną namiętność. – Powiedz mi coś, Griff – powiedziała. – Czy zważywszy na zaawansowanie twoich badań w momencie aresztowania, sądzisz, że dasz sobie z tym radę?

– Byłem już dość bliski czegoś, co mogło mieć praktyczne zastosowanie. Być może dlatego mnie tu ściągnęli. Ale w najlepszym razie stoimy przed bardzo trudnym zadaniem. Gdy czekałem na prysznic, analizowałem hipotetyczne wyniki. Wyszło mi, że gdy przyszli po mnie żandarmi, miałem dwa procent szans na rozwiązanie problemów z modelem.

– Dwa procent to raczej niewiele.

– No dobra, niech będzie trzy. Będę ponownie tworzył linie komórkowe z próbek krwi zawartych w tych pojemnikach. W dodatku Allaire powiedział, że kazał sprowadzić samolotem próbkę wirusa z CDC, gdzie jest przechowywany.

– Gdy coś wymyślisz, będę miała nie lada materiał.

– Kiedy zaczniesz mnie tuczyć, nie omieszkaj dodać trochę swojego optymizmu.

Członkowie zespołu – zwłaszcza, jak wydawało się Griffowi, ci, którzy wreszcie mogli ująć w gołe ręce swoją broń szturmową – z ulgą wyswobodzili się ze swoich skafandrów.

– Jesteśmy gotowi do odjazdu – przekazał przez radio sierżant Stafford.

Chwilę później włączyła się światłowodowa sieć szkieletowa automatycznego sterowania i szczelnie zamknięty wagon ruszył bezszelestnie naprzód. Na stacji metra w biurowcu Rayburna zatrzymał się delikatnie i drzwi rozsunały się z szumem.

– Nigdy nie byłam w Kansas – powiedziała Angie.

– Wyobraź sobie Jezioro Wiktorii w Kenii i otaczającą je bujną dżunglę oraz krzyki niezliczonych dzikich bestii, a następnie obejrzyj tę scenę w lustrzanym odbiciu.

Stafford oraz pozostali żołnierze otoczyli ich i wyprowadzili na powierzchnię labiryntem korytarzy i klatek schodowych. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Griff z radością wciągnął w płuca chłodne wczesnoporanne powietrze. I wypuścił je dopiero wtedy, gdy musiał zrobić wydech.

Kapitol znajdował się teraz na północ od nich. Nawet z tej odległości było widać, że tłum za barierkami znacznie się powiększył, podobnie jak powiększyły się szeregi żołnierzy utrzymujących jako taki porządek. Blżej stały trzy dziesięcioosobowe furgonetki z włączonymi silnikami. Szyby w oknach były

mocno przyciemnione. Griff przypuszczał, że są również kuloodporne.

– Ile osób z nami jedzie? – zapytał Stafforda.

– Osiem.

– Sporo tych furgonetek jak na dziesięcioro pasażerów.

– Dwie posyłamy na wabia. Chodźmy. Ruszajmy w drogę.

Boczne drzwi jednej z furgonetek rozsunęły się, Griff i Angie pierwsi znaleźli się w środku. Któryś z żołnierzy niedbałym i dość gwałtownym ruchem podał wirusologowi pojemnik z zamrożonymi próbkami krwi.

– Ostrożnie z tym! – upomniał mężczyznę Rhodes. – Chyba że chcesz być odpowiedzialny za odkrycie, jak niebezpieczny jest w rzeczywistości ten wirus.

Żołnierz tylko coś mruknął i dalej ładował sprzęt. W samochodzie działało ogrzewanie, było jednak zbyt chłodno, by Griff i Angie mogli zdjąć kurtki. Angie przysunęła się do Griffa, a on wziął ją za rękę. Zerknęła na niego z zaciekawieniem, ale nie próbowała cofnąć dłoni.

– Słyszałam, jak Allaire wspominał o drugim zespole pracującym równocześnie z nami – powiedziała. – To prawda?

– Nie pracujemy w atmosferze wzajemnego zaufania, o czym zaświadczą obecni tutaj moi opiekunowie. Gdzieś na Alasce jest laboratorium czwartego stopnia biobezpieczeństwa. Allaire zwerbował mojego asystenta Mela Forbusha, żeby stworzył sieć wymiany informacji między nami. To nie będzie żaden problem, o ile nie będą spowalniać moich działań.

– Dziękuję, że poprosiłeś, by wysłali mnie z tobą.

– Nie ufam w słowność Allaire'a, a on podejrzewa, że dam dyla. Ty pełnisz funkcję nadzorczyńi.

Ostatni żołnierz wszedł do środka i drzwi furgonetki zamknęły się z hukiem. Stafford siedział obok kierowcy z krótkofalówką przy ustach.

– Ruszamy – rzucił. – Wypuście helikoptery.

Uniósł do oczu mocną lornetkę noktowizyjną. Griff poczuł nagłe rozdrażnienie i zapytał:

– Co się dzieje?

Wydawało się, że Angie też jest zdenerwowana. Zaciśnęła mocniej dłoń na jego rękę.

Stafford podał noktowizor do tyłu.

– Czego mam szukać? – zapytała Angie.

– Sobowtóra pana doktora – odparł Stafford.

– Kogo?

– Griff, on ma rację – uspokoiła go Angie, ustawiając ostrość. – Widzę chudego brodatego mężczyznę. Wygląda na to, że wsiada do helikoptera.

– O czym ty mówisz?

Kierowca wrzucił bieg i ruszył tak gwałtownie, że Griffa wcisnęło w fotel. Jechali w stronę Canal Street. Dwie pozostałe furgonetki skrzyły w C Street i podążyły w przeciwnych kierunkach. Griff zeszywniał. Nie potrzebował noktowizora, by widzieć, jak czarna sylwetka helikoptera unosi się po starcie nad wierzchołkami drzew.

– Stafford, co się u diabła dzieje?

– To rozkaz prezydenta – odparł Stafford. – Stosujemy tę procedurę lub podobne zabiegi, żeby go chronić. Teraz zastosowano ją dla pańskiej ochrony. Gdy w grę wchodzi ratowanie kraju, nie zostawimy niczego przypadkowi.

Griff z zapartym tchem spoglądał na helikopter niknący na horyzoncie. Nagle ni stąd, ni zowąd w polu widzenia pojawiła się ognista smuga i zaczęła mknąć za wznoszącym się helikopterem.

– Boże święty, nie! – wyszeptał Griff. – Nie!

To ostatnie słowo wykrzyknął.

Nastąpił wybuch i na skrawku ciemnego porannego nieba eksplodowała kula ognia. Furgonetka zatrzęsała się pod wpływem siły wybuchu. Rhodes obserwował przez okno, jak płonące fragmenty helikoptera opadają na ziemię niczym meteoryty.

Rozdział 24

DZIEŃ 3

5.30 EST

Griff wpatrywał się w smugi czarnego dymu przecinające niebo oświetlone reflektorami punktowymi.

Jim Allaire z doradcami wysłali na wabia jego sobowtóra i teraz ten człowiek nie żył.

– Chcę rozmawiać z prezydentem! – zażądał wirusolog. – Natychmiast!

Stafford nie raczył się odwrócić, nie odpowiedział też na to żądanie.

Griff wstał z fotela, przecisnął się obok Angie i gwałtownym szarpnięciem otworzył boczne drzwi. Jechali z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pustymi drogami, z których policjanci w radiowozach i na motocyklach usunęli inne samochody. Do kabiny wleciało zimne powietrze. Do konwoju dołączyły opancerzone pojazdy, a także karetka i chevrolet suburban zabezpieczenia elektronicznego Secret Service, podążający kilkadziesiąt metrów za nimi.

– Sierzancie?! – zawołał kierowca do Stafforda.

– Jedź dalej – odparł Stafford, wyciągając broń i obracając się w fotelu.

– Griff, co robisz?! – krzyknęła Angie.

Wirusolog trzymał się ramy otwartych drzwi, z trudem opierając się pędowi powietrza.

– Natychmiast połącz się z prezydentem! – wrzasnął.

Czekał wychylony z wozu. Jego długie splecione włosy powiewały niczym żagiel w łopocie na silnym wietrze.

– Niech pan natychmiast się cofnie. To rozkaz! – rzekł Stafford.

Jeden z żołnierzy, krzepki młodzian, przepchał się ku drzwiom i chwycił Griffa za kołnierz. Nie był jednak w stanie wciągnąć go z powrotem do środka.

– Przywołaj prezydenta, bo przysięgam, że skoczę.

Stafford ruchem ręki nakazał kierowcy zwolnić.

– Nie zwalniam! – wykrzyknął Griffin. – Nie róbcie nic poza przywołaniem Allaire’a do tego cholernego radia.

– No dobrze, kolego – rzekł Stafford. – Niech pan się tylko weźmie w garść i cofnie. Mieli pecha. Nikt z nas się tego nie spodziewał. Zaraz połączę pana z prezydentem.

Griff pozwolił Angeli i dwóm żołnierzom zaciągnąć się z powrotem na fotel. Trząśnięcie i miał przyspieszony oddech. Furgonetka zatrzymała się przy krawężniku.

Stafford odwrócił się tak, że jego twarz dzieliły od twarzy Griffa centymetry. Wcześniej wsunął broń do kabury.

– Prezydent uważa, że jest pan wrogiem Stanów Zjednoczonych – oznajmił. – Mam rozkaz zabić pana w razie próby ucieczki. Proszę mi oszczędzić tej przyjemności.

Griff wyszarpnął mu radio. Po krótkiej ciszy z głośnika eksplodował szum zakłóceń.

– O co chodzi, Rhodes? – warknął Allaire.

– Nikt mnie nie uprzedził, że wysyłacie dublera.

– Bo to nie pańska sprawa.

– Ten człowiek i... i pilot zginęli, ponieważ ktoś uznał, że to ja.

– Dwaj piloci – poprawił go prezydent. – Myślał pan, że to jakaś gra?

– Nie znoszę zabijania. Naraziliście ich na śmierć. Wiedzieliście, co się stanie.

– Korekta. Podejrzewaliśmy. Właśnie dlatego nie usunęliśmy wszystkich kamer zainstalowanych przez Genesis, żeby móc im dostarczać takie informacje, jakie miały do nich dotrzeć.

– Nie wierzę w to.

– Niech się pan weźmie w garść. Nie pana jednego oburza ludzka śmierć. Nas wszystkich też. Ma pan zadanie do wykonania. My mamy swoje. Chce pan tu wrócić i przyglądać się, jak umiera siedemset kolejnych osób?... Chce pan?

– Nie.

– W takim razie proszę nie zapominać, że ludzie, z którymi walczymy, są na tyle przedsiębiorczy i dobrze wyposażeni, by wyciągnąć z bagażnika samochodu rakietę i zestrzelić helikopter. Wojna z terroryzmem tym właśnie jest: wojną. A ponieważ to wojna, giną ludzie. W tym przypadku nie wybieraliśmy sobie wrogów. Oni wybrali nas. Jedyna nadzieja w tym, że ofiary ponoszone przez naszych ludzi w ostatecznym rozrachunku nie będą daremne. W tej chwili to, czy tak się stanie, czy te śmiertelne ofiary będą miały sens, czy nie, zależy od pana. Czy to jasne?

– Jeżeli pański plan zakłada poświęcenie kolejnych ludzi, żeby utrzymać mnie przy życiu, niech pan na mnie nie liczy. Niezależnie od tego, co pan myśli

i dlaczego wtrącił mnie pan do więzienia, nie zajmuję się zabijaniem.

– Właśnie dlatego są tam z panem ci ludzie. No, ma pan zadanie do wykonania. Proponuję, by na tym się pan skupił.

Połączenie zostało przerwane.

Griff zagłębił się w fotelu. Furgonetka przyspieszyła. Angie położyła dłoń na jego kolanie.

– Oni nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele istnień ludzkich ocaliłeś – powiedziała cicho – ani z tego, jak się przy tym narażałeś.

– Ale wtedy stawką było moje życie i ryzykowałem z własnego wyboru. – Griff odwrócił się do okna.

– Ludzie w tamtym helikopterze też sami wybrali – rzekł Stafford.

– I co dała ofiara z ich życia? – zapytał Griff. – Genesis najwyraźniej wie, kim jestem i dokąd jadę. Cóż więc dało poświęcenie tych ludzi?

Stafford odwrócił się do niego.

– Naprawdę pan nie wie?

– Niech mnie pan oświeci.

– Genesis już pana nie ściga, Rhodes. Dzięki tym ludziom i ich heroizmowi wróg myśli, że pan nie żyje. A teraz niech pan weźmie się w garść i robi swoje.

Rozdział 25

DZIEŃ 3

10.00 EST

– Hej, kolego, możesz dać mi trochę drobnych?

Żebrak rozłożył obóz na schodach przed budynkiem S&S Trading Co. Matt Fink musiał stłumić chęć wyrzucenia go na drugą stronę ulicy. Rzucił tylko dolara na przesiąknięty moczem koc, który przypuszczalnie chronił siwowłosego starca przed śmiercią z zamarznięcia.

– Mam dziś dobry dzień – powiedział z rękami na biodrach – i jestem wielkoduszny. Ale jeśli nie zabierzesz stąd swojego leniwego tyłka, zmiążdżę ci tchawicę i będę patrzył, jak toniesz we własnej krwi.

Olbrzym przyglądał się z szerokim uśmiechem, jak żebrak odchodzi, pchając przed sobą zardzewiały wózek na zakupy. Potem otworzył kluczem elektronicznym masywne przesuwne drzwi ze stali, za którymi skrywało się centrum elektroniczne i magazyn Genesis. Jego wzrok oswoił się z mrocznym wnętrzem. Alex Ramirez w bluzie opiętej na potężnych ramionach kulturysty siedział przed rzędem monitorów. Ich ekrany w większości były ciemne.

– I jak sądzisz, ile kamer wykryli? – zapytał Fink.

– Kilka przeoczyli, ale chyba nadal szukają.

– A ta w męskiej toalecie?

– Dwie w męskich toaletach i dwie w damskich wciąż pracują.

– Mówiłem ci, że one zostaną wykryte na samym końcu.

Fink domyślił się, że dziewięćdziesiąt procent kamer, które Ramirez i „robotnicy” zainstalowali w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających ceremonię ogłoszenia orędzia o stanie państwa, wykryto wskutek coraz intensywniejszych poszukiwań i odłączono. To on po bardzo owocnej burzy mózgów wpadł na pomysł, żeby umieścić sprzęt w toaletach. Nie dość, że nadal działał, to zarejestrowane na nim rozmowy dostarczyły informacji, które Kain wykorzystał do zlecenia ataku raketowego.

Fink zrobił resztę.

– Chciałem oddać ten strzał – rzekł Ramirez, jakby czytał w jego myślach.

– To było piękne, przyjacielu. Absolutna perfekcja. Obiecuję ci następny, bez względu na cel. A tymczasem połącz mnie z Kainem.

– Gdzie pozostali?

– Wciąż demontują pick-upa. Jeden strzał, jedno trafienie. To właśnie nazywam perfekcją.

– Myślisz, że ktoś widział wystrzelenie rakiety?

– Wątpię. Gdy ptaszyna leciała, ja byłem z powrotem pod plandeką. Jechaliśmy dalej, jakby nic się nie stało. Ulice też były na ogół puste. Wszyscy są albo przed Kapitołem, albo siedzą przed telewizorami.

– Trzymam cię za słowo, Fink. Monitory może obsługiwać któryś z pozostałych świrów. Nie znoszę bezczynności.

Dla podkreślenia wyciągnął spod fotela i kilka razy podniósł dwudziestokilogramowy ciężarek.

– Dopilnuję, żeby Kain się dowiedział – rzekł Fink. – Ten drobny sukces powinien go wprowadzić w świetny nastrój.

– Wprowadził. – Głos Kaina dobiegł z trzaskiem z zawieszonych na ścianie głośników.

– Kain, stary, jak miło cię słyszeć.

Fink zastanawiał się, czy się rozwodzić nad złożonością tego, co zrobił, szczególnie zważywszy na krótki okres realizacji planu, wiedział jednak, że na Kainie nie robi to wrażenia. Pracował dla tego człowieka wystarczająco długo, by wiedzieć, że oczekuje on od niego sukcesów.

– Dobrze widziałeś cel? – zapytał Kain.

– Doskonale – odparł Fink. – Chudy brodac. To ten gość, którego widzieliśmy, jak przyleciał helikopterem piechoty morskiej. Pod ścisłą ochroną aż do momentu wejścia w pojedynek na pokład. Wiozący go helikopter wystartował z południowego trawnika, dokładnie tak, jak nam mówiłeś. Przed startem byliśmy na stanowisku i bez przeszkód weszliśmy do akcji.

– Dobra robota – odparł Kain. – Ten człowiek mógł poważnie namieszać.

Fink zachichotał.

– Płacisz za najlepszych, najlepszych dostajesz.

– Mamy na głowie jeszcze parę spraw. Pierwsza dotyczy naszej wtyczki z Kapitolu. Nazywa się Tannen. Prezydent już wie, że dla nas pracował.

– To wszystko było możliwe tylko dzięki niemu.

– Prawda – przyznał Kain – ale teraz niestety stał się trochę kulą u nogi.

– Tak się zabawnie składa – oznajmił Fink, uderzając swojego kompana w ramię

– że obecny tutaj señor Ramirez właśnie mi mówił, że jest żądny czynu.

– W takim razie wymyślcie coś, panowie. Tannen ukrywa się w Motel Six na południe od Alexandrii. Spodziewa się podróży na zachód. Ma jakieś lokum w Great Smokies i kuzyna, który pomoże mu się wydostać z kraju. Gdy już się nim zajmiecie, podzielicie się jego udziałem.

– Świetnie – odparł Ramirez.

– Nie ma pagórków bez płyt nagrobnych, nie ma dolin bez cienia – rzekł Fink, przytaczając południowoafrykańskie przysłowie, którego nauczył się od ojca. – Wspomniałeś, że są jeszcze inne sprawy.

– Pora, byśmy przeszli do fazy drugiej i poinformowali prezydenta, czego żądamy w zamian za rozejm i może nawet lek na tę infekcję.

– Myślałem, że jest nieuleczalna.

– Dopóki Allaire wierzy, że można ją uleczyć, jesteśmy w korzystnym położeniu. A teraz, dzięki twojemu celnemu strzałowi, jego możliwości znacznie się zmniejszyły. Sądzę, że w tej chwili jesteśmy jego jedyną nadzieją.

– Jeżeli możemy pomóc w dostarczeniu tych żądań, powiedz tylko słowo.

– Cóż, prawdę mówiąc, chyba możecie. Zanim wyłączono kamery i urządzenia podsłuchowe, Ramirez wychwycił wystarczająco dużo paplaniny, by stwierdzić, że chaos w Kapitolu się nasila. Wysłał mi również dostatecznie dużo fragmentów nagrań audio i wideo, by zyskać pewność, że prezydent Allaire przysporzył sobie wroga... poważnego i potężnego wroga, który jest zdecydowany go obalić. Gdy już załatwicie tę sprawę w Motel Six, wróćcie do mnie. Szykujemy paczkę, którą postanowiliśmy dostarczyć tej osobie. Czy na podstawie obserwacji uważasz, że mógłbyś dotrzeć na tyle blisko, by wysłać ją do Kapitolu?

– Tak sądzą – odparł Fink. – W tej chwili chaos w budynku nie może być mniejszy niż ten na zewnątrz. Niczego więcej nie potrzebujemy.

– Doskonale. Paczka powinna czekać, gdy obaj wrócicie z Wirginii.

– Wolno spytać, dla kogo jest ta paczka?

Przez kilka sekund w głośnikach była cisza. Najemnik przestraszył się, że przekroczył granice. Kain płacił pensję jemu i jego ludziom, ale na początku dał wyraźnie do zrozumienia, że Genesis będzie udzielało jedynie niezbędnych informacji i ostro reagowało na pytania pracowników.

– Cóż, Fink – odparł w końcu Kain – dobrze się nam przysłużyłeś, ty też, Ramirez. Naszym nowym sprzymierzeńcem i rzecznikiem, o ile skłonimy ją do współpracy, będzie Ursula Ellis, przewodnicząca Izby.

– Całkiem ładna babka – odparł Fink. – Wiem dokładnie, kim ona jest.

Rozdział 26

DZIEŃ 3

12.30 CST

Hangar z blachy falistej został tak skonstruowany, żeby ukryć wejście do zapewniającego czwarty stopień biobezpieczeństwa ośrodka w Kalveście. W jednym z poprzednich wcieleń ten masywny barak stanowił część ośrodka szkoleniowego sił powietrznych. Rząd zostawił tam szkielety kilku samolotów z demobilu, aby przekonać ewentualnych intruzów, którzy prześlizgnęliby się obok niewielkiej grupy ochroniarzy, że w obiekcie nie ma nic szczególnie interesującego.

Griff i Angie przeszli szybko po udeptanej glinie i spojrzeli na nowo zainstalowane ogrodzenie z siatki. Strzegła go grupa uzbrojonych po zęby wojskowych – trzeci taki punkt kontrolny, jaki dotąd minęli. W niczym nie przypominało to sennej instalacji, gdzie niespełna rok temu Griff i reszta zespołu „Veritas” dążyła do ustanowienia biologicznego dostępu do ośrodka woli w ludzkim mózgu.

– Jakim cudem Genesis zdołałoby przemyścić wirus przez te wszystkie posterunki? – zdziwiła się Angie.

– Przypuszczam, że nie zdołałoby – odparł Griff. – Ale przed moim aresztowaniem poziom zabezpieczeń był niższy. Tak naprawdę w ogóle ich nie było. – Wskazał przysadzisty betonowy budynek za plecami Stafforda i jego oddziału, stojący bardzo blisko hangaru. – To było nasze zabezpieczenie naziemne. Stale strzegł nas jeden ochroniarz, a w środku działał system skomplikowanego monitoringu elektronicznego, ale to wszystko.

– Teraz więc przynajmniej jesteśmy bezpieczni.

– Sądzę, że ci żołnierze są tutaj w równym stopniu po to, by nie pozwolić, by ktokolwiek się do nas dostał, jak i po to, by mieć nas na oku i trzymać w zamknięciu.

– Zwłaszcza teraz, gdy Genesis sądzi, że nie żyjesz.

Griff upewnił się, czy Angie nie żartowała, po czym skinął głową. Poprzysiągł sobie, że kiedyś dowie się, kim byli ludzie, którzy oddali życie, żeby zaszczepić w terrorystach fałszywe przekonanie o jego śmierci. Może zdoła pomóc ich rodzinom.

Aby odróżnić się od swojego sobowtóra, poświęcił godzinę lotu do Kalvesty na obcięcie brody i dokładne ogolenie twarzy.

I teraz, gdy mroźna popołudniowa bryza muskała mu pozbawioną zarostu skórę, czuł się dziwnie. Angie powitała tę przemianę z aprobatą.

– Po tylu latach wciąż przystojny – zauważyła.

Gdy zbliżyli się oboje do hangaru, na twarzach kilku stojących na straży żołnierzy odmalowało się napięcie. Dowodzący nimi kapral wystąpił naprzód i przedstawił się najpierw Griffowi, potem Angie, a na końcu Staffordowi i jego ludziom.

– Wie pan, gdzie jest Melvin Forbush? – zapytał go Griff. – Powiedziano mi, że spotka się z nami na powierzchni.

– Forbush przysłał wiadomość, że spotka się z panem w laboratorium. Odkąd tu przybyliśmy, jest pod ziemią. Jeszcze się nam nie pokazał.

Griff roześmiał się i Angie posłała mu zaintrygowane spojrzenie.

– Melvin jest znakomitym mikrobiologiem – wyjaśnił – ale jest też, jak by to ująć, trochę ekscentryczny.

– Och, uwielbiam ekscentryków. w każdym razie zwykle tak jest. Czy polubię Melvina?

– To możliwe. Ja go lubię. To absolutny fanatyk swojej pracy, ale jeszcze większego bzika ma na punkcie Hollywoodu. Może robić tylko dwie rzeczy: pracować przy swoim sprzęcie albo oglądać filmy. Nie dziwię się, że nie wyszedł na powierzchnię. Niech pan posłucha, kapralu, znam drogę i protokoły bezpieczeństwa biologicznego. Sierżant Stafford i jego ludzie zaczekają tutaj. Martwią się o nas, może więc pan ich zapewnić, że to jedyne wejście i jedyne wyjście.

Zanim Stafford zdążył zareagować, kapral skinął głową strażnikowi. Brama z drutu kolczastego przesunęła się na szynie. Griff oraz Angie weszli do hangaru, budowli wielkości mniej więcej dwóch boisk piłkarskich. Pod łukowym sklepieniem skrywała się mocno ubita ziemia, zamrożona na kamień podczas kansaskiej zimy. Jednak pustą niegdyś skorupę hangaru wypełniały teraz pojazdy wojskowe – wozy bojowe Humvee, jeepy, transportery, dwie karetki i samochód cysterna. Ciężarówki stały w rzędach wzdłuż ścian, a teraz przez tylne wejście wjechały dwa kolejne pojazdy.

– Przypuszczam, że Allaire traktuje to wszystko całkiem poważnie – zauważyła

powściągliwie Angie.

– Nieuchronnie nadciągająca śmierć potrafi pobudzić ludzi do działania.

Radykalne przeobrażenie Kalvesty zakrawało na ironię, zważywszy na rozmiar zarazka, na którego potrzeby został stworzony ten ośrodek. Gdy Griff przybył tu z Nowego Jorku razem z zespołem badaczy z laboratorium Sylvii Chen, obiekt stanowił jarmarczną oazę na wyżynnej pustyni składającą się z kilkunastu bungalów rozmieszczonych wzdłuż źle wytyczonych dróg gruntowych, zrytego pasa startowego i zniszczonego boiska do koszykówki.

Oczywiście prawdziwe oblicze tego miejsca kryło się w lśniącym czystością laboratorium głęboko pod powierzchnią ziemi.

Wejście do niego nie zmieniło się od czasu wymuszonego wyjazdu Griffa. Na ścianie obok wejścia do hangaru wisiał zegar kontrolny Kronos 4500. Kapral przesunął przez szparę czytnika swoją kartę identyfikacyjną. Natychmiast potem upstrzona rdzą awionetka Cessna T-37 Tweety Bird z podstawkami klinowymi pod kołami zaparkowana pośrodku hangaru zaczęła się przesuwac.

Samolot, kiedyś stosowany do szkolenia pilotów amerykańskich sił powietrznych, powędrował w bok wraz z doskonale zamaskowanym podłożem, ukazując spiralne stalowe schody, które biegły piętnaście lub osiemnaście metrów w dół do ażurowego metalowego podestu i wnęki na windę.

– Robi wrażenie – powiedziała Angie.

– To dopiero początek – odparł Griff.

W drodze na podest ich kroki odbijały się echem od wypolerowanych stalowych ścian. Winda była mała. Griff poczuł ucisk w żołądku, jak zawsze gdy stał w klaustrofobicznej klatce, którą zwykle nazywał inkubatorem. W jego świetle zabójczych drobnoustrojów zdrowy strach był niezbędnym do zachowania czujności, a tym samym życia elementem.

Winda opadała powoli. Siedemdziesiąt pięć metrów pokonywała w trzydzieści sekund. Wyszli na długi, oświetlony jarzeniówkami korytarz z sufitem na wysokości dwustu dziesięciu centymetrów. W ograniczonej przestrzeni rozbrzmiewał szum potężnych klimatyzatorów i urządzeń oczyszczających powietrze. Gładkie ściany z pobielonego betonu były gołe, jeśli nie liczyć kilku oprawionych w ramki plakatów, z których każdy przypominał, że od śmierci dzieli jedynie chwila nieuwagi. Korytarz zamykały stalowe drzwi pomalowane na jaskrawoczerwony kolor i opatrzone białym napisem PUNKT KONTROLI NR 1. Pośrodku umieszczono w nich piętnastocentymetrowe okienko z drucianą siatką. Przy drzwiach był kolejny znak – ostrzegał, że do ich otwarcia wymagane są uwierzytelnione analizy biometryczne.

– Ile jest takich punktów? – zapytała Angie.

– Trzy lub cztery, w zależności od tego, co się uwzględni w rachubach. Ten tutaj, który prowadzi do kilku stref nieskażonych z biurami i naszą biblioteką łącznie. W głębi tego korytarza, za kolejnymi drzwiami, żarty się kończą. Są tam dwa równoległe wejścia prowadzące do Kuchni.

– Kuchni?

– To nasza żartobliwa nazwa wyposażenia laboratorium i inkubatorów kultur tkankowych WRX3883.

– Gdzie pichci się te bestie.

– Właśnie. Piętro niżej, na najniższym poziomie tego obiektu znajduje się coś, co nazywam Piekielną Kuchnią... laboratorium zwierzęce Sylvii Chen. Około dwudziestu małp i trochę kotów. Ponieważ nie znosiłem tego miejsca, a żadne z moich badań nie obejmowało jej zwierząt, prawie w ogóle się do niego nie zbliżałem.

– Ale teraz jest puste?

– Tak przypuszczam. Jeżeli nie jest, to Piekielna nie byłaby wystarczająco mocnym przymiotnikiem.

Angie wskazała kamerę przymocowaną do sufitu nad skanerem linii papilarnych i siatkówki oka.

– Czy to kamera, która sfilmowała, jak kradniesz wirus?

Griff skinął głową.

– Jedna z nich. Tu wszędzie są nowoczesne kamery monitorujące. Ale nie pytaj, jak zdobyli materiał filmowy ze mną, bo nie mam pojęcia.

– Czy system wpuści mnie do środka?

– System ochrony wymaga identyfikacji podczas wchodzenia do laboratorium i opuszczania go. Ale Melvin to absolutny pedant, więc prawdopodobnie otworzy nam od środka, a potem wręczy przepustki. Patrz, to on. Aha, jedno ostrzeżenie... nie znosi, gdy ludzie zwracają się do niego inaczej niż po imieniu.

Griff wskazał ruchem dłoni okienko. Angie zobaczyła idącego ku nim wysokiego – właściwie bardzo wysokiego – tyczkowatego mężczyznę w sięgającym kolan fartuchu laboratoryjnym. Jego niesforną kasztanową czuprynę dzieliło od sufitu nie więcej niż piętnaście centymetrów. Melvin zakończył analizę swoich parametrów biometrycznych i dzielące ich drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem.

Mierzący niemal dwa metry wirusolog musiał się schylić, żeby przejść pod metalowym nadprożem, nie uderzając w nie głową. Był gładko ogolony, miał krągłe dziecięce rysy i okulary w grubej szylkretowej oprawce.

– Kiedyś zaproponowałem, żeby zapuścił wąsy i zaczął wyglądać nieco poważniej – wyjaśnił Griff Angie. – Odpowiedział, że jeżeli nie zdoła zapuścić

dokładnie takich, jakie Daniel Day Lewis nosił jako Bill Rzeźnik w *Gangach Nowego Jorku*, to po prostu szkoda zachodu.

– Mogłabym nazwać to dziwactwem.

– Jest też trochę nieprzewidywalny. Umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi nigdy nie była jego mocną stroną.

Choć przez wiele lat pracowali razem, Forbush nie otworzył ramion do powitania, lecz w charakterystyczny dla siebie sposób wyciągnął rękę do nieco chłodnego uścisku.

– Dobrze cię widzieć, przyjacielu – rzekł Griff. – Chciałbym ci przedstawić Angelę Fletcher. Jest reporterką z „The Washington Post”, przyjechała napisać o naszych wysiłkach.

Forbush chwycił wyciągniętą rękę Angie, ale zamiast uścisnąć jej dłoń, obracał ją na wszystkie strony, uważnie przyglądając się nadgarstkom.

– Nicole Kidman – powiedział w końcu. – Wąskie dłonie, długie palce. Mogę ci pokazać fotosy z jej filmów i zobaczysz, że macie niemal identyczne ręce.

Angie się roześmiała.

– Dzięki, Melvinie. To jedna z moich ulubionych aktorek, zwłaszcza w *Moulin Rouge* i *Za wszelką cenę*. Dostała nominację do nagrody Akademii za tę rolę, prawda?

– Właściwie nie. Oscara zdobyła w dwa tysiące drugim za *Godziny*.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Wiem sporo o filmach, więc jeżeli ktoś coś pomyli, po prostu mówię. A jeżeli dalej uważa, że ma rację, po prostu mu pokazuję. Film można spreparować, ale tak naprawdę nie kłamie, jeżeli więc mówię, że mam rację, to zawsze tak jest. – Wręczył im karty dostępu. – Jesteście gotowi do stworzenia waszych profili biometrycznych?

– Ja już swój mam – odparł Griff.

– Nie masz. Zaraz po tym, jak cię stąd zabrali, zniknęło wszystko, co świadczyło o twoim istnieniu. Niedługo potem zniknęła również doktor Chen.

– Ale ty zostałeś.

– Tak naprawdę, to nie miałem dokąd pójść. Ty i doktor Chen byliście jedynymi osobami, które mogły napisać mi list polecający. Wierz mi lub nie, ale w przeszłości potencjalni pracodawcy uważali mnie za dziwaka.

Griff objął wyższego mężczyznę ramieniem.

– Jesteś dziwakiem w dobrym znaczeniu tego słowa, Melvinie. Cieszę się, że cię znowu widzę.

– Gdy było już jasne, że ani ty, ani doktor Chen nie wrócicie, razem z Samem, opiekunem jej zwierząt, sprzedaliśmy je do innych laboratoriów, a on dostał

w jednym z nich pracę. Potem po prostu zrobiłem porządki i przyjąłem rządową propozycję, by zostać na miejscu. Dopiero teraz dowiedziałem się, gdzie byłeś. Wcześniej poinformowali mnie tylko, że ukradłeś WRX3883. Wiedziałem, że to niemożliwe.

– Cóż, zapewniam cię, że przyjemne też nie było. Prezydent kazał mnie wtrącić do pojedynczej celi w więzieniu federalnym w Kolorado.

– I teraz chce, żebyś tu znowu pracował?

– Na to wygląda.

– Masz odwagę, by stawić opór, ale dość zdrowego rozsądku, by nad nią zapanować – rzekł Forbush. – Twoje oczy przepęlnia nienawiść. To dobrze. Nienawiść utrzymuje człowieka przy życiu. Daje mu siłę.

– Nawet nie będę próbował odgadnąć, z jakiego to filmu – odparł Griff.

– Z *Ben Hura*. Jack Hawkins grający właściciela niewolników Kwintusa Arriusza.

– Jesteś niesamowity – zauważyła Angela.

– Cieszę się, że tak myślisz, Angelo. Ten człowiek mnie rozumie. Jest najlepszy.

– Dochodzę do podobnego wniosku.

– Nie pojmuję, jak ktokolwiek mógł myśleć, że jest winny kradzieży wirusa. Próbowałem im wytłumaczyć, że to niemożliwe, ale nikt nie chciał słuchać.

– Co było niemożliwe? – zapytał Griff, którego zaciekawienie nagle wzrosło.

– Że to ty ukradłeś kultury WRX3883. Mówiłem doktor Chen i pozostałym, dlaczego nie mogło być tak, jak twierdzili. Pokazałem jej nawet dowód, że to nie byłeś ty. Ale ona nic w tej sprawie nie zrobiła. A potem, gdy sama zniknęła, nie zrobił też nikt, z kim mogłem poruszyć tę kwestię.

– Nie rozumiem, Melvinie – rzekł Griff. – Jak to udowodniłeś jej, że to nie byłem ja?

– No po prostu. Przyprowadziłem ją do mojego kina i pokazałem, skąd wiem, że nie ukradłeś wirusa.

– Cóż, wszyscy uważają inaczej. Zdaję sobie sprawę, że świadomość, iż jestem porządnym gościem, wystarczy, by cię przekonać, że to nie mogłem być ja, ale nie można pokazać ludziom charakteru człowieka.

– To prawda – przyznał Forbush z cierpkim uśmiechem – ale mogę im pokazać ten film. I jak mówiłem, film można spreparować, ale on nie kłamie.

Rozdział 27

DZIEŃ 3

13.30 CST

Po wszystkim, co przeżyli, Griff był opętany przemożnym pragnieniem otwarcia laboratorium i rozpoczęcia pracy. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie sprawdzić, jakie dowody zebrał Forbush. Oburzyła go myśl, że jego przyjaciel bez powodzenia starał się przekonać ludzi o jego niewinności.

Ale zaskoczony nie był.

Czy prezydent po prostu nie dbał o to, czy też ci, którzy wrobili Griffa, byli tak dobrzy?

„Nienawiść utrzymuje człowieka przy życiu. Daje mu siłę”.

Gdy Forbush prowadził ich do holu, Griff czuł, jak wzbiera w nim gorycz i gniew. Jak głęboko sięgał spisek zmierzający do usunięcia go z projektu „Veritas”? Jeżeli Allaire był weń jakoś wplątany, to pozostało mu tylko mieć nadzieję, że Griff nigdy się o tym nie dowie.

Forbush miał do wyboru bungalowu poza hangarem, ale wyglądało na to, że spędzał w nich niewiele czasu. Przekształcił za to dwa małe podziemne biura w sypialnię i nowoczesne kino wyposażone w pięć stadionowych krzesełek i zabytkową maszynę do prażenia kukurydzy. Siedemdziesięciocalowy ekran kinowy, odtwarzacz DVD i nowoczesny projektor filmowy stanowiły, jak to ujął, dar od światłego rządu Stanów Zjednoczonych.

– Chcesz powiedzieć, że kupili te rzeczy dla ciebie? – zapytał Griff.

– Cóż, zdefiniuj pojęcie kupili. Wypełniłem parę formularzy i zazaczyłem pewne pozycje jako materiały badawcze. Trochę to trwało, ale w końcu przysłali mi dokładnie to, co zamówiłem. A gdy odejdę ze służby państwowej, Wuj Sam będzie mógł oglądać filmy i prażyć kukurydzę.

– Kino za państwowe pieniądze – powiedziała Angie. – Powinniśmy zamówić markizę.

– Tylko nie zamieszczaj zdjęcia w swojej gazecie. Chcecie, żebym uprzył

trochę kukurydzy z masłem, czy mam po prostu pokazać, czym dysponuję?

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekł Griff, opadając na jedno z krzeseł w pierwszym rzędzie. – Dziewięć miesięcy w jakiejś przeklętej celi.

– Bądź twardy – poradziła Angie. – Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą.

Forbush wyjął kasetę z zajmującego całą ścianę regału z setkami starannie ustawionych pudełek z kasetami wideo i płytami DVD, po czym pokazał okładkę.

– *Gaslight*. Widzieliście to?

– Znam to słowo – odparł Griff. – Oznacza namieszać w czyimś życiu tak, by myślał, że traci zmysły.

– A wzięło się ono stąd, że Ingrid Bergman zdobyła Oscara dla najlepszej aktorki w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, grając naiwną piosenkarkę, którą Charles Boyer postanawia doprowadzić do szaleństwa. Chodzi o to, że nic nie jest takie, jakim się wydaje. – Wyciągnął taśmę z pudełka. – Pokażę wam film z kamer monitorujących obiekt przez całą dobę. Nigdy nie był nominowany do Oscara, ale mógłby dostać nominację... za najlepsze efekty specjalne.

– Czy wiadomo, dlaczego wybrali mnie do głównej roli? – zapytał Griff ponuro.

– Tego nie potrafię wytłumaczyć – odparł Forbush – ale chyba dobrze wiem, kto ciebie grał.

Podszedł do projektora i wsunął kasetę.

Angie i Griff splekli dłonie, gdy na szerokim białym ekranie ukazał się obraz z laboratorium.

– Zmontowałem ujęcia z paru kamer – wyjaśnił Melvin. – Czas odmierzany jest u dołu po prawej.

Dziewięć miesięcy – myślał Griff. – Straciłem dziewięć miesięcy z mojego życia.

Obrazy sadystycznych strażników zakładu karnego we Florence przemykały w jego myślach jak błyski lamp stroboskopowych.

U dołu nagrania z monitoringu widniała niewyraźna data i znacznik czasu. Wskazywały, że zarejestrowane wydarzenia rozegrały się ponad dziewięć miesięcy temu, kilka minut po północy.

– Ponieważ to film niemy, dodam komentarz – zaproponował Forbush ze swojego fotela z tyłu, na prawo od nich. – Z myślą o pani Angeli wyjaśniam, że oglądamy materiał filmowy z laboratorium, w którym hodowano WRX3883.

– Właściwie to pani Angela zna się na tych sprawach. Pisała artykuły na temat wirusologii w strefach zagrożeń, w tym parę o mnie.

Angie wstała i wskazała dużą szafkę z prawej strony sceny.

– Co to takiego? – zapytała.

– To jedna z szafek, których używamy do przechowywania wysoce zakaźnych

szczepów – odparł Forbush.

– To wiem. Chodzi mi o ten inkubator, czy co to tam jest, obok szafki.

Wydawało się, że Forbush jest naprawdę pod wrażeniem.

– To Gruba Berta. Zbudowaliśmy ją na zamówienie, żeby symulować parametry ludzkiego nosiciela w różnych stadiach zakażenia WRX3883... temperaturę ciała, naturalne mechanizmy obronne, tego rodzaju sprawy.

– Więc trzymacie wirus w jakiejś kąpielii odżywczej, hodując go w warunkach laboratoryjnych w sposób, który imituje reakcję organizmu nosiciela. Niewiarygodne.

– Cóż – rzekł Griff – gdy twoim szefem jest prezydent, a wszystkim rządzi doktor Sylvia Chen, wydatki na badania nie spędzają snu z powiek.

– W porządku, drodzy widzowie – wtrącił Forbush – w następnej scenie zobaczycie, jak Griff wchodzi do laboratorium. Zapisy w dziennikach ochrony udokumentują, że to on, choć to ktoś inny.

– Skąd to zdobyłeś, Melvinie? Przecież nie archiwizujemy zapisów z kamer monitorujących.

– Gdy się dowiedziałem o twoim aresztowaniu, sam zarchiwizowałem ten materiał – wyjaśnił Forbush. – Chciałem zobaczyć na własne oczy, co ich zdaniem zrobiłeś. I dopiero gdy obejrzałem film na dużym ekranie około dwudziestu razy, doszedłem do tego, co tu nie gra.

Film ukazywał puste laboratorium jeszcze przez dwie minuty, po czym w kadrze pojawił się człowiek w białym skafandrze ochronnym. Skafander był rozdęty od powietrza wpompowanego przez przymocowany do niego żółty wąż opadający z sufitu. Intruz poruszał się niczym Neil Armstrong na Księżycu.

– Ponieważ jest odwrócony plecami do kamery, nie możemy stwierdzić, kto to taki. Jediną wskazówką, że to Griff, stanowi brezentowa torba, którą ma w rękę.

– To rzeczywiście moja torba – przyznał Griff. – Ale to nie jestem ja.

– Za dziesięć sekund możesz dojść do innego wniosku – odparł Forbush.

Gdy tylko minęła dziesiąta sekunda, człowiek w skafandrze odwrócił się twarzą do kamery. Griff i Angie wydali stłumione okrzyki zdumienia. Przez maskę z przezroczystego tworzywa bez trudu można było dostrzec twarz Griffa. Jeżeli był to jego sobowtór, to w niczym się nie różnili.

– Jak, u diabła, oni to zrobili? – zapytał Griff.

– A jak James Cameron stworzył tych wszystkich pięknych, wysokich, seksownych Na'vi w *Awatarze*? Jak nam obu udaje się odtworzyć z niczego ludzkie RNA?

Zafascynowani przyglądali się, jak Griff ostrożnie wyjmuje kultury tkankowe WRX3883 z inkubatora i wkłada je do sześciu gładkich aluminiowych

pojemników.

– Te pojemniki są specjalnie zaprojektowane tak, żeby umożliwić bezpieczny transport wyhodowanego wirusa z jednego pomieszczenia laboratoryjnego do drugiego – wyjaśnił Griff. – Możemy sterylizować je z zewnątrz, nie czyniąc szkody wirusowi.

– Gdy oglądałem to pierwszych kilka razy, zastanawiałem się, dlaczego nie zrobiłeś nic, żeby zablokować kamery – opowiadał Forbush. – Potem uświadomiłem sobie, że nie musiałeś. Przenoszenie próbek byłoby w twoim przypadku czymś zupełnie normalnym.

W następnej sekwencji film przedstawiał Griffa, teraz jednak w zwykłym ubraniu, ale wciąż z czarną brezentową torbą, wychodzącego z laboratorium. Zanim zatrzymał się przy punkcie kontroli numer dwa, przebył labirynt betonowych korytarzy. Film pokazywał, jak kładzie dłoń na skanerze biometrycznym, i kończył się, gdy Griff otwierał drzwi, żeby wyjść.

– To wszystko? – zapytał Griff, odwróciwszy się do Melvina. – Mówiłeś chyba, że masz dowód. Pokaż to w sądzie, a zamkną mnie na dobre.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwił się Forbush. – To jest dowód. Niezbity.

Griff i Angie wymienili zdumione spojrzenia.

– Nie rozumiem – rzekł Griff rozdrażnionym głosem.

– Czego? Twierdzisz, że tego nie widziałeś? Spójrz jeszcze raz.

Forbush ponownie puścił ostatnią minutę materiału. Zatrzymał taśmę w chwili, gdy Griff położył dłoń na zamocowanym na ścianie skanerze.

– Znowu niczego nie dostrzegłem – oświadczył Griff.

Forbush westchnął.

– Wiesz, że są tacy ludzie jak ja, którzy żyją po to, żeby znajdować w filmach głupie błędy? I wierz mi, że nie ma filmu, który jest ich pozbawiony. W Hollywood zatrudnia się nawet specjalistów od ciągłości akcji, którzy mają dopilnować, żeby postać nosząca kapelusz w jednym ujęciu miała w tej scenie ten sam kapelusz po zmianie ustawienia kamery.

– Więc znalazłeś głupi błąd, który oczyszcza mnie z zarzutów?

– Więcej niż głupi błąd. Spójrz na zatrzymany kadr. Co widzisz?

– Moją dłoń na skanerze.

– Którą?

– Lewą – odparł Griff. – To się stało tak szybko, że nawet nie zwróciłem na to uwagi.

– Jesteś praworęczny. To twoja ręka dominująca. Z jej linii papilarnych stworzono twój profil. Skaner jest tak ustawiony, że we wgłębieniu można

umieścić dowolną dłoń. Innymi słowy wgłębienie ma dwa kciuki. Ponieważ znajduje się na lewo od drzwi, mańkut po prostu umieściłby w nim swoją lewą dłoń. Ale osoba praworęczna musiałaby stanąć po drugiej stronie skanera. Każdy z nas skanuje tylko jedną dłoń, gdy tworzymy swój profil, dłoń dominującą. Nie mogłeś przejść przez ten punkt kontrolny, skanując lewą dłoń, co oznacza...

– Że to nie Griff niósł tę torbę – dokończyła za niego Angie.

– Nie. Ale ktoś niósł – ciągnął Forbush. – Ktokolwiek to uczynił, przypuszczalnie wykorzystał inny materiał filmowy z kamer monitorujących, żeby spreparować perfekcyjny cyfrowy obraz. To naprawdę doskonała robota. Jeśli nie liczyć tej drobnej gafy.

– I pokazałeś to Sylvii? – zapytał Griff.

– O tak, pokazałem. Nie powiedziałem jednak tego wprost i nie zażądałem wyjaśnień.

– W jakiej sprawie? – zapytała Angie.

– W sprawie jej profilu biometrycznego. Sylvia jest jedną z trzech leworęcznych osób, które mamy w systemie. Założyłbym się, że ten złodziej to ona.

– Może właśnie dlatego zniknęła – zauważył Griff. – Prezydent powiedział mi, że w pewnym momencie szukały jej dziesiątki... chyba nawet mówił o setkach... agentów FBI.

– Może warto podjąć jeszcze jedną próbę – powiedziała Angie. – Czy Sylvia miała gabinet w laboratorium?

Forbush skinął głową.

– Musielibyśmy włożyć skafandry, ale mogę was tam zaprowadzić. Paru agentów przeszukało już jednak to miejsce.

– Jeżeli żaden z nich nie był kobietą, powinniśmy obejrzeć je jeszcze raz.

– Dlaczego?

– Większość kobiet ma w chromosomach zakodowaną specjalną zdolność. Zdolność znajdowania rzeczy. Jeżeli chcemy się dowiedzieć, kto kryje się za Genesis, to przede wszystkim powinniśmy zajrzeć do tego gabinetu.

Rozdział 28

DZIEŃ 3

16.00 CST

Griff poszedł przygotować swoje laboratorium do pracy i pozwolił, by Angie i Forbush sami zaczęli poszukiwania w gabinecie Sylvii Chen. Angie przyłożyła swoją kartę identyfikacyjną do czytnika i czerwona lampka nad skanerem linii papilarnych dłoni zapłonęła na zielono. Stojąc z boku, Forbush kazał jej położyć dłoń na matowej płytce, która rozpoczęła analizę biometryczną. Podczas oczekiwania na zatwierdzenie dziennikarka wyobrażała sobie, jak Sylvia Chen podchodzi do drzwi z drugiej strony z brezentową torbą Griffa, wiedząc, że wrabia niewinnego człowieka, który od lat był jej przyjacielem i współpracownikiem.

Więzienie... Prawdopodobnie tortury.

Ta kobieta musiała wiedzieć, pomyślała Angie. Musiała wiedzieć, co czeka Griffa. Kto jej za to zapłacił? Dlaczego? Gdzie zniknęła?

Słodki, przetworzony komputerowo głos oznajmił:

– Analiza biometryczna zatwierdzona dla Angeli Jane Fletcher. Przepustka siedemset siedem, poziom bezpieczeństwa alfa hotel alfa. Proszę przejść do skanowania siatkówki oka.

Angie oparła brodę w wyznaczonym miejscu i przygotowała się do analizy.

– Kto dostarcza cały ten sprzęt? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

Analiza nie powiodła się, o czym oznajmiło głośne ostrzegawcze brzęczenie.

– Proszę odsunąć się od skanera optycznego i spróbować ponownie – zażądał głos.

– Podczas skanowania nie można mówić – rzekł Forbush. – Algorytm sprawdzania zgodności są bardzo precyzyjne. Dociśnij brodę i staraj się w ogóle nie ruszać głową.

– Przepraszam.

Angie oparła głowę przed skanerem.

– Sprzęt pochodzi od różnych sprzedawców – wyjaśnił Forbush. – Firma

Staghorn Security z Indiany zajmuje się zamówieniami, po czym tworzy system i go instaluje. Gdyby wszystkie firmy robiące interesy z rządem były równie drobiazgowo jak Staghorn, prawdopodobnie zniknęłaby połowa krajowego zadłużenia. Ci ludzie wiedzą, co robią i jak mają to robić.

Tym razem analiza się powiodła i Angie podniosła brodę z podpórki skanera.

– A kamery? – zapytała.

– Je także dostarczył Staghorn.

– Może powinniśmy z nimi porozmawiać. Jeżeli znają ten sprzęt na wylot, może będą wiedzieli, jak Genesis i Sylvia zdołali wykręcić ten numer. Nie wydaje się, by grafiki komputerowe były aż tak łatwe do wykonania.

– Jeżeli ktoś zna się na tym, to wie, jak to zrobić – odparł rzeczowo Forbush. – Griff jest teraz w swoim laboratorium. Po wizycie w gabinecie Sylvii Chen może pokaże ci, co tam robi.

– Widzę, że naprawdę ci na nim zależy.

– Ufam mu, jeżeli o to ci chodzi. On naprawdę troszczy się o ludzi. Sądzę, że dostrzegłaś już, że czasem mam trudności... z... utrzymaniem dobrych stosunków z innymi. Z nim zawsze się zgadzałem. – Forbush zastanawiał się przez moment nad swoimi słowami, po czym całkiem poważnie dodał: – Mimo że jestem bardziej inteligentny.

Angie zaczekała na niego po drugiej stronie drzwi, po czym ruszyli korytarzem do nieskażonej strefy biur, a następnie do Kuchni. Dane przekazane bezprzewodowo do mikroprocesora sprawiły, że kolejne metalowe drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem.

– Znasz tych ludzi ze Staghornu, Melvinie?

– Pracowałem z nimi. Mili ludzie. Bystry. Pragnący zadowolić klienta.

– Przypuszczam, że ciebie czasem trudno usatysfakcjonować.

– To trafne przypuszczenie.

Gdy doszli do szatni przed strefą zagrożenia, Angie poczuła silniejszy ucisk w piersi. Mimowolnie zaczęła się bać. Znajdowali się sześćdziesiąt metrów pod ziemią i zbliżali do miejsca, gdzie niespełna rok temu rozwijano hodowlę bardzo silnych drobnoustrojów, w tym wirusa, który niebawem zacznie zabijać dziesiątki ludzi w Kapitolu.

– Czy został tu jakiś żywy wirus?

– To znaczy w Kuchni? Przypuszczam, że to możliwe. Nie ryzykujemy. Poza tym Griff ma te próbki krwi z Waszyngtonu. Jest w skafandrze, pracuje teraz nad nimi, żeby utworzyć ponownie linie hodowli tkankowej.

Obręcz wokół piersi Angie zacisnęła się jeszcze mocniej. Oddychała z wysiłkiem.

– Potrzebuję chwili, Melvinie – powiedziała.
– Nie krępuj się. Wszyscy chwilami cierpimy na klaustrofobię i czujemy się zagrożeni, zwłaszcza gdy pomyślimy, jak niewiele cząstek WRX3883 wystarczy, żeby nas zabić.

– Bardzo poprawiłeś mi tym samopoczucie.

– To dobrze – odparł Forbush, najwyraźniej nie wyczuwając sarkazmu. – Powiedziałaś, że chcesz zacząć od gabinetu doktor Chen. Będziesz musiała włożyć skafander.

– To dla mnie nie pierwszozna.

– W takim razie wiesz, że do oddychania w nim trzeba się przyzwyczaić.

– Owszem.

– Powietrze początkowo pachnie jak melasa.

– Rozumiem.

– I będziemy musieli naprawdę głośno mówić, żeby nie zagłuszały nas kompresory.

– Melvinie, chodźmy.

– Przebierz się za szafkami, a potem przejdź przez drzwi zabezpieczające. Spotkamy się w Kuchni. To są drzwi do szatni. Gdy tylko wejdiesz do pierwszej strefy tranzytowej, lampka nad drzwiami szatni rozbłyśnie na zielono.

Pragnąc się uspokoić, Angie pociągnęła za klamkę. Drzwi stawiały opór.

– Podciśnienie – wyjaśnił Forbush. – Pomaga zatrzymać swobodne cząstki wirusa w.

Zanim Melvin skończył tłumaczenie, Angie zacisnęła zęby, mocnym szarpnięciem otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Nie zapomnij zdjąć biżuterii – głos Forbusha dobiegł z głośnika na ścianie. – I pamiętaj o owinięciu nadgarstków i kostek taśmą... Trochę przypomina to *Andromeda znaczy śmierć* Michaela Crichtona... Arthur Hill, jeden z moich ulubieńców, grał w nim doktora Jeremy'ego Stone'a. Jest Kanadyjczykiem. Nie doktor Stone, tylko Arthur Hill.

Kilka lat wcześniej Angie napisała trzyodcinkowy artykuł na temat zaburzenia autystycznego zwanego zespołem Aspergera. Jeżeli zebrane przez nią informacje były w miarę dokładne, Melvin Forbush stanowił klasyczny przypadek tego schorzenia neurologicznego. „Zachwycający, ale czasami nieznośni – napisała. – Często błyskotliwi, często jednak jakby nieobecni lub rozkojarzeni. Opętani szczegółami, o ile tylko interesuje ich dany temat”.

Z nim zawsze się zgadzałem – powiedział wcześniej Forbush o Griffie.

Był to kolejny hołd złożony człowiekowi, pracującemu już pełną parą w laboratorium, do którego zmierzała – człowiekowi obarczonemu zadaniem

ocalenia życia prezydenta Stanów Zjednoczonych i siedmiuset innych osób. Angie nigdy jeszcze nie zakochała się dwa razy w tym samym mężczyźnie. Teraz zdała sobie sprawę, że tego nie wyklucza.

Dwadzieścia minut później była gotowa. Odziana w skafander ochronny wyszła z szatni i wkroczyła do następnej strefy przejściowej, która jarzyła się od fioletowych lamp ultrafioletowych. W końcu znalazła się w służbie powietrznej, by poczekać na swojego przewodnika. Pęd powietrza po podłączeniu węża dawał początkowo wrażenie jazdy kabrioletem z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Jak sobie radzisz? – zapytał.

– Czuję się świetnie. Tak zwykle czuje się też mój mózg. Raczej podoba mi się ta gonitwa.

Czekając, Angie raz jeszcze skupiła myśli na Sylvii Chen. Wcześniej Griff przedstawił jej skrótowo tę kobietę i jej życiorys. Urodzona w Chinach, za młodu przeprowadziła się z matką do Stanów Zjednoczonych. Teraz mówi ze słabym akcentem lub zupełnie bez akcentu. Żadnej wzmianki o ojcu. Dyplom Yale w wieku dwudziestu lat. Doktorat w Columbii sześć lat później. Stały etat w wieku lat trzydziestu ośmiu. Zamężna przez krótki czas. Bezdzienna. Niestrudzona badaczka. Powodowana ambicją. Pominięta przy nominacji na szefa wydziału w Columbi, która uczyniłaby z niej najmłodszą osobę na tym stanowisku, przeniosła się ze swoimi badaniami nad WRX3883 do rządowego laboratorium. Autorka setek książek, artykułów i referatów naukowych. Przeciwiństwo Rhodessa, jeśli chodziło o przekonanie o potrzebie wykorzystania zwierząt do badań – głównie szympansov lub innych mniejszych ssaków z rzędu naczelných. Mimo to miała olbrzymie zaufanie do Griffa i jego prac. Zapalona miłośniczka opery i mistrzyni szachowa. Skrupulatna, poważna, zasadnicza. Właścicielka czarnego porsche, którym jeździła z niezmierną szybkością po rozległych równinach południowo-zachodniego Kansas. Pragnęła zdobyć Nagrodę Nobla i wiele oczekiwała w tym względzie od badań nad WRX3883, uważała jednak, że rozwodzenie się nad tym pragnieniem przynosi pecha.

Drzwi służby powietrznej otworzyły się i zamknęły, a Forbush znalazł się za nią. Razem weszli do strefy skażenia określonej na wiszącej na ścianie tablicy mianem Kuchni.

– Oprowadzić cię? – zaproponował Melvin.

– Może później. Chcę zobaczyć gabinet i laboratorium doktor Chen.

– Powtarzam, sprawdzano je już kilka razy.

– Więc nie powinno mi to zabrać dużo czasu.

Przy tablicy widniały szczegółowe instrukcje, jak postąpić w razie kontaktu

z wirusem. Obok znajdowała się tabliczka z napisem CZARNA STREFA i strzałką skierowaną pionowo w dół.

– Objaśnij to – poprosiła Angie.

– Nigdy z niej nie korzystaliśmy, ale to niewielki bunkier poniżej pomieszczenia dla zwierząt, z paroma łózkami i telewizorem. Jeżeli narazisz się na kontakt z WRX, tam właśnie pójdziesz umrzeć.

– Fajna sprawa.

– Trochę jak okręt podwodny w *Okręcie*.

– Gabinet Chen?

– W głębi korytarza.

– Pozwolisz, Melvinie, żebym zrobiła to sama?

– Chyba tak. Wiesz, czego szukasz?

– Nie mam pojęcia. Czegoś... czegokolwiek. Dziesięć minut. Po prostu daj mi dziesięć minut.

– Panno Marple...

– Słucham?

– Detektyw z powieści Agathy Christie... Morderstwo w hotelu Gallop. Morderstwo najgorszego sortu. Właśnie ją mi przypominasz...

– Dziesięć minut, Melvinie.

Podziękowała mu, klepiąc go po ramieniu.

Sylvia Chen zadała sobie wiele trudu, żeby przydać trochę wdzięku temu pozbawionemu okien pomieszczeniu. Na pokrytych bielonym tynkiem ścianach wisiały chińskie dzieła sztuki lub półki wypełnione tomami naukowymi. W kącie stało biurko z drewna – chyba orzechowego – i lampy mające imitować naturalne światło słoneczne. Największy obraz, w czarnej ramie, był uroczą akwarelą przedstawiającą wenezuelskie Salto Angel, naprzeciwko niego stał stolik mieszczący niesprawny wodotrysk z brązu. Podłogę, niemal w całości pokrytą okrągłym orientalnym dywanem w intensywnie niebieskie i czerwone wzory, wyłożono dużymi kaflami w kolorze złamanej bieli.

Po niespiesznym obejrzeniu każdej ściany i każdej półki Angie stanęła pośrodku pokoju i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie Sylvię Chen jako kobietę, która rozpaczliwie dbała o swój wygląd i otoczenie – kobietę, która potrzebowała aprobaty.

Gdy Forbush wrócił, Angie siedziała przy biurku Chen, wpatrując się to w jedną, to w drugą ścianę.

– Skończyła już pani, panno Marple?

– Jeszcze nie. Właśnie wczuwam się w osobowość Sylvii.

– Niewiele tu jest, prawda?

– Więcej, niż mogłoby się wydawać – odparła Angie, zagłuszając pęd powietrza w helmie.

Po prawicy Forbusha pojawił się Griff.

– Na przykład co? – zapytał.

– Och, cześć, doktorze. Jak leci?

– Wygląda na to, że żyjemy. Mamy wirus i komórki, w których można go hodować, i wydaje się, że dobrze z sobą współżyją.

– Niech więc zaczną się te igrzyska – zaproponowała Angie. – Przewidziałeś jakiś czas na sen?

– Myślisz, że ci ludzie w Kapitolu śpią?

– Słuszna uwaga. Kupię ci trochę najmocniejszych tabletek NoDoz w kantynie, gdy tylko ją postawią.

– Twierdziłaś, że w tym pokoju kryje się więcej, niż można by przypuszczać.

– Na przykład to, że tamten stolik jest obrócony pod kątem czterdziestu pięciu stopni względem ściany, i powód, dla którego Chen wybrała okrągły dywan, a nie prostokątny.

– Nadal nie rozumiem – odparł Forbush.

– Melvinie, co wiesz o fengshui?

Rozdział 29

DZIEŃ 3

16.10 CST

Griff obejrzał pobieżnie gabinet Sylvii Chan, ale dostrzegł w nim jedynie doskonale uporządkowane, niezagracone miejsce pracy.

– Musisz patrzeć umysłem, nie oczami – poradziła Angie.

Żeby się słyszeć w ciągłym szumie powietrza napływającego do skafandrów ciśnieniowych, dotykali się niemal skroniami.

– No dobrze, oświeć mnie.

– Mogłabym powiedzieć, że moje życie składa się z kolejnych etapów. Niektóre, jak etap gry w squasha, nurkowania z akwalungiem i kontredansa, to już przeszłość, niektóre, jak kuchnia wegetariańska i pilates, przetrwały. Okres fengshui trwał, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że jestem zbyt roztrzepana i zdezorganizowana, by stosować się do jego zasad. Lecz wiedza nigdy nie idzie na marne i zanim przerwałam kursy i studia dzienne, bardzo dużo się nauczyłam.

Griff i Melvin podeszli za nią do obrazu przedstawiającego Salto Angel – najwyższy wodospad na świecie.

– Feng to wiatr, shui to woda. Stanowi taoistyczne wyjaśnienie istoty przyrody, podkreślające znaczenie przepływu energii. Zgodnie z tym prostym poglądem niezakłócony przepływ energii sprzyja bogactwu, zdrowiu i szczęściu.

– Energia – rzekł Griff. – Rozumiem.

– Na przykład ten pokój jest podzielony na strefy. Bez użycia kompasu wiem, że to jest północna ściana gabinetu, dzięki pierwiastkom wodnym, które Chen tutaj umieściła. – Angie chwyciła za oparcie wąskiego krzesła ustawionego bezpośrednio pod obrazem i odsunęła je o kilkanaście centymetrów od ściany. – To krzesło i leżąca na nim niebieska poduszka są w kolorach, które najlepiej energetyzują tę strefę.

Griff wskazał przyległą ścianę, w której znajdowało się również wejście do gabinetu, i zapytał:

– A to jest jaka strefa?

– To strefa wschodnia. Wewnętrzną powierzchnię drzwi pomalowano na zielono.

– Pamiętam nawet, jak mówiła, że barwa drzwi pomaga jej w myśleniu – wtrącił Forbush.

– Nic dziwnego. Charakterystyczną cechą tego miejsca jest pierwiastek leśny. Dominują zielone barwy wzmagające optymizm, zadowolenie i rozwój duchowy.

– Założę się, że dostałaś piątkę na tym kursie – rzekł Griff.

– Tak naprawdę omal z niego nie wyleciałam. Doktor Huang, instruktor, powiedział, że podczas zajęć mam siedzieć nieruchomo, bo inaczej nie będę mogła zostać.

Griff ułożył dłonie na ramionach Angie i odwrócił ją do siebie.

– Wszystko to bardzo ciekawe – przyznał – ale nie widzę związku, a muszę uruchomić laboratorium.

– Chcemy się dowiedzieć, gdzie może być Sylvia, zgadza się?

– O ile jeszcze żyje – zastrzegł Forbush.

– Cóż, rozmieszczenie sprzętów i wystrój gabinetu wskazują, że Chen jest wierna przynajmniej niektórym tradycyjnym chińskim wierzeniom.

Angie odwróciła się do biurka i uniosła oprawione w ramkę zdjęcie formatu trzynastie na osiemnaście centymetrów.

– To Sylvia – rzekł Griff, sądząc, że odpowiedział na pytanie, które właśnie miała zadać. – Jestem jednak pewien, że zrobiono je parę lat temu.

Tymczasem Angie wskazała drugą kobietę na fotografii, starszą Chinkę w bluzce w białe kwiaty i czarnej spódnicy.

– A ona?

Griff wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– To jej matka – powiedziała Angie. – Kształt twarzy, oczy. W zasadzie jestem tego pewna.

– Więc?

Angie wyjęła zdjęcie z czarnej ramki i uniosła je, tak aby Griff mógł zobaczyć datę i godzinę, które cyfrowy aparat automatycznie naniósł na odbitkę.

– Zrobiono je przez czterema laty.

Griff poruszył się niecierpliwie.

– Posłuchaj, Angie. Wszystko, co mówisz, jest fascynujące i nie chcę się wydać opryskliwy, ale musimy się skupić na rozpoczęciu pewnych doświadczeń. Do czego zmierzasz?

– Jeżeli Chen żyje, to dam głowę, że przebywa blisko matki.

– To spory skok od jakiegoś obrazu i krzesła. Skąd taki wniosek?
– Z analizy tradycyjnych wartości. Więzy matki z córką jest silna w większości kultur, ale szczególnie mocna między chińskimi kobietami oraz ich matkami.

– To wszystko?

– Właściwie nie. Słuchaj, Griff, wiem, że wam się spieszy, ale myślę, że tutaj coś jest.

– Gdzie?

Angie przywołała ich do stojącej po drugiej stronie gabinetu biblioteczki.

– Dominującym pierwiastkiem w strefie zachodniej jest metal. Srebrne i złote barwy oraz same metale wzmacniają energię tej strefy.

Griff pochylił się, by obejrzeć niektóre z tytułów, i rzekł:

– Nie rozumiem, jak takie książki jak *Patogeneza w wirusologii klinicznej* miałyby poprawić czyjekolwiek zdrowie.

– Chyba że ta osoba właśnie zaraziła się marburgiem – zażartował Forbush, śmiejąc się bez skrępowania ze swojego ponurego żartu.

Angie zdejmowała książki z półki, zerkała szybko na okładki i zamiast je odłożyć, ciskała kolejno na bok.

– Hej, Angie, zwolnij. Może tam być coś ostrego, czym przebijesz sobie skafander. A tak w ogóle to czego szukasz?

– Tego! – wykrzyknęła dziennikarka, unosząc wysoki cienki tom z kolorową okładką.

Griff przeczytał głośno tytuł.

– *Potęga brzoskwini. – Przepisy dla królów i cesarzy.* Nie rozumiem.

– Ja też nie – dodał Forbush.

– Zważywszy na pozostałe tytuły i związek niemal wszystkich tych książek z pracą Chen, ta jedna do nich nie pasuje. Nie ma tu żadnej innej tego rodzaju.

– Mów dalej – zaproponował Griff, nagle zaciekawiony.

– Brzoskwinia symbolizuje długie życie i odgrywa znaczącą rolę w fengshui.

Angie przewracała kolejne kartki książki kucharskiej, guzdrząc się z tym z powodu rękawic. Gdy zbliżała się do środka, spomiędzy kartek wysunęła się i opadła, wirując, na podłogę złożona we troje broszura. Angie podniosła ją z pewnym trudem, rozłożyła na całą szerokość i uniosła tak, by Griff i Melvin mogli zapoznać się z treścią.

– Dom opieki Riverside. A tutaj jest napisany trzy lata temu list od nich z podziękowaniami dla doktor Chen za jej list z prośbą o informacje.

– Co o tym myślisz? – zapytał Griff.

– Myślę, że matka Sylvii może mieszkać w tym ośrodku. A jeżeli Sylvia nadal żyje, jest gdzieś niedaleko lub przynajmniej odwiedza ją tam.

– Jak mamy to potwierdzić? – zapytał Griff. – Nie dysponujemy telefonami ani nawet dostępem do internetu. Chyba że jesteśmy kontrolowani.

– Nie próbowałamby tą drogą. To zbyt niebezpieczne. Szczególnie jeżeli tylko my podejrzewamy, że właśnie tam może być Sylvia. Dopóki nie wiemy, kim są członkowie Genesis i skąd wiedzieli, że mają wysadzić helikopter, rozsądek nakazuje ufać wyłącznie sobie. Wy dwaj musicie zostać w tym laboratorium, ale ja nie. Melvinie, musisz mi pomóc wymknąć się stąd.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł Forbush. – Dokąd chcesz się dostać?

– Na najbliższe w miarę duże lotnisko. – Wskazała adres na odwrocie broszury.
– Wybieram się do Nowego Jorku, a dokładniej, do Chinatown.

Rozdział 30

DZIEŃ 4 9.00 EST

Ursula Ellis uderzeniem młotka rozpoczęła posiedzenie nowo utworzonej specjalnej komisji śledczej Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych ds. śmierci senatora Harlana Mackeya. Ellis gruntownie znała dzieje Kongresu i nie przypominała sobie sytuacji, gdy rezolucja o powołaniu specjalnej komisji została przygotowana i przegłosowana w tak krótkim czasie. Sprawa była tym bardziej niezwykła, że prezydent Allaire zatwierdził powołanie ciała, które mogło w ostatecznym rozrachunku doprowadzić do jego upadku.

Wróciła myślami do utworzenia komisji i momentu, gdy Allaire w całej swojej arogancji na to pozwolił. Prezydent wrócił do sali obrad po dość długiej nieobecności spowodowanej naradą ze swoimi kołesiami, z twarzą wymizerowaną i siną jak dym. Nastroje były bliskie hysterii. Niektórzy członkowie ciała legislacyjnych i sądowych domagali się ponownego obejrzenia zapisu śmierci Mackeya, lecz jako osoba nadzorująca nieustawodawcze działania Izby Reprezentantów Ellis w ramach swoich uprawnień odrzuciła to żądanie. Film spełnił już swoje zadanie i ponowna jego projekcja nie przyniosłaby żadnych korzyści. Ona uzyskała to, czego chciała. Jim Allaire leżał już na linach.

– Co z tym zrobimy, Ursulo? – zapytał Allaire.

Siedzieli za mównicą, Allaire w fotelu wiceprezydenta, Ellis naprzeciw niego.

– Cóż, panie prezydencie, będzie pan musiał wyrażać się jaśniej.

– Cholernie dobrze wiesz, o czym mówię – odburknął Allaire.

W sali obrad kordon utworzony przez agentów Secret Service, wśród których znajdował się Sean O’Neil, blokował dostęp do mównicy i pozwalał adwersarzom na rozmowę na osobności.

– Panie prezydencie, na tej sali przedstawiono dowody, które świadczą o tym, że mógł pan się zgodzić na popełnienie morderstwa lub wręcz je zlecić.

– Cóż, to oczywiście nie jest prawda i ty dobrze o tym wiesz.

– Wiem tylko tyle, ile widziałam na tym nagraniu – odparła Ellis. – Niech pan mi odpowie na jedno pytanie, panie prezydencie.

– Pytaj.

– Czy zatwierdził pan użycie siły przez wojsko?

Allaire zmrużył oczy i odparł.

– Nie.

– Cóż, w takim razie chciałabym utworzyć specjalną komisję, żeby uzyskać potwierdzenie pańskich słów z niezależnego źródła. Zakładam, że zdecydowanie poprze pan taki krok. Chyba że ma pan coś do ukrycia... panie prezydencie.

– I jak chcesz doprowadzić do powołania takiej komisji, Ursulo?

– To proste, panie prezydencie – odparła Ellis głosem, z którego przebijała pewność siebie. – Zgodnie z moją ostatnią rachubą mamy dwustu osiemdziesięciu uprawnionych do głosowania kongresmenów uwięzionych na pańskie polecenie w sali obrad. Nie sprecyzował pan jasno, czy mam dostęp do tych, którzy są gdzie indziej.

– Do czego zmierzasz?

– Z konstytucyjnego punktu widzenia niezależnie od tego, czy uzyskamy głosy pozostałych, mamy kworum do prowadzenia obrad.

Allaire wściekł się w okamgnieniu.

– Chcesz przeprowadzić oficjalne głosowanie w tej krytycznej sytuacji? Oszalałaś?

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, jeżeli pana intencją jest utrzymanie porządku, będzie pan musiał przywrócić zaufanie. Sądzę, że w tym celu najlepiej postąpić w ten sposób.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli – odparł Allaire. – Celem tej twojej specjalnej komisji jest sprawdzenie mnie?

Ellis niemal czuła, że prezydent ma ochotę chwycić ją za gardło. Uśmiechnęła się na tę myśl.

– Och, nie pana w szczególności, panie prezydencie. Komisja skupi się na tragicznej śmierci senatora Mackeya. Naturalnie oczekiwałabym pańskiej pełnej współpracy, gdy komisja wezwie kluczowych świadków, z panem włącznie, do złożenia zeznań pod przysięgą.

– A jeśli odmówię swojego poparcia?

Ellis nie zwlekała z odpowiedzią, chociaż przy jej radosnym uniesieniu, zachowanie powagi wymagało wysiłku.

– W takim wypadku – odparła – zażądałabym, by Komisja Sędziowska Izby rozpatrzyła dowody przestępstwa. Konstytucja daje nam przecież prawo do usunięcia pana z urzędu za poważne przestępstwa i wykroczenia. Sądzę, że to

zabójstwo podpada pod tę pierwszą kategorię. Zgodzi się pan ze mną?

– Pani Ellis – odparł Allaire – zważywszy na zagrożenie dla naszego państwa, jakie stanowią te okoliczności, pani działania ocierają się o zdradę.

– Mamy tylko jedną konstytucję, panie prezydencie, a ja będę tylko jedną z osób zaangażowanych w jej ochronę.

Gniew malujący się na twarzy Allaire’a szybko ustąpił miejsca stoickiemu wręcz spokojowi.

– Niech pani prowadzi swoje śledztwo i zarządzi głosowanie – powiedział. – Będzie pani miała moje poparcie.

– Dziękuję, panie prezydencie.

Leland Gladstone sporządził projekt uchwały w sprawie utworzenia komisji specjalnej. Ellis zredagowała znaczną jej część. Mimo to była pod wrażeniem tego, że młody współpracownik wykazał się niezwykle dojrzałą orientacją w politycznym rzemiośle. Dzięki jego prozatorskiemu stylowi każde sformułowanie pozwalało na wielorakie interpretacje. Kopie uchwały sporządzono w pomieszczeniu dla mediów i rozdano wszystkim uprawnionym do głosowania. Potem Ellis zebrała kworum. Uchwała przeszła niemal jednogłośnie.

Ellis mianowała siebie przewodniczącą, co nie naruszało zasad obowiązujących w Izbie Reprezentantów, zważywszy na to, że w porządku obrad komisji nie było inicjatyw ustawodawczych. Jej następnym zadaniem był dobór czternastu członków komisji z pięciokrotnie większej puli kandydatów. Uchwała wymagała równej reprezentacji przedstawicieli obu partii, jednak obecność Ellis gwarantowała, że każdy impas zostanie przełamany na jej korzyść. Celowo wybrała kilkoro prezydenckich lojalistów. Gdy zwróca się przeciwko ukochanemu przywódcy, o czym była przekonana, tym głębiej wstrząśnie to jego zwolennikami.

Wstęp do pobliskich pomieszczeń konferencyjnych był zabroniony, więc nowo utworzona nadzwyczajna komisja zebrała się w otoczonej kordonem części na górnej galerii. Mimo mrozu na dworze ciepło emanujące z ciał groziło przeobrażeniem sali obrad w saunę. I oczywiście nie dość, że zamknięto okna, to jeszcze wyłączono klimatyzację. Dostarczona wygodna odzież została w końcu rozdzielona pomiędzy trzy grupy i w rezultacie morale nieznacznie się podniosło.

– Zanim rozpoczniemy obrady komisji, chcę osobiście podziękować każdemu z was za to, że odłożyliście na bok zupełnie słuszne obawy o własne zdrowie i bezpieczeństwo, żeby skupić się na podstawowej dla Kongresu kwestii – zaczęła Ellis. – Nie nalegałabym na stworzenie tej nadzwyczajnej komisji, gdybym nie sądziła, że ma ona największe znaczenie dla dobra obywateli Stanów Zjednoczonych, którego zapewnienie stanowi nasz najpilniejszy obowiązek. Odważnym głosowaniem pokazaliście swoje poparcie w najbardziej znaczący

sposób.

Siwowłosa Barbara Crain, od wielu kadencji reprezentująca stan Delaware, której popielata cera domagała się świeżego powietrza, odezwała się pierwsza:

– Szczerze mówiąc, pani przewodnicząca, każde działanie w tej chwili stanowi bardzo pożądaną odmianę. Czujemy się tutaj bezsilni i przytłoczeni.

Wiele osób potwierdziło jej słowa skinieniem i Ellis znowu łaskawie podziękowała im wszystkim. Stale zwracała uwagę na mowę ciała twardegłowych stronników Allaire'a i poprosiła, by Gladstone czynił to samo. Jak się spodziewała, początkowo byli chyba gotowi stosować obstrukcję i zażarcie bronić Allaire'a. Ich postawa miała się niebawem zmienić.

– Jedna uwaga proceduralna – powiedziała Ellis. – Mój bliski współpracownik pan Gladstone będzie sporządzał pełne i szczegółowe raporty ze wszystkich działań komisji. Jednak na mocy regulaminu otwartych zebrań i przesłuchań, paragraf drugi punktu jedenastego, przegłosowaliśmy, że te posiedzenia pozostaną zamknięte. I dlatego przypomnę członkom komisji, żeby powstrzymali się od nagrywania czegokolwiek, co jest tutaj omawiane.

Jakiś kongresmen z Ohio, otyły i pocący się obficie, zauważył drwiąco:

– Nawet nie mamy na czym nagrywać. Zadbali o to cholerni naziści Allaire'a.

Jego uwaga doprowadziła do gwałtownej wymiany zadań. Ellis zastukała młotkiem, żeby przywrócić porządek.

– Przypominam, że będziemy prowadzić obrady tej komisji zgodnie z zasadami przyjętymi w Izbie dla specjalnych komisji śledczych. Przewodnicząca przyznaje sobie pięć minut na wygłoszenie wstępnego oświadczenia. – Ellis zapisała wcześniej swoje uwagi, ale bez trudu mogła je wyrecytować z pamięci. – Stajemy dzisiaj w obliczu jednego z największych i najpoważniejszych zagrożeń, jakich zaznał nasz kraj. Moim zdaniem jest to zagrożenie wewnętrzne. Przez wewnętrzne rozumiem zagrożenie nie tylko ze strony terrorystów określających się mianem Genesis, ale również ze strony naszego rządu oraz, a jakże, ze strony samego prezydenta. Zadaniem naszej komisji będzie ustalenie zasadności mojego zatrważającego twierdzenia.

Rozpocznijmy od analizy faktów w ich możliwej postaci. Genesis, znana organizacja terrorystyczna, przeniknęło rzekomo do naszego supernowoczesnego systemu bezpieczeństwa, żeby zarazić nas jakimś wirusem. Jak dokonali takiego wyczynu bez pomocy sił wyznaczonych do obrony naszego bezpieczeństwa? Dlaczego organ wykonawczy naszego rządu nie daje nam, organowi ustawodawczemu, szansy na wykonanie zadań, do których zostaliśmy wybrani?

Ellis zrobiła pauzę i zatrzymała spojrzenie na kilku najbardziej zagorzałych zwolennikach Allaire'a. Gladstone sprawdził godzinę na zegarku i uniósł dwa

palce, by zasygnalizować szefowej, ile minut już mówi.

– Jak ze smutkiem podkreślił kongresmen z Ohio – ciągnęła – na mocy rozkazu prezydenta nie macie już telefonów, by skontaktować się ze swoim elektoratem. Czemu tak jest? Pozwólcie, że zapytam: ilu z was ma w swoim okręgu wyborczym duży uniwersytet? – Połowa zebranych podniosła rękę. – Czy te uniwersytety nie zatrudniają uczonych? Do naszej dyspozycji pozostają olbrzymie zasoby intelektualne, które mogłyby pomóc w złagodzeniu tego kryzysu, a mimo to odmawia się nam dostępu do nich. Dlaczego?

Ellis znowu zrobiła pauzę. Nauczyła się, że pytanie często jest bardziej wymowne niż stwierdzenie faktu.

– Dochodzę do wniosku, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Wnoszę również, że dogłębne śledztwo w sprawie tragicznej i okropnej śmierci senatora Harlana Mackeya ujawni nową prawdę. Ta nadzwyczajna komisja musi działać, przedkładając interes kraju nad interes jakiegokolwiek jednostki... czy jakiegokolwiek prezydenta. Musimy wiedzieć, czego zażądało Genesis nie tylko przy okazji tego przerażającego ataku, ale również przy okazji ataków, które go poprzedziły. Takie żądania z pewnością zostały sformułowane. Prezydent Allaire z pewnością je zna. Dlaczego nie podzielił się tymi informacjami z narodem za pośrednictwem legalnie wybranych senatorów i kongresmenów? Nasza komisja musi być gotowa zająć się wszelkimi ewentualnościami... nawet oskarżeniami, że prezydent naszego kraju postanowił utrzymywać nas w nieświadomości co do żądań Genesis i uciekł się do zabójstwa, żeby chronić własny interes, nie dopuszczając nas do tych tajemnic. Czy któryś z członów komisji chce wygłosić następne oświadczenie?

Jakaś żarliwa zwolenniczka Allaire'a podniosła rękę.

– Ja chcę.

– Przewodnicząca dopuszcza do głosu kongresmenkę z Kentucky – powiedziała Ellis.

– Poczyniła pani parę interesujących uwag, pani przewodnicząca, które chyba zmieniły moje zapatrywania. Wygląda na to, że nasz drogi kolega senator Mackey został stracony za wyjście z budynku. Jeżeli ten wirus nie stwarza wyjątkowego zagrożenia dla ludności, jak zapewnia prezydent, dlaczego senator zapłacił tak wysoką cenę za coś, co wydaje się drobnym wykroczeniem?

– Co pani sugeruje? – zapytała Ellis, żeby ją ponaglić.

– Pytam obecnych na tym posiedzeniu, kto wierzy, że ów wirus stanowi niewielkie zagrożenie dla zdrowia? – Większość podniosła rękę. – W takim wypadku – ciągnęła przedstawicielka Kentucky – powinniśmy skrócić to śledztwo, skłaniając po prostu kogoś z członków tej komisji do opuszczenia z własnej woli

siedziby Kongresu i przejścia tą samą drogą, którą podążył senator. Prezydent Allaire zapewnił nas, że strzały padły przez przypadek. Sądzymy, że zagrożenie wirusem jest nieistotne. Szybka wyprawa na zewnątrz powinna potwierdzić prawdziwość obydwu tych twierdzeń.

– Czy zatem – odparła Ellis – mamy jakichś wolontariuszy skłonnych przyjąć propozycję przedstawicielki stanu Kentucky? – Tym razem nikt nie podniósł ręki. – Jeżeli miała pani wcześniej wątpliwości co do znaczenia naszej komisji, to teraz zostały one chyba rozwiane.

Na prawo od Ellis nastąpiło poruszenie. Odwróciwszy się, ujrzała, że nadchodzi agent Secret Service niosący dużą i grubą szarą kopertę.

– To zamknięte obrady – powiedziała. – Przykro mi, ale nie wolno panu tutaj przebywać.

– Przepraszam, pani przewodnicząca, ale ta paczka przyszła do pani z ostatnią dostawą zaopatrzenia. Jestem odpowiedzialny za sprawdzanie przesyłek pod kątem bezpieczeństwa, musiałem więc polecić, by ją prześwietlono, ale uznałem, że nie ma potrzeby jej otwierać. Najwyraźniej nadawcą jest generał Egan, pomyślałem więc, że pewnie zechce się pani natychmiast zapoznać z zawartością przesyłki.

– Jestem niezmiernie wdzięczna i przepraszam, że pana upomniałam.

Agent wręczył jej paczkę, skinął głową, by przeprosić za najście, i zawrócił. Ellis obejrzała przesyłkę. Bąbelkową kopertę zaklejono przezroczystą taśmą. W oznaczeniach na kopercie rozpoznała oficjalne emblematy amerykańskiej armii, ostemplowano ją też czerwonym napisem PILNE. Ellis uderzyła raz swoim młotkiem i oznajmiła:

– Przewodnicząca korzysta z prawa do ogłoszenia trzydziestominutowej przerwy.

Wstała i przeszła obok członków komisji. Do tej pory posiedzenie miało bardzo korzystny przebieg. Wciąż jednak szukała sposobu wyrządzenia znaczących szkód Allaire'owi. Ten człowiek kłamał i zatajał kluczowe informacje, ona zaś zbyt dobrze znała swój fach, by nie drażnić sprawy, dopóki nie naruszy kruchej fasady jego manipulacji.

Wiedziała, kim jest generał Paul Egan, ale spotkała się z nim tylko raz w jakiejś oficjalnej sprawie. Niemal na pewno nie był zwolennikiem Allaire'a. Czuła, że cokolwiek jest w tej kopercie, nie może jej w żadnym razie zaszkodzić. Ściskając ją w dłoniach, udała się do toalety.

Rozdział 31

DZIEŃ 4 9.30 EST

Generał Paul Egan nie ma z tą paczką nic wspólnego. Posłużyliśmy się jego nazwiskiem, by mieć pewność, że ochrona potraktuje przesyłkę poważnie i dostarczy ją Pani. Członkowie Genesis wierzą, że jest pani osobą, która nadaje się na przywódcę tego kraju. Jeżeli się Pani z tym zgadza i chciałaby dowiedzieć się więcej, proszę odpowiedzieć na ten list. Szyfrem otwierającym nasze wiadomości będzie hasło dostępu do Pani konta internetowego w Bank of Virginia.

Ellis odetchnęła gwałtownie, czytając ten tekst na ekranie podręcznego komunikatora, który starannie owinięto ochronną folią. Był on równie cienki jak telefon BlackBerry, ale trochę większy. Wyświetlony na ekranie obraz był ostry.

Hasło? – zapytał komunikator.

To niemożliwe, pomyślała Ellis. Przecież Genesis nie mogło zdobyć hasła do jej internetowego rachunku bankowego! Celowo wpisała niewłaściwy kod i komunikator natychmiast odmówił wykonania dalszych operacji. Wtedy wpisała prawidłowe cyfry i urządzenie wskazało jej miejsce między folią bąbelkową a papierową powłoką koperty, w której starannie ukryte zostały dwie zadrukowane kartki. Na pierwszej napisano: NASZE ŻĄDANIA.

Ellis zabrała paczkę do kabiny i zamknęła drzwi. Przy pierwszej lekturze żądania – radykalnie antyestablishmentowe – wydały jej się graniczyć z absurdem. Ellis odsunęła jednak na bok początkowe wrażenie, przypominając sobie, jaką błyskotliwością oraz nieokiełznaną bezwzględnością wykazała się dotąd ta organizacja.

Kto kryje się za Genesis? – napisała.

Odpowiedź pojawiła się w niespełną minutę po przyciśnięciu klawisza „Wyślij”.

Reprezentujemy wszystkich, którzy cenią sobie prawdziwą wolność. To wszystko, co musi Pani wiedzieć. Niniejsze wiadomości są zaszyfrowane i bezpieczne. Ich transmisji nie da się wykryć. Zapoznała się Pani z naszymi żądaniami?

Ellis przejrzała ponownie kartkę z żądaniami, po czym wysłała wiadomość, która brzmiała po prostu Tak.

Komunikator zabrzączał w jej dłoni, gdy Genesis przesłało odpowiedź.

Zakomunikowaliśmy te żądania prezydentowi, a on nas zlekceważył. Wirus, z którym mieliście kontakt, jest prawdziwy i zabójczy. Tylko my mamy lek, który uratuje wam życie. Nie reagując na nasze żądania, prezydent przypieczętował wasz los.

Ellis wystukała: Czego ode mnie chcecie?

Tym razem nie było natychmiastowej reakcji. Może to jakaś sztuczka Allaire'a? Zagroziła mu przecież usunięciem z urzędu. Czy mógł próbować ją zrobić i ukazać jako osobę skłoną negocjować z terrorystami? Niewykluczone.

Jeżeli nie stał za tym Allaire, to dlaczego zwracali się właśnie do niej?

Ellis nakazała sobie ostrożność, dopóki sytuacja bardziej się nie wyklaruje. Jeżeli ta wiadomość rzeczywiście pochodziła od Genesis, to Allaire nie tylko zlekceważył ich komunikaty, ale również je zataił. Jeśli tak, to naraził wszystkich w Kapitolu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Komunikator zabrzączał nagle w jej dłoni.

Niech Pani dopilnuje, by uchwalono ustawy, które uczynią nasze żądania obowiązującym prawem. Proszę to zrobić, a damy Pani, i tylko Pani, lek przeciwwirusowy. Ocali Pani życie siedmiuset najważniejszym osobom w Ameryce.

Ellis nie potrzebowała wyjaśnień Genesis, by wiedzieć, jakie znaczenie będzie miał fakt, że to ona zakończyła kryzys. Doskonale nadawała się na przywódcę kraju. Pomyślała o Williamie Jenningsie Bryanie, który napisał: „Przeznaczenie nie jest kwestią przypadku, lecz wyboru”. W tym momencie postanowiła sprawdzić, czy ta szansa jest naprawdę realna, i napisała:

Co to za wirus?

WRX3883

Co to takiego?

Proszę zapytać prezydenta. Będzie wiedział. To on go wytworzył.

Ciekawe – pomyślała. Ale ta wymiana pytań i odpowiedzi niczego nie dowiodła. Gdyby miała skonfrontować Allaire'a z konkretnymi informacjami na temat tego wirusa, mogłoby to jedynie potwierdzić, że chwyciła przynętę. Potrzebowała większej pewności, żeby iść dalej. Napisała:

Prezydent sprowadził jakiegoś wirusologa i powierzył mu zadanie opracowania leku przeciwwirusowego. Może mu się udać, zanim doprowadzę do uchwalenia Waszej ustawy, a w tym wypadku straciecie możliwości nacisku.

Zastanawiała się, jak zareaguje prezydent, zakładając, że to on stoi za tą szopką.

Wirusolog nie żyje. Zginął, gdy wysadziliśmy przewożący go helikopter. Nie macie innych możliwości.

Ta odpowiedź była nie tylko interesująca, ale również zupełnie niespodziewana. Ellis wiedziała o katastrofie helikoptera. Wybuch wstrząsnął murami sali obrad i wywołał panikę wśród już i tak roztrzęsionych ludzi.

– Ta eksplozja w niczym nie zakłóci naszych planów szybkiego rozwiązania tego problemu – oświadczył Allaire zebranych przywódców Kongresu.

Ellis nie chciała mu wierzyć, dopóki nie zapytała Seana O’Neila. Musiała go ciągnąć za język, ale w końcu wyjawiał, że wybuch uśmiercił pilota, drugiego pilota oraz sobowtóra wirusologa, którego wybrano do opracowania skutecznego leku na zagrażający im wirus.

Najwyraźniej prezydent został z pustymi rękami. Jego wprowadzona żelazną ręką kwarantanna zrodziła się z paniki, co znaczyło, że śmierć Harlana McKeya nie nastąpiła przypadkiem.

Ellis zeszywniała. To Genesis nawiązało z nią kontakt. Była tego całkowicie pewna. Gdyby terroryści dostarczyli lek, zyskałaby miano wybawczyni.

Przeznaczenie.

Jeszcze raz przyjrzała się kartce z żądaniami. Były niedorzeczne – zbyt wygórowane. W normalnych okolicznościach każdy prawodawca opowiadający się za ustawą z tymi zapisami popełniłby polityczne samobójstwo. Ale to na pewno nie były normalne okoliczności.

Genesis zgrupowało legislacyjne żądania w trzech ogólnych kategoriach: bezpieczeństwa narodowego, praw imigrantów i ochrony prywatności.

Roszczenia w sprawie bezpieczeństwa narodowego wymagały natychmiastowego zaprzestania niekontrolowanej inwigilacji zwykłych Amerykanów oraz zniesienia Patriot Act i rewizji Ustawy o ochronie prywatności w łączności elektronicznej. Wpływ takiej ustawy byłby bardzo głęboki. Zdelegalizowałyby ona monitorowanie łączności internetowej. Podśluch telefoniczny byłby dozwolony tylko w najbardziej skrajnych wypadkach. A akty prawne przygotowywane obecnie w komisji do spraw ustanawiania krajowego systemu identyfikacyjnego wylądowałyby w koszu.

Kim są ci ludzie? – znowu zadała sobie to pytanie Ellis.

Oprócz żądań dotyczących bezpieczeństwa wzywali do rozwiązania służb imigracyjnych i naturalizacyjnych, położenia kresu wszelkiej dyskryminacji imigrantów oraz do szeroko zakrojonych zmian, które w istocie zlikwidowałyby granice z Meksykiem i Kanadą. Domagali się również wprowadzenia ochrony

prywatności konsumentów, co sprawiłoby, że używanie kamer monitorujących w celach innych niż zapobieganie rabunkom byłoby pogwałceniem praw obywatelskich.

Były to naprawdę szkodliwe akty prawne.

Lecz to, z czym wszyscy mieliśmy kontakt, było równie szkodliwe.

Ellis doszła do wniosku, że powyższe żądania rzeczywiście pochodzą od Genesis. I chociaż osobiście nie popierała żadnej z ich propozycji, zważywszy na okoliczności i stawkę mogłaby jednak podjąć próbę ich przeforsowania. Elastyczność to istota dobrej polityki. Z chwilą zaprzysiężenia jej na urząd prezydenta kraj będzie widział w niej wyłącznie bohatera – bohatera, który zrobił to, czego nie zdołał zrobić jego wybrany przywódca.

Nawet gdybym zdołała doprowadzić do uchwalenia tych aktów prawnych – napisała Ellis – nie moglibyście spełnić swoich zobowiązań. Nie jestem prezydentem i dlatego nie mam prawa przewodzić krajowi ani podpisać tej ustawy.

Jest pani trzecią osobą w państwie – nadeszła odpowiedź. – Z naszą pomocą pani sukcesja będzie formalnością.

Ellis poczuła kolejny przyływ adrenaliny. W jej myślach wirowały obrazy ukazujące ją w chwili składania przysięgi prezydenckiej – obrazy tak żywe i cudownie szczegółowe, że przez chwilę wierzyła, że to naprawdę miało miejsce. Wszystko wskazywało na to, że Genesis ma środki do realizacji tego celu. Musiała pójść tą drogą. Był jednak jeden oczywisty problem, który należało jeszcze rozwiązać.

To ja muszę zapewnić lekarstwo – napisała.

Następne stwierdzenia padały jedno po drugim.

Genesis:

Pani zadaniem jest przepchnięcie tych aktów prawnych. My dostarczymy lek. Do pani należy decyzja, jak wyjaśnić jego pochodzenie.

Ellis:

To jednak będzie wymagało pracy. Co jeśli wirusolog Allaire'a zdąży przed zakończeniem moich prac legislacyjnych?

Genesis:

Powtarzamy, wirusolog nie żyje. Dopilnowaliśmy tego.

Ellis:

To błędna informacja. On żyje i ma się dobrze.

Udało się wam wysadzić helikopter. Ale na pokładzie był jego sobowtór, nie on.

Genesis:

Interesujące. W takim razie wiemy, gdzie ten człowiek przebywa. Ta sprawa będzie załatwiona. A pani zostanie prezydentem. Może pani na to liczyć.

Rozdział 32

DZIEŃ 4

13.30 CST

Zanim Matt Fink został najemnikiem, wybierając pracę bardziej satysfakcjonującą i za znacznie większe pieniądze, był pilotem w południowoafrykańskich siłach lotniczych. Teraz wykonał ostry skręt w prawo, wysunął podwozie learjeta 40XR, po czym ponownie sprawdził na tablicy przyrządów, czy niezbędna jest jakaś korekta kursu. Zwolnił do stu czterdziestu węzłów i wysunął klapy skrzydeł, by zmniejszyć prędkość przeciągnięcia samolotu. Latanie learem było przyjemniejsze w porównaniu z lotami na mniej zwrotnym myśliwcu JAS Gripen, który pilotował w wojsku.

Bezchmurne niebo i brak silnego bocznego wiatru składały się na doskonałe warunki, w jasnym kansaskim słońcu pas startowy był wyraźnie widoczny. Fink poprawił ustawienie mikrofonu słuchawek, by kontynuować procedurę podejścia w kontakcie z kontrolą lotów na lotnisku w Garden City.

– Wieża Garden City, LXJ183 znajduje się w odległości ośmiu mil i podchodzi w lewo z wiatrem do lądowania z widocznością ziemi trzydwa – powiedział.

– LXJ183, masz zgodę na lądowanie na pasie siedemnastym, wiatr trzy-cztery-zero na za pięć dziesiąta.

– Zgoda na lądowanie, LXJ183 – powtórzył instrukcję Fink.

Koła zetknęły się z ziemią niemal bez wstrząsu i Alex Ramirez, który odbył lot z Baltimore w fotelu drugiego pilota, wstał, gdy samolot jeszcze kołował.

– Pójdę przyszykować broń i sprzęt – powiedział.

– Cessna już na nas czeka – odparł Fink. – W ciągu godziny chcę być w powietrzu.

Ci dwaj mężczyźni pracowali razem od lat i starannie dobrali zespół do roboty dla Genesis. Ramirez, któremu w Rwandzie omal nie rozplatali twarzy, był człowiekiem bystrym i godnym zaufania oraz absolutnie najlepszym specem od garotowania i wszelkiej elektroniki. Był również mistrzem w brutalnej walce

wręcz, który dyskretnie i sprawnie pozbył się strażnika z Kapitolu Petera Tannena i zasłużył w ten sposób na podróż do Kansas.

Fink dokołował do miejsca wyznaczonego przez kontrolera i zatrzymał się gładko, po czym wyłączył silniki i sprawdził, czy radio w kabinie też jest wyłączone. Kain oczekiwał, że się zamelduje, i Fink nie mógł sobie pozwolić na przypadkowe nadanie tej rozmowy do wieży kontroli lotów w Garden City.

Za pośrednictwem nowoczesnego telefonu z klawiaturą numeryczną nawiązał kontakt ze swoim pracodawcą.

– Wyładowaliśmy na Garden City Regional, jesteśmy gotowi do fazy drugiej – zameldował.

Kilka sekund później usłyszał sygnał i baryton Kaina.

– O której z grubsza przybędziecie do Kalvesty?

– Jesteśmy sześćdziesiąt parę kilometrów na zachód od niej. Gdy załatwimy papierkową robotę, za godzinę powinniśmy zobaczyć obiekt.

– Świetnie – odparł Kain. – Będziecie w stanie przesłać mi zdjęcia?

– Tak. Kain, pozwól mi wejść do środka. Wiem, że potrafię dotrzeć do Rhodesa i zakończyć to raz na zawsze.

– Nie – odparł Kain. – To ma być tylko rekonesans. Po zamknięciu laboratorium zdemontowaliśmy system monitorujący obiekt. Zanim wykonamy następny krok, muszę zobaczyć, jak on wygląda po uruchomieniu. Obiecuję ci jednak, że już niebawem otrzymasz szansę. Nie możemy pozwolić, by Rhodes wszystko popsuł na tym etapie gry.

– Przyjąłem i rozłączam się.

Najemnik wykrzywił twarz i wsunął telefon z powrotem do podbitej futrem kurtki lotniczej. Fatalny atak rakietowy przed Kapitołem nie był całkowicie jego winą, ale to on widział cel i to on pociągnął za spust wyrzutni. Odczuwał ogromną dumę z tego, że miał na koncie niemal same sukcesy. Zaczeka więc na rozkaz zabicia Rhodesa, ale nie za długo.

Ramirez wyładował marynarskie worki ze sprzętem oraz bronią i czekał na Finka na płycie lotniska, gdy ten opuścił samolot.

– Zostań tu, stary – polecił starszy mężczyzna. – Pójdę pokwitować odbiór cenny.

Pięć minut później zabójca siedział w małym, wyłożonym boazerią biurze w budynku gospodarczym w pobliżu wieży kontroli lotów. Siedzący naprzeciw niego zażywny agent wypożyczalni o nazwisku Kinchley, jak informowała tabliczka na jego biurku, ściszył mały przenośny telewizor, w którym nadawano najnowsze wiadomości CNN z Kapitolu.

– Dzieją się tam szalone rzeczy – zauważył Jim Kinchley.

– Rzeczywiście – przyznał Fink.

– Cóż, dostałem pański faks i mogłem zabrać się do papierkowej roboty. Muszę tylko skończyć umowę wynajmu i to wszystko.

Dokumenty, których Fink użył do wynajęcia learjeta z lotniska Baltimore-Waszyngton, obejmowały jego własną licencję pilota ze zmienionym nazwiskiem i mistrzowski falsyfikat licencji dla Ramireza, który umiał pilotować wyłącznie papierowy samolocik, ale był potrzebny do spełnienia wymogu obecności dwóch pilotów na pokładzie. Do prowadzenia cessny 172 skyhawk potrzebny był teraz tylko jeden.

Była to tajna operacja i Fink podjął wszelkie kroki, by zapobiec niefortunnym zdarzeniom.

– A więc, panie Keegan – rzekł agent – jak długo będzie pan korzystał ze stosiedemdziesiątkidwójki?

– Nie wiem – odparł Fink. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Muszę zapisać konkretną datę w tym formularzu.

– W takim razie proszę wpisać dwa dni.

Fink utkwiał w nim złowrogie spojrzenie, które sprawiło, że agent bez zastrzeżeń przyjął tę mało konkretną odpowiedź.

– Pozwoli pan, że zapytam, w jakiej branży pan działa? – Kinchley szybko wskazał jeden wiersz w umowie wynajmu. – To niezbędna informacja.

Kolejne ostre spojrzenie.

– Poborca należności – odparł Fink.

Po podpisaniu dokumentów i zakończeniu inspekcji dokołował awionetką do miejsca, w którym czekał Ramirez. Cessna wzbiła się w powietrze trzy kwadranse po tym, jak wylądowali. Nie chcąc spalić zbyt dużo paliwa podczas długiego wznoszenia, Fink wyrównał lot na wysokości tysiąca dwustu metrów i leciał dalej kursem na wschód, którym dotarł nad mozaikę jałowych, płaskich, brązowych pól upstrzonych śniegiem.

Obiekt w Kalveście znalazł się w polu widzenia czterdzieści minut po starcie. Ramirez zerknął przez soczewki mocnej lornetki marki Brunton i dokonał wstępnych spostrzeżeń, gdy znajdowali się jeszcze kilka kilometrów od celu.

– Będę musiał znaleźć się bliżej, żeby zrobić jakieś przydatne zdjęcia, ale z tego, co widzę, trafił się nam mini Fort Knox – oznajmił Finkowi. – Mnóstwo ludzi, sporo broni i dużo ogrodzeń.

Fink wyciągnął telefon, żeby przekazać tę wstępną ocenę Kainowi, gdy radio w kabinie nagle ożyło.

– Niezidentyfikowany samolot, lecisz w wojskowej strefie o ograniczonym dostępie. Zmień kurs na dwa-siedem-zero i utrzymuj odległość przynajmniej

piętnastu kilometrów od punktu o współrzędnych trzydzieści osiem stopni, trzy minuty, trzydzieści cztery sekundy szerokości północnej; sto stopni, siedemnaście minut i jedenaście sekund długości zachodniej.

Przelot tak blisko okazał się niezbyt mądrym posunięciem. Najwyraźniej w grze o tak wysoką stawkę, z własnym życiem włącznie, Allaire działał szybko.

Fink bez wahania zmienił kurs.

– Przyjąłem i przepraszam – powiedział do mikrofonu. – Nie zdawałem sobie sprawy z aktywności wojskowej w tym rejonie. Zmiana kursu na dwa-siedem-zero zgodnie z instrukcją.

– Dziękuję. I życzę przyjemnego dnia.

Fink przełączył radio na tryb wewnętrzny, głośno zaklął, po czym odezwał się do Ramireza przez mikrofony w słuchawkach.

– No i wszystko jasne, kolego – powiedział. – Będziemy musieli przejść do operacji lądowej.

– Nie ma problemu – odparł Ramirez, nie odrywając lornetki od oczu.

Cessna zakończyła ostry zwrot na prawidłowy kurs i znowu wyrównała lot. Ramirez stracił już kontakt wzrokowy z obiektem, który teraz znajdował się bezpośrednio za nimi. Lecz parę chwil później poklepał Finka po ręce, bo coś innego przykuło jego uwagę.

– Spójrz – powiedział, podając mu lornetkę.

Zmiana kursu spowodowała, że cessna znalazła się wprost nad czerwonym fordem taurusem, który zatrzymał się na poboczu pustego odcinka drogi, zaledwie osiem kilometrów od wjazdu do ośrodka w Kalveście. Fink pilotował samolot kolanami, przyglądając się przez lornetkę rozgrywającej się poniżej scenie.

– Widzisz? – zapytał Ramirez.

Fink skinął głową.

– O tej porze ruch na drodze jest niewielki – zauważył.

– Założyłbym się, że zawsze jest taki.

– Nie co dzień też widuje się, jak pomagają komuś wysiąść z bagażnika samochodu.

– Nie co dzień – przyznał Ramirez. – Nie wygląda również na to, że była tam wbrew własnej woli.

– Bo inaczej po wyjściu z bagażnika nie wskoczyłaby na fotel obok kierowcy, co właśnie zrobiła. – Fink oddał lornetkę Ramirezowi i zapytał: – Widzisz stąd numer rejestracyjny?

– Widzę.

Fink wyciągnął telefon.

– Kain, mówi Fink. Słyszysz mnie?

– Słyszę – odparł Kain.

– Możesz dla mnie sprawdzić numery rejestracyjne jednego auta?

– Podaj mi je.

Nie tracąc taurusa z pola widzenia, Fink wyrecytował numery Kainowi. Samochód wrócił na jezdnię i jechał dalej na zachód drogą numer 156. Kilka minut później rozległ się dźwięk telefonu Finka.

– Samochód jest zarejestrowany na laboranta z Kalvesty Melvina Forbusha – poinformował Kain. – Co jest grane?

Fink objaśnił sytuację.

– Śledźcie go. Zakaz lotów w tej strefie mówi mi wystarczająco dużo o zabezpieczeniu terenu. Dotarcie do Rhodesa będzie wymagało ustalenia jakiegoś planu działania.

– Przyjąłem.

Fink zwiększył wysokość, nie na tyle jednak, by stracić z oczu samochód, który minął Garden City i skręcił na południe w drogę krajową numer 50.

– Czy na pięćdziesiątce w drodze na południe jest coś interesującego? – zapytał Fink.

Ramirez sprawdził na mapie i odparł:

– Między nami a Cimarron leży tylko lotnisko w Garden City.

– Dobra nasza – stwierdził Fink. – Wygląda na to, że zwrócimy samolot wcześniej, niż planowaliśmy.

Rozdział 33

DZIEŃ 5

11.00 EST

Podróż Angie z Denver była koszmarem. Kłopoty z silnikiem opóźniły wylot o kilka godzin, a potem spowodowały jego odwołanie. Gdy przybyła do centrum Manhattanu, była prawie jedenasta rano. Czas przed południowym spotkaniem z Sliplitzem wykorzystała na zakup przyborów toaletowych, kosmetyków, dużej koszulki nowojorskich Giants i żółtych spodni od dresu, które zapakowała do małej torby pożyczonej od Melvina.

Podczas lotu z Denver spała niewiele; co chwila budziła się mokra od potu po snach odtwarzających jej potajemny wyjazd z Kalvesty. To ryzykowne przedsięwzięcie zaczęło się od problemu – Melvin poinformował, że wszystkie pojazdy opuszczające ogrodzony teren ośrodka są kontrolowane. Analizując przez ponad godzinę procedurę przeszukiwania, wymyślił plan oparty, jak można się było spodziewać, na czymś, co widział w jakimś filmie.

Najważniejsza była synchronizacja. Tak naprawdę ona i Melvin przećwiczyli swój manewr kilka razy w ustronnym kącie parkingu. Zeszli do niespełna dziesięciu sekund, gdy w końcu oznajmiła, że szybciej już nie dadzą rady tego zrobić.

Najpierw Angie, trzymająca naręczce koców na wypadek, gdyby ktoś ją zatrzymał, ukryła się pod ścianą bungalowu usytuowanego najbliżej głównej wartowni. Melvin stanął przy klapie bagażnika, poczekał, aż ten zostanie sprawdzony i zamknięty, a potem zaczął gwałtownie kaszleć i wołać o pomoc. Uznał potem swój występ za godny Oscara.

– Atak astmy! – zawołał, waląc w maskę bagażnika. – Duszę się... Inhalator. w schowku... Pomocy!

Żołnierz odłożył lusterko, którego używał do sprawdzenia podwozia samochodu, i pospieszył z pomocą Melwinowi. W tym momencie Angie szybko pokonała pięć metrów między bungalowem i tylnym zderzakiem taurusa. Nie wychylając się,

otworzyła bagażnik zapasowym kluczem od Melvina i uniosła klapę na niecałe pół metra. Następnie wepchnęła do środka koce i wskoczyła za nimi przez niewielką szparę.

– Cholera – mruknęła z szacunkiem, gdy poczuła, że samochód przyspiesza, i zdała sobie sprawę, że plan Forbusha się powiódł.

Dziesięć kilometrów w bagażniku – tyle zapowiedział Melvin. Dziesięć krótkich kilometrów, zanim uzna, że są w bezpiecznej odległości od chronionego obiektu oraz ewentualnych patroli i będzie mógł ją wypuścić i posadzić obok siebie. Chociaż Angie leżała na poduszkach i kocach, przyzwyczajony się wcześniej do wnętrza bagażnika, w momencie zamknięcia go od środka odczuła boleśnie narastającą klaustrofobię.

Na pewno był jakiś lepszy sposób, pomyślała w pewnym momencie.

Dam radę – zapewniała się w duchu chwilę później.

Jej dyskomfort byłby jeszcze bardziej dotkliwy, gdyby wiedziała, że po pięciu minutach jazdy telefon komórkowy Forbusha stracił zasięg.

Zanim minęli punkt wyznaczający – zdaniem Angie – ustalony dziesięciokilometrowy dystans, przygotowujący o suchość w ustach niepokój zmienił się w paniczne pragnienie dostępu do świeżego powietrza. Jej oddech przyspieszył. „Zapomniał o naszej umowie! Ma zamiar pokonać całą drogę, nie wypuszczając mnie z bagażnika!”

Próbowała zadzwonić, po czym włączyła latarkę, co tylko na chwilę ją uspokoiło. Stukanie w klapę bagażnika nic nie dało. Samochód jechał dalej, a ona przewracała się z boku na bok, oddychając coraz szybciej i płycej. Gdy w pewnym momencie wpadli w głęboką dziurę, przygryzła sobie policzek.

Czas mijał i Angie zaczęła sobie wyobrażać okropne rzeczy – że zakopują ją żywcem i dusi się na śmierć; że zostaje porwana, a nawet zgwałcona. Kiedy Forbush wreszcie wypuścił ją z bagażnika, dowiedziała się, że na wybór trafili po trzech kilometrach jazdy, znacznie wcześniej, niż przypuszczała.

Nigdy więcej – tylko ta myśl przyszła jej do głowy, gdy Forbush pomagał jej wsiąść do samochodu. Nigdy więcej.

Zwalczyła chęć zadzwonienia do Griffa. Oboje byli niemal pewni, że wszystkie ich poczynania w laboratorium są monitorowane. Zadrzała na myśl o tym, jak skurczył się jej świat. Ciągły nadzór, śluz powietrzne, winda, skafander ochronny, bagażnik forda. Ten chorobliwy lęk, który wkradł się w jej życie, jeszcze niedawno będące beztruską egzystencją w jednym z najbardziej fascynujących miast na świecie, naprawdę podkopał pewność siebie Angie. Dała wyraz tym uczuciom w rozmowie z Melvinem, który robił co w jego mocy, żeby podtrzymać ją na duchu. Lecz jego zdolność do empatii miała oczywiste granice. Na razie Angela

musiała czerpać siłę z ostatnich słów Griffa.

„Wierzę w ciebie”.

W odróżnieniu od sennego lotniska w Garden City terminal na JFK był niemal szczelnie wypełniony podróżnymi. Kilku potrąciło ją, gdy kierując się znakami, zmierzała na postój taksówek. Jeden z nich, szczupły i śniady mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, leciał z nią z Garden City do Denver oraz z Denver do Nowego Jorku. Wymamrotał przeprosiny, po czym odszedł pospiesznie z telefonem przy uchu.

Na wbudowanym w oparciu fotela taksówki małym telewizorze Angie obejrzała najnowsze doniesienia stacji Fox News z Kapitolu. Reporterka była elegancko ubraną dwudziestokilkulatką, za nią zaś stały setki kamer z innych stacji, których operatorzy zaciekle walczyli o przykuwające największą uwagę ujęcie. Mimo przeświadczenia reporterki, iż mówi prawdę, Angie wiedziała, że przekazywane przez nią informacje są żałośnie niedokładne. Propagandowa machina prezydenta po mistrzowsku zaliczyła groźny wirus do grupy grypopodobnych i wytłumaczyła, że szeroko zakrojone środki bezpieczeństwa podyktowane są wyłącznie ostrożnością.

Angie wyłączyła głos, nie chcąc dłużej słuchać tych fałszywych informacji. Znała prawdę – psiakrew, miała do przekazania historię stulecia. Wystarczyło wskazać taksówkarzowi drogę do dowolnej redakcji w Nowym Jorku i natychmiast otrzymałaby do wyboru jakąś lukratywną posadę i pewnie także umowę na książkę z siedmiocyfrowym honorarium. Ale ważyły się losy kraju i po raz pierwszy w swoim życiu zawodowym zamiast publikacji prawdy wybrała powielanie kłamstwa.

Gdy przybyła do centrum Manhattanu, zapłaciła za przejazd gotówką i wręczyła kierowcy napiwek. Genesis znalazło sposoby na wrobienie Griffa i omińnięcie systemu ochrony podczas ceremonii wygłoszenia orędzia o stanie państwa, nie należało więc lekceważyć możliwości, pomysłowości i przewrotności szefów grupy. Trudno było uwierzyć, że transakcje dokonywane jej kartą kredytową są już monitorowane, tym bardziej że terroryści nie mogli wiedzieć, kim ona jest i jaki ma związek z Kalwestą, nie było jednak sensu ryzykować.

Angie nigdy nie mieszkała w Nowym Jorku, zawsze jednak czuła się tutaj jak u siebie w domu. Gdy tylko znalazła się na Broadwayu, odnalazła numer Sliplitza i zadzwoniła do mieszkania 3E. Kilka sekund później usłyszała trzask domofonu. Rozległ się męski głos:

– *Wer da?*

– Gottfriedzie, to ja.

– Ach, tyn mroczny dzen nagle zrobil sze bardzi pogodny – odpowiedział

mężczyzna z mocnym niemieckim akcentem.

Angie szybko otworzyła drzwi, zanim wyłączył się brzęczyk, i weszła do ponurego holu. Weszła na drugie piętro; niosła swoją małą walizkę, zamiast wciągać ją po schodach z hukiem kółek uderzających o każdy stopień. Wracają jej siły – rozwiała się mgła otumanienia, która spowalniała jej ruchy po okropnej jeździe z Kalvesty. Wróciła do pracy. Po to właśnie żyła. Ze swoją nadpobudliwością była wręcz stworzona do szalonego, nieprzewidywalnego świata reportażu.

Człowiek, który otworzył drzwi mieszkania 3E, był niski, gruby, brodaty, łysawy i, o czym powiedział jej przez telefon, od niedawna po raz czwarty rozwiedziony. Ze wszystkich jej zawodowych kontaktów Gottfried Sliplitz okazał się jednym z najbardziej przydatnych. Gdy się poznali, Sliplitz był analitykiem w agencji zdrowia i opieki społecznej w Rockville w stanie Maryland. Angie zbierała materiały do artykułu o zakażeniu salmonellą w miejscowej wytwórni leków, a Sliplitz dostarczał jej informacji. Po kilku minutach od zakończenia ich pierwszego wywiadu życzliwy Niemiec wyznał jej miłość. W dowód swojego uczucia sfalszował dokumenty, które dały jej bezprecedensowy dostęp do pracowników fabryki i firmowych archiwów.

Artykuł o ludzkiej zachłanności i lekceważeniu bezpieczeństwa publicznego zyskał nominację do Nagrody Pulitzera. Nie zdobył jej, za to Angela omal nie dostała wyroku więzienia za lekceważenie sądu, któremu nie chciała ujawnić swojego kontaktu w agencji zdrowia. Wiedziała, że nie wolno jej zdradzić źródła – zwłaszcza takiego jak Gottfried Sliplitz. Wskutek przestrzegania tej zasady niebezpiecznie blisko otarła się o wyroki więzienia za lekceważenie sądu również przy kilku innych okazjach. Teraz znowu potrzebowała pomocy tego człowieka. A ponieważ jego uwielbienie dla niej nie osłabło, był aż nadto skłonny wyświadczyć jej przysługę.

– Cudownie wyglądasz, *liebchen*. Moszesz wejść na chwilę? – zapytał Gottfried z błagalnym spojrzeniem szczeniaka proszącego o pogłaskanie.

– Dzięki, Gottfriedzie, ale nie mam czasu. Udało ci się zdobyć to, czego potrzebuję?

– Jestem głównym analitykiem nowojorskiego wydziału zdrowia i higieny psychicznej – rzekł Gottfried. – To duży krok napszód w porównaniu z Rockville. I dobre pieniondze.

– Nazwa jednak dziwna.

– Mogła być gorsza. Jesteśmy też odpowiedzialni za wydawanie zaszwiadczeń o opłaceniu podatku za psa i wadach rozwojowych oraz za przeciwdziałanie chorobom przenoszonym drogą płczowom, by wymienić tylko kilka naszych

obowionzków.

Wyciągnął z szuflady szarą kopertę i wręczył ją Angie.

– Z tymi papierami jesteś oficjalnie szlędczym naszego wydziału.

Angie objęła Sliplitza i pocałowała go w policzek.

– Jesteś mistrzem, Gottfriedzie. Obiecuję, że gdy tylko zdołam, wynagrodzę ci to.

– Na randce?

Angela uśmiechnęła się do niego.

– Właśnie zaczęłam się widywać z niesamowitym mężczyzną. Poza tym muszę utrzymać profesjonalny charakter naszych stosunków. Pomyśl, co mogłoby się zdarzyć, gdyby się popsuły? Straciłabym serdecznego przyjaciela i bezcenne źródło informacji.

– Chętnie zaryzykuje.

– Ale ja nie. Posłuchaj, mam mnóstwo przyjaciółek, z którymi mogę cię poznać – zapewniła. – Tylko nie teraz.

– Łamiesz mizerce.

Znowu pocałowała go w policzek.

– Na szczęście szybko leczysz się z ran. I zostanie to między nami, zgoda? Nikt się o tym nie dowie?

– Nikt sze nie dowie – potwierdził Sliplitz.

Angie po raz ostatni objęła go i wyszła. Na schodach minęła idącego do góry mężczyznę. Nosił ciemne okulary przeciwsłoneczne i ocierając się o nią, mruknął coś na powitanie.

Na ulicy zatrzymała taksówkę. Gdy ruszali w kierunku centrum, kierowca zaparkowanego za nimi lincolna Town Car odłożył telefon komórkowy i podążył ich śladem.

Rozdział 34

DZIEŃ 5

14.00 EST

Wysiadłszy z taksówki, Angie znalazła się w świecie niewyobrażalnie odległym od falistych równin i bizonich rancz zachodniego Kansas.

W Chinatown.

Charakterystyczną cechą tej dzielnicy dolnego Manhattanu były ostre zapachy, upchane ciasno sklepy i mieszkania, popękane chodniki, ceglane budynki z pomalowanymi na czerwono schodami pożarowymi, zaparkowane na drugiego ciężarówki tamujące ruch, wykańczający nerwowo ryk klaksonów i hałas dobiegający z kilku placów budowy. Chińskie napisy na szyldach były uzupełnione kilkoma słowami po angielsku. Wiele towarów wystawianych w witrynach pod neonowymi szyldami trudno było znaleźć w innych częściach miasta. Wzdłuż wąskich, krętych i zatłoczonych ulic ciągnęły się stragany z owocami, targi rybne i sklepy z bibelotami dla turystów.

Angie stanęła w wejściu do budynku z czerwonej cegły, który, jak przypuszczała, mógł być kiedyś kamienicą czynszową. Żadna tablica nie informowała, że to dom opieki, chociaż adres zgadzał się z podanym w broszurze znalezionej w gabinecie Sylvii. Nacisnęła jedyny guzik na fasadzie budynku i piskliwy głos w domofonie powiedział coś po chińsku.

– Wydział zdrowia i higieny psychicznej – odparła Angie, podnosząc swą fałszywą legitymację do kamery monitorującej zainstalowanej nad wejściem. Zalaminowane na legitymacji zdjęcie Gottfried Sliplitz ściągnął z jej strony na Facebooku. Po długiej chwili rozległ się brzęczyk sygnalizujący otwarcie zamka. Angela weszła do ciasnego i słabo oświetlonego korytarza, nad którym górowały zdobione strome i skrzypiące drewniane schody. Z górnych pięter niósł się charakterystyczny zapach gotowanej ryby.

Wchodząc w rolę, Angie ukryła walizkę pod schodami. Rozejrzała się w poszukiwaniu windy, ale jej nie dostrzegła.

Ruszyła więc w głąb korytarza, który skręcał w prawo i kończył się przy ciężkich metalowych drzwiach zamkniętych na klucz. Być może gdzieś za nimi była jakaś winda, ale to wydawało się niedorzeczne. Być może dom opieki został połączony z sąsiednim budynkiem i właśnie tam znajdował się dźwig.

W końcu Angela wróciła do korytarza od frontu i zaczęła się wspinać po stromych schodach, zastanawiając się, jak dom opieki może funkcjonować bez transportu dla niepełnosprawnych i przykutych do wózka inwalidzkiego pensjonariuszy. W miarę jak wchodziła coraz wyżej, gwar głosów narastał. Zatrzymała się na trzecim piętrze, gdzie trajkot był najgłośniejszy, a woń najsilniejsza. Na tabliczce przybitej do żaluzjowych drzwi widniał napis RIVERSIDE umieszczony pod chińskimi znakami.

Angie przystanęła, żeby złapać oddech, po czym zapukała. Otworzyła jej wymizerowana Chinka w średnim wieku. Miała krótkie i ciemne, przyprószone siwizną włosy i nosiła czarną bluzę z pomarańczowym kwiatowym wzorem. Angie uniosła legitymację i została zaproszona przez podejrzliwą Chinkę do środka. Czuła się nieco głupio, że zdecydowała się przyjechać z tak daleka na podstawie tak wątpliwych dowodów. Jeżeli myliła się co do Riverside, rano będzie lecieć z powrotem do Garden City.

– Czy mieszka tu pani Chen? – zapytała.

Kobieta pokręciła głową, krzyknęła coś w przestrzeń za swoimi plecami, spojrzała pytająco na Angie i znowu pokręciła głową. Dziennikarka żałowała, że nie ma przy sobie zdjęcia Sylvii i jej matki, ale Griff ostrzegł ją, że proces odkazania chemicznego i ultrafioletowego, wymagany, by wynieść je z Kuchni, zupełnie zniszczyłby obraz.

– Mogę wejść dalej? – zapytała.

Kobieta skinęła głową, znowu powiedziała coś po chińsku, a potem dała znak, by Angie weszła do wąskiego, wyłożonego dębową boazerią korytarza, wzdłuż którego w obu kierunkach ciągnęły się rzędy oznaczonych numerami, nieprzeszlonych drzwi, przypuszczalnie prowadzących do pokoi pensjonariuszy. Wnętrze bardziej przypominało akademik niż jakikolwiek dom opieki, który Angie kiedykolwiek odwiedzała, ale korytarz był niezwykle czysty i raczej niezagracony. Kilka balkoników i wózków inwalidzkich pod ścianą oraz puste łóżko szpitalne stanowiły jedyną widoczną wskazówkę co do funkcji budynku.

Doszła za kobietą do pustej, jasno oświetlonej wspólnej sali. Znajdowało się tam około dwadzieścioro starszych Chińczyków usadowionych na kanapach i w głębokich fotelach lub skupionych wokół rozkładanych stolików brydżowych. Wielu z nich mówiło, na pozór równocześnie. Niektórzy z pensjonariuszy grali –

w tryktraka, karty i madżonga. Inni oglądali telewizję. Kilkoro po prostu patrzyło w przestrzeń, być może snując wspomnienia.

Angie zlustrowała salę w poszukiwaniu matki Sylvii Chen. Nie zauważyła nikogo pasującego do opisu, więc zwątpiła we wnioski, jakie wyciągnęli na podstawie broszury z informacjami o tym miejscu. Czyżby na próżno narażała Gottfrieda? I Melvina? Nagle jej nielinearny sposób myślenia osoby nadpobudliwej, który tak często pomagał w ujawnianiu różnych tajemnic, wydał się dziecinny, błędny i, co gorsza, potencjalnie niebezpieczny.

Z drugiej strony sali nadeszła młoda olśniewająca Chinka, poprosiła o legitymację i uważnie ją obejrzała.

– Witam, panno Prince – powiedziała w końcu doskonałą angielszczyzną. – Nazywam się Mei Wu. Proszę mi mówić Mei. Jestem kierowniczką piętra i pielęgniarzką dyżurną. Moja ciotka powiedziała mi, że pani kogoś szuka.

– Owszem. Szukam pewnej kobiety, której panięskie nazwisko może brzmieć Chen. Mam powody sądzić, że tutaj przebywa.

– Mamy tu kilka kobiet o nazwisku Chen – odparła z krótkim śmiechem Mei. – To bardzo popularne chińskie nazwisko. Gdyby mogła pani podać więcej szczegółów.

Znowu to zdjęcie.

– Jeżeli to ułatwi sprawę, to jej córka ma na imię Sylvia.

– Przykro mi – powiedziała pielęgniarka. – Czy jest jakiś problem?

– Mamy prawo sądzić, że córka pani Chen mogła mieć styczność z bardzo zaraźliwym wirusem, a następnie odwiedzać tutaj swoją matkę – wyjaśniła Angie, powtarzając wersję, którą wymyśliła podczas lotu z Denver. – Szukamy zarówno matki, jak i córki. Będę musiała uzyskać dostęp do wszystkich pokoi w tym ośrodku.

– O mój Boże! – odparła Mei, przykładając dłoń do ust w przejawie autentycznej trwogi. – Mam nadzieję, że nie chodzi o to, co dzieje się teraz w Waszyngtonie.

– Niewykluczone. Musimy znaleźć te kobiety, żeby im zrobić badanie krwi.

– Bardzo chętnie pomogę pani szukać. To piętro jest dla pensjonariuszy z łagodnymi schorzeniami. Poważniej chorzy zajmują wyższe kondygnacje.

– Jestem wdzięczna za tę deklarację współpracy. Odnotuję to w moim raporcie.

– Tędy proszę.

Mei poprowadziła dziennikarkę z powrotem w kierunku schodów.

– Przepraszam panią, ale chciałam się tutaj dostać windą i nie mogłam jej znaleźć na parterze. Zastanawiam się, jak przewozicie państwo swoich pensjonariuszy z piętra na piętro i na poziom ulicy.

Meinie odpowiedziała od razu i dalej szła w stronę schodów. Jej milczenie było

krępujące. Nagle zatrzymała się i odwróciła.

– Czy mogłabym jeszcze raz obejrzeć pani legitymację? – zapytała.

Angie zrobiło się gorąco. Plan awaryjny zakładał po prostu wyjawienie prawdy. Jednak w sytuacji gdy FBI nie zdołało odnaleźć Sylvii Chen, a Genesis było dziwnie przewidujące, wydawało się, że nie ma miejsca na uczciwe postawienie sprawy.

Teraz wyglądało na to, że została zdemaskowana.

Podowała dokument pielęgniarce.

Młoda Chinka rzuciła okiem na legitymację i z autentycznym przygnębieniem na twarzy wręczyła ją z powrotem Angeli.

– Mamy windę – przyznała ponuro. – Z tyłu budynku. Nie używamy jej jednak zbyt często i sędzę, że moi wujostwo, którzy są właścicielami tego domu, mają jakieś długoletnie porozumienie z inspektorami budowlanymi. Bardzo proszę nie pisać o tym w swoim raporcie. Winda jest bardzo stara, ale słyszałam, jak wuj mówił, że koszt jej wymiany wraz z szybem zmusi ich do zamknięcia domu. A dla starych Chińczyków naprawdę nie ma drugiego podobnego ośrodka opieki.

– Rozumiem – powiedziała Angie. – Z mojej strony nie musicie się niczego obawiać.

– Och, dziękuję pani. Bardzo dziękuję. Miałam zamiar zaprowadzić panią na piąte piętro. Może w takim razie pojedziemy windą?

Idąc za Mei korytarzem i skręcając w prawo, Angie miała w pamięci twarz matki Sylvii Chen. Winda – naprawdę stara – znajdowała się dokładnie tam, gdzie podejrzewała. Mei podniosła szerokie podwójne drzwi i Angie weszła do zaciemnionej kabiny, odwracając się i instynktownie cofając o krok ku tylnej ścianie.

– Stop! Niech pani się nie rusza! – zawołała z trwogą Mei.

Wskazała na półmetrową szparę między stalową podłogą windy a drewnianą ścianą. Angie natychmiast zrobiła krok w przód. Mei zasunęła drzwi, po czym kluczykiem uruchomiła silnik. Kabina drgnęła z łoskotem i powoli ruszyła w górę, a dziennikarka zastanawiała się, o ile różni się od oryginalnej, zainstalowanej przez firmę Otis w połowie dziewiętnastego wieku.

– Od jak dawna działa Riverside? – zapytała pielęgniarkę.

– Od lat czterdziestych dwudziestego wieku. Moi pradiadkowie utworzyli ten dom, bo zbyt wielu Chińczyków musiało posyłać swoich starych rodziców do zakładów, które nie szanowały naszych tradycji.

Winda zatrzymała się raptownie i Angie na chwilę straciła równowagę. Mei przekreśliła kluczyk jeszcze raz, żeby zablokować napęd, po czym podniosła drzwi i dała znak Angie, żeby poszła za nią.

Rozpoczęły od pokoju najbliższej windy i dziennikarka natychmiast poczuła gwałtowne podniecenie. Jej poszukiwania dobiegły końca. Na pokrytym winylem krzesełku w kącie pozbawionej ozdób przestrzeni, rozjaśnionej światłem wpływającym przez małe brudne okno i padającym z lampy stojącej na stoliku przy łóżku, siedziała osiemdziesięcioparoletnia kobieta. Angie przedstawiła się, przyklękła i przyjrzała się z bliska pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy, jej pewność pierzchnęła równie szybko, jak się pojawiła.

Być może jest matką Sylvii – pomyślała – ale równie dobrze nią nie jest. Oczy, ich mętny wyraz – było w nich coś, co sprawiło, że dziennikarka uznała, iż jej początkowa reakcja była błędna.

– To pani Li – wyjaśniła Mei, nie racząc odsunąć się od staruszki. – To jedna z naszych pensjonariuszek cierpiąca na chorobę Alzheimera. Miewa przebłycki świadomości i rzeczywiście ma córkę, która ją odwiedza.

– Proszę mówić dalej.

– Cóż, przede wszystkim jej córka została bardzo oszpecona w pożarze i zasłania twarz, więc tak naprawdę nie mogę jej pani opisać.

– W porządku – odparła Angie, czując dziwną podejrzliwość na wieść o tym zbiegu okoliczności.

– Szukajmy dalej – zaproponowała Mei.

Po sprawdzeniu na trzech piętrach i w sześćdziesięciu pokojach wróciły tam, gdzie zaczęły.

– I jest pani pewna, że wszyscy są na miejscu? – zapytała Angie. – Nie z wizytą u rodziny albo na zabiegach?

Mei pokręciła głową.

– Nie tuż przed kolacją. Poza tym sprawdzałam rejestry po zakończeniu porannej zmiany. Wszyscy nasi pensjonariusze są na terenie zakładu.

Angie poczuła, jak ogarnia ją fala zniechęcenia.

Co teraz?

Poprosiła, by ponownie odwiedziły panią Li, ale wizyta u niej znowu okazała się bezowocna. Kobieta była znacznie starsza od tej, którą Angie zapamiętała ze zdjęcia w gabinecie Sylvii Chen. Przez chwilę wydawało się, że Li rozpromieniła się na dźwięk imienia Sylvia, ale ten przebłysek świadomości szybko zgasł.

– Cóż, chcę pani jeszcze raz podziękować za współpracę – powiedziała Angie. – To bardzo uprzejmie, że poświęciła mi pani swój czas.

– Jeżeli natknę się na osobę o nazwisku Chen będącą matką Sylvii, na pewno się z panią skontaktuję, panno Prince.

– Dziękuję – odparła Angie, chociaż numer telefonu na wizytówce, którą zrobił dla niej Sliplitz, był fałszywy.

Pora wracać do Kansas.

Angie wyciągnęła walizkę spod schodów i wyszła z budynku na przejmujący wiatr. Wypatrywała taksówki, a ponieważ żadna nie nadjeżdżała, rozpoczęła mozolny marsz w kierunku Houston Street, gdzie z pewnością było ich więcej. Przebiegła uliczkę oddzielającą Riverside od kolejnego ceglanego budynku, dzięki czemu znalazła się przed chińską restauracją. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że od dawna nic nie jadła.

Dolatujący z niewielkiego lokalu aromat zwabił ją do środka. Nawet o tak wczesnej porze w restauracji było dużo gości, głównie Azjatów – których obecność zawsze, czysto intuicyjnie, kojarzyła się Angie z dobrą, prawdziwie chińską kuchnią. Koło kuchni stał pusty stół. Dziennikarka zręcznie przecisnęła się między krzesłami, uskakując po drodze przed krzątającymi się w pośpiechu kelnerkami.

Jak Griff przyjmie tę wiadomość? – zastanawiała się.

Nie udało się jej potwierdzić jedyne wymyślnego pod wpływem olśnienia związku Chen z Genesis i ostatecznego dowodu na niewinność Rhodesa.

– I tak było warto – powiedziała na głos, choć jej słowom brakowało przekonania.

Pogrążona w zadumie nie zauważyła stojącej przy jej stoliku kelnerki. Kobieta napełniła filiżankę Angie z dymiącego metalowego dzbanka. Angie uniosła wzrok i wstrzymała oddech.

Stała przed nią profesor Sylvia Chen.

Rozdział 35

DZIEŃ 5

16.00 EST

– Chce coś pić czy chce zamówić? – zapytała z mocnym akcentem.

Była chuda jak patyk, a jej ciemne oczy kryły się w cieniu, lecz Angie nie miała żadnych wątpliwości, że to ona. Jej kelnerski uniform, czarna koszula i czarne spodnie, był o numer za duży. Imię na naszywce nad kieszonką na piersi brzmiało po prostu BAO.

– Sylvio – powiedziała szeptem – nie reaguj, proszę. Wiem, kim i dlaczego tu jesteś. Muszę z tobą porozmawiać. Przyjechałam z Kalvesty, żeby cię odnaleźć.

Stalowy dzbanek w dłoni kelnerki zaczął drgać. Brunatna herbata chlapnęła z dzióbka i poplamiała biały obrus.

– Nie rozumieć – odparła Chen, unikając kontaktu wzrokowego.

– Przestań – powiedziała ostro Angela. – To pilne. Chen pobladła na twarzy i zeszywniała.

– Nie... błagam...

W jej oczach błąkał się szalony strach, gdy ukradkiem zlustrowała wzrokiem wnętrze restauracji. Szukała albo wyjścia, albo jeszcze bardziej przerażającej ewentualności, współnika Angie.

– Spokojnie – poradziła dziennikarka. – Nie zwracaj na siebie uwagi. Nie jestem tu, żeby cię skrzywdzić.

– Jesteś z policji? Z armii?

Wypowiedziała te słowa po cichu. Zniknął gdzieś twardy akcent.

– Nie. Zaufaj mi.

– Należysz do nich? Do Genesis?

Chinka nadal była roztrzęsiona.

– Jestem reporterką „The Washington Post”. Kapitol został objęty kwarantanną. Prezydent poprosił Griffina Rhodesa o opracowanie leku na WRX3883. Pomagam mu dokumentować wszystko, co robi. Wiemy, jak został wrobiony, wiemy też, że

brałaś w tym udział. Prezydent wyciągnął go z więzienia i ponownie otworzył laboratorium. Zostało mało czasu. Ten wirus zabija ludzi.

Pod Chen ugięły się kolana, jakby wzmianka o przeszłości była dla niej zbyt dużym ciężarem. Angie przytrzymała ją za rękę i zachęciła, by usiadła. Chen odmówiła, wyprostowała się i wskazała jadłospis na stoliku.

– Istnieje ryzyko, że ktoś cię śledził? – zapytała.

– Niby jak? – odparła Angie. – Przyleciałam przed południem z Kansas przez Denver.

– Ludzie z Genesis są bardzo przedsiębiorczy. Nie powinnam była się zgodzić na współpracę z nimi, ale oni wiedzieli wszystko o moich pracach i wiedzieli, że ich fundusze są dla mnie ostatnią szansą na kontynuowanie badań. Są też bardzo niebezpieczni. Teraz nie jestem już im potrzebna. Chcą mieć tylko wirus. Nie obchodzi ich kontrola nad nim. Próbowali mnie zabić, ale uciekłam i przyjechałam tutaj. Jeżeli mnie znajdą, to zapewniam cię, że zarówno ja, jak i moja matka zginieemy.

– Mogę ci pomóc, Sylvio. Właśnie dlatego przyleciałam do Nowego Jorku... żeby ci pomóc i sprawdzić, czy jest jakiś sposób na opanowanie tego wirusa. Pracuję z Griffinem Rhodesem w waszym laboratorium.

– Powiedziałaś, że wyszedł z więzienia.

– Tak, od kilku dni jest na wolności.

– To wspaniała wiadomość. Zostań tu. Przejrzyj menu.

Angie spełniła jej prośbę, ale była w pogotowiu na wypadek, gdyby Chen próbowała uciec.

Uczona z doktoratem poszła obsłużyć czteroosobowy stół, po czym wróciła.

– Zapytam jeszcze raz. Czy ktoś mógł cię śledzić?

– Wiem, że ludzie, którzy cię ścigają, są przedsiębiorczy – odparła Angie – przypuszczam więc, że nic nie jest wykluczone. Ale naprawdę nie widzę takiej możliwości.

Chen nie wyglądała na przekonaną.

– Jak mnie znalazłaś?

– Broszura w książce kucharskiej. – Nic więcej nie musiała mówić.

– Czy moja matka powiedziała ci, że pracuję w tej restauracji?

– Nie znalazłam twojej matki. Gdzie mieszka?

– W Riverside. Myślałam, że o tym wiesz.

– Po dokładnym sprawdzeniu kobieta, którą uważałam za twoją matkę... kobieta o nazwisku Li... okazała się niepodobna do niej.

Wyraz zakłopotania na twarzy Angie sprawił chyba, że Chen zrozumiała sytuację.

– Ach. Li to nazwisko, które dla niej wymyśliłam. Naprawdę nazywa się Chen, tak jak ja. Chen Su. Szukałaś kobiety ze zdjęcia na moim biurku, prawda?

Angie skinęła głową.

– Sprawdziłam wszystkie pensjonariuszki w Riverside.

– Wiesz, jak bardzo choroba Alzheimera wyniszcza organizm? I jak zmienia wygląd?

– Wiem. Od jak dawna twoja matka choruje?

– To postępuje od kilku lat. Wciąż odpływa i wraca. Czasem jest całkiem przytomna, ale jej stan się pogarsza. Kobieta na fotografii w moim gabinecie to osoba, którą chcę pamiętać. Obecnie moja matka wygląda tak.

Chen wyjęła z kieszeni zdjęcie i wręczyła je Angie, po czym znowu odeszła, by przyjąć zamówienia. Wróciwszy, postawiła przed Angie miskę dymiącej zupy z owoców morza.

– To najlepsze danie z jadłospisu – wyjaśniła. – Szczególnie w mroźny zimowy dzień jak dzisiaj. Mam nadzieję, że będzie ci smakowała. Więc weszłaś tutaj przypadkiem?

– Umierałam z głodu, a to była najbliższa restauracja. Mei, pielęgniarka z Riverside, powiedziała, że córka odwiedzająca panią Li jest paskudnie oszpecona przez pożar.

– Gdy tam idę, noszę kapelusz. Twarz mam osłoniętą chustką. Dłonie okryte rękawiczkami. Kłamię, by chronić matkę i siebie.

– Musisz nam pomóc.

Chen wahała się przez jakiś czas.

– Wiem – oznajmiła w końcu.

Znowu rozejrzała się nerwowo po restauracji i kilka razy popatrzyła w okna od frontu. Na jej czole niczym skroplona para pojawiły się kropelki potu.

– Więc nam pomożesz?

– Dopuściłam się strasznych rzeczy – przyznała drżącym głosem Chen. – Nie wiedziałam, że to zrobią. Ten atak na Kapitol. Skąd mogłam wiedzieć?

– Co ci powiedzieli? Czy wiesz, kim są ci ludzie? Masz pojęcie, jak możemy to powstrzymać?

Chen przerwała Angeli.

– Restaurację zamykają o jedenastej. Przez resztę wieczoru panuje tutaj zbyt duży ruch. Rozmowa teraz jest zbyt ryzykowna. Wejdz w uliczkę na tyłach restauracji. Czerwone drzwi z chińskimi znakami. Zapukaj trzy razy, żebym wiedziała, że to ty. Mam trochę dokumentów, które mogłyby pomóc. Wtedy powiem ci wszystko, co wiem.

– O jedenastej – powiedziała Angie.

Chen skinęła ponuro głową, odwróciła się i zniknęła za wahadłowymi drzwiami kuchni.

Rozdział 36

DZIEŃ 5

22.00 CST

Sen.

Pieczenie w oczach było tak mocne i uporczywe, że tylko sen mógłby je złagodzić. Griff rozpaczliwie pragnął potrzeć powieki, wyczarować trochę łez, lecz uniemożliwiała to plastikowa osłona w skafandrze, a czterdzieści minut, których potrzebowałyby na zdjęcie hełmu, pomasowanie oczu i ponowne założenie go, stanowiło niedopuszczalną stratę czasu. To musiało poczekać. Tak samo było ze snem.

Od czasu ostatniej drzemki Griffa minęło trzydzieści sześć godzin.

Dzięki Bogu, skupienie, którego wymagała jego praca, sprawiało, że czas płynął niepostrzeżenie.

Czuł, że ma ołowiane kończyny, bolały go stawy. Mniej więcej co dwadzieścia minut odbywał krótki spacer przez Kuchnię do gabinetu Sylvii Chen, a stamtąd do swojego. Być może obywatel się tak długo bez snu również w miesiącach zamknięcia w pojedynczej celi, lecz w warunkach całkowitej monotonii łatwo było stracić poczucie upływu czasu. Tutaj, ponad sześćdziesiąt metrów pod ziemią, dodatkowo przypominały mu o nim zawieszona na ścianach zegary cyfrowe.

Zrobił sobie przerwę, wszedł do sieci i sprawdził rekord nieprzerwanego braku snu. Jedenaście dni, ustanowiony przez siedemnastoletniego ucznia w latach sześćdziesiątych. Guinness zlikwidował później tę kategorię z obawy, że bicie rekordu wywoła u pretendentów do nieśmiertelnej sławy problemy ze zdrowiem, chociaż u tego licealisty nie stwierdzono żadnych niepożądanych skutków.

Pora wrócić do pracy.

Griff regulował mikroskop elektronowy, dopóki na podłączonym do niego monitorze telewizyjnym nie wyświetliły się idealnie wyraźne obrazy submikroskopowego świata. Mimo wysokiej rozdzielczości ekranu musiał bardzo się starać, aby utrzymać należyłą ostrość. Minęły trzy kwadransy. Kolana Griffa

zmieniły się w galaretę i potknął się dwa razy, zanim wyruszył na swój krótki spacer.

Zamknę oczy na kilka sekund – postanowił – tylko na kilka sekund.

Głowa opadła mu na ręce i po chwili myśli zaczęły zanikać. Potem, równie nagle, pojawiły się ponownie, koncentrując się wokół przerażających chwil w Kapitolu – widział ludzi, których życie obiecał ocalić. Niczym kierowca podczas długiej podróży potrząsał głową, aż na nowo wytworzył ciąg świadomych spostrzeżeń, które załatwiły sprawę – przynajmniej na razie. Gdyby musiał czuwać przez kolejne trzydzieści sześć godzin, toby to zrobił.

Uruchomienie laboratorium wymagało kilku godzin mrówczej pracy, ale wyglądało na to, że wszystko działa nadzwyczaj sprawnie. Komputery ożyły na nowo i zaczynały pracę tam, gdzie ją przerwał blisko dziesięć miesięcy temu.

Próbki krwi przywiezione z Kapitolu grzały się w liniach komórkowych, które przyszykował Melvin.

WRX3883 był krzepkim, błyskawicznie rozmnażającym się drobnoustrojem i po kilku godzinach rozwoju jego próbki można było przenieść z inkubatora do komory próżniowej mikroskopu. Griff przystąpił do zebrania danych z badań tych próbek, a później wprowadził je do programu w komputerze. Program symulował reakcję na różne odmiany leku antywirusowego. Rezultatem prób, gdyby okazały się skuteczne, byłyby nowe sposoby zakłócania replikacji WRX3883.

W pierwszych dniach pracy w laboratorium Sylvii Chen w Columbii, upojony serią sukcesów, nadał swojemu programowi nazwę „Orion” na cześć legendarnego myśliwego z greckiej mitologii. „Orion” Griffa miał tylko jedną misję do spełnienia: wytępić WRX3883, nie czyniąc szkody nosicielowi. Na razie „Orion” był generowany komputerowo, gdyby jednak Griff zdołał odwzorować prawidłowy model RNA, można by go syntetyzować w dowolnym laboratorium lub nawet wprowadzić do linii komórkowej.

Przez pewien czas szum wokół jego prac przyprawiał o zawrót głowy.

Potem zaczęły się niepowodzenia.

We wszystkich prowadzonych przez niego symulacjach komputerowych WRX3883 zwalczał jego dzieło ze śmiertelnością zawziętością skorpiona, zabójcy mitycznego boga, który w końcu powalił wspaniałego łowcę.

Śmiertelnością bronią tego skorpiona była mutacja.

WRX3883 był równie szybki, co zabójczy. Nagle oprócz skutków działania zarazka ograniczonych do ośrodkowego układu nerwowego pojawiły się również komputerowe oznaki fatalnych uszkodzeń hodowli tkankowych na podłożu krwi oraz komórek żołądka i jelit.

Raz za razem wydawało się, że stworzone przez Griffa białko atakujące wirus

działa. Lecz w tej batalii niepełne sukcesy „Oriona” nadal były równoznaczne z żalosnym niepowodzeniem. Rhodes wiedział, że brakującym ogniwem może być coś tak bliskiego jak drobna modyfikacja sekwencji RNA bądź tak odległego jak konstelacja Oriona. Niezależnie od tego, jak blisko był przełom, według modeli komputerowych Griffa skutek dla zarażonego nosiciela pozostał taki sam – śmierć.

Kolejny spacer przez Kuchnię i z powiększonego obrazu wirusa WRX na ekranie telewizora Griff przeniósł wzrok na otwarte notesy z laboratorium Sylvii Chen, których stos leżał obok mikroskopu na stole ze stali nierdzewnej. Przerzucał wydruki notatek przedyktowanych do programu komputerowego lub naniesionych drobnym nierównym pismem, ale podobnie jak w przypadku obrazów wygenerowanych przez mikroskop, poszczególne słowa rozmywały się w polu widzenia zmęczonych oczu. Doszedł do ostatniego z trzech segregatorów i przeglądając dawne zapiski laboratoryjne w poszukiwaniu czegoś przydatnego dla jego prac, na widok jednego z raportów wstrzymał oddech.

Raport, zatytułowany po prostu „Incydent z makakami” i opatrzony wcześniejszą o półtora roku datą, stanowił szczegółową i najbardziej przerażającą relację z doświadczeń na zwierzętach, jaką Griff kiedykolwiek widział. Prosty błąd popełniony przez opiekuna zwierząt w Piekielnej Kuchni – laboratorium Sylvii Chen – doprowadził do zakażenia trzydziestu rebusów niezmiernie dużymi dawkami WRX3883. Oszalamiająco szybki proces ich podupadania na zdrowiu został uchwycony na filmie wideo celem późniejszej analizy.

Udokumentowana przez Chen relacja była drastyczna i wywołała u Griffa wspomnienia, które od dawna pragnął wymazać z pamięci. On sam z zasady nie zbliżał się do laboratorium prowadzącego doświadczenia na zwierzętach, jeżeli naprawdę nie musiał. Lecz wołania ich opiekuna o pomoc sprowadziły go tam. Próbował pomóc małpom różnymi lekami przeciwwirusowymi, użył nawet jednej ze swoich udoskonalonych surowic. Jednak ani on, ani nikt inny nie był w stanie ich uratować. Wciąż słyszał wrzaski umierających zwierząt; niektóre były tak chore, że ostrymi jak rapier pazurami rozpruwały swoje ciała, jakby chciały wydrapać z nich wirus.

Mimo katastrofalnego incydentu z makakami Sylvia Chen nadal była przekonana, że jej badania na naczelnych pomogą w znalezieniu sposobu usunięcia zakażenia WRX3883, zanim drobnoustroje zdążą ulec mutacji. Griff stale rozważał wprowadzenie części wniosków wyciągniętych przez Chen do własnych badań, ale nie potrafił się zdobyć nawet na pozorną aprobatę dla jej metod. Teraz, choć lektura jej notatek budziła w nim odrazę, wiedział, że mogą one zawierać informacje pomocne w odkryciu brakującego ogniwka w jego modelu komputerowym.

Griff znał wyniki sondaży, w których dziewięćdziesiąt procent ludzi

akceptowało wykorzystanie zwierząt w badaniach medycznych, pod warunkiem że te badania dotyczą poważnych chorób i że starannie rozważono wszystkie inne możliwości. On dowodził, że WRX3883 to broń, z której użycia nie będzie żadnych prawdziwych korzyści medycznych. Propagował również swoje metody jako inną realną możliwość badawczą.

Jedynym ustępstwem Chen było dalsze zatrudnienie Rhodesa i zapewnienie mu możliwości do udowodnienia lub obalenia jego hipotez.

Forbush wszedł do laboratorium i na blacie obok zlewu ze stali nierdzewnej ustawił pudło z pipetami.

– Gdy Sylvia zniknęła, FBI chciało zabrać te notesy – powiedział. – Dwaj goście, którzy wyglądali jak Michael Douglas i Harvey Keitel, przeszukali jej laboratorium i gabinet. Nie nosili skafandrów ochronnych i w końcu poprzewracali prawie wszystko, co nie było przykręcone. Kiedy się dowiedzieli, że nie mogą stąd niczego zabrać, naprawdę się zmartwili. Czytali te notatki w jej gabinecie, ale nie sądzę, by dużo z nich zrozumieli. A ty?

– Są tutaj rzeczy, które mogą być przydatne, ale po prostu nie wiem, czy chcę to studiować. Powracanie do tej katastrofy z małpami przyprawia mnie o mdłości.

– Skoro już o tym mówisz, przyjacielu, to naprawdę wyglądasz na lekko chorego. Może zrobisz sobie przerwę?

Griff odrzucił tę propozycję, chociaż miał pusty żołądek i czuł się tak, jakby zamiast krwi wtłoczono mu do żył nowokainę.

– Musimy pracować, Melvinie – odparł – przynajmniej przez kilka następnych godzin. Potem może zrobię sobie krótką przerwę.

– Dobry pomysł. Bo gdy chodzisz, zaczynasz przypominać Borisa Karloffa w *Frankensteinie*.

Forbush udramatyzował tę uwagę, wyciągając przed siebie ręce.

– Dzięki – rzekł Griff. – Wiesz, zastanawiałem się... A jeżeli Sylvia miała niewłaściwe zwierzęta?

– Co przez to rozumiesz?

– Testowała wirus na rebusach, ale nigdy na szympanсах, po trosze dlatego, że wtedy bym zaprotestował i zarzucił projekt. Ich układ odpornościowy jest najbardziej zbliżony do naszego. I zastanawiam się teraz, czy to by coś zmieniło.

– Mogę sprowadzić szympansy – zaproponował Forbush. – Powiedz tylko słowo. To może jednak trochę potrwać.

Myśl o prowadzeniu badań na szympanсах napełniła Griffa goryczą. Nawet zakładając, że Melvin w miarę szybko wystarałby się o małpy, on sam musiałby porzucić „Oriona”, by podążyć inną drogą – co mogłoby się okazać rozwiązaniem kosztownym – po to tylko, żeby udowodnić jakąś niepewną hipotezę.

Czy byłoby warto?

Rozdział 37

DZIEŃ 5

23.00 EST

Uliczka za Sechuan Hop cuchnęła gnijącymi warzywami. Zamarznięte wieże z tekturowych pudeł, przylegające do dwóch kontenerów, z których wysypywały się śmieci i odpadki, osłaniały Angie. Gęste chmury i same budynki Chinatown zasłaniały księżyc, a stalowe schody pożarowe sterczące ze ścian budynków sprawiały, że wąskie przejście wyglądało jeszcze bardziej złowieszczo.

Angie naciągnęła na uszy czerwoną wełnianą czapkę, kupioną od ulicznego sprzedawcy, by osłonić się przed przejmującym wiatrem. Dokładnie o jedenastej, zgodnie z instrukcją, zastukała trzy razy w zimną stal tylnego wejścia do restauracji. Po drugim stuknięciu drzwi drgnęły, a po trzecim uchyliły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów na kilkanaście centymetrów. Angie ostrożnie weszła do środka i rozejrzała się po piwnicy, ledwie oświetlonej lampą wiszącą na prawo od jej głowy. Nikt jej nie powitał. Nie miała ochoty zamykać za sobą drzwi.

– Sylvio?! – zawołała.

Cisza.

Musiła odchrząknąć, żeby znowu się odezwać.

– Sylvio, jesteś tu?

Gdyby nie szum wiatru w uliczce, wokół panowałaby całkowita cisza.

Sięgające sufitu metalowe półki, wypełnione suszonymi produktami i zapasami żywności dla restauracji, przyprawiały o klaustrofobię, która niedawno tak bardzo zatrwożyła Angie. Regały przed nią tworzyły trzy wąskie przejścia. W dwóch panował mrok. Angela zrobiła niepewny krok w głąb jednego, potem drugiego. Teraz dostrzegła przed sobą gołą, słabą żarówkę zawieszoną na krótkim kablu. Na betonową podłogę padał długi zniekształcony cień. Serce tłukło się jej w piersi. Wyczuła w piwnicy czyjaś obecność. Chciała wyjść – po prostu odwrócić się i uciec. Zamiast tego zrobiła kolejny krok naprzód.

– Sylvio? Sylvio, proszę. Jesteś tam?

Wydawało się, że cień przed nią zadrżał nieznacznie. Angie dostrzegła długie ręce i palce. Przerazenie paraliżowało jej ruchy.

– Proszę – powiedziała, a jej głos był ledwie jękiem.

Przybliżyła się o kolejne pół kroku do cienia, potem jeszcze trochę, przystając, żeby nasłuchiwać i rozejrzeć się między regałami z obu stron i za swoimi plecami. Cień sięgał prawie do miejsca, w którym stała, choć półka zasłaniała jego źródło. Zacisnąwszy szczęki i pięści, zerknęła za regał i wtedy wydała stłumiony okrzyk. Sylvia Chen wisiała na kablu elektrycznym owiniętym wokół szyi. Noski jej czarnych służbowych butów znajdowały się kilkanaście centymetrów nad posadzką. Drugi koniec kabla był przerzucony nad odsłoniętą rurą i przymocowany do pobliskiego stalowego filara.

Głowa uczonej zwisała, twarz była niewidoczna. Odrętwiała Angie przysunęła się do Sylvii i ujęła jej dłoń. Skóra była jeszcze ciepła.

Czyżby jeszcze żyła?

Wsuwając dwa palce pod brodę Sylvii, uniosła jej głowę. Przebłysk nadziei w jej oczach natychmiast ustąpił udręce i odrazie. Angie cofnęła się odruchowo na widok języka wystającego spomiędzy warg martwej kobiety. Twarz Sylvii była obrzmiała i ciemna i nawet w mroku widać było, że jej wybałuszone oczy są upstrzone czerwonymi plamkami pękniętych naczyń włosowatych – co, jak wiedziała Angie, świadczyło o śmierci wskutek uduszenia. Stłumiła odruch wymiotny i pozwoliła, by podbródek opadł z powrotem na pierś Sylvii.

Oddychając głęboko dla uspokojenia, Angie przyjrzała się, jak powieszono kobietę. Rura nad głową pozwoliła podźwignąć ją z ziemi. Węzeł wokół rury wydawał się zrobiony fachowo. Czy przed powieszeniem została uduszona?

W tym momencie przyszyły jej do głowy dwie myśli. Pierwsza, że to było morderstwo, a nie samobójstwo. Brakowało krzesła czy choćby jakiegoś pudła, których Sylvia musiałyby użyć. Ktoś bardzo silny musiał pociągnąć za kabel, żeby ją podnieść z ziemi. Druga myśl sprawiła, że przeszył ją dreszcz. Gdy Angie weszła do piwnicy i nasłuchiwała, miała wyraźne poczucie, że nie jest sama.

Natychmiast poczuła przemożną chęć wydostania się z budynku na uliczkę. Odwróciła się gwałtownie i pomknęła z powrotem przez przejście.

Była w połowie drogi, gdy ciężkie stalowe drzwi zamknęły się z hukiem.

Rozdział 38

DZIEŃ 5

23:15 EST

Zanim Angie zdążyła zareagować, z mroku przy drzwiach wyłonił się jakiś mężczyzna i wszedł między regały, blokując jej drogę. Wysoki – ponad metr osiemdziesiąt – i chudy, ale barczysty. Nawet w przyćmionym świetle widać było, że jego wyrazista twarz kiedyś odznaczała się urodą. Teraz jednak zdominowała ją wielka, nierówna szrama biegnąca przez czoło, brew i policzek. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarną marynarską czapkę i czarne skórkowe rękawiczki. Z nadgarstka prawej ręki zwisał swobodnie tasak. Nikłe światło odbijało się od jego szerokiego ostrza.

– Witamy w piekle, *senonta* Fletcher – powiedział doskonałą angielszczyzną z lekkim latynoskim akcentem.

Na co czekasz! – wykrzyknął umysł Angie. – Teraz!

Energicznym ruchem ręki pchnęła puszki i kartony z półki w kierunku mężczyzny. Siła uderzenia była niezbyt duża, ale zaskoczenie dało jej to, czego potrzebowała – dość czasu, by obrócić się na pięcie i rzucić w głąb przejścia.

– Nie masz szans, *señorita!* – zawołał mężczyzna śpiewnym głosem.

Angie wołała o pomoc, zastanawiając się gorączkowo, gdzie może znaleźć inną drogę ucieczki. Jeżeli wewnątrz były jakieś schody, będzie musiała minąć zwłoki Sylvii, żeby je znaleźć.

– Pomocy! – krzyknęła znowu. – Niech ktoś mi pomoże!

– Obiecuję, że nie zadam ci bólu, *señorita* – zawołał mężczyzna z za jej pleców.

– Doktor Chen uprzejmie raczyła się rozstać ze swoimi dokumentami. Teraz musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań. A przy okazji dziękuję, że mnie pani do niej doprowadziła. Towarzyszę pani aż z Kansas i czuję, jakbyśmy byli trochę kumplami.

Był blisko niej.

Angie odwróciła głowę, żeby ocenić, jak blisko, i trąciła ciało Sylvii. Zwłoki

zakołysały się i uderzyły ją, aż przykleknęła na jedno kolano. Krzyknęła i podnosząc się z trudem, pchnęła ciało Chen na zabójcę, który teraz znajdował się wystarczająco blisko, by trafić ją tasakiem, gdyby tylko postanowił to zrobić.

Zamiast nim rzucić, przesunął się w bok przejścia między regałami, obracając tasak niczym pałeczkę perkusisty. Dzielił ich niespełna metr. Nawet w głębokim mroku groteskowa, nierówna szrama odznaczała się jak błyskawica. Nic w jego wyrazie twarzy nie sugerowało, że warto podjąć próbę negocjacji.

– Dość – rzucił. – Musimy pogadać. Twój przyjaciel Sliplitz zrozumiał i odpowiedział na moje pytania. Zrób to samo, a obiecuję, że nie będziesz cierpieła bardziej niż on.

– Ty sukinsynu!

– Wierz lub nie, *señorita* Fletcher, ale nie ty pierwsza tak mnie nazywasz. A teraz...

Kołysząc tasakiem w prawej dłoni, morderca zrobił pół kroku w stronę Angeli i sięgnął po jej rękę. Zareagowała natychmiast. Błyskawicznie uniosła pięść nad głowę, rozbijając żarówkę i pogrążając piwnicę w całkowitych ciemnościach, a potem chwyciła jeden z regałów i zwała go na mężczyznę.

Napastnik jęknął i zaklął, a ona zyskała pewność, że upadł na ziemię. Zamiast rzucić się do ucieczki, skoczyła naprzód, stąpając po pudłach oraz półkach i po czymś, co mogło być klatką piersiową jej prześladowcy. Potem z rękami wyciągniętymi na boki, by zachować kontakt z regałami, najszybciej jak mogła ruszyła z powrotem ku stalowym drzwiom.

Jeden śmiały krok przez ciemność, potem następny.

Za sobą słyszała, jak mężczyzna odrzuca na bok pudła i wygrzebuje się spod regału.

Drzwi musiały być na wprost.

Angie usiłowała sobie wyobrazić, z której strony znajduje się klamka, gdy uderzyła twarzą w jakąś belkę. Usłyszała trzask łamiących się kości nosa. W jej głowie eksplodował nieznośny ból. Instynktownie objęła rękami słupek, by uchronić się przed upadkiem. Jej nos napełnił się krwią, po policzkach spłynęły łzy.

W tym momencie zabójca zacisnął dłoń na jej kostce.

Napędzana adrenaliną Angie kopnęła jak oszalała i trafiła, uwalniając nogę z uścisku. Oszołomiona rzuciła się naprzód. Po dwóch krokach uderzyła czołem w stalowe drzwi. Kolejna eksplozja bólu w naciągniętym karku. Kolejne zawroty głowy i mdłości. Kolejne łzy. Na chwilę zwolniła, po czym po omacku zaczęła szukać klamki.

I znowu ręka mężczyzny błyskawicznie wynurzyła się z ciemności i złapała ją za kostkę, ale w tym samym momencie palce Angeli zacisnęły się na klamce.

Szarpnęła. Drzwi ustąpiły natychmiast i dziennikarka znalazła się w uliczce, tylko odrobinę lepiej oświetlonej niż piwnica. Zerkając przez ramię, spostrzegła, że jej prześladowca jest na czworakach. Najwyraźniej stracił nad sobą panowanie, bo usta wykrzywił mu grymas.

Angie rzuciła się przed siebie. Zrywający się na nogi zabójca mógłby ją dopaść, gdyby się nie potknął i nie wpadł do zamarzającej brei zmieszanej ze śmieciami.

Mimo to Angie wiedziała, że szansa na ucieczkę przed szybko przytomniejącym złoczyńcą jest niemal żadna. Znajdowała się zbyt daleko od obu końców uliczki, żeby zdążyć.

– Na pomoc! – krzyknęła. – Niech mi ktoś pomoże!

Jej krzyki niknęły w ciemnej zimowej nocy.

Jedyną szansą wydawały się schody pożarowe. Do najbliższych prowadziły szczeble wbudowane w ścianę jednego z wąskich śmietników, stojącego niespełna trzy metry dalej.

Z trudem łapiąc oddech, Angie chwyciła najwyższy szczebel i podciągnęła się na krawędź kontenera, niecałe dwa metry od ziemi i kolejne dwa od stalowej drabiny u podstawy schodów.

– Koniec zabawy, *señorita* – powiedział mężczyzna, dysząc ciężko.

Sięgnął po jej kostkę, ale w tej samej chwili Angie zrobiła głęboki wdech i wystrzeliła w górę. W zimnym powietrzu i zimowej kurtce skok wydawał się prawie niewykonalny. Była pewna, że nie dosięgnęła, i zastanawiała się już, co zrobić dalej, gdy palce jej prawej ręki trafiły w krawędź najniższego szczebla drabiny pożarowej i zacisnęły się na metalu. Nie byłaby w stanie utrzymać się na nim dłużej niż przez parę sekund, ale to wystarczyło. Zardzewiała drabina pod jej ciężarem zaczęła zjeżdżać w dół, dzięki czemu stopy Angeli ponownie zetknęły się z brzegiem kontenera. Poprawiła chwyt, objęła lodowaty szczebel palcami drugiej dłoni i pociągnęła ze wszystkich sił.

Miała wrażenie, że drabina zsuwa się w zwolnionym tempie.

Oparła stopę na drugim szczeblu, gdy poczuła, jak zabójca ponownie za nią chwyta. Tym razem wyszarpnęła ją z łatwością i zaczęła się wspinać ku pierwszemu podestowi schodów. I znowu krzyczała o pomoc, świadoma, że każdy fałszywy ruch będzie oznaczał śmierć.

Ku jej przerażeniu okna w budynku pozostawały ciemne i zamknięte. Zanim znalazła się na podeście, mężczyzna wchodził już po drabinie. Okna wychodzące na podest były zakratowane. Od tego miejsca zaczynały się metalowe schody, na których każdy krok groził upadkiem.

Na podeście pierwszego piętra w oknach nie było już krat. Angie szybko porzuciła myśl, by wybić jedno z nich i wskoczyć do czyjś mieszkania. Zabójca

był stanowczo zbyt blisko, a przecież zginęły już przez nią dwie osoby.

Sunąc dłońmi po poręczach, minęła w biegu jeden podest, potem kolejny. Z każdym lodowatym oddechem z nosa tryskała jej krew. Ścierała ją grzbietem dłoni i wykrztuszała. Mimo to odległość między nią a mężczyzną wydawała się powiększać. Być może przemoczone ubranie spowalniało jego ruchy. Być może odniósł jakieś obrażenia. A może przydały się te wszystkie godziny spędzone na rowerze stacjonarnym.

Boże, ależ tęskniła za swoim mieszkaniem.

Czuła coraz silniejsze zawroty głowy, oddychała z coraz większym trudem, ale słyszała, że jej prześladowca też ciężko dyszy. Znowu zastanawiając się nad wybiciem szyby, spojrzała wyżej i spostrzegła jakieś poruszenie. Z jednego z okien przy następnym podeście wyglądała kobieta.

– Pomocy! – krzyknęła do niej Angie. – Błagam!

Kobieta cofnęła się do pokoju, lecz wąskie okno pozostało otwarte. Angie skoczyła przez nie, lądując niezdarnie, uderzając już i tak pokiereszowanym czołem w drewnianą podłogę i rozmazując na niej krew. Kobieta o pomarszczonej twarzy stała w kącie oświetlona małą lampą przy łóżku. Angie nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest. Riverside! Zaledwie kilka godzin temu penetrowała to miejsce. Znała ten pokój i znała jego lokatorkę.

Była to Chen Su – matka Sylvii Chen.

Rozdział 39

DZIEŃ 5

23.30 EST

– Pani Chen, niech się pani ukryje! Musi się pani ukryć! Angie usłyszała zabójcę na podeście schodów. Zwabienie go tutaj było błędem. Teraz musiała go odciągnąć od tego miejsca.

Sędziwa kobieta stała spokojnie na prawo od niej, choroba Alzheimera najwyraźniej chroniła ją przed uczuciem przerażenia tą sytuacją.

– Wyjdź! – poleciła nagle Chen Su. – Wyjdź szybko! Angie zawahała się, po czym wypadła z pokoju, w chwili gdy usłyszała, jak jej prześladowca wchodzi przez okno. Rozległ się krzyk Chen:

– Ona nie tu! Nie tu!

– Zamknij się, starucho! – warknął mężczyzna.

– Nie tu... nie tu... nie tu!

Pokój Chen znajdował się na końcu piątego pietra, najbliżej windy towarowej. Długi korytarz prowadzący do pozostałych pomieszczeń był zupełnie pusty. Angie skierowała się do windy w nadziei, że nią właśnie ucieknie. Kiedy dotarła do niej i podniosła drzwi, przypomniała sobie, że Mei Wu uruchomiła ją kluczem. Liczenie na ten zabytek techniki było idiotycznym pomysłem.

– Powiedziałem ZAMKNIJ SIĘ!

Słowa rozwścieczonego zabójcy doleciały na korytarz.

Chwilę później Angie usłyszała, jak uderzona kobieta pada na podłogę.

Ten odgłos przyprawił ją o mdłości.

Popełniła błąd, narażając Chen Su na niebezpieczeństwo. Nadeszła pora, by to zakończyć, poddać się, zanim ta biedaczka lub ktoś inny straci życie. Angie zrobiła krok w stronę pokoju sześćset trzy, po czym zatrzymała się.

Winda mogła się przydać nawet bez klucza.

Dziennikarka weszła do kabiny. Niebezpieczna szpara między podłogą, a ścianą kabiny wyglądała tak, jak ją zapamiętała.

Z pokoju sześćset trzy dobiegł odgłos drugiego uderzenia, a po nim skrzypnięcie gwałtownie otwieranych drzwi bieliźniarki. Angie znowu usłyszała, jak Chen Su mówi:

– Nie tu! Tu nikt! Tu nikt!

Angela położyła swoją wełnianą czapkę na podłodze kabiny, trzydzieści centymetrów od szpary, po czym chwyciła jeden z dwóch wózków inwalidzkich opartych o pobliską ścianę i ukryła się za załomem korytarza, spoglądając w stronę pokoju staruszki. Chwilę później wyłonił się z niego zabójca ciągnący matkę Sylvii za włosy.

– Wyjdź, *señorita*, bo inaczej zaraz zabiję tę miłą panią – powiedział. – Krzyknij, a wtedy też umrze.

Angie nawet nie drgnęła. Potem usłyszała śmiech mężczyzny.

– Koniec zabawy – oznajmił.

Angie słyszała, jak zbliża się do niej i do windy.

Chen nadal bez przerwy pojękiwała:

– Nie tu... Nie tu...

Angie zaryzykowała i wychyliła się na tyle, by zobaczyć, że morderca puścił kobietę i teraz dość śmiało zbliżał się do kabiny. W drzwiach przystanął, lustrując ciemne wnętrze. Wtedy dostrzegł jej jaskrawą czapkę i wszedł do środka.

Angie zawahała się na ułamek sekundy, po czym wytoczyła wózek z załomu korytarza i puściła się biegiem w stronę windy. Przyklękawszy, mężczyzna podniósł czapkę, potem zaś zerknął w głąb szpary. Gdy się odwrócił, Angie znajdowała się zaledwie metr od niego, a on, zaskoczony, zareagował zdecydowanie zbyt późno. Wózek uderzył go w plecy i zabójca przewrócił się. Drugie uderzenie i wpadł w szparę.

W ostatnim momencie lewą ręką złapał się krawędzi stalowej podłogi, po czym na oczach Angie wykonał zamaszysty ruch prawą ręką i jej palce także zacisnęły się na brzegu stalowej płyty.

Patrząc z furią na dziennikarkę, bez słowa machnął do tyłu nogą i zdołał znaleźć punkt oparcia na ceglany murze szybu windy. Podciągnął się o parę centymetrów. potem jeszcze trochę. Teraz jedna jego dłoń spoczęła na podłodze windy.

Nawet w tak niekorzystnym położeniu swoją okaleczoną twarzą budził grozę.

Angie nigdy nie zraniła żadnej istoty ludzkiej, a tym bardziej nikogo nie zamordowała. Oszołomiona i poturbowana spoglądała na mężczyznę. Dobry czy zły, myślała, było już zdecydowanie za dużo zabójstw. Śmierć zebrała zdecydowanie zbyt obfite żniwo.

Morderca nadal podpierał się nogą. Jego druga dłoń powoli przesuwiała się po

stalowej podłodze.

Dziennikarka zastanawiała się, jak mogłaby nad nim zapanować, gdyby pomogła mu się wydostać ze szpary.

– Gdzie schowałeś notatki Sylvii? – zapytała.

– Żadnych... notatek... Ona... nic... nie miała.

Oblicze mężczyzny złagodniało. Tak jakby rozszyfrował ją i wiedział, że nie jest w stanie go zabić.

Kolejnych parę centymetrów.

Angie przyklęła i popatrzyła mu w oczy, próbując zawrzeć w swoim spojrzeniu równie wielką bezwzględność i bezczelność.

– Pytam jeszcze raz. Gdzie są te notatki?

W tym momencie u jej boku pojawiła się Chen Su. Z kącika ust spływała jej strużka ciemnej krwi. Nie wahając się ani chwili, krzyknęła i zaczęła z zadziwiającą siłą deptać po rękach człowieka, który na nią napadł.

– Zaczekaj! – zawołała Angie.

Było jednak za późno.

Prawa ręka mężczyzny opadła. Ostatni cios i jego lewa ręka też rozluźniła chwyt.

Zabójca upadł z piątego piętra, nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku.

Ciszę przerwał dopiero okropny głuchy odgłos z dna szybu.

Rozdział 40

DZIEŃ 5

22.30 CST

Czy byłoby warto? – zapytał w duchu Griff.

Jak można się było spodziewać, zaczął rozmyślać o swojej siostrze Louisie i o tym, co sobie obiecał po jej śmierci. Od chwili gdy zmarła na zapalenie opon mózgowych, wiedział, że poświęci życie poszukiwaniu leków na zabójcze drobnoustroje. Zostanie Orionem w CDC, NIH⁹ lub jakimkolwiek laboratorium, które go zatrudni – samotnym bojownikiem walczącym ze śmiercią. Wtedy nigdy nie uważał doświadczeń na zwierzętach za tabu. Ile ssaków naczelnych, owiec, kotów, psowatych czy rasowych szczurów albinosów równało się życiu jego siostry?

Potem jednak pies Louisy – pełen werwy mieszaniec o imieniu Bimber – na zawsze zmienił jego sposób myślenia.

Na pogrzebie Louisy Bimber, mający chyba najwięcej cech golden retrievera, czuwał na schodach przed kościołem. Jego pani zmarła tak niespodziewanie, że nie zadbano o opiekę nad trzyletnim czworonogiem. Lecz Griff wiedział, że pies był szczęśliwy, dobrze wytresowany i że był największą miłością jego siostry.

– Mój przyszły mąż po prostu będzie musiał się mną podzielić – żartowała, ilekroć pojawiał się temat jej przywiązania do Bimbra.

Po pogrzebie było oczywiste, że Griff zabierze psa do siebie.

Niemal od chwili wspólnego powrotu do domu Bimber zachowywał się inaczej niż dotychczas. Niebawem całkowicie stracił apetyt. Pił bardzo mało, zrobił się ospały i nie miał ochoty na dłuższe zabawy. W końcu, gdy utrata wagi stała się widoczna i bardzo niepokojąca, Griff zabrał psa do szanowanego i polecanego weterynarza. Jego diagnoza o zaburzeniach depresyjnych zaszokowała go i zasmuciła. Wówczas Griffnie miał pojęcia, że psia depresja jest prawdziwym schorzeniem. Ale co jeszcze bardziej niepokojące, z bólem uświadomił sobie, że Bimber tęsknił za Louisą równie mocno jak on i że chyba nie może w tej sprawie

nic zrobić.

– Jak mogę pomóc? – zapytał kiedyś specjalistę podczas ponownej wizyty.

– Niebezpieczeństwo śmierci jest bardzo realne – wyjaśnił lekarz. – Musi pan znaleźć sposób na to, by znowu uczynić jego życie zabawnym.

Tak więc Griff spróbował. Kupił mu zabawki. Co wieczór zabierał go do psiego parku koło domu. Własnoręcznie przygotowywał wyśmienite jedzenie, próbował nawet podawać środki przeciwdepresyjne zapisane przez weterynarza. Jednak stan zdrowia czworonoga nadal dramatycznie się pogarszał. Griff coraz bardziej bał się o jego życie. Właśnie wtedy zadzwonił do Andrei Bargnani – najlepszej przyjaciółki Louisy, która wyprowadziła się mniej więcej rok wcześniej.

– Nie wiem, co mogę zrobić – powiedziała Andrea, nauczycielka. – Kiedy tu mieszkałam, widywałam go prawie codziennie, ale odkąd się przeprowadziłam, pojawiałam się tylko raz na parę miesięcy.

– Byłaś najbliższą przyjaciółką Louisy. Może gdybyś przyjechała na kilka dni... Andreo, Bimber umrze ze zgrzoty. Jestem tego pewien.

Gdy Andrea zjawiała się w jego domu, pies zareagował niemal natychmiast. Podniósł łeb i szczeknął – raz, potem znowu. Było to pierwsze szczeknięcie, jakie Griff usłyszał od pogrzebu, i dało się w nim słyszeć radość. Po niespełna paru minutach Bimbrownik, jak nazywała psa Louisa, stał i gwałtownie merdał ogonem. Trącał nosem nogi Andrei i próbował wdrapać się jej na ręce, jakby nie dość mu było bliskości. Griff nie miał cienia wątpliwości, że Louisa jakoś żyła w tym czworonogu.

Andrea czuła to samo. Chociaż miała wówczas małe mieszkanie, chętnie zgodziła się zabrać psa do siebie.

I tak Andrea Bargnani adoptowała Bimbra. Gdyby nie pocztówki z wakacji, które potem docierały do Griffa co roku niezależnie od tego, w jakiej części świata akurat pracował, mógłby stracić z nimi kontakt. Ale pocztówki wciąż przychodziły. Przez pierwsze dwa lata zdjęcie na pocztówce przedstawiało tylko tę kobietę i psa. Niebawem na fotografii zadebiutował Jack – wysoki, barczysty mężczyzna o życzliwym spojrzeniu i wspaniałym uśmiechu.

Niedługo potem przysłała kartka z malutkim chłopcem. Później z dziewczynką. Ale Bimber pozostał gwiazdą każdej przesyłki, błyskając do obiektywu czarnymi jak węgle ślepiami. Jego wspaniała płowa sierść lśniła, a pysk rozciągał się w psim uśmiechu.

Griff zapoczątkował coś, co stało się dla niego tradycją. Co roku, w rocznicę śmierci siostry, siadał z tymi kartkami i dwoma kieliszkami czerwonego wina. Jeden opróżniał, a drugi rzucał w niebo nad zakątkiem, w którym akurat przebywał. Temu rytuałowi towarzyszyło odnowienie przysięgi, że będzie szanował związek

między człowiekiem a zwierzętami.

Griff spojrzał załośnie na Melvina. Czy nadeszła pora, by złamać tę przysięgę?

– Przez wszystkie lata pracy wierzyłem, że potrafię zwalczyć każdy wirus, nie zabijając przy okazji zwierząt – powiedział.

– Myślisz, że poświęcenie naczelnych pomoże nam zidentyfikować ten brakujący element?

Griff zawahał się, po czym dodał:

– Nie wiem.

– A gdybyś otrzymał gwarancję, że to coś zmieni?

Griff wzdrygnął się na to pytanie i odwrócił wzrok.

– Zważywszy na sytuację, jak mógłbym odmówić? To i tak jest równoznaczne z morderstwem, ale czułbym zbyt wielką odpowiedzialność, nie robiąc wszystkiego, co możliwe, żeby ocalić tych ludzi.

– Ale w tej chwili nie ma żadnych gwarancji.

– W tym właśnie problem. Musimy więc zdecydować, w czym pokładać wiarę. W komputerach czy w niewinnych zwierzętach.

– Szkoda, że nie mogę pomóc w podjęciu tej decyzji – rzekł Forbush. – Byłoby łatwo, gdybyśmy mieli nieograniczoną ilość czasu. Stworzenie kolejnej Piekielnej Kuchni, nawet niepełnej, potrwa co najmniej trzy dni.

Griff poczuł ucisk w żołądku. Nadal rozpaczliwie pragnął potrzebę oczy i skupić myśli. Zacisnąwszy zęby, utkwiał wzrok w pokrytych rękawicami dłoniach.

– Chcesz, żebym sprowadził szympansy? – zapytał Forbush.

– Nie – odparł Griff z odzyskanym nagle zdecydowaniem. – Nadal wierzę, że mój program komputerowy jest najszybszą i najdokładniejszą drogą naprzód.

– Sądzę, że masz rację.

– Pracujemy więc – podsumował Griff – i nie spoczniemy, dopóki nie dojdziemy do tego, dlaczego „Orion” nie wykonuje zadania, które miał wykonać.

Rozdział 41

DZIEŃ 5

23.45 EST

Mieszkańcy piątego piętra domu opieki Riverside, powłócząc nogami, wyszli ze swoich pokoi na słabo oświetlony korytarz. Najpierw tylko szemrali, lecz ich zbiorowa paplanina szybko przerodziła się w głośne błyskawiczne wymiany zdań. Drzwi kolejnych pokoi otwierały się w reakcji na narastający harmider. Na korytarz, drepcząc, wychodzili następni starcy. Niektórzy o laskach. Inni wsparci na balkonikach.

Angie, wyczerpana emocjonalnie i fizycznie, osunęła się na nierówną drewnianą podłogę windy towarowej. Zaczęło jej tętnić w skroniach – wielki bęben w oczodołach kontrolujący każde uderzenie serca. Chen Su oparła się o przeciwległą ścianę windy. Miała nieodgadniony wyraz twarzy. Wzrok wydawał się nieobecny. Angie zastanawiała się, na ile okropne wydarzenia sprzed zaledwie kilku minut wypadły już z jej świadomości.

Mei Wu przycisnęła się w pośpiechu przez tłum. Za nią weszli do windy dwaj sanitariusze z latarkami, którymi świecili w głąb szybu. Powiedzieli coś po chińsku i Mei wydała z siebie tłumiony okrzyk, który szybko zdławiła, zasłaniając dłońmi usta. Angie doszła do wniosku, że reakcja na śmierć w Riverside rzadko bywa głośniejsza niż szelest prześcieradła naciąganego na twarz nieboszczyka.

– Nic pani nie jest? – zapytała Mei.

Angie zdołała skinąć głową, mimo że raz po raz traciła ostrość spojrzenia.

– Jest pani zakrwawiona. Ranna?

– Tylko w nos. Myślę, że jest złamany.

– Zbadam panią, ale chyba powinniśmy sprowadzić karetkę. Nie wygląda pani najlepiej.

Z pomocą sanitariuszy Angela wstała chwiejnie i wsparła się na ich ramionach.

– Wezwaliśmy już policję – dodała Mei. – Może pani porozmawiać z nią o tym, co się tutaj stało?

– Spróbuję... Zrobię też, co w mojej mocy, żebyście nie ponieśli żadnych konsekwencji z powodu tej szpary w windzie. Ostatecznie uratowała mi życie.

Dotychczas Angie uważała, że tylko dochowanie tajemnicy gwarantuje jej bezpieczeństwo. Lecz ludzie z Genesis znaleźli ją mimo wszystkich środków ostrożności. Musiała porozmawiać z Griffem, a może również z prezydentem. Czy zatajenie zabójstwa Sylvii Chen w czymś pomoże? Jeżeli tak, FBI musiało skontaktować się jak najszybciej z nowojorską policją. Bez notatek byłej szefowej projektu „Veritas” misja Angie zupełnie się nie powiodła. Jak dużo należało teraz powiedzieć policji?

Griff lub Allaire zapewnią jej wojskową eskortę w drodze powrotnej do Kalvesty. Najpierw jednak musiała zrobić jeszcze coś, i trochę się tego bała.

– Mei, muszę zostać na chwilę z panią... panią...

– Panią Li? Musi pani porozmawiać z panią Li?

– Tak. Może pani do nas dołączyć? Chyba będzie pani potrzebna w roli tłumaczki.

– Pani Li doskonale zna angielski.

– Mimo to będę pani potrzebowała.

Wróciwszy do pokoju sześćset trzy, ścierając krew ręcznikiem, który przyniosła jej Mei, Angie zamknęła okno. Potem wzięła „panią Li” za szczupłą dłoń i dała staruszce znak, by usiadła obok niej na łóżku.

– Dziękuję, że ocaliła nam pani życie – zaczęła, mrużąc oczy pod wpływem niesłabnącego pulsowania w skroniach. – To był bardzo zły człowiek, który zranił i zabił wiele osób. Zachowała się pani bardzo dzielnie.

– Bardzo zły człowiek – powtórzyła jak echo Chen Su.

– Mam straszne wieści – dodała Angie.

– Straszne... wieści.

Angie przyjrzała się twarzy kobiety i teraz wyraźniej dostrzegła tę zmianę. Oczywiście tam, gdzie skóra zrobiła się obwisła, widać było naturalne skutki starzenia się. Ale spustoszenia spowodowane zaawansowanym stadium choroby Alzheimera były wprost rażące. Kobieta miała poobcierane łokcie. Skóra na jej drobnej twarzy przylegała do kości jak półprzezroczysty pergamin. Choroba przyspieszała bieg jej życia niczym przycisk przewijania akcję filmu w odtwarzaczu DVD. Kobieta wyglądała na dziewięćdziesiąt lat, choć zapewne była dwadzieścia lat młodsza.

– Ma pani córkę.

Staruszka nie zareagowała.

– Sylwię – dodała Angie.

– Ty jesteś Sylvia?

Angela westchnęła.

– Pani Chen, Sylvia, pani córka, nie żyje.

Mei Wu znowu stłumiła okrzyk.

– Jest pani pewna? – zapytała.

– Całkowicie. Później przekażę pani szczegóły.

Słowa Angie najwyraźniej nie dotarły do Chen Su. Jej twarz nie drgnęła, w oczach nie było łez.

– Człowiek, który zginął w windzie, był jej zabójcą – mówiła dalej dziennikarka.

– Bardzo mi przykro z powodu Sylvii.

Tak naprawdę było jej przykro z wielu innych powodów, począwszy od braku dokumentów, które Sylvia obiecała jej przekazać, a teraz już nie mogła dostarczyć. Czy pomogłyby znaleźć lek na WRX3883? Czy to, że Sylvia знаła terrorystów, byłoby kluczem do powstrzymania ich działań?

W drzwiach pojawił się jeden z sanitariuszy i powiedział coś do pielęgniarki.

– Jest już policja. Chcą z panią porozmawiać.

Angie wstała niepewnie, po czym usiadła z powrotem i objęła staruszkę.

– Będę myśleć o pani i pani córce i modlić się za was, Chen Su.

Znowu podniosła się niezdarne, ale tym razem zdołała stanąć prosto.

I wtedy, bez uprzedzenia, matka Sylvii też wstała z łóżka. Drżała, gdy podchodziła do poobijanej komody. Z pewnym trudem wysunęła górną szufladę i spod ubrań wyciągnęła piękne drewniane pudełko inkrustowane masą perłową.

Wręczyła je dziennikarce i wypowiedziała jedno słowo:

– Sylvia.

Angie przez chwilę zamierzała znowu wyjaśnić, dlaczego Sylvia zginęła, jednak widząc nieobecne spojrzenie staruszki, oszczędziła sobie trudu. Otworzyła pudełko. W środku leżała koperta.

Na kopercie widniały dwa słowa skreślone równym, niemal kaligraficznym pismem. Wpatrywała się w nie nierozumiejącym wzrokiem. Pojęłaby szybciej, gdyby nie to, że tak mocno oberwała po twarzy i głowie, minęło jednak pół minuty, zanim, zupełnie nagle, zrozumiała. Niepostrzeżenie dla innych rozciągnęła usta w okrutnym uśmiechu.

Tak! – pomyślała. – O Boże, tak!

Jeszcze raz spojrzała na kopertę.

„Przepisy kuchenne”.

Rozdział 42

DZIEŃ 6

1.00 EST

Sytuacja stawała się coraz bardziej zagmatwana i niebezpieczna. Wirus spowodował zgon dwóch osób w Sali Rzeźb i pojawiła się informacja, że kilka następnych osób jest bliskich śmierci. Morale na całym Kapitolu było bardzo niskie. Ludziom puszczały nerwy, a zaufanie do zdolności przywódczych Jamesa Allaire'a malało z godziny na godzinę. Ellis naciskała na niego ze wszystkich sił. Zadała kilka celnych ciosów, wiedziała jednak, że nie zrobiła wystarczająco dużo, by go rzucić na deski.

Musiła przeprowadzić w Kongresie ustawę z postulatami Genesis i usunąć zarówno Allaire'a, jak i Tildena z urzędów. Jest na to sposób, myślała – fragment filmu, który przekona masy. Czas uciekał im wszystkim. Dość wyczekiwania.

Lelandowi Gladstone'owi trzęsły się ręce, gdy przeglądał list Genesis, a potem oddawał go swojej szefowej. Oboje siedzieli w zacisznym kącie na galerii. Przez jakiś czas milczał z lekko otwartymi ustami i wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Z czym masz największy kłopot, Lelandzie? – zapytała cierpliwie Ellis. – Z moim bezpośrednim kontaktem z terrorystami? Czy też z rolą prawej ręki i być może szefa sztabu następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych?

– To wszystko wydaje się snem. Pracujemy jak zwykle. Wystrojeni, szykujemy się do wysłuchania prezydenckiego orędzia o stanie państwa. A chwilę później zamknięci tutaj staramy się usunąć go ze stanowiska i przejąć władzę.

Ellis uśmiechnęła się szeroko.

– Cóż, z pewnością nie jest to bardziej koszarne niż nasza porażka w wyborach.

– Nie sądzę... zwłaszcza że zwycięstwo było tak blisko. Proszę mnie źle nie zrozumieć, pani przewodnicząca. Wierzę w panią i jestem po pani stronie. Całym sercem. Odkąd mnie pani zatrudniła. Z pewnością wie pani o tym.

– Oczywiście, Lelandzie. To jest najważniejsza lekcja, jakiej chyba mogłabym ci

udzielić... prawdziwa polityka na żywo. Chodzi o elastyczność, o gotowość do zmiany kursu w razie potrzeby... gotowość do sięgnięcia po zwycięstwo. Reprezentowanie Genesis oraz ich żądań nie wpłynie w żaden sposób na pracę naszej nadzwyczajnej komisji. Tak naprawdę przydaje tylko znaczenia naszym wysiłkom.

Gladstone nadal miał niepocieszoną minę.

– Dlaczego? – zapytał ściszym głosem.

– Straciłeś wiarę, Lelandzie?

– Nie... po prostu... te żądania, które ma pani poprzeć. Próba wprowadzenia tej ustawy pod obrady Kongresu doprowadzi do pani kompromitacji.

Ellis znowu się uśmiechnęła. Nagle jej błyskotliwy młody współpracownik zaczął znowu wyglądać na swój wiek.

– Jestem pewna – odparła – że gdy kongresmeni dowiedzą się, że jeżeli nie zagłosują za tą ustawą, to umrą, drwiny ze mnie zupełnie nie będą im w głowie.

– Nadal nie jestem całkowicie pewny, czy dobrze rozumiem – przyznał Gladstone, odwracając wzrok. – Z całym szacunkiem, pani przewodnicząca, czy na pewno pani wie, co robi?

Ellis rozumiała, dlaczego tak trudno było mu zadać to pytanie. Dziecko, które traci zaufanie do rodzica, traci również nadzieję. Położyła uspokajająco dłoń na jego ramieniu.

– Przez całe życie niczego nie byłam bardziej pewna. Jak myślisz, dlaczego to mnie wyróżniło Genesis? Dlaczego spośród wszystkich kongresmenów i członków gabinetu to ja zostałam wybrana?

– Nie wiem... przypuszczalnie dlatego, że jest pani przewodniczącą Izby.

– Nonsens.

Ellis rozejrzała się ostrożnie po sali obrad, świadoma, co jej grozi, gdyby ich podsłuchano. Wszędzie widziała tylko bezczynność, bezradność i znudzenie. Ludzie wierzili się w fotelach, zniechęceni i niespokojni. Niektórzy zrobili z koców prowizoryczne poduszki i oparli się o siedzących obok. Grupki dygnitarzy zbierały się, lecz zmęczenie i rosnący strach wyczerpały energię dyskutantów i głośne wcześniej rozmowy przerodziły się w sporadyczne szepty. Przypominali jej żywe trupy. Którymi, zdaniem terrorystów, przecież byli.

– Wybrali mnie, ponieważ pisana mi jest rola przywódcy – odparła w końcu. – I z twoją pomocą ludzie przede wszystkim dostrzegą wkrótce błąd, jaki popełnili, wybierając Allaire'a zamiast mnie.

– Przez moją pomoc rozumie pani przygotowanie tej ustawy?

– Właśnie, Lelandzie. Gdy tylko wykonasz to zadanie, przedstawię ustawę Kongresowi, poddamy ją pod głosowanie i uchwalimy.

– Ale... nawet jeżeli przepchnie pani tę ustawę w Kongresie, Allaire nigdy jej nie podpisze – zauważył Gladstone. – Czyż nie to właśnie jest warunkiem wstępnym przekazania pani antidotum?

Ellis poklepała swojego współpracownika po udzie. Jako polityk pod wieloma względami był nad wiek przenikliwy, ale w innych kwestiach nadal błędził niczym dziecko we mgle.

– Dzięki władzy, jaką Genesis ma nam przekazać, prace naszej komisji będą się toczyć w przyspieszonym tempie. Niebawem będziemy mieli dość dowodów, by usunąć Allaire’a z urzędu.

– Nawet przy założeniu, że zdoła pani pozbyć się Allaire’a, do akcji wkroczy wiceprezydent Tilden i również zawetuje ustawę.

– Cóż, tę drobną przeszkodę w osobie Henry’ego Tildena pozostaw mnie – odparła Ellis. – Zapewniam cię, że pokonamy ją bez trudu.

– Więc zamierza pani usunąć prezydenta za zabicie Mackeya?

Ellis uśmiechnęła się szeroko.

– I owszem, przyjacielu. Za śmierć Mackeya i usiłowanie zabójstwa ponad siedmiuset osób.

– I wierzy pani, że zagrożenie ze strony tego wirusa jest tak poważne, jak twierdzi Genesis?

Ellis wycelowała w niego palec, żeby podkreślić, iż poruszył istotną kwestię.

– Sama się nad tym zastanawiam – odparła. – Pozwól, że zapytam: jak myślisz, czemu Allaire kazał podzielić nas na grupy?

– Żeby łatwiej było rozdysponować zasoby w okresie kwarantanny – odparł szybko Gladstone.

– Ach, drogi Lelandzie. To narzucone nam przez Allaire’a wyjaśnienie od razu wydało mi się podejrzane, a teraz wydaje się kompletnie niewiarygodne. Zakładając, że to po prostu kolejne z jego kłamstw, proszę, byś dociekł, dlaczego wysłano nas do różnych sal.

Gladstone nie musiał się długo zastanawiać.

– Zakładając, że groźba jest realna i Allaire wie, jak zabójczy jest wirus, być może próbował ograniczyć jego rozprzestrzenianie się.

– Improvizujesz, Lelandzie. I jak najlepiej byłoby to zrobić?

Gladstone po raz pierwszy wytrzymał spojrzenie Ellis.

– Oddzielając najpoważniej zakażonych.

Ellis miała minę nauczycielki dumnej z wzorowego ucznia.

– Czy pamiętasz, jak poprosiłam, byś rozrysował miejsca wybuchów i ustalił, kto gdzie wtedy siedział?

– Oczywiście.

– Spójrzmy na tę listę.

Gladstone wyprostował długie nogi, żeby wyciągnąć z kieszeni spodni kilka złożonych kartek. Potem wręczył je Ellis. Przewodnicząca przeczytała uważnie notatki, znowu je złożyła i oddała Gladstone'owi.

– Masz tutaj około czterdziestu nazwisk – zauważyła.

– To ci, których udało mi się namierzyć. Ludzie siedzący w miejscach wybuchów oraz ci siedzący wokół każdej strefy wybuchu.

– Powiedz mi zatem, czy wiesz, gdzie obecnie znajduje się Archibald Jakes lub senator Cogan?

Ellis wybrała z listy Gladstone'a dwie osoby, które zostały zarażone na jej oczach.

– Sądzę, że są w grupie C.

– A miałaś jakiś kontakt z tą grupą?

– Nie – odparł Gladstone.

– A wiesz, gdzie aktualnie przebywa grupa C?

– Z tego, co słyszałem, są w sali obrad Senatu, ale to tylko niepotwierdzona plotka.

– W takim razie myślę, że powinnam pójść i potwierdzić to sama. Czy twój blackberry jest naładowany?

– Owszem – odparł Gladstone. – Dzięki temu, że stawiła pani czoło Allaire'owi, nadal go mam.

– Wyglądasz na zmartwionego. O co chodzi?

– Nie wolno pani opuszczać tej sali. Jak pani zamierza dotrzeć do Senatu?

Ellis obdarzyła Gladstone'a szelmowskim uśmiechem.

– Dzięki... hm... dość poważnym naruszeniom przepisów przez Seana O'Neila... wciąż mam go w garści. Myślę, że już czas, by go porządnie przycisnąć.

Rozdział 43

DZIEŃ 6 2.00 EST

Z wnętrza w górnej galerii Ellis przyglądała się O'Neilowi patrolującemu przejścia w sali obrad. Czuł się nieswojo i unikał kontaktu wzrokowego z zatroskanymi ludźmi, których mijał, poczuwając się chyba do pewnej odpowiedzialności za ich trudne położenie.

Ellis trochę mu współczuła. Był równocześnie więźniem i strażnikiem, a żadna z tych ról nie była godna pozazdroszczenia. W tej opłakanej sytuacji ona przynajmniej miała jakiś cel – jakąś kontrolę i władzę nad swoim losem. Niebawem jednak O'Neil też miał mieć swój cel. I z chwilą gdy Allaire i jego wazeliniański zastępca dostaną to, na co zasłużyli, a ona będzie prezydentem, nagrodzi agenta Secret Service za pomoc, nie zwalniając go ze służby i złożonego pod przysięgą zobowiązania do chronienia jej za cenę własnego życia.

Przewodnicząca zeszła po wyłożonych dywanem schodach na parter, podeszła do O'Neila i klepnęła go w ramię. Obrócił się gwałtownie, sięgając po broń.

– Spokojnie, kowboju – zakpiła Ellis. – Może już czas przejść na kawę bezkofeinową.

O'Neil spojrzał na nią gniewnie.

– Kiedy następnym razem podejdzie pani do mnie w ten sposób, proszę nie liczyć na to, że się powstrzymam.

– Musimy porozmawiać.

– Teraz jestem zajęty.

– Naprawdę? Czym?

– Prezydent poprosił, bym poczynił pewne obserwacje i przedstawił mu je.

– Obserwacje?

– Tego, jak trzymają się ludzie.

– Ojej. To brzmi poważnie.

– Czego pani chce?

– Już mówiłam, porozmawiać. Dobrze?

Ellis wskazała ruchem dłoni miejsce w ciemnym kącie sali, które gwarantowało odrobinę prywatności. O’Neil burknął coś niewyraźnie tytułem protestu, ale i tak ruszył za nią.

– No dobra – powiedział, gdy wydawało się, że są w bezpiecznej odległości od pozostałych. – O czym chce pani rozmawiać?

– Gdzie jest Archibald Jakes?

– Szef sztabu marynarki wojennej?

– Jest jakiś inny?

– Nie wiem.

– Będziemy sobie robić trudności?

– To zależy. Będzie pani dalej próbowała ze mną rozmawiać?

– Mam w tym telefonie przeglądarkę internetową – odpaliła Ellis, wymachując aparatem na wysokości talii, żeby nikt inny go nie widział. – Masz jakieś zdjęcia swojego syna, które mogłabym zamieścić w sieci? Uwielbiam dzieci. Kiedyś sama kilkoro urodziłam.

– Ale z ciebie suka.

– Jak miło, że możemy współpracować dla dobra ogółu i znajdować jeszcze czas na dzielenie się informacjami o życiu osobistym.

– Nie mieszaj do tego mojego syna – warknął O’Neil.

Ellis cmoknęła z wyrazem udawanego smutku na twarzy.

– Przepraszam, Sean, ale jeżeli nie będziesz współpracował, to po prostu niczego nie obiecuję. Oto moja propozycja: musisz mi załatwić wyjście z tej sali, do czego mam prawo, którego obecnie mi się odmawia.

– A potem?

– A potem zaprowadzisz mnie tam, gdzie ukrywa się Jakes.

Agent rozważał jej żądanie.

– Chcę, żebyś dała słowo, że już nigdy nie wspomnisz o moim synu.

– Ale...

– Powiedziałem: nigdy!

– Boże drogi. Nie wiedziałam, że jesteś taki opryskliwy. W porządku. Ty będziesz współpracował i doprowadzisz mnie do Archiego Jakesa, a ja nie wspomnę już ani słowem o twoim chłopaku.

O’Neil po raz drugi rozważył jej deklarację.

– Jakes jest w sali obrad Senatu – odparł w końcu.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie znasz miejsca jego pobytu.

– Skłamałem.

– Wiem. To pod wpływem Allaire’a. Zaprowadź mnie tam.

– To nie takie proste. Nie mam klucza.

– Klucza? Chcesz powiedzieć, że szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów jest zamknięty w sali obrad Senatu?

– Tak. Razem z resztą grupy C.

– Powiedz mi, Sean, czy zadałeś sobie pytanie, dlaczego tak jest?

– Nie.

– Albo więc bardzo ufasz swojemu prezydentowi, albo jesteś szalenie bezkrytyczny.

– Jedno i drugie. Moim zadaniem jest chronić, nie kwestionować.

– Cóż, jeżeli nadal chcesz wykonywać to zadanie, proponuję, byś mnie wprowadził do tej sali.

– Nie mogę tego zrobić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Jesteś naprawdę marnym kłamcą. Tutaj nikogo nie nabierzesz. Wiem, że masz klucz do sali Senatu. Dałabym sobie rękę uciąć, że tak jest.

– Idź do diabła.

– Wiesz o mojej niedawno stworzonej specjalnej komisji?

– Wiem. Prowadzicie śledztwo w sprawie śmierci Mackeya.

– Zabójstwa Mackeya... Zgadza się. Co oznacza, że będę miała częsty kontakt z naszym drogim prezydentem. A to stworzy mnóstwo okazji ku temu, by podzielić się moją wiedzą o twoich ponadprogramowych poczynaniach w Sypialni Lincoln. Może gdy dojdziemy do jakiejś takiej zgody, pozwoli mi nawet opuścić tę piękną salę, bym mogła przynieść zdjęcia przedstawiające ciebie i tę panienkę, które schowałam w moim biurowym sejfie na czarną godzinę. Drogi agencie O’Neil, jak mogliście nie wiedzieć, że wszystko, co się dzieje w Białym Domu, jest tak czy inaczej rejestrowane?

O’Neil skrzywił się i rzekł:

– Chcę mieć te zdjęcia.

– To oczywiste. Albo wpuścisz mnie do tej sali Senatu, albo najpierw zobaczą je Allaire i sędzia prowadzący twoją sprawę o opiekę nad synem.

Ellis obserwowała, jak agent zaciska szczęki.

– Chodź ze mną – powiedział ochrypłym szeptem.

Obeszli mównicę i ruszyli korytarzem przecinającym Kapitol.

Przy drzwiach stała na straży para agentów. Oboje wyglądali na niezwykle sprawnych. O’Neil przedstawił im Ellis i rzekł:

– Jill, prezydent poprosił, bym zaprowadził przewodniczącą Ellis do sali obrad Senatu.

– Nie słyszałam tego przez radio – odparła kobieta.

– Poprosił jakiś czas temu, a ja zapomniałem i pani przewodnicząca właśnie mi to uświadomiła.

– Sporo się dzieje – zauważył drugi agent. – Łatwo można zapomnieć. Wczoraj w nocy nakazali usunąć pododdział ochrony sprzed drzwi Senatu. Teraz tylko robią obchód co dwie godziny.

– Wiadomo dlaczego? – zapytała Ellis.

– Nie. Rozkaz to rozkaz. Z tego, co wiem, wchodziła tam tylko doktor Townsend, lekarz prezydenta.

– To dziwne.

– A co tutaj nie jest dziwne? – odparł strażnik.

– Ciekawe, czego ona szuka.

– Cóż, dzięki, Scott – powiedział O’Neil.

Postąpił krok naprzód, ale strażnicy pozostali na miejscu i wymienili pytające spojrzenia.

– Pozwolisz, że obejrzymy wasze ręce? – zapytała Jill.

– Nic na nich nie ma – odparł O’Neil. – Tego między innymi kazał mi szukać prezydent.

Wysunął ręce dłońmi ku górze i dał znak Ellis, by zrobiła to samo.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała.

– Nie mamy pojęcia – odparł agent o imieniu Scott. – Ale sekretarz Salitas kazał nam sprawdzać każdego, kto tędy przechodzi.

– Agencje O’Neil, wie pan, co jest grane?

Ellis miała chytry wyraz twarzy. Pokazała dłonie strażnikom.

O’Neil wzruszył ramionami.

– Szukamy jakiegoś czerwonego wzoru... w kółka lub zwoje. Jeżeli zobaczymy kogoś, kto ma takie ślady na jednej lub obu dłoniach, mamy go odesłać do Salitasa.

– Ciekawe – powiedziała Ellis. – Ciekawe. Kiedy ma się odbyć następny obchód?

– Za piętnaście minut. Dokładnie wtedy, gdy skończy się nasza zmiana.

– Dziękuję wam obojgu. Prawdopodobnie wrócimy, zanim opuścicie stanowisko.

Agenci ochrony rozstąpili się i pozwolili przejść przewodniczącej i O’Neilowi.

Ellis przyspieszyła kroku.

Zeszli na parter Kapitolu. Ellis przywykła do klatek schodowych i korytarzy, na których roiło się od ludzi, ale teraz słyszała jedynie własne kroki. Ta dziwna cisza wywołała wspomnienie z dzieciństwa: została kiedyś uwięziona w muzeum po zamknięciu. Przeszli korytarzem łączącym z Izbą Reprezentantów przez Kryptę,

gdzie na kolumnach w porządku doryckim wspierała się olbrzymia centralna rotunda, po czym znaleźli się w korytarzu łączącym z Senatem. W końcu weszli po schodach prowadzących do sali obrad samego Senatu.

Przed drzwiami wisiała kartonowa tabliczka z napisanym starannie markerem ostrzeżeniem:

WSTĘP TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH

Na prawo od tabliczki, na wieszaku w małej plastikowej komorze ultrafioletowej, wisiał jeden niebieski skafander ochronny. Na komorze widniała naklejka z napisem:

DR B. TOWNSEND

– Tylko jeden skafander dla jednej osoby – zauważyła Ellis. – Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

– Nie. Sądzę, że to bardzo dziwne – odparł O’Neil.

– Jak to wyjaśnisz?

– Townsend nie chce, by ktokolwiek oprócz niej tam wchodził.

– Tak przypuszczam, ale po co ten skafander? Miała taki sam kontakt z wirusem jak reszta z nas. Czy to możliwe, że ryzyko kontaktu w sali Senatu jest jeszcze większe niż w pozostałej części budynku?

Końce grubego stalowego łańcucha przeciągniętego między półkolistymi mosiężnymi klamkami dwuskrzydłowych drzwi były połączone kłódką. Ellis wysunęła w jej kierunku wymanikiowany palec.

– Nie zrobię tego – zastrzegł O’Neil.

– Twój problem, mój drogi – odparła z lodowatym spokojem Ellis – polega na tym, że potrafisz myśleć tylko na rozkaz. Muszę dokładnie sprawdzić, co się tam dzieje i dlaczego zamknięto tych ludzi. Rozkazuję ci więc: otwórz te cholerne drzwi, bo inaczej przysięgam, że poświęcę cały swój czas na zniszczenie ci życia.

Agent niechętnie wyjął klucz i wsunął go do kłódki. Usłyszeli dochodzące z sali odgłosy. Niektóre przypominały kasłanie. Towarzyszyło mu jednak coś, co mogło być krzykiem. Potem usłyszeli jeszcze bardziej wyraźny – i coraz głośniejszy – dźwięk. Ktoś po drugiej stronie drzwi skrobał w ich drewnianą powierzchnię.

– Chyba nie powinniśmy tego robić – powiedział O’Neil.

– Muszę tam wejść tylko na chwilę, Sean. Obróć ten cholerny klucz! – zarządziła Ellis.

I tak też zrobił.

Rozdział 44

DZIEŃ 6

1.00 CST

Griff zbudził się przy jednym z dwóch stołów w małej bibliotece, gdy poczuł na ramieniu delikatne dotknięcie. Wyprostował się gwałtownie, wymachując rękami, żeby nie upaść. Zaczepił przy tym o dwa wysokie stosy encyklopedii, strącając je na blat. Stojący obok Forbush spojrział na niego z nieskrywaną troską i rzekł:

– Zasnąłeś.

– Niedomówienie dnia – odparł niewyraźnie Griff. – Chyba pamiętam, że przyrzekałeś zaglądać do mnie co kwadrans.

– I zaglądałem. Musiałeś po prostu stracić świadomość. Griff skinął głową i dostrzegł odbicie swojej wymizerowanej twarzy w ciemnym szkle systemu wideokonferencyjnego. Na brodzie, niczym pył na ziemi po erupcji wulkanu Świętej Heleny, już zdążył pojawić się zarost. Lecz najbardziej niepokojąco – gorzej nawet, niż pamiętał z odsiadki w Alcatraz Gór Skalistych – wyglądały jego wychudzone policzki i zapadnięte oczy.

System wideokonferencyjny zapewniał bezpośrednią łączność z Kapitołem, a prezydent liczył na to, że rano Griff przekaże mu najświeższe wieści. Te, którymi wirusolog zamierzał się z nim podzielić, nie spotkają się z dobrym przyjęciem.

– Czy przynajmniej znalazłeś coś użytecznego w tych encyklopediach? – zapytał Forbush.

– Być może – odparł Griff. – Bez względu na to warto było wyskoczyć z tego cholernego skafandra, choćby na chwilę. Ale i tak potrzebuję więcej czasu do namysłu.

– Tak samo jak Russell Crowe we *Wspaniałym umyśle*. On też bez przerwy dumał.

– Nie okazało się przypadkiem, że jest szalony?

– Zależy od tego, jak zdefiniujesz szaleństwo.

– Świetnie. Czegoś brakuje, Melvinie. Zastanawiam się, czy moglibyśmy

pokierować „Orionem”... może z pomocą jakiegoś wzmacniacza reakcji odpornościowej.

– Czy ten środek wspomagający miałby być toksyczny?

– Możliwe, ale z pewnością mniej toksyczny niż to, co już znajduje się w organizmach tych biedaków w Kapitolu.

Zanim Forbush zdążył odpowiedzieć, faks w kącie biblioteki zasygnalizował, że odbiera przesyłkę.

– Kto to może być? – zdziwił się Griff.

Forbush podszedł do maszyny.

– Możliwe, że to od pani Angie. Dałem jej numer i powiedziałem, że tak będzie najbezpieczniej kontaktować się z nami.

– Naprawdę? Jesteś pewien, że Genesis nie może przechwycić faksu?

Melvin odwrócił się do niego i wzruszył ramionami.

– Na tyle, na ile mogę być pewien, gdy chodzi o nich – odparł. – To cwana banda.

– Skąd więc to przeświadczenie?

– Znalazłem w internecie numer telefonu, który ponoć generuje krótki ton, gdy na linii jest podsłuch, i dłuższy, gdy nie jest. Sprawdziłem i przynajmniej według tego kryterium linia jest czysta.

– Pokładasz sporo wiary w sieci – zauważył Griff.

– Czasami, szefie, dochodzimy do punktu, gdy zostaje nam jedynie wiara.

– Dobry cytat. Z jakiego to filmu?

– Tego, który wyprodukuję, gdy wygram na loterii.

Forbush chichotał, zbierając kartki faksu z tacy drukarki, po czym nagle spoważniał.

– Griff, ten faks nie jest od Angie, ale o niej.

Rhodes skoczył na równe nogi i pokonał niewielką odległość w dwóch krokach. Na pierwszej stronie faksu widniało logo domu opieki Riverside na Manhattanie.

– Przeczytaj to na głos – zaproponował Forbush z wyjątkowo jak na niego ponurą miną.

Przy pierwszych wersach listu zapisanych odręcznie w rubryce „komentarze” Griff poczuł ucisk w krtani.

Nazywam się Mei Wu. Jestem pielęgniarką dyżurną w domu opieki Riverside w Nowym Jorku. Poniższe informacje dotyczą Angeli Fletcher, która przebywa w szpitalu.

Reszta listu została napisana na komputerze.

– „Zanim pani Fletcher zasłała – czytał Griff – przyznała się do sfalszowania legitymacji inspektora wydziału zdrowia w celu uzyskania dostępu do naszych

pensjonariuszy. Rozpaczliwie poszukiwała kobiety o nazwisku Chen, Sylvia Chen. Sądziła, że matka Chen u nas mieszka.

Z przykrością informuję, że Sylvia Chen nie żyje. Wiem tylko tyle, że tak powiedziała pani Fletcher. Nie znam żadnych szczegółów. Pani Fletcher była ścigana przez bardzo złego człowieka i doznała obrażeń głowy, wskutek czego w końcu straciła przytomność. Przetransportowano ją karetką do szpitala na dolnym Manhattanie. Nie mam aktualnych informacji o stanie jej zdrowia.

Jej prześladowca zginął, wpadając do szybu naszej windy. Zanim pani Fletcher zasłała, otrzymała pudełko od naszej pensjonariuszki, znanej nam jako pani Li. Teraz wydaje się, że pani Li to rzeczywiście matka Sylwii, Chen Su. W pudełku znajdowała się koperta opatrzona napisem: »Przepisy kuchenne«, a niektóre dokumenty najwyraźniej należały do Sylwii. Pani Fletcher odzyskała świadomość na wystarczająco długi czas, by poprosić mnie o przefaksowanie tych stron do Pana. Wierzy, że zawarte na nich informacje mogą mieć decydujące znaczenie dla Pańskiej pracy i tego, co się dzieje w Waszyngtonie. W razie potrzeby może Pan skontaktować się ze mną tutaj.

Doktorze Rhodes, powinien Pan wiedzieć, że chociaż pani Fletcher nas oszukała, to potem wykazała się wyjątkową odwagą i uratowała Chen Su życie. Nigdy jej nie zapomnę”.

– Melvinie, musimy zdobyć numer do Lower Manhattan Hospital w Nowym Jorku.

– Nie radziłbym – odparł Forbush. – Zakładając, że człowiek, który ścigał panią Angelę w Nowym Jorku, należał do Genesis, musimy uznać, że przeciek nastąpił gdzieś tutaj, w Kalveście.

– Cóż więc powinniśmy zrobić?

– To zależy.

– Od czego? – zapytał Griff.

– Od tego, czy masz przyjaciół na stanowiskach.

– Allaire!

– Sądzę, że dysponujemy systemem bezpiecznej łączności z prezydentem. Czemu z niego nie skorzystać?

– Należy ci się podwyżka, Melvinie. Posłuchaj, skończę tylko oglądać te materiały od Sylwii, a potem skontaktujemy się z Allaire’em i sprawdzimy, czy może się wstawić za Angie... a przynajmniej dopilnować, by miała opiekę najlepszych lekarzy.

– Biedna Sylvia. Związała się z niewłaściwymi ludźmi i tak rozpaczliwie pragnęła sukcesów w swojej pracy. Ciekawe, jak zginęła. Sądziłem, że w sytuacji, gdy wszyscy jej bezskutecznie szukali, może mieć poważne kłopoty finansowe.

– Miejmy nadzieję, że Angie jest cała i zdrowa i opowie nam, co się stało.

Griff przewrócił kartkę i zaczął czytać następną stronę z pliku notatek. Laboratoryjne raporty Chen były sporządzane w jednolitym formacie i nie musiał długo studiować tych zapisków, by wiedzieć, że ona rzeczywiście jest ich autorką. Lecz treść tych raportów nie wiązała się z żadnymi doświadczeniami, które wcześniej widział.

W prawym górnym rogu każdej strony wydrukowany był ten sam nagłówek.

Pewna Droga

Przedmioty jej badań, prawdopodobnie małe, były oznaczone kodami, które Griff widział po raz pierwszy. Poszczególne raporty, po jednej kartce dla każdego zwierzęcia, zawierały podstawowe informacje o płci, numerze klatki, dawce wirusa, sposobie podawania i terapii przeciwwirusowej, jak również daty i godziny każdej serii badań.

Sylvia wiedziała, że Griff nie godził się na doświadczenia na szympanсах. Wiedziała jednak również, że rzadko bywa w Piekielnej Kuchni. Czy to możliwe, że jakoś zdołała przemycić szympanсы do swojego laboratorium? Jeśli tak, to dlaczego zabrała te wyniki – zwłaszcza że wyglądało na to, że te badania nie były bardziej owocne od reszty jej prac nad naczelnymi. I jak przeniosła te kartki przez sterylizujące prysznic i lampy UV?

Te pytania nie dawały Griffowi spokoju.

Zanotowane wyniki przedstawiały objawy kliniczne oraz ilości wirusa wszczepionego bądź podanego przez inhalację. We wszystkich przypadkach z wyjątkiem jednego szybkość zgonu była wprost proporcjonalna do wielkości dawki.

Mogły to być któreś z wielu jej dawnych raportów laboratoryjnych. Co czyniło je tak wyjątkowymi? Odpowiedź na to i pozostałe pytania Griffa znajdowała się na ostatniej stronie. Jej lektura zmroziła mu krew w żyłach.

Tożsamość badanych zwierząt była określona nie tylko kodem, ale inicjałem i... nazwiskiem.

Griff chwycił notes i zapisał kod identyfikacyjny każdego przedmiotu badań, a następnie nazwisko. Obok każdego nazwiska odnotował wynik zarejestrowany przez Sivię.

DWM – 1, S. Coughlin (M) Zgon
DBF – 2, G. Anderson (K) Zgon
DBM – 3, T. Geffman (M) Zgon
DWM – 4, L. Warshalski (M) Zgon

DWM – 5, M. Sheffer (M) Zgon

DWM – 6, J.R. Davis (M)

Niczym robot wręczył kartkę Forbushowi, który przejrzał dane z równie wielkim niedowierzaniem.

– To straszne – powiedział z typową dla niego wstrzemięźliwością.

– Jeżeli to prawda, Melvinie, to jest gorzej niż straszne.

– Pewna droga... pewna droga do uzdrowienia, jak przypuszczam. To właśnie musi oznaczać ten nagłówek na każdej stronie.

Griff nie mógł oderwać wzroku od raportu.

– Wiem, że Sylvia rozpaczliwie pragnęła kontynuować badania – rzekł – ale nawet nie śniło mi się, że aż tak rozpaczliwie.

– Koniec z małpami – powiedział Forbush ze wzruszeniem ramion.

– Koniec z małpami – powtórzył jak echo Griff. – Przekroczyła granicę i zaczęła prowadzić doświadczenia na ludziach.

– I wszyscy poumierali.

– Przy założeniu, że nie zaznaczyła tego obok nazwiska J.R. Davisa, wszyscy poumierali.

– Pozostawiając nas z jednym ogromnie ważnym pytaniem, na które nie ma odpowiedzi.

– Skąd mogli pochodzić ci ochotnicy?

– Przypuszczam, że jest jeszcze jedno ogromnie ważne pytanie, na które nie ma odpowiedzi – dodał Forbush. – Gdzie ona prowadziła te badania?

Rozdział 45

DZIEŃ 7

2.30 EST

Ellis sprawdziła, czy blackberry Gladstone'a jest włączony, i nastawiła go na rejestrację wideo. Była podekscytowana i przejęta. Jim Allaire wystarczająco długo utrzymywał ją w nieświadomości. Już czas, by udokumentowała, co naprawdę się dzieje i jak bardzo muszą się bać tego wirusa.

Stojący obok O'Neil wyglądał tak, jakby miał za chwilę osunąć się na ziemię. Jego twarz była biała jak marmurowa posadzka.

Tuż za drzwiami nadal słychać było hałas i odgłos skrobania.

Agent Secret Service rozpiął łańcuch spinający drzwi sali obrad Senatu. Stalowe ogniwa prześlizgnęły się przez jego dłonie i z brzękiem upadły u stóp. Ellis przyłożyła dłoń do ucha i nasłuchiwała przy drzwiach.

– Cisza – powiedziała. – Nie mam pojęcia, co to był za dźwięk, ale teraz go nie słychać.

– Myślę, że nie powinna pani tam wchodzić. To szaleństwo.

– My, mój drogi. My tam wejdziemy. I zrobimy to szybko. Wejdziemy i wyjdziemy, a w międzyczasie nakręcimy krótki film. Tylko tego mi trzeba. Sądząc z wiszącego tu skafandra doktor Townsend, ci ludzie są zarażeni czymś okropnym.

– Cokolwiek to jest, my też mieliśmy z tym kontakt.

– Ale założę się, że ci biedacy otrzymali końską dawkę. Pora sprawdzić, jak dużo twój szef przed nami ukrywa. Nie chcesz się dowiedzieć? Chodzi przecież także o twoje życie.

– Ja... sam nie wiem.

– O'Neil, zapewniam cię, jeżeli zostaniemy tam tylko minutę, wystarczająco długo, bym mogła nakręcić potrzebny materiał, nic nam nie będzie... zwłaszcza gdy wstrzymamy oddech. No, chodźmy.

O'Neil westchnął i otworzył drzwi.

Od razu po wejściu do sali obrad Senatu Ellis zwróciła uwagę na zapach – ohydny woń krwi, ludzkich odchodów i wymiocin. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś takiego. W odruchu wymiotnym natychmiast ścisnęło jej się gardło. Zastanawiała się, czy wentylatory porozstawiane w całej sali zapobiegają jakoś wydostaniu się tego smrodu przez szpary w drzwiach. Lampy paliły się pełnym blaskiem i na widok tego, co ujrzała, sięgając niezdarnie po aparat, krzyknęła z przerażenia.

Złoty adamaszek pokrywający ściany powyżej marmurowej okładziny był poplamiony krwią i kałem. Białe marmurowe popiersia dawnych przewodniczących Senatu, normalnie ustawione w niszach na poziomie galerii, zostały rozbite, zniknęły lub leżały na podłodze. Ale jeszcze bardziej zatrważające było to, że sto mahoniowych pulpity oderwano od podstaw, ciśnięto na bok i zastąpiono co najmniej setką łóżek polowych, które w większości były zajęte, i to przeważnie przez ludzi, których znała, a teraz ledwie potrafiła rozpoznać.

Niektórzy z zebranych w sali obrad przebrali się w wygodne ubrania, które dostarczono do Kapitolu. Było jednak kilkoro innych – najbardziej osłabionych – którzy nadal mieli na sobie to, co zostało z ich smokingów i eleganckich sukien. Leżeli apatycznie lub wymiotowali krzepnącą krwią do niebieskich plastikowych wiader przymocowanych drutem do ram łóżek. Niektórzy zwijali się z bólu. Inni wspierali się na łokciu, jęcząc żałośnie.

Ellis przez pół minuty stała jak sparaliżowana, zapomniawszy o celu swojej misji.

Nagle usłyszała okropny wrzask i odwróciła się w kierunku, z którego dobiegł. Sędziwy senator z Missouri, nobliwy i zawsze pełen godności siedemdziesięcioparolatek, ścisnął dłońmi brzegi łóżka, jękliwie prosząc o ulgę w cierpieniu. Krew z nosa, a może z żołądka, poplamiła prześcieradło, na którym leżał. Znowu krzyknął i uderzył otwartą dłoń w okazały brzuch, jakby próbował zgasić płonący wewnątrz pożar. Potem, nagle, odwrócił głowę i wymiotował do wiadra czarną i gęstą jak olej krwią.

Ellis zdołała podnieść kamerę i zrobić panoramiczne ujęcie tej sceny. To nie była grypa ani żaden inny wirus, jaki mogła sobie wyobrazić.

– Musimy się stąd wydostać – wykrztusiła z trudem.

O’Neil stał jak przykuty. On także dobrze znał wielu z tych dygnitarzy. W końcu zdołał zrobić kilka drobnych kroków z powrotem w stronę drzwi. Ellis została przy nim. Potem odwrócili się, żeby uciec, lecz pośrodku przejścia pojawił się admirał Archibald Jakes i zablokował jedyną drogę ucieczki. Wyglądał groteskowo. Jego poplamiony mundur galowy był w wielu miejscach rozpruty. W baretkach na lewej piersi widniały przerwy niczym w użębieniu hokeisty. Białka jego oczu były krwistoczerwone. Policzki miał zapadnięte, a żuchwa była w bezustannym ruchu –

gryząca czaszka.

Admirał uniósł ręce, by zagrozić im przejście, Ellis wydała stłumiony krzyk.

Jego dłonie pokrywały szkarłatne koncentryczne kręgi, robiące wrażenie wypalonych na skórze znaków. Powierzchnię skóry znaczyły setki maleńkich bąbli, z wielu z nich sączył się płyn.

– Do domu... zabierzcie mnie do domu... – wyjęczał ochrypłym szeptem.

Miał cuchnący oddech.

– Admirale, co tu się dzieje? – zdołał zapytać O’Neil. – Co się dzieje z panem? Kto wam wszystkim pomaga?

– Umieramy... wszyscy umieramy. – Każde wypowiedane słowo wylatywało z jego ust niczym syk pary. – Czemu mi to zrobiliście?

– To nie my – odparł O’Neil. – To Genesis. To jakiś wirus.

– Kłamiesz! Kłamiesz!

Ellis wyczuła za sobą poruszenie. Odwróciła się i zobaczyła, że pozostali gromadzą się za jej plecami jak zombie, blokując jedyną drogę odwrotu. Z niektórymi od wielu lat łączyły ją przyjaźń bądź stosunki koleżeńskie. Teraz wszyscy byli chorzy – straszliwie chorzy. Trudno też było nie zauważyć jaskrawoczerwonych śladów na ich dłoniach.

– Admirale Jakes, proszę nas przepuścić – apelował O’Neil. – Sprowadzimy pomoc. Obiecuję.

Dowódca marynarki patrzył na niego błędnym wzrokiem.

– Kłamiesz! Nie będzie żadnej pomocy!

Jakes zaatakował z zaskakującą szybkością i zacisnął dłonie na szyi O’Neila. Agent odtrącił ręce admirała, ale ten po chwili znowu rzucił się na niego, rozdrapując mu twarz do krwi.

– Przestań! – krzyknął O’Neil.

– Zdychaj! Zdychaj jak ja!

Jakes nadal okładał rękami znacznie młodszego mężczyznę. Krew z ran zadanych przez rozwścieczonego starca spływała O’Neilowi po policzkach, wsiąkając w kołnierzyk koszuli.

Ellis krzyknęła, gdy wokół nich zaczął się skupiać niewielki tłum.

W tym momencie aktorzy tej sceny zastygli w bezruchu na huk wystrzału. Z lufy pistoletu przy pasie O’Neila wydobył się dym. Szef Kolegium Szefów Połączonych Sztabów osunął się na kolana, a potem upadł w zwolnionym tempie na plecy, wpatrując się niewidzącymi oczami w wysoki zdobiony sufit. Szkarłatna plama natychmiast zaczęła się rozlewać wokół dziury od kuli w jego marynarce. Postępujący naprzód tłum cofnął się na widok pistoletu w ręce O’Neila. Woń prochu mieszała się z innymi zapachami.

– Chodźmy! Teraz! – warknął do Ellis.

Ściskając w rękę swój blackberry, przewodnicząca złapała go za rękaw kurtki i pozwoliła wywlec się za próg sali obrad Senatu. Umierający mężczyźni i kobiety znowu się zbliżali, gdy agent zamykał za sobą drzwi. Ellis przeciągnęła łańcuch przez klamki i z całej siły naparła na skrzydła, a on zatrasnął kłódkę.

Potem oboje, dysząc ciężko, wyczerpani i roztrzęsieni osunęli się na ścianę. Harmider i odgłosy skrobania rozległy się na nowo. Na pozór nic się nie zmieniło, tylko gdzieś pośród tłumu za drzwiami leżało ciało dowódcy marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Ellis sprawdziła swój telefon.

Wszystko się nagrało.

Rozdział 46

DZIEŃ 6

5.00 CST

– Tu Rhodes, słyszy mnie pan?

– Tak, bardzo dobrze. Proszę posłuchać, Angie została ranna. Ludzie z Genesis jakimś cudem pojechali za nią do Nowego Jorku i próbowali ją zabić. Nie dzwoniłem do szpitala, w którym przebywa, ponieważ tak naprawdę nie wierzę, że ta linia jest bezpieczna. Wygląda na to, że nic tutaj takie nie jest. Chcę, żeby FBI na pana rozkaz dowiedziało się, gdzie ona jest, i posłało tam ludzi, by nad nią czuwali. Nie podam panu szczegółów, ale pošlijcie paru ludzi do domu opieki Riverside. Tam będą wiedzieli, gdzie ona jest i pod jakim nazwiskiem została przyjęta do szpitala. Ale zróbcie to szybko. I dopilnujcie, by miała najlepszą opiekę lekarską.

– Co ona, u diabła, robi w Nowym Jorku?

– Niedługo panu powiem. Teraz nie mam na to czasu.

– W porządku, zadzwonię do pana.

Dwadzieścia minut później wideokonferencja została wznowiona.

– Namierzyliśmy ją – poinformował Allaire. – Jest na OIOM-ie. Krwiak podtwardówkowy, czyli między czaszką a mózgiem. Moi ludzie jadą tam w tej chwili.

– Operacja?

– Nie sądzę. Krwiaki podtwardówkowe nie zawsze wymagają wykonania zabiegu. Jest w szpitalu specjalizującym się w leczeniu urazów, ale natychmiast pošlę tam jakiegoś neurochirurga.

– Dziękuję, panie prezydencie. Jestem naprawdę wdzięczny. Co się dzieje u was?

– Sytuacja pogarsza się z minuty na minutę – odparł Allaire. – Co pan dla nas ma?

– Niestety, nadal mam wiele pytań i niewiele odpowiedzi. Ale pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Widetransmisja o dużej rozdzielczości ukazała ostry obraz Allaire'a. Ciemna szczecina na zazwyczaj gładko ogolonej twarzy sprawiła, że jego popielata cera i posępny wyraz oczu były tym bardziej niepokojące. Oblicze Griffa, widoczne w małym okienku w lewym górnym rogu ekranu, wyglądało nie mniej ponuro niż twarz prezydenta.

– Jaki jest stan pańskich badań? – zapytał Allaire.

– Na razie Angie zrobiła większy postęp niż ja... lub pan, jeśli o to chodzi.

– Jak mam to rozumieć?

– Doszła do tego, że Sylvia Chen może być w Nowym Jorku, i miała rację. Tyle że ludzie z Genesis musieli jakoś wykryć, dokąd jedzie. Proszę nie pytać, skąd wiedzieli. Wygląda na to, że wiedzą wszystko. Posłali za Angie człowieka, który próbował ją zabić.

– A Chen? Czy Angie rzeczywiście ją odnalazła?

Griff skinął głową.

– Tak sądzę, ale ona nie żyje. Nie wiem jeszcze dokładnie, jak i kiedy zginęła. Gość wysłany przez Genesis też nie żyje.

Wygląda na to, że Angie zdołała dać mu śmiertelną nauczkę, zanim straciła przytomność.

– Musimy jak najszybciej zidentyfikować zwłoki.

– Zakładam, że ma je nowojorska policja.

– Natychmiast powiadomię FBI. To może punkt zaczepienia, którego szukaliśmy, żeby rozgryźć, kto się za tym wszystkim kryje. Ona miała przecież być w Kansas, obserwować cię. Czemu nie pozwoliliście mi zlecić tej sprawy FBI?

Griff poczuł, że zaczyna kipieć ze złości.

– Doktorze Allaire – odparł, usiłując panować nad sobą – Angela Fletcher ryzykowała życie dla pana i pozostałych ludzi w Kapitolu. W ciągu paru dni osiągnęła to, czego wszyscy wasi agenci nie mogli zrobić przez rok. Zostawmy to. Chcę tylko się upewnić, czy jest dobrze chroniona.

Allaire odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, ale oczy mu płonęły, gdy rzekł:

– Oczywiście.

– Niech pan pamięta, czego Genesis dokonało do tej pory. Mam wrażenie, że oni są wszędzie.

Allaire westchnął głośno.

– FBI będzie w pokoju szpitalnym pani Fletcher w ciągu godziny.

– Chcę też...

– Dość, Rhodes! Jak przebiegają pańskie badania?

Griff odgarnął kosmyk zmierzwionych włosów z czoła i spięty szykował się do przekazania wieści.

– Niestety, w tym momencie rozwiązanie jest równie daleko, jak było przed moim aresztowaniem. Ten wirus jest z piekła rodem. Może powinniśmy nadać mu nazwę „Genesis”, ponieważ zawsze wyprzedza nas o krok.

Po tej marnej próbie żartu Allaire stracił panowanie nad sobą.

Jego blada twarz spurpurowiała w okamgnieniu. Skrzywił usta i obnażył zęby. Patrząc gniewnie w obiektyw kamery, porwał szklankę z wodą ze stołu konferencyjnego w Schronie. Griff z rosnącym zdumieniem obserwował, jak człowiek mogący zdecydować o ataku nuklearnym podnosi rękę, a potem roztrzaskuje szklankę o ścianę.

– Nie możesz zawieść! – wrzasnął prezydent, zbliżając twarz do kamery. – Słyszysz mnie?! Czy rozumiesz, do kurwy nędzy? Mogę cię natychmiast wsadzić z powrotem za kratki. Natychmiast, do cholery! Ściągnę tam kogoś innego. Kogoś, kto ma jakieś pojęcie. Złóż mi jakąś obietnicę, przekaż pozytywne wyniki, bo inaczej cię zniszczę. Rozumiesz?

Drżał na całym ciele, w jego oczach była dzika furia.

– Panie prezydencie! Proszę się uspokoić! Musi się pan uspokoić.

Gary Salitas stanął przed kamerą i Griff obserwował, jak kładzie Allaire’owi dłonie na ramionach. Prezydent chwycił sekretarza obrony za przegub i wykręcił mu dłoń tak mocno, że tamten krzyknął z bólu i zwolnił uścisk.

Nagle w pole widzenia wpadła Bethany Townsend, a za nią dwójka agentów Secret Service. Przy tym ustawieniu kamery i całym zamieszaniu Griff nie był w stanie śledzić biegu wypadków. Gdy kłębiące się ciała zniknęły, nad stołem, patrząc wprost do kamery, pochylała się Townsend. Drobna lekarka była zdyszana i zarumieniona.

– Doktorze Rhodes, będziemy musieli przenieść tę rozmowę na później – powiedziała. – Prezydent w tym momencie nie jest w stanie kontynuować. Oboje z sekretarzem Salitasem dopilnujemy, by zaopiekowano się panią Fletcher.

Griff usłyszał spoza kadru wołanie Allaire’a:

– Czekaście! Czekaście!

Po chwili prezydent wrócił na swoje miejsce. Townsend, podobnie jak agenci, krążyła w pobliżu. Allaire nadal miał przyspieszony oddech, ale szybko go opanował, a purpurowe policzki nieco pobladły. Poprawił krawat i przeczesał włosy dłońmi – drobne gesty, ale wystarczające, by na powrót zaczął się zachowywać spokojnie.

– Rhodes, przeraża mnie, że mój gwałtowny wybuch to po prostu skutek działania wirusa – powiedział alarmistycznym szeptem. – To się dzieje w małych ogniskach infekcji zarówno w grupie A, jak i B. Skłonność do irytacji znacznie wykraczająca poza to, czego należałoby się spodziewać w tych okolicznościach.

Niepohamowane wybuchy. Kłótnie, a nawet bójki na pięści.

– Panie prezydencie, czy może pan przystawić dłonie do kamery?

Griff odetchnął z ulgą, gdy zobaczył normalną skórę, bez plam.

– Mamy coraz mniej czasu, doktorze Rhodes – ciągnął Allaire. – Jest coraz gorzej. Ale przecież nie muszę panu tego mówić.

Rozdział 47

DZIEŃ 6

7.15 CST

Objawy zakażenia u prezydenta stawały się oczywiste.

Griff był tego równie pewien jak tego, że jego własne badania są w impasie.

Ten człowiek był szorstki i wybuchowy. Rozmowa z nim przypominała grę w piłkę tykającą bombą.

– Nie, panie prezydencie – zdołał odpowiedzieć. – Nie musi mi pan mówić, jak poważna jest sytuacja. Wspomniał pan grupy A i B. Są jakieś wieści z grupy C?

Allaire zrobił smętną minę, na jego twarzy odmalował się żal.

– Doszło do kilku zgonów – odparł. – Wdrożyliśmy zaostrome zasady bezpieczeństwa biologicznego, żeby zapewnić personelowi medycznemu ciągły dostęp do ofiar infekcji w grupie C, ale obawiam się, że teraz jest to już zbyt niebezpieczne. Ci ludzie są chorzy, a wielu z nich traci zmysły. Nikt z grupy C nie przeżyje. Teraz to już wiadome. Modlimy się za pana, by ocalił pan resztę z nas.

– Mamy za to jedną znaczącą nowość – rzekł Griff.

Głos Allaire’a natychmiast się ożywił.

– O co chodzi?

Griff pospieszył się ze swoją deklaracją. Nagle postanowił nie ujawniać tego, co przeczytał o potajemnych doświadczeniach Sylvii Chen. Z tego, co wiedział, Allaire mógł wydać na nie zgodę. Na razie on, Angie i Melvin prowadzili tę walkę samotnie. Tylko tak mogli zagwarantować, że nie będzie więcej przecieków ani prób sabotowania ich wysiłków.

– Co to za nowość? – znowu zapytał prezydent.

– Zdołałem uzyskać nieznaczny wpływ na model komputerowy wirusa. Będziemy eksperymentować z dodawaniem pewnych adiuwantów.

– To środki wzmacniające reakcję, prawda?

– Właśnie. Sprawdź, czy możemy wzmocnić reakcję odpornościową na naszą obecną terapię.

– Dobrze – odparł Allaire. – Niech pan utrzymuje kontakt z ludźmi z CDC. Może zaproponują adiuwanty, które mogłyby się okazać pomocne.

– Tak zrobię.

– Ma pan na myśli jakieś konkretne substancje?

– Dotychczasowe wyniki wskazują na parę możliwości. Melvin prowadzi badania. Nie tracimy czasu na sen.

– Potrzebni są panu dodatkowi pomocnicy?

– Nie mamy czasu na to, by ich wprowadzić w temat, nie ma też stanowisk do pracy. Jak dużo powiedział pan dziennikarzom i ludziom w Kapitolu o WRX3883?

– Właściwie to... nic im nie powiedziałem. Nadal sądzą, że mają do czynienia z jakąś odmianą grypy. W każdym razie większość tak sądzi.

– To niedobrze – mruknął Griff.

– Co?!

– Panie prezydencie, może trochę łatwiej byłoby sobie z nimi poradzić, gdyby znali skalę pańskich problemów.

Wyraz twarzy Allaire'a znowu zaczął się zmieniać. W jego głosie narastało napięcie.

– Może pozwoli mi pan wykonywać obowiązki prezydenta, a sam tymczasem będzie wykonywał swoje jako wirusolog i znajdzie lek na to, co nas zabija.

Ze swojego miejsca przy drzwiach Forbush nagle wtrącił się do rozmowy, jakby nieświadom, że jeszcze się nie skończyła.

– Griff, zastanawiam się...

– Kto tam z panem jest? – warknął Allaire.

Rhodes przytknął palec do ust, żeby uciszyć Melvina, po czym wskazał monitor.

– To ja, Melvin, panie Allaire – odparł Forbush, najwyraźniej niewzruszony tym, że właśnie zakłócił poufne spotkanie swojego szefa z najpotężniejszym człowiekiem na ziemi.

Griff powstrzymał uśmiech. Nic dziwnego, że tak bardzo lubił towarzystwo swojego przyjaciela.

– Chodzi o ten wykaz – dodał Melvin, zupełnie ignorując prezydenta. – Szukałem aktów zgonu, ale sądzę, że nie tędy droga.

– Co za akty zgonu? – zapytał Allaire. – O czym pan mówi?

– Melvin pracuje nad raportami doktor Chen w sprawie śmierci badanych zwierząt – wyjaśnił Griff z teatralną przesadą. – Stworzyła dla każdego zwierzęcia akt zgonu, żebyśmy mogli bez trudu się do nich odnieść.

Spostrzegawczość nie była najmocniejszą stroną Forbusha, ale Griff miał nadzieję, że asystent zwróci uwagę na wyraz jego twarzy i nie zdemaskuje tego kłamstwa. Mimo to odwrócił się do kamery plecami i położył palec na ustach. Po

kilku sekundach niepewności Melvin wreszcie doznał olśnienia i skinął głową, że zrozumiał.

– Panie prezydencie – rzekł Griff – nie jestem pewien, czy poznał pan Melvina Forbusha.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Forbush pochylił się nisko, przysunął twarz na odległość około dwudziestu centymetrów od kamery i pomachał prezydentowi palcami jednej ręki.

Wyglądało na to, że Allaire nieco się uspokoił.

– Panie Forbush – rzekł – chcę panu osobiście podziękować za pańskie poświęcenie i służbę dla kraju.

– To moja praca – odparł Melvin. – Robię, co mogę, a doktor Rhodes, niezależnie od tego, jak bardzo jest wyczerpany, też robi, co w jego mocy.

– To dobrze – odparł Allaire. – A teraz wracajcie obaj do swoich zajęć, bo sytuacja wygląda w tej chwili tak, że obaj musicie robić więcej, niż jest w waszej mocy.

Po tych słowach ekran zrobił się ciemny.

– Cóż, poszło jak po maśle – zauważył Griff, wzdychając.

– Przypuszczam, że też byłbym trochę spięty, gdyby ktoś mi powiedział, że zostało mi niewiele czasu.

– Tego nie powiedziałaś.

– Liczy się nie to, co mówisz, przyjacielu, ale to, co ludzie słyszą.

*

Upłynęła godzina.

Prawie cały ten czas Griff spędził, wpatrując się w pustkę. Nad wyczerpaniem górę wzięło chyba poczucie niemocy wywołane tym, że nie potrafił wydobyć więcej z „przepisów kuchennych” Sylvii Chen – jej notatek z doświadczeń prowadzonych, jak wszystko wskazywało, na ludziach.

– Hej tam – powiedział od progu Forbush. – Jesteś gotowy wrócić do pracy?

Griff westchnął i rozciągnął zeszywniały kark i ramiona.

– Owszem, jestem.

– To dobrze, bo powiedziałem prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że starasz się jak możesz.

– Cierpię na blokadę mentalną. To się zdarza, gdy jestem naprawdę zmęczony. Jakbym nie był w stanie spojrzeć na jakiś problem z więcej niż jednej perspektywy.

– To dziwne. Mój kłopot polega na tym, że zawsze widzę problemy ze zbyt

wielu stron. Skoro już o tym mowa...

– Tak?

– Jedna ze stron, o której rozmyślałam i niemal zapomniałam wspomnieć, ma związek z wykazem nazwisk w raporcie Sylvii.

– Zidentyfikowałeś któreś z nich?

– Nie, ale zastanawiam się, czy nazwiska w raportach laboratoryjnych Chen mogą być zmyślone.

– Zmyślone?

– Szyfr w szyfrze. Myślisz, że prezydent wiedział coś o tych badaniach?

– Nie wiem, co myśleć – odparł Griff.

Forbush przysunął krzesło, usiadł obok Rhodesa i rzekł:

– Coś w tych raportach mnie intryguje.

– Mów dalej.

– Chodzi o nagłówek na każdej stronie. „Pewna Droga”.

– Dlaczego cię to intryguje? Zakładałam, że po prostu Sylvia w ten sposób stwierdzała, że jest to pewna droga do uczynienia z WRX3883 elementu, który da się wykorzystać, i zapobieżenia zamknięciu laboratorium.

– Być może... Widziałeś film *Umarli nie potrzebują pledu*?

– Ze Stevenem Martinem – przypomniał sobie szybko Griff. – Chyba widziałem, ale może tylko urywki. Wszedł na ekrany dość dawno temu.

– Dokładnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim.

Carl Reiner wyreżyserował go i napisał scenariusz wspólnie z Martinem i George'em Gripe'em, który kilka lat później zmarł wskutek reakcji uczuleniowej na jad pszczoły.

– Chyba możemy się obyć bez tych nic nieznaczących szczegółów, Melvinie. Na wypadek, gdybyś nie wiedział, informuję, że jesteśmy w ślepych zaułku.

– Cóż, mówię o tym nie bez powodu.

– W porządku, przepraszam. Nie pozwól, bym wyładowywał się na tobie. Nie zasługujesz na to.

– Na szczęście potrafię sobie radzić z twoją zrzędlivością, więc z góry ci wybaczam. Ale posłuchaj. W tym filmie postać, którą odtwarza Martin, prowadzi śledztwo w sprawie zniknięcia ojca Rachel Ward, doktora Forresta, uczonego, którego gra George Gaynes.

– W czym to nam może pomóc?

Forbush podniósł dłoń, żeby zachęcić Griffa do cierpliwości.

– Hej, powoli – odparł. – W branży filmowej najważniejszy jest sposób opowiadania.

– Przepraszam.

– Przed swoim zniknięciem doktor Forrest zostawia wykazy notatek, które Martin później przez cały czas znajduje. Jeden wykaz nosi tytuł „Przyjaciele Carlotty”, a drugi „Wrogowie Carlotty”.

– Mów dalej.

– Wielki przełom w sprawie następuje, gdy Philip Marlowe, którego rolę we wmontowanym fragmencie filmowym z *Wielkiego snu* gra Humphrey Bogart, podpowiada głównemu bohaterowi, że Carlotta to nie jest kobieta. Chodziło o miejsce... wyspę u wybrzeży Peru.

Zniecierpliwienie Griffa ustąpiło miejsca zaintrygowaniu.

– Więc...

– Więc, jeżeli „Pewna Droga” nie jest zastosowanym przez Chen sposobem zasugerowania, że znalazła się na właściwej drodze, ale istniejącym miejscem, to...

Griff zmrużył oczy. Przysunął do siebie laptop i w przeglądarce wpisał nagłówek raportu. Kliknął w pierwszy link w wyszukanym zestawie, po czym rozsiadł się wygodnie, by uważnie obejrzeć wyświetloną stronę. Chwilę później na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

– A niech mnie – mruknął.

Po czym odwrócił komputer ku Forbushowi i myszką zaznaczył dwa wiersze tekstu, które brzmiały tak:

Misja Pewna Droga
Wichita, Kansas

Rozdział 48

DZIEŃ 6 9.00 CST

Skromna strona internetowa Misji Pewna Droga zawierała zdjęcie budynku misji i parę ilustracji. U góry strony wyeksponowano motto:

Z UZALEŻNIENIA OD NARKOTYKÓW I ALKOHOLIZMU MOŻNA WYLECZYĆ, POD WARUNKIEM ŻE IDZIE SIĘ PEWNĄ DROGĄ

Zgodnie z informacjami w rubryce *O nas*, twórca misji brat Xavier Bartholomew sam był uleczonym z nałogu alkoholikiem i narkomanem.

– Piszą tu, że brat Bartholomew był na krawędzi śmierci – powiedział Griff. – Narkotyki odebrały mu chęć życia. I wtedy usłyszał głos. Ten głos go ocalił i poprowadził pewną drogą do zdrowia i celu w życiu.

– Niech zgadnę – rzekł Melvin. – Bóg przemówił do niego i kazał mu stworzyć ośrodek, by pomóc innym ćpunom wyzbyć się nałogu.

– Zglądałeś już na tę stronę?

– Obejrzałem po prostu sporo filmów – wyjaśnił Melvin. – I najczęściej bohaterowie w tych filmach są inni, niż się wydają. Czy w sieci krążą na temat brata Bartholomew informacje, których nie chciałby zamieścić na swojej stronie?

– Na przykład jakieś brudy? – upewnił się Griff.

– Jeżeli to to samo co trupy w szafie...

Griff dokonał kolejnego sprawdzenia, szukając w zestawie linków dodatkowych informacji.

– Wygląda na to, że mamy cały ocean brudów – oznajmił po krótkim czasie.

Otworzył na YouTube reportaż lokalnej telewizji. Tytuł filmu dowodził ironicznego poczucia humoru: „Nie taka pewna droga”. Reporterka była atrakcyjną blondynką z krótkimi, modnie ułożonymi włosami i zdrowymi rumieńcami na pulchnej twarzy. Griff podkreślił głośniczki w swoim laptopie.

– Deb Rosen relacjonuje z Misji Pewna Droga w Wichita. Założyciel ośrodka

brat Xavier Bartholomew został aresztowany i oskarżony o wielokrotną napaść i akty naruszenia nietykalności cielesnej. Zarzuty przeciwko bratu Bartholomew są wynikiem skargi wniesionej przez tego oto człowieka, Karla Larsona, który trafił do Duszpasterstwa Pewnej Drogi w poszukiwaniu skutecznej terapii odwykowej.

Film ukazał nieogolonego pięćdziesięcioletniego bruneta ze zbitymi w kołtun, przyprószonymi siwizną włosami i mętными oczami, potwierdzającymi podpis, którym opatrzone jego zdjęcie: „Bezdomny narkoman”. W następnym ujęciu powrócił obraz reporterki przed siedzibą misji.

– Karl Larson – powiedziała Deb Rosen – twierdzi, że brat Bartholomew zaproponował mu pomoc w walce z trwającym od wielu dziesiątków lat uzależnieniem od narkotyków i alkoholu. Jednak pomoc brata Bartholomew okazała się wszystkim, tylko nie skuteczną pomocą.

Kamera najechała na postać Karla Larsona. Bezdomny odpowiadał na pytania reporterki szorstkim zachrypłym głosem.

– Myślałem, że w Pewnej Drodze chodzi o modlitwę i takie rzeczy. Ale po krótkim czasie nie mogłem godzinami medytować i się modlić. I choć bardzo się starałem, nie potrafiłem zrezygnować z ćpania i picia. I wtedy właśnie brat Bartholomew zaczął mnie bić. Umieścił mnie w piwnicznej celi, żebym nie miał dostępu do gorzały i prochów. Potem bił mnie po plecach i tyłku pasem, sznurem, a nawet trzcina. Czasami mnie przywiązywał. Twierdził, że to jedyny sposób na wypędzenie diabła. Może i jesteśmy bezdomni i zdesperowani, ale wciąż mamy dumę. I nie zasługujemy na to, by nas bito jak psy, chociaż, jak stale powtarza brat Bartholomew, to dla naszego własnego dobra.

Larson uniósł swoje wytatuowane ręce do kamery, żeby pokazać sińce i blizny. W następnym ujęciu znowu pokazano teren przed duszpasterstwem i kamera podążyła za reporterką wokół wiekowego budynku z czerwonej cegły z czerwonym neonem na rogu. Litery składały się w słowo MISJA.

– Według prokuratorów Karl Larsen nie był jedynym nałogowcem poddawany przez brata Bartholomew tej niezwykłej terapii awersyjnej.

W następnym fragmencie reportażu pokazano komisariat policji. Pasek u dołu ekranu informował, że udzielający wywiadu funkcjonariusz to porucznik Erik Olsen z wydziału policji w Wichita.

– Mamy kilka domniemanych ofiar Xaviera Bartholomew, które złożyły skargi. Sprawa jest przedmiotem śledztwa, więc w tym momencie nie mogę jej komentować.

– Jednak za dowód, że ta opowieść o piekle wybrukowanym dobrymi chęciami nie jest jednoznaczna – dobiegł spoza kadru głos Deb Rosen – niech służy to, że nie wszyscy nałogowcy, którzy szukali pomocy u brata Bartholomew, byli traktowani

tak, jak rzekomo traktowano Karla Larsona.

Mężczyzna pokazany w kolejnym ujęciu stanowił całkowite przeciwieństwo Larsona. Miał jasne spojrzenie, był gładko ogolony, dobrze ubrany i uśmiechnięty. Napis u dołu ekranu informował, że to Paul Silasky, człowiek uleczony z alkoholizmu.

– Umarłbym, gdyby nie brat Bartholomew – opowiadał Silasky. – To samo dotyczy wielu innych. Próbowałem wszystkiego, NA¹⁰, AA. Spytajcie o terapię dwunastostopniową, a powiem, że ją przeszedłem. Nic nie skutkowało, dopóki nie znalazłem brata Bartholomew. Nie uważam, że Pewna Droga to wycisk. To droga do wolności... droga do życia.

Ta część relacji zakończyła się obrazem reporterki stojącej przed misją, po drugiej stronie ulicy. W okienku w prawym górnym rogu ekranu pojawiło się zdjęcie brata Bartholomew, pięćdziesięcioletniego mężczyzny o okrągłej twarzy cherubinka i siwych, sięgających poniżej ramion włosach okalających niczym podkowa łysinę na czubku głowy. Pod grubym ciemnobrunatnym habitem nosił jaskrawą koszulę w kwiaty. Na jego szyi wisiały łańcuszki z jaskrawymi koralikami – turkusowymi, czerwonymi i niebieskimi. Niektóre z tych naszyjników miały ornamenty, ale w żadnym z nich Griffnie rozpoznał symbolu religijnego.

– Lokalni aktywiści, pracownicy pomocy społecznej oraz inni fachowcy od zdrowia psychicznego jednomyślnie potępili domniemane metody Pewnej Drogi – powiedziała reporterka.

– Niektórzy sprzeciwiają się istnieniu duszpasterstwa i tutejszej jadłodajni dla ubogich. Tymczasem brat Bartholomew wyszedł za kaucją i wrócił do pracy. Przewiduje się, że proces rozpocznie się w przyszłym roku. Bartholomew i jego adwokat odmówili naszym prośbom o wywiad.

Film się skończył. Griff wskazał na informację, że został przesłany do sieci cztery lata temu i przez ten czas obejrzano go tylko siedemset dwadzieścia pięć razy.

– Sądzę, że film o wykorzystywaniu narkomanów nie zyska zainteresowania w świecie – zauważył.

– Na pewno nie takie jak wszystkie te tańczące tłuste koty oglądane przez miliony internautów – odparł Forbush.

– Chyba muszę odnaleźć brata Bartholomew i zdobyć dla nas odpowiedzi.

– Dlaczego to takie ważne? – zdziwił się Melvin.

– Dlatego, że jeżeli mamy rację i Chen rzeczywiście prowadziła eksperymenty na ludziach, to pewnie kierował ich do niej Bartholomew.

– To możliwe.

– Co jest możliwe?

– Że duchowny zszedł na złą drogę. W *Nocy myśliwego* Robert Mitchum... nawiasem mówiąc, jeden z moich ulubionych aktorów. gra Harry'ego Powella, seryjnego mordercę i samozwańczego kaznodzieję, który na kłykciach jednej ręki ma wytatuowany napis M-I-Ł-O-Ś-Ć, a na drugiej N-I-E-N-A-W-I-Ś-Ć. Poza tym jest jeszcze walebnny Phillip Shooter w *Ostrych psach*, no i oczywiście kardynał Richelieu we wszystkich filmach i serialach telewizyjnych o trzech muszkieterach. To tylko na początek. Gdy tak o tym myślę, to jest...

– Rozumiem, Melvinie. Chcę wiedzieć, jak ci ludzie zostali wybrani, gdzie ich leczono i co z nimi robiono. A przede wszystkim chcę się dowiedzieć, co się stało z J.R. Davisem. Czy to tylko jakaś omyłka Sylvii, czy on nadal żyje?

Griff podniósł raport laboratoryjny, odróżniający się od innych w przefaksowanym zestawie konkluzją, w której brakowało słowa „zgon”.

– Czy Bartholomew może być za kratkami? – zapytał Forbush. – Ten reportaż nakręcono przed kilkoma laty.

Griff zaczął znowu surfować w sieci.

– Tutaj piszą, że zarzuty przeciwko niemu zostały wycofane na kilka miesięcy przed procesem. To było blisko dwa lata temu. Nie wspominają ani słowem o zamknięciu ośrodka.

– I Allaire może o tym nie wiedzieć? – zapytał Melvin.

– Allaire mógł to wszystko zorganizować – odparł Rhodes. – Za słabo znam tego człowieka. On i tak mi nie ufa. A jeśli kazał Chen prowadzić doświadczenia na ludziach? Można by się spodziewać, że gdyby wiedział, iż Chen aplikuje wirus ludziom, powiedziałby mi o tym, ale po prostu nie jestem pewien. Jeżeli jest w to wplątany, mógłby uznać, że wykorzystam te informacje przeciwko niemu. Albo jeszcze pomyśli, że po prostu przygotowuję to, żeby mieć możliwość ucieczki. Na razie nikt inny nie może o tym wiedzieć, przynajmniej do czasu, aż sami dowiemy się więcej. Lepiej prosić o wybaczenie niż o zgodę. Możesz mnie stąd ukradkiem wywieźć, tak jak wywiozłeś Angie?

– A co z naszą pracą? Z „Orionem”? Z naszymi doświadczeniami?

Griff przetarł oczy i zapytał łamiącym się głosem:

– Jakie doświadczenia mamy kontynuować? Te, które się nie udają? Te, które nigdy nie miały szans powodzenia? Pracowałem nad tym przez lata na Columbi, potem tutaj, zanim mnie aresztowali. Znaleźć sposób na neutralizację zabójczego dla ludzi WRX3883 to było moje pierwotne zadanie. I poniosłem porażkę. Ponosi ją wielu uczonych. Tak po prostu jest. Przegrywamy raz po raz, aż pewnego dnia zmieniamy przełożenie i kierunek jazdy i coś się udaje. Teraz więc żąda się ode mnie, bym w parę tygodni zrobił to, czego nie potrafiłem dokonać przez lata. Powiesz mi, co takiego zostawiam?

– Możemy stracić dużo czasu. Ci w Kapitolu mogą nie doczekać.
– Zapewniam cię, stary, że to już jest koniec. Zrobiłem wszystko, co przyszło mi do głowy. Jeżeli ten J.R. Davis naprawdę przeżył infekcję WRX, to możemy coś uzyskać. Możemy dokonać tej zmiany kierunku.

Forbush przez jakiś czas siedział w zamyśleniu, po czym rzekł:

– Chyba nie powinniśmy ryzykować próby wywiezienia cię w bagażniku.
– Dlaczego?
– Myślę, że oboje z Angie mieliśmy szczęście. Założyłbym się, że w ośmiu przypadkach na dziesięć zostalibyśmy przyłapani.

– Może mieli rozkaz ją puścić, żeby można ją było śledzić.
– Teraz gdy o tym wspominasz, nie mogę tego wykluczyć. Skłamałem, mówiąc strażnikom, że decydujący eksperyment będzie zagrożony, jeżeli nie pojedę do miasta po materiały, których nie mamy, więc pewnie działali w pośpiechu. W dodatku dobrze symuluję ataki astmy, ponieważ rzeczywiście je miewam. Strażnik grzebał w schowku w poszukiwaniu mojego inhalatora, a wtedy Angie wskoczyła do bagażnika.

– Więc ucieczka w bagażniku nie wchodzi w grę. Co jeszcze?

– A może przez system wentylacyjny?

Griff natychmiast dostrzegł potencjalne mocne strony tego pomysłu.

– Do ilu kanałów wentylacyjnych jest dostęp na powierzchni za drutem kolczastym?

– Tylko do jednego – odparł Forbush. – Mamy wydzielony jednoprzepustowy wyrzut zużytego powietrza dla instalacji wentylacyjnej Kuchni, która tłoczy przefiltrowane powietrze na powierzchnię. Celowo umieszczono go z dala od zajętych budynków oraz wlotów innych przewodów wentylacyjnych. Jest sprzężony z innymi podziemnymi wentylatorami zasilającymi i wyciągowymi, żeby zapobiec wzrostowi ciśnienia w laboratorium Kuchni.

– Jak szeroki jest ten szyb wentylacyjny?

– Wystarczająco, żebyś się w nim zmieścił, jeżeli o tym właśnie myślisz.

– O tym właśnie myślę.

– Ale średnica jest niewiele większa. Poza tym, o ile pamiętam, po wyjściu z Kuchni kanał bardzo gwałtownie pnie się w górę. W środku jest niewiele ostrych zakrętów i długich odcinków poziomych, ponieważ bardzo obciążają one wentylatory wyciągowe. Plusem jest to, że wylot jest bardzo daleko od ogrodzenia bazy.

– Więc nikt nie będzie widział, jak wychodzę?

– Nawet gdyby używali szperaczy.

– Jak się tam dostanę?

- Po pierwsze, musisz nosić skafander, więc to utrudni operację.
 - Jakich narzędzi potrzebuję?
 - Śrubokręt i klucz powinny wystarczyć. Będziesz musiał najpierw usunąć filtry wstępne, a potem wyjąć filtr HEPA z obudowy, odpiąć worki od pasów zabezpieczających oraz wyciągnąć dmuchawę. Bułka z masłem.
 - Niezła ta bułka. Czy instalacja wentylacyjna jest podłączona do alarmu?
 - Jest, ale mogę go wyłączyć.
 - Ile czasu zabierze mi przedostanie się z Kuchni na powierzchnię?
- Forbush zastanawiał się nad odpowiedzią.
- Pewnie ze dwadzieścia minut. Będziesz musiał wdrapać się na górę. To najtrudniejsza część zadania. Napieraj rękami i nogami na ściany kanału i pnij się pomalutku.
 - Ciężka sprawa.
 - Jeżeli się ześlizgniesz, spadniesz jak z wielkiej zjeżdżalni na basenie. Uderzając o dno kanału, mógłbyś skrócić nogę w kostce lub złamać kość, a wtedy nigdy byś nie wrócił do kraty zabezpieczającej.
 - Nie brzmi to zbyt optymistycznie.
 - Zależy od tego, jak dobrze dbałeś o kondycję w więzieniu. Daj sobie trzydzieści minut zamiast dwudziestu, o których mówiłem. Na drugim końcu kanału jest przykręcona do ścianki drabina. Powinna ułatwić ci zadanie.
- Griff spojrział na zegarek.
- Chcę dokończyć parę spraw w laboratorium. Będę gotów do wyjścia o drugiej... nie, umówmy się na wpół do czwartej. Wtedy będzie już prawie ciemno. Jeżeli zajmie mi to więcej czasu, niż sądzimy, nie chcę, żebyś czekał w ciemności gdzieś w szczerym polu. Nie mogę po prostu wyjść sam?
 - Krata zabezpieczająca sporo waży. Nie dasz rady wypchać jej bez użycia wyciągarki z drugiej strony.
 - Mamy coś takiego?
 - Myślę, że jest w warsztacie. Nie powinienem mieć problemów z przymocowaniem jej do haka w moim taurusie.
 - W takim razie ustalone – podsumował Griff. – Czekaj na mnie o czwartej przy kracie.
- Rozległ się ostry i nieprzyjemny dzwonek interkomu, na tyle głośny, że słycać go było nawet w skafandrze. Rozbrzmiewał, ilekroć ktoś z powierzchni chciał rozmawiać z osobą znajdującą się pod ziemią. Wszystkie telefony miały przycisk natychmiastowego połączenia z naziemnym stanowiskiem łączności.
- Rhodes – rzucił Griff do słuchawki.
 - Panie Rhodes, mówi sierżant Stafford. Jak idzie tam na dole?

– Powiedzmy, że gdyby szło łatwo, wszyscy by się tym zajmowali.

– Nie ja – odparł wojskowy. – Widziałem już, co potrafi działać ten wirus. Niech pan posłucha, właśnie przyleciał niespodziewany gość. Chce się z panem natychmiast spotkać.

– Kto taki? – zapytał Griff, przewracając oczami. – Jestem naprawdę zajęty.

– Człowiek, który teraz... chyba że zdoła się pan wywiązać z zadania... jest o włos od prezydentury. Sekretarz bezpieczeństwa krajowego Paul Rappaport... wyznaczony na następcę Allaire'a.

Rozdział 49

DZIEŃ 6

10.00 EST

Przejęcie malujące się na twarzy Bethany Townsend wzbudziło w Ursuli Ellis niepokój. Spojrzenie prezydenckiej lekarki wyrażało troskę, której przewodnicząca Izby Reprezentantów nie rozumiała i w którą nie wierzyła. Czyżby Townsend wiedziała o jej ukradkowej wizycie w sali obrad Senatu? Czy mogła być świadoma jej roli w zabójstwie Archibalda Jakesa? Jeśli tak, dlaczego to Townsend stała przed nią, a nie Allaire? Coś tu się nie zgadzało, a Ellis nigdy nie lubiła niespodzianek.

Jeszcze bardziej niepokojące było to, że Townsend przysłała w towarzystwie Henry'ego Tildena. Na prośbę lekarki zebrali się przy mównicy, gdzie trudno było podsłuchać ich rozmowę. Zważywszy na to, że Ellis wyraźnie zadeklarowała nieustanną wrogość do Allaire'a, i na jej przekonanie, że prezydent wszystkich okłamuje, wykorzystując sytuację dla osobistych i politycznych korzyści, wizyta jego osobistego lekarza była intrygująca. Ellis przyrzekła sobie, że jak najszybciej przejmie kontrolę nad sytuacją. Tilden był półgłówkiem, ale Townsend nie brakowało inteligencji. Ponieważ jednak miały przez lata ograniczony kontakt, stanowiła dla Ellis pewną zagadkę.

– Mamy poważny problem – zaczęła Townsend.

– To wydaje się dość oczywiste, pani doktor – odparła Ellis. – Ufam więc, że nie przysłała pani tutaj bić piany.

– Mam nowe obawy, pani przewodnicząca – odparła Townsend. – I dotyczą one prezydenta Allaire'a.

Ellis, nagle spłoszona, spojrzała na nią ponuro, a na jej twarzy niczym w zwierciadle odmalowało się identyczne zatroskanie jak u Tildena. Wskutek kontaktu z Genesis i omalże zakończonego katastrofą spotkania z grupą C znała konkretne fizjologiczne skutki działania wirusa. Czy Allaire nagle zachorował? Czy padł ofiarą swojego dzieła? Pewnie tak. Poczwała, że los uśmiecha się do niej.

– Czy prezydentowi coś się stało? – zapytał Tilden. – Byłem u niego zaledwie kilka godzin temu. Omawialiśmy problem dostaw zaopatrzenia. Wydawało mi się, że jest w dobrej formie. Zatroškany, ale w dobrej formie.

Ellis ucieszyła się, że Tilden został wykluczony z tego, co się dzieje, ale wcale jej to nie zaskoczyło. Najwyraźniej Allaire tak samo jak ona uważał go za półgłówka.

– Ja też myślałam, że dobrze sobie radzi – przyznała Townsend. – Ale doszło do pewnego incydentu.

Ellis znowu poczuła przyływ energii. Złym ludziom powinny przytrafić się złe rzeczy – pomyślała.

– Jakiego incydentu? – dociekał Tilden.

– Prezydent wpadł w furję podczas wideokonferencji z uczonym, który pracuje nad terapią przeciwwirusową.

– Wie pani, co ją wywołało? – zapytała Ellis.

– To jest w tym najdziwniejsze – odparła Townsend. – Tak naprawdę nie było powodu. Jakby nagle ktoś pstryknął przełącznik. Nawet prezydent przyznaje, że jego wybuch był niewspółmierny do znaczenia omawianej kwestii.

Wirus – pomyślała Ellis. To mógł być stres, ale wyczuła, że przyczyną była infekcja.

Potem uświadomiła sobie minusy prezydenckiej infekcji, których wcześniej nie brała pod uwagę. Wróciła myślami do okropieństw, z którymi oboje z O’Neilem zetknęli się w sali obrad Senatu. Do zabójczego obłędu Archibalda Jakesa. Do krwi. Do wymiocin i smrodu wypełniającego salę. Do koszmarnych odgłosów cierpienia. Jeżeli Allaire padał ofiarą tej samej choroby, to wirus mógł się rozprzestrzeniać szybciej, niż zasugerowali terroryści.

– Czy Allaire... przepraszam, prezydent Allaire... wie, że rozmawia pani z nami? – zapytała. – Chodzi mi o to, że jest pani jego lekarzem. Czy rozmowa z nami o stanie jego zdrowia jest rzeczą stosowną?

– On nie wie, że rozmawiam o tym z wami – przyznała Townsend. – Ale mam do spełnienia inny obowiązek, który zwalnia mnie z przestrzegania zasad tajemnicy lekarskiej.

– Obowiązek?

Ellis wiedziała już, co za chwilę usłyszy. Musiała się chwycić krzesła, żeby nie wzbić się w powietrze.

– Dwudziesta piąta poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych – wyjaśniła Townsend.

– Sugeruje pani, że sytuacja jest tak groźna, że musimy rozważyć usunięcie prezydenta z urzędu? – zapytała Ellis.

Oczywiście teraz już wiedziała, że Townsend przysłała porozmawiać właśnie na ten temat. A jednak zależało jej na tym, by usłyszeć te słowa wypowiedziane na głos.

– Nie zwróciłam się do prezydenta o przekazanie pani oraz wiceprezydentowi Tildenowi, naszemu przewodniczącemu *pro tempore* Senatowi, pisemnej deklaracji, że nie jest w stanie pełnić swoich obowiązków. Ale omawialiśmy tę sprawę tuż po wypuszczeniu wirusa.

Ellis znała dokładnie mechanizm działania dwudziestej piątej poprawki. Tilden wraz z Kongresem bądź gabinetem i głównymi najwyższymi urzędnikami mógł usunąć prezydenta z urzędu zwykłą większością głosów. Osobisty lekarz prezydenta miał olbrzymi wpływ na to, jak ludzie będą głosować.

– Co pani proponuje, doktor Townsend? – zapytała Ellis, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

Gwiazdy jej sprzyjały.

– Na razie nic – odparła Townsend. – Ale pan, panie wiceprezencie, jest pierwszy w kolejce do prezydentury, a pani, pani przewodnicząca, druga. Poczulałam się w obowiązku poinformować państwa o sytuacji, jako że ty, Henry, możesz niebawem zostać wezwany do złożenia przysięgi prezydenckiej.

Twarz Tildena wykrzywił szczery żal. Ellis też się skrzywiła, lecz jej wyraźne przerażenie bynajmniej nie było szczere.

– Módlmy się, żeby do tego nie doszło – rzekł Tilden.

– Spotykajmy się przynajmniej co dwie godziny, żebyśmy wszyscy byli na bieżąco – zaproponowała Townsend. – Jeżeli w międzyczasie stan prezydenta się pogorszy, po prostu przywołam was oboje z powrotem do mównicy i zdecydujemy o trybie dalszego postępowania. Zgoda?

– Zgoda – powiedzieli oboje.

Spotkanie dobiegło końca i Ellis wyruszyła na poszukiwanie Gladstone'a. Myślała o skafandrze ochronnym, który wisiał przy drzwiach sali obrad Senatowi. Żałowała teraz, że go nie włożyła, ponieważ przez to naraziła się na kontakt z silnie skażonym powietrzem. Przy odrobinie szczęścia objawy infekcji nie wystąpią u niej, dopóki nie przeprowadzi przez Kongres projektu ustawy, której domagali się terroryści. Film przedstawiający grupę C, zarejestrowany w jej telefonie, oraz gwarancja przekazania leku przez Genesis powinny wystarczyć do błyskawicznego przeforsowania ustawy.

Zanim zdążyła odnaleźć Gladstone'a, poczuła na żebrach wibracje. Otrzymany od terrorystów komunikator, przymocowany taśmą, domagał się jej uwagi. Ellis pospiesznie zmieniła kierunek marszu i zawróciła do damskiej toalety, gdzie najbezpieczniej jej zdaniem było czytać wiadomości i odpowiadać na nie.

Komunikat od Genesis był prosty i rzeczowy.

Napisali: Na jakim etapie jest proces legislacyjny?

Ellis odpowiedziała: Finał coraz bliżej. Allaire zdradza objawy zakażenia. Dostał ataku szaleńczego, który wzbudza zaniepokojenie jego lekarza.

Genesis: Pora uderzyć. Doprowadź do uchwalenia tej ustawy.

Ellis: Tilden nadal może ją zawetować.

Genesis: To twoja sprawa, nie nasza. Jeżeli chcesz dostać lek przeciwwirusowy, będziesz musiała znaleźć sposób na to, by projekt ustawy stał się obowiązującym prawem.

Ellis wpatrywała się w komunikator. Wiedziała, co w rzeczywistości oznacza „znalezienie sposobu”. Była druga w kolejce do prezydentury, niebawem zaś pierwsza. Stawką były teraz nie tylko jej ambicje. Przekraczając próg sali obrad Senatu, naraziła na szwank swoje zdrowie. Teraz potrzebowała leku. Jasne, że był na to sposób.

Załatwione – napisała w odpowiedzi.

Rozdział 50

DZIEŃ 6

11.30 CST

Na krótki spacer do bungalowu, w którym czekał Rappaport, sierżant Stafford zaopatrzył Rhodesa i Forbusha w puchowe kurtki z kapturami. Griff czuł się wspaniale, mogąc znowu oddychać świeżym powietrzem. Jedną z największych zalet zjazdów pod ziemię było uczucie głębokiej wdzięczności za drobne rzeczy po powrocie na jej powierzchnię.

Na pogodnym niebie zawisł blady krąg słońca. Zanim Griff ucieknie z Kalvesty, by się udać do Misji Pewna Droga, będzie chyliło się już ku zachodowi. Wiatr z południa smagał płaski, zmrożony krajobraz, więc Griff wsunął dłonie głęboko do kieszeni kurtki. Żwir chrzęścił rytmicznie pod ich stopami, gdy szli obok helikoptera VH-60N Whitehawk, który kilka dni wcześniej zabrał Griffa z więziennego dziedzińca we Florence.

– Czy to helikopter prezydencki? – zapytał Forbush.

– Nie, po prostu taki sam model – odparł Griff stroskanym głosem. – Ale jeżeli nie znajdziemy jakiegoś leku przeciwwirusowego, może się stać nowym Marine One dla prezydenta Rappaporta.

Weszli do bungalowu, który pełnił w ośrodku funkcję sali konferencyjnej. Ostry wiatr zatrzasnął za nimi drzwi. W kącie pokoju charczał i bulgotał przenośny grzejnik naftowy, utrzymujący w prostopadłościennym wnętrzu znośną temperaturę osiemnastu stopni. Griff nie zdjął kurtki, licząc na to, że sekretarz bezpieczeństwa krajowego zrozumie aluzję, iż pod ziemią czeka na nich praca do wykonania.

Cztery osoby – trzech mężczyzn i kobieta – siedziały przy długim składanym stole pośrodku pokoju. Rhodes domyślił się, że stojący w pobliżu dwaj mężczyźni i kobieta to przydzieleni Rappaportowi agenci Secret Service. Wraz z sierżantem Staffordem i trzema żołnierzami z jego oddziału łączna liczba obecnych urosła do trzynastu – z trudem mieszczących się w ciasnej przestrzeni – osób.

Chudy mężczyzna o siwych skroniach, w eleganckim, szytym na miarę

garniturze, wstał od stołu. Griff, który nie śledził wiadomości, nigdy nie widział zdjęć żadnego z członków gabinetu. Założył więc, że ten człowiek, który poruszał się jak sportowiec i wyglądał jak patrycjusz, to Paul Rappaport. Sposób bycia i ostre rysy byłego gubernatora nasunęły Rhodesowi skojarzenie z piosenką *Szczęśliwy syn* zespołu Creedence Clearwater Revival.

– Griffin Rhodes – przedstawił się wirusolog. – A to mój współpracownik Melvin Forbush.

Zrobił krok naprzód, by uścisnąć rękę sekretarzowi. Przeszkodziło w tym dwoje agentów, którzy zastąpili mu drogę.

– Musimy pana najpierw przeszukać – wyjaśniła kobieta.

Jęknąwszy w duchu, Griff zrzucił kurtkę na podłogę i podniósł rękę. Drugi agent omiół jego ciało wykrywaczem metalu. Melvin, z rozmarzonym wyrazem twarzy, z którego Rhodes wywnioskował, że wyobraża sobie siebie w podobnych scenach z różnych filmów, został poddany takiemu samemu zabiegowi.

– Wszystko w porządku – poinformował Rappaporta agent.

Wtedy sekretarz wyszedł ku nim na środek pokoju. Griff wyciągnął rękę. Rappaport ujął ją na chwilę w swoją dłoń. Wirusolog dostrzegł w jego szarych oczach nieufność.

– Nie jestem czarnym charakterem – powiedział prawie szeptem.

– Wiem, co pan myśli, ale znam też pańską historię – odparł Rappaport.

– Zatem wie pan, że mnie wrobiono.

Sekretarz nie uśmiechnął się.

– Wiem, że aresztowano pana za kradzież wirusa. Wiem też, że to panu prezydent Allaire powierzył zadanie ocalenia naszego rządu. Przywodzi mi to na myśl lisa pilnującego kurnika.

Na twarzy Griffa odmalował się wyraz wielkiego niezadowolenia. Nadal myślał głównie o heroicznej postawie Angie, trudnej sytuacji i planowanej ucieczce z laboratorium do Wichita. Na stan jego emocji dodatkowo wpłynęła informacja o doświadczeniach Chen na ludziach i świadomość własnych bezustannych niepowodzeń z „Orionem”. Czuł, że za chwilę da upust wzbierającej w nim złości.

– Panie sekretarzu, czego pan ode mnie chce? – zapytał. – Przeleciał pan tysiąc sześćset kilometrów, żeby mi wskazać, gdzie jest moje miejsce?

W uśmiechu Rappaporta nie było cienia wesołości.

– Cóż, doktorze Rhodes, chcę się upewnić, że robi pan to, co obiecał pan zrobić. Jestem gotów zostać w razie konieczności prezydentem, ale wolałbym, żeby do tego nie doszło.

– Wybacz pan, że to powiem, ale przynajmniej na moje wyczucie z pańskich słów nie przebija zbyt duża szczerłość.

– To pańska interpretacja, Rhodes. Moim konstytucyjnym obowiązkiem jest ochrona prezydenta i tego kraju. Jeżeli wymaga ona nadzorowania pana i pańskiej pracy tutaj, a wymaga, to właśnie to będę robił. Jeżeli mój konstytucyjny obowiązek będzie wymagał ode mnie przejścia urzędu prezydenta, to tak właśnie postąpię. Ale w tym momencie obchodzi mnie wyłącznie dopilnowanie, by zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy, żeby ocalić tych nieszczęśników w Kapitolu. W związku z tym chcę dokładnie wiedzieć, co pan robi w tej swojej małej norze. Ponieważ, bądźmy szczerzy...

– Bardzo proszę.

– Nie ufam panu.

– Zdążyłem się już przekonać.

– Przywiozłem z sobą kilku ludzi, którzy dopilnują, bym mógł mieć oko na pana i pańskie poczynania.

Rappaport obrócił się i skinął na jednego z mężczyzn siedzących przy stole konferencyjnym za nimi. Mężczyzna okazał się nieco wyższy od sekretarza i wyglądał na równie sprawnego. Miał na sobie płócienną koszulę z wyłogami kołnierzyka przypinanymi na guziki oraz niebieski blezer z kieszenią ozdobioną dziesiątkiem i – w przeciwieństwie do Rappaporta – był zainteresowany uściśnięciem dłoni Griffa.

– Roger Corum – przedstawił się. – Jestem dyrektorem generalnym Staghorn Security Technologies.

Oblicze Forbusha przybrało wyraz twarzy dziecka oglądającego pokaz fajerwerków.

– No! no! To wspaniale – powiedział z typowym dla siebie entuzjazmem, gdy długo i energicznie potrząsał ręką Coruma. – Chciałem skontaktować się z wami w sprawie nagrania z kamer monitorujących z systemu, który udoskonaliliście parę lat temu. Cóż za zrzędzenie losu!

Rappaport przerwał im, zanim Corum zdążył odpowiedzieć. Sekretarz wyraźnie nie był zainteresowany kontaktem ze współpracownikiem Griffa.

– Poprosiłem Rogera, by w ramach osobistej przysługi towarzyszył mi podczas wizyty tutaj. Pozwolę, by wyjaśnił nasze zamiary.

– Może najpierw wszyscy usiadzimy – zaproponował Corum mówiący z delikatnym południowym akcentem i zachowujący się znacznie życzliwiej niż Rappaport.

– Jeżeli to panu nie przeszkadza, wolę stać – odparł Griff. – Bo gdy będziemy stali, spotkanie szybciej dobiegnie końca. A każda sekunda, w której nie pracujemy, to stracona sekunda.

– Rozumiem. Sekretarz Rappaport jest zainteresowany monitorowaniem

waszych poczynań pod ziemią w czasie rzeczywistym. Ponieważ jego fizyczna obecność tutaj jest nierealna, poprosił, by moja firma zainstalowała najnowocześniejszy sprzęt telekomunikacyjny pozwalający mu, a za jego pośrednictwem prezydentowi, pozostać w ciągłym kontakcie głosowym i wzrokowym z pańskim zespołem.

– Przez mój zespół rozumie pan pana Forbusha i mnie samego. Bo więcej nas nie ma.

Corum uśmiechnął się szczerze na myśl o tym i odparł:

– Pracowałem ze stuosobowymi zespołami, które zapewne nie dorównują wam dwóm skutecznością. Doktorze Rhodes, po prostu zastąpimy istniejące kamery i sprzęt nowymi modelami, które pozwalają na bezprzewodowe przesyłanie zaszyfrowanego obrazu w bezpiecznej sieci satelitarnej. W ten sposób możemy transmitować relację z pańskich poczynań w dowolne miejsce na ziemi.

– Tak głęboko pod ziemią nie będziecie mieli sygnału – zauważył Forbush.

– W obecnym stanie rzeczy to prawda – odparł Corum. – Teraz kamery są połączone przewodowo z centralą w tutejszym budynku łączności. Tę centralę też zastąpimy nowszym modelem. Po podłączeniu kamer do nowego węzła będziemy mogli transmitować sygnał z budynku do sieci satelitarnej. Co prowadzi do naszej kolejnej inicjatywy, wideokonferencji.

– Przecież już je urządzamy – rzekł Griff.

– Ale tylko stacjonarne. – Corum wyjął z kieszeni blezera jakieś urządzenie, nie większe od telefonu komórkowego. – To jest komunikator mobilny TX. Opracowaliśmy go dla rządu Stanów Zjednoczonych. Jest to podręczny sieciowy system wideokonferencyjny. Wewnątrz obudowy, w krążku niewiele większym od srebrnej jednodolarówki, znajduje się niezależny lokalizator GPS. Pozwoli nam to określić z maksymalną dokładnością pańskie położenie, nawet pod ziemią.

– Mamy nosić ten gadżet niczym bransoletkę dla zwolnionych warunkowo?

Griff był wyraźnie zdegustowany. Rappaport wystąpił naprzód i odparł:

– Oczekuję, że zrobi pan to, co panu każemy, Rhodes.

– Cóż, być może zapomniał pan o tym, panie sekretarzu, ale powiedziano mi, że bym ocalił ten kraj, a nie odpowiadał przed panem.

– Więcej skromności, mój panie – odparł Rappaport. – Ten kraj będzie nadal istniał bez względu na wynik pańskich działań. W najgorszym razie spocznie na mnie obowiązek stworzenia rządu tymczasowego. I zapewniam pana, że powstaniemy z tych popiołów silniejsi i jeszcze bardziej zdecydowani zwalczać terroryzm niż kiedykolwiek przedtem.

– Czy rozumie pan przez to uchylenie niektórych swobód osobistych, które zamierza pan uchylić? – wyrzucił z siebie Forbush. Griff posłał przyjacielowi

osłupiałe, lecz zarazem pełne wdzięczności spojrzenie. – Czytałem o pańskiej strategii politycznej – ciągnął. – Mury i fosy między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Podśluchy telefoniczne. Monitorowanie komputerów. Kamery. Profilowanie. I...

– To czysty nonsens – przerwał mu Rappaport, kierując te słowa w tym samym stopniu do reszty obecnych w pokoju. – Nie zamierzam odbierać żadnych swobód gwarantowanych przez naszą konstytucję. Jestem zobowiązany chronić ten kraj i amerykański styl życia. I jeżeli ta ochrona wymaga lepszego zabezpieczenia granic, większego wykorzystania sprzętu monitorującego, kart identyfikacyjnych ze zdjęciami, profilowania oraz rozszerzenia Patriot Act w dowolny sposób niezbędny do walki z terrorystami takimi jak członkowie Genesis, to właśnie to będę czynił.

– Proszę o wybaczenie, jeśli się z tym nie zgodzę – rzekł Griff.

– Osobiście, doktorze Rhodes, nie obchodzi mnie, czy popiera pan moją polityczną filozofię, czy nie. Obaj będziecie nosić to urządzenie. I będziecie odpowiadać, ilekroć zażyczę sobie wideokonferencji.

– A jeżeli odmówię? – zapytał Griff.

– Poinformuję prezydenta o pańskim wywrotowym działaniu – odparł Rappaport. – Uda się panu czy nie, może pan trafić na resztę życia z powrotem do celi więziennej. Więc tak naprawdę nie ma pan wyboru. Zgadza się?

Griff przemógł zarówno chęć powtórzenia warunków zawartej z Jamesem Allaire'em umowy „bez haczyków”, jak i pragnienie powalenia sekretarza na podłogę i wytłumaczenia mu „ręcznie”, na czym polega prawdziwie wywrotowe działanie. Zamiast to zrobić, wskazał dwoje ludzi nadal siedzących przy stole konferencyjnym i zapytał Coruma:

– Więc to są pańscy instalatorzy?

Dyrektor uśmiechnął się, z wyraźną ulgą przyjmując zmianę tematu.

– Moja firma nie zajmuje się wytwarzaniem sprzętu, który sprzedajemy – wyjaśnił. – Jesteśmy raczej konsorcjum... międzynarodowym generalnym dostawcą sprzętu i usług, powiedzmy... i właśnie dlatego przywiozłem z sobą dyrektorów naczelnych dwóch czołowych firm na świecie... firm, które zapewnią nam sprzęt do wykonania tej roboty. – Najpierw skinął w stronę kobiety. – Przedstawiam panu Marguerite Prideaux z Paryża. Marguerite pracuje dla SecureTech, francuskiej firmy należącej do sieci naszych sprzedawców. A obok niej siedzi Colin Whitehead, dyrektor naczelny Matrix Industries z New Jersey. Owszem, z tego Matrixa.

Kobieta podeszła i wyciągnęła do Rhodesa drobną, szczupłą dłoń. Była ciemnowłosa ślicznotką w modnym spodniemie. Aura europejskiego dziedzictwa

otaczała ją niczym zapach perfum, którymi się skropiła. Od chwili przybycia Griffa nie spuszczała z niego swoich inteligentnych migdałowych oczu.

Jej kolega był anorektycznym czterdziestoparoletnim mężczyzną ze szkarłatnymi śladami trądziku różowatego rozlanymi na policzkach. Gdy wyszedł zza stołu, kaszlnął dwa razy i Rhodes zobaczył pudełko cameli wystające z kieszeni koszuli. Nos miał kartoflowaty i pokryty bliznami – przypuszczalnie wskutek nadużywania alkoholu.

Griffuściskał im niecierpliwie dłonie. Forbush przywitał się z nimi z dużo większym entuzjazmem.

– Więc które z was pomoże mi rozwiązać mój problem? – zapytał.

– Co to za problem? – zainteresował się Colin Whitehead, tłumiąc częściowo kolejne kasznięcie.

– Mam dowód, że taśma wideo z nagraniem z kamer monitorujących ukazującym, jak obecny tu doktor Rhodes wykrada wirus z naszego laboratorium, została spreparowana. Miałem zamiar skontaktować się ze Staghornem, żeby uzyskać fachową opinię o sposobie, w jaki to zrobiono. Ale teraz jesteście tutaj, w naszych skromnych progach.

Griff spojrzał na Forbusha z dezaprobatą. Nie mieli na to czasu.

– Melvinie, mamy w wirówce próbowki, które trzeba wyciągnąć.

– Nie trzeba – odparł radośnie Forbush. – Wyjąłem je wiele godzin temu.

– Cóż, musimy przeprowadzić to badanie jeszcze raz za kolejne trzy godziny. Licząc od tej chwili, Melvinie.

Wymiana zdań między nimi została przeprowadzona z finezją rugbyistów z młyna, w końcu jednak Forbush zrozumiał, co Griff próbuje mu przekazać.

– Racja... trzy godziny... Mamy wykonać testy. Ale mogę to szybko załatwić. Potrzebujemy tego. Ty tego potrzebujesz, jeżeli chcesz dowieść swojej niewinności.

Roger Corum uratował sytuację.

– Bardzo chętnie przyjrzymy się temu, co ma pan do pokazania, Melvinie. Będziemy tu kilka dni... w każdym razie do czasu zakończenia instalacji.

Rappaport zrobił krok w stronę Griffa i rzekł:

– Niech pan lepiej nic nie planuje, doktorze Rhodes.

– Mam w planie pracę.

– Nie jestem głupcem. Myśli pan, że nie zauważyłem, że obaj z Melvinem próbowaliście prowadzić w naszej obecności poufną rozmowę? Roger, bardzo mi zależy, żebyś się spotkał z tym człowiekiem w sprawie tego materiału filmowego, skoro tak grzecznie o to prosił. Skontaktuję się z prezydentem Allaire'em i dam mu znać, że jesteśmy tutaj i panujemy nad sytuacją. Doktorze Rhodes, mam również

zamiar powiedzieć mu, że badania posuwają się do przodu.

– Niech pan mu powie, co pan chce.

– Gdy tylko skończę rozmawiać z prezydentem i załatwię inne sprawy, wszyscy udamy się do laboratorium.

– A w jakim celu? – zapytał Griff skupiony na czekającym go niebawem trzydziestominutowym pełzaniu w ciemnościach przez szyb wentylacyjny do ciężkiej kraty za ogrodzeniem. – Przecież już wkrótce wasze kamery i urządzenia rejestrujące znajdą się na właściwym miejscu, byście mogli mnie stale pilnować.

– Chcę zobaczyć na własne oczy, co pan tam robi – odparł oziębłe Rappaport. – A co ważniejsze, chcę dopilnować, żeby się pan stamtąd nie ruszał.

Rozdział 51

DZIEŃ 6

15.00 CST

Griff leżał na brzuchu na podłodze Kuchni z kluczem, śrubokrętem i latarką u boku. Posługiwanie się jakimikolwiek narzędziami w skafandrze ochronnym przypominało pływanie w melasie – dało się, lecz z pewnością nie sprawiało żadnej przyjemności. Celem były wkręty mocujące kratę szybu wentylacyjnego. Ciężki śrubokręt obracał się niezdarnie w okrytej rękawicą dłoni, wypadając z niej raz za razem. Większość wyposażenia Kuchni specjalnie zaprojektowano z uwzględnieniem zmniejszonej zdolności poruszania się w laboratorium czwartego stopnia biobezpieczeństwa i dodatkowy wysiłek oraz skupienie niezbędne w operowaniu narzędziem przyprawiły Griffa o przyspieszone bicie serca. Kropelki potu zbierały się na wewnętrznej stronie osłony, ograniczając widoczność w już i tak słabo oświetlonym pomieszczeniu. Griff jednak powoli, obrót za obrotem, zbliżał się do celu.

Dwa wkręty wyjęte... Teraz trzeci...

Został jeden.

Nacięcie we łbie ostatniego wkrętu było niemal niewidoczne, a gwint zerwany, co czyniło już i tak trudne zadanie prawie niewykonalnym. Griff potrzebował jakiegoś smaru w sprayu, ale nic takiego nie mieli. Pięć minut, które obaj z Melvinem przeznaczyli na tę fazę ucieczki, już wydłużyło się trzykrotnie. Paradoksalne, że losy kraju zależały od usunięcia odrobiny rdzy. Na tę myśl uśmiechnął się smutno.

Wcześniej podsłuchał Stafforda mówiącego, że z powodu niespodziewanego przybycia sekretarza zwiększają liczbę patroli na okolicznych drogach. Każde spóźnienie z jego strony zwiększało ryzyko, że Melvin zostanie dostrzeżony przez jeden z nich – oczywiście przy założeniu, że spotkanie z ludźmi ze Staghornu skończyło się na tyle szybko, by Melvin mógł zdążyć na ich rendez-vous u wylotu szybu. Coraz bardziej zaniepokojony Griff przyniósł mały młotek i dłuto, żeby

poluzować uszkodzony wkręt.

Przez hufnal traci się podkowę – pomyślał, stukając w dłuto do rytmu słynnego wiersza. – Przez podkowę koń...

Jeszcze jedna próba śrubokrętem. Griff zmienił ustawienie ostrza, żeby zwiększyć siłę nacisku.

Przez konia jeździec...

Rączka zadrzała, gdy Griff napał na nią, żeby obrócić śrubokręt. Trzonek ześliznął się z rozoranego łba wkręta i wirusolog poczuł, jak ostrze rozdziera tkaninę skafandra. Oddychając w przyspieszonym rytmie i obawiając się najgorszego, sprawdził dziurę. Wyglądało na to, że kilka dolnych warstw ochronnych skafandra wyszło bez szwanku.

Przez jeźdźca bitwa...

Wypróbował inny sposób, ciągnąc za brzegi kraty i przekręcając poluzowaną już metalową płytę. Udało się! Felerny wkręt poruszył się, drgnął o ułamek milimetra, po czym obrócił się nagle. Przynajmniej na razie królestwo zostało ocalone.

Filtry wstępne dało się dość łatwo usunąć, ale znacznie większy filtr HEPA wyglądał na poważną przeszkodę. Żeby ustawić rękę pod takim kątem, który pozwoliłby nałożyć klucz na śruby ze stali nierdzewnej, należało być człowiekiem-gumą. Pot nadal ściekał po czole Griffa i szczypał go w oczy, aż w końcu mężczyzna pracował niemal po omacku. Co gorsza, raz po raz trącał łokciem latarkę.

W końcu zdołał odłączyć przewody zasilające wentylator i wstrzymał oddech. Mimo zapewnień Melvina obawiał się, że włączy się alarm. Głośny szum powietrza zasysanego do kanału wentylacyjnego nagle ucichł. Centymetr po centymetrze Griff wysunął nieporęczny wentylator z aluminiowego kanału. Ostre jak brzytwa brzegi metalowej obudowy filtra groziły rozcięciem skafandra, ale poradził sobie z tym.

Wreszcie wziął głęboki wdech i ciągnął, dopóki ciężki filtr nie wysunął się z kanału. Pozwolił mu opaść na podłogę Kuchni z głośnym, przyjemnym dla ucha hukiem.

Złapawszy drugi oddech, wyciągnął pozostałe elementy – dmuchawy i worki – ze znacznie mniejszym wysiłkiem. Nadeszła pora, by rozstać się z Rappaportem. W krótkim czasie poczuli do siebie nawzajem głęboką niechęć. Sekretarz był przekonany o winie i braku patriotyzmu Griffa, a Griff nie mógł znieść arogancji tego człowieka i jego pewności siebie. W dodatku coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że dopóki nie stanie się jasne, dlaczego Genesis szerzy terror, to w pierwszym rzędzie właśnie Paul Rappaport na tym skorzysta.

Od utrzymywania tak długo niewygodnej pozycji bolały go stawy. Podeszedł do

zawieszono na ścianie panelu sterowania laboratoryjnym systemem stanu środowiska. Zamierzał sprawić, by Kuchnia wydawała się miejscem jeszcze bardziej zabójczym, niż była do tej pory.

Z trzech guzików na panelu podświetlony był tylko zielony. Rhodes wstukał kod wprowadzania danych niezbędny do zmiany stanu środowiska i po wciśnięciu guzika sygnał poziomu bezpieczeństwa w Kuchni zmienił się z zielonego na żółty. To oznaczało ostrzeżenie dla naziemnego stanowiska łączności o potencjalnym ryzyku kontaktu z wirusem w laboratoriach. Nic zatrważającego w rodzaju konieczności całkowitej ewakuacji i zamknięcia laboratoriów, do czego upoważniała sygnalizacja w kolorze czerwonym, ale wystarczające, by nikt nie ryzykował narażenia Rappaporta na niebezpieczeństwo. Z pewnością pozwoli to zyskać trochę czasu. Ile? – tego Griff nie był w stanie przewidzieć.

Podszedł z powrotem do szybu wentylacyjnego i przy użyciu latarki spenetrował ciemne wnętrze metalowego tunelu, szukając ostrych krawędzi na złączach kanału, na których mógłby rozciąć skafander, zanim opuści niebezpieczną strefę. Stwierdził, że przejście nie powinno nastęrczać większych problemów.

Myśląc o Angie i o tym, co mogło go czekać w Wichita, odłożył latarkę. Żeby pokonać stromy odcinek kanału na drugim końcu instalacji wentylacyjnej, potrzebował obu rąk. Odłączywszy od skafandra przewód tłoczący powietrze, ułożył się na brzuchu i wpełzł w ciemną otchłań.

W kanale było nieprzyjemnie ciasno. Miał z grubsza średnicę otworu w aparaturze do rezonansu magnetycznego. Griff co chwila ocierał się plecami o jego górną powierzchnię. Ciemność była teraz całkowita i towarzysząca jej klaustrofobia stawała się męcząca. Sytuację dodatkowo utrudniały hełm i maska ochronna.

Oddychając przez nos, czołgał się z zamkniętymi oczami i szukał po omacku pochyłości.

Wdech... wydech... wdech... wydech.

Metalowa rura wydawała się nie mieć końca, powietrze było stęchłe. I wtedy, gdy już się zastanawiał, czy Melvin nie pomylił się co do przebiegu kanału, poczuł, że rura zaczyna nieznacznie się wznosić. Otworzył oczy, ale nadal otaczała go całkowita ciemność.

Wdech... wydech...

Nagle pochyłość się zwiększyła. Szyb zaczął biec w górę pod kątem co najmniej czterdziestu pięciu stopni. Griff zgubił ustalony dotąd rytm. Ruchy stały się niezdarne i wymagały ogromnego wysiłku. Bez chłodzącego wnętrza powietrza skafander zatrzymywał znaczną część ciepła ciała. Rhodes napierał stale na ściany szybu, posuwając się przez ciemność bardzo powoli. Zaczęło go ogarniać

zmęczenie. Wspinaczka okazała się znacznie trudniejsza, niż przewidywał. Przemógł w sobie coraz bardziej rozpaczliwą chęć wyczołgania się z powrotem do otworu.

W jego myślach zaczęły dominować wizje rezygnacji – przerwania wspinaczki i śmierci w szybie. Zmuszał się do dalszej wędrówki, przypominając sobie strażników więziennych, którzy bili go po podeszwach stóp i wyzywali od zdrajców i terrorystów. Dopuścił do siebie wspomnienia porażającego bólu w całym ciele i krwotoków spowodowanych zarażeniem wirusem Ebola.

Nachylenie szybu zwiększyło się jeszcze bardziej i Griff zaczął się ześlizgiwać. Gorączkowym ruchem docisnął dłonie do metalu i w końcu zdołał wyhamować. Kiedy znowu ruszył chybotliwie do góry, ręce drżały mu z wysiłku. Zdołał jednak przesunąć się powoli wyżej. Szyb był teraz przypuszczalnie nachylony pod kątem co najmniej siedemdziesięciu stopni.

Angie... strażnicy... Louisa... Rappaport... cela... Allaire... Afryka.

Teraz tkwił niemal pionowo, był jednak w stanie zaprzeć się kolanami o ścianki szybu i odpychać się od nich. Jak uprzedził Melvin, ta część podejścia przypominała wspinaczkę po skałach. Rhodes nie był jednak w ogóle przygotowany na wszechogarniającą ciemność. W przedramionach czuł piekący ból.

Zwalczyłem ebolę... Przettrzymałem więzienie... Dam sobie z tym radę.

Łzy bólu mieszały się z potem i pozostawiały słony osad na ustach. I wtedy, nagle, uderzył dłonią w coś metalowego – szczebel drabiny! Całkowita ciemność ustąpiła miejsca półmrokowi. Odchylił głowę i na tle ciemniejącego nieba dojrzał kwadratowe pola kraty.

Jeden szczebel, potem następny. W końcu objął palcami grube, stalowe pręty kraty. Jak uprzedził Melvin, w żaden sposób nie byłby w stanie odepchnąć jej na bok. Trzymając się kurczowo drabiny, żeby nie opaść z powrotem w głąb szybu, krzyknął ku górze:

– Melvin! Forbush! Jesteś tam? Wyciągnij mnie stąd! Melvin, na litość boską, pomóż!

Bał się, że hełm skafandra tłumi jego krzyki. Puścił jedną ręką drabinę i nadgarstkiem uderzył o kratę. Cisza. Potem usłyszał odgłos uruchamianego silnika. Chwilę później ciężka przeszkoda uniosła się na haku, którego wcześniej nie zauważył, i krata została ściągnięta z otworu. Półprzytomny z wyczerpania próbował wydzwignąć się z szybu, ale zabrakło mu siły. Czyjeś ręce sięgnęły w dół i chwyciły go za nadgarstki.

– Melvin.

Forbush wyciągnął Griffa z szybu, odłączył hełm i ściągnął mu go z głowy.

Ciężko dysząc, Rhodes opadł na plecy i zmrużonymi oczami patrzył na gasnące światło dnia. Pierś mu falowała, gdy rozpaczliwie wciągał mroźne powietrze w płuca. Forbush rozpiął zamek w jego skafandrze. Pod spodem Griff miał tylko spodnie, bluzę i pantofle. Poczuł, jak ogarnia go fala powietrza tak mroźnego, że aż zapiekła go skóra. Pot natychmiast ostygł i utworzył lśniąca warstwę, która z każdą sekundą coraz bardziej ochładzała krew w żyłach. Uwolniwszy się ze skafandra, Griff zaczął dygotać z zimna.

– Udało ci się, bracie – rzekł Forbush. – Udało ci się. Zza jego pleców doleciał głęboki głos.

– Owszem. Dobra robota, kolego. Cholernie dobra robota. Jakiś mężczyzna wyłonił się zza taurusa i lufą pistoletu maszynowego zdzielił chudego laboranta w potylicę. Forbush padł jak kłoda i leżał na zamrożonej ziemi, przewracając się z boku na bok i obmacując z jękiem głowę.

Olbrzym wycelował broń między oczy Griffa i powiedział:

– Witamy na powierzchni ziemi, doktorze Rhodes. Mamy do omówienia parę spraw.

Rozdział 52

DZIEŃ 6

16.00 CST

Matt Fink wyjął z otwartego bagażnika splątaną linę i cisnął ją Griffowi pod nogi.

– Zwiąż go – polecił.

Melvin zdążył się podnieść chwiejnie do pozycji klęczącej. Griffwidział w mroku, jak krew spływa mu z obu stron ucha i po szyi.

– Kurwa mać – wystękał Forbush. – Tego nie musiałeś robić.

– Powiedziałem: zwiąż go!

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? – zapytał Griff, grając na zwłokę, ale też rozpaczliwie pragnąc poznać odpowiedź na to pytanie.

Gdy Angie opuściła ogrodzony teren, terroryści z Genesis jakoś się o tym dowiedzieli. Wyglądało na to, że teraz znowu wyprzedzili ich o krok.

– To ja tutaj zadaję pytania – odparł mężczyzna. – A teraz zrób, co mówię, bo przysięgam, że strzelę temu świrowi w oko.

– Czemu mam go związać? Do czego jesteście ci potrzebni?

– Czy ja wyglądam jak ktoś, z kogo można sobie robić jaja? Powiecie mi, dokąd się wybieracie i po co, bo inaczej sytuacja dla was obu może się stać bardzo przykra.

Griff zaczął szczękać zębami. Pomasaował sobie ręce, żeby pobudzić krążenie. Lodowaty wiatr przenikał jego cienką odzież niczym skalpel.

– Nie przywiózł mi kurtki? – zapytał. – Jest... jest mi potrzebna.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, kolego. Rób, co mówię, a dostaniesz kurtkę. Albo nie rób i patrz, jak twojego przyjaciela spotyka bolesna śmierć, a ty zamieniasz się w sopel lodu.

Griff szybko zlustrował wzrokiem okolicę. Na zachód od nich, może ze czterysta metrów dalej, znajdowało się laboratorium – ciąg światełek na horyzoncie. Na północ i wschód płaską zmrożoną ziemię znaczyły tylko rozproszone sylwetki bel

siana. Jednakże widok w kierunku południa rodził pewną nadzieję. Odległy wiejski dom, zabudowania gospodarcze i ogromna stodoła uzmysłowiły mu, że znajdowali się na rozległym ranczo Cahill Bar-B, w siedlisku jednego z największych stad bizonów w zachodniej części Kansas.

W początkowym okresie pracy w laboratorium wiele razy przejeżdżał obok tego pastwiska. Raz zatrzymał się, żeby podejść na zaledwie kilka kroków do wspaniałych bestii, i wtedy robotnik na koniu ostrzegł go, że wprawdzie stada dzikich bizonów ustąpiły miejsca zwierzętom hodowanym na ranczo, ale bizony nadal są szybkie, nieprzewidywalnie chimeryczne, a ważąc niemal tonę, dzięki rogom, kopytom i masywnej niczym taran głowie są groźniejsze niż niedźwiedzie grizzly.

– Miarka się przebrała, Rhodes – ciągnął mężczyzna. – Jesteś mądrym gościem i nie obchodzi cię, co stanie się z twoim kumplem. Cóż, może więc obchodzi cię, co stanie się z tobą.

Pchnął Griffa łufą w nerkę tak mocno, że ten aż przyklęknął, po czym równie szybko powstał, nie próbując nawet rozmasować urażonego miejsca.

– Kim jesteś? – zapytał, szukając jakiegokolwiek sposobności do ataku bądź ucieczki.

– Jestem złym człowiekiem, kolego. Nic więcej nie musisz o mnie wiedzieć – odparł gangster, dla podkreślenia przyciskając łufę do potylicy Forbusha.

Podobnie jak zabójca, który podążył śladem Angeli do Nowego Jorku, był zawodowcem. Griff wiedział z całą pewnością, że ani on sam, ani Melvin nie opuszczą tego miejsca żywi.

Oczy Rhodesa oswoiły się z mrokiem i wtedy dostrzegł grupę bizonów stłoczonych, żeby chronić się przed zimnem. Jego szansą, prawdopodobnie jedyłą, było wykorzystanie chwilowej nieuwagi gangstera i bieg zygzakiem w tamtym kierunku.

– Należysz do Genesis?

– Zwiąż go, partaczu!

– Nie zrobię tego.

Griff miał coraz silniejsze dreszcze. Musiał działać, dopóki jeszcze mógł. Zanim jednak się poruszył, dryblas zaatakował go, pochylając się i uderzając mocno ramieniem w okolicę mostka. Griff usłyszał trzask pękających żeber. Ból był rozdzierający. Gwałtowność tej zaskakującej napaści sprawiła, że Rhodes poleciał do tyłu na twardy jak skała grunt. Upadł ciężko i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Mimo przyprawiającego o zawrót głowy bólu obrócił się na brzuch, uklęknął, po czym spojrzał gniewnie na górującą nad nim postać. On i Melvin byli coraz bliżsi śmierci. Jedyłą bronią, jaka im została, stanowiło gwałtowne usposobienie

i niepohamowany gniew na tego człowieka.

– Mam ciebie dosyć, kolego – powiedział terrorysta. – Możesz po prostu tam sterczeć, aż przemarzniesz na kość. Chętnie popatrzę.

Griff z zaciśniętymi zębami wsparł się na jednej nodze i z wielkim trudem wstawał z ziemi, gdy ujrzał jakiś ruch za plecami mężczyzny.

Melvin!

Chudy wirusolog z rozmazaną na twarzy krwią wyglądał jak widmo powstające za napastnikiem niczym feniks z popiołów. Jego oczy pały dzikim blaskiem w gęstniejącej ciemności.

– W porządku, zrobię to! – wystękał głośno Griff i próbując jeszcze bardziej skupić na sobie uwagę dryblas, dodał: – Zwiążę go!... Zwiążę!

W tym momencie Forbush z upiornym wyciem skoczył mężczyźnie na plecy, drapiąc go jak oszalały po twarzy i wbijając mu paznokcie w policzki. Olbrzym obrócił się gwałtownie, lecz Melvin trzymał się go niczym kowboj byka podczas rodeo. Bandycie pistolet wypadł z rąk. Griff próbował dowlec się do broni, lecz mężczyzna odsunął ją kopnięciem, po czym błyskawicznie wydobył z buta wielki nóż myśliwski.

– Neee! – krzyknął Griff.

Zabójca jednym wyćwiczonym ruchem dźgnął Forbusha w ramię.

Mimo to Melvin nie zwolnił uścisku i kazał Griffowi uciekać.

I wtedy, rycząc i zataczając się niezdarnie, mężczyzna obrócił się gwałtownie i zatopił nóż niemal po rękojeść w szyi Forbusha. Z rany trysnęła krew. Melvin krzyknął, zwolnił uścisk i opadł bezwładnie na ziemię.

Griff już stał, patrząc z niedowierzaniem na tę scenę.

Forbush leżał nieruchomo, krew tryskała mu z szyi i spływała po ciele. Oczy Rhodesa zamglily się od łez. Czuł się słaby, zdezorientowany i sparaliżowany, nie chciał wierzyć, że jego przyjaciel odniósł śmiertelną ranę.

Weź broń!

Griff usłyszał te słowa w swoich myślach, jakby to Melvin je wykrzyknął.

Broń!

Dwa powodujące rozdzierający ból kroki i Griff miał pistolet w ręku. Obrócił się szybko i wycelował w pierś mężczyzny. Pociągnął za spust i napastnik, który usiłował niezdarnie wstać, rzucił się w prawo, żeby uniknąć trafienia.

Pistolet nie wypalił.

Griff wycelował w plecy zabójcy i jeszcze raz pociągnął za spust.

Cisza.

Jego jedyny kontakt z bronią stanowiła nieudana sesja na strzelnicy u znajomego przed wieloma laty. Teraz wpadł w panikę.

Czyżby pistolet się zaciął?... Czy należało go odbezpieczyć?

Tak czy inaczej, wiedział, że jego ignorancja za chwilę okaże się zabójcza. Mężczyzna znowu stał, nie dalej niż trzy metry od niego, ściskając w dłoni ciężki nóż. Griff zerknął na Melvina, który spoczywał cicho z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi nieruchomo w ciemność. Pod jego głową na zamarznętej ziemi zebrała się kałuża krwi.

Przez chwilę Griffowi zrobiło się wszystko jedno. Rozpaczliwie pragnął rzucić się na tę bestię, zabójcę najłagodniejszego człowieka, jakiego znał. Chciał, żeby to wszystko po prostu się skończyło.

W końcu, gdy mężczyzna ruszył chwiejnym krokiem ku niemu, Griff cofnął się nieco i spojrzał na południe. Otaczającą go równinę dzielił tam rozciągnięty między drewnianymi słupkami płot. Odległy o – jak oszacował – czterysta metrów dom wydawał się nieoświetlony.

W piersi czuł bezlitosne pulsowanie, nie wyczuwał już jednak bolesnego zimna w stopach. Ściskając w rękę bezużyteczny pistolet, powłókł się niezdarnie przez pastwisko. Ubita, pokryta szronem ziemia była upstrzona kępami darni, które sprawiały, że każdy krok groził upadkiem. Chirurgiczne pantofle jeszcze bardziej zmniejszały przyczepność. Za plecami słyszał skrzypienie butów na zamarznętym gruncie. Odgłosy stąpania były miarowe, ale niepewne, co świadczyło o tym, że zabójca najprawdopodobniej kuleje.

Słysząc je było jednak coraz bliżej.

– Jesteś trupem, Rhodes! – ryknął zabójca. – A ten nóż z rozkoszą wbiję ci w serce!

Rozdział 53

DZIEŃ 6

16.30 CST

Podczas biegu Griff znowu poczuł w stopach elektryzujący ból, mimo to gnał dalej. Rozerwane pantofle spadły z nóg, ale bosa stopy ślizgały się tak samo. Każdy krok był zdradliwy. Uszkodzone żebra sprawiały, że każdy oddech stanowił udrękę, a teraz Griff miał w dodatku wrażenie, że nie może wciągnąć do płuc wystarczająco dużo powietrza. Silny podmuch wiatru spowodował, że się potknął, a dwa razy omal nie upadł. Nierówny grunt był równie wielkim wrogiem, jak jego prześladowca. Mógł sobie pozwolić na jeden upadek. Wiedział, że drugi będzie go kosztował życie.

Zbliżał się do kolejnego ogrodzenia półtorametrowej wysokości – trzech grubo ciosanych żerdzi wspartych na słupach rozmieszczonych w sześciometrowych odstępach. Za płotem znajdowało się ciasno stłoczone stado bizonów, a w pewnej odległości za nim jedyna nadzieja – stodoła.

Nagle wirusolog zatoczył się, potknął i wpadł do płytkiego zamarzniętego rowu. Obolałe nogi nie mogły w żaden sposób poradzić sobie z pochyłością i przewrócił się, po czym przekoziółkował na dno wykopu. Zdarł skórę z odsłoniętych łokci i kolan. Podczas twardego lądowania poczuł potworny ucisk w żebrach. Starając się ignorować silny ból, wspiął się chwiejnym krokiem po przeciwległej ścianie rowu.

U góry zaryzykował spojrzenie za siebie. Ku swojemu zaskoczeniu jakoś zdołał utrzymać dystans dzielący go od kontuzjowanego prześladowcy i miał blisko trzydziestometrową przewagę. Chociaż stodoła wciąż była dość daleko, dotarcie do niej wydawało się możliwe.

Smugi pary z jego ust i nozdrzy wypełniły mroźne powietrze. Płuca piekły go niemiłosiernie. Dziewięć metrów do płotu... Sześć... Griff znowu się obejrzał. Był w tarapatach. Prześladowca zmniejszył dystans o połowę i znacznie mniej teraz utykał. Wyglądało też na to, że w odróżnieniu od Griffa oddychał bez trudu.

Wreszcie Rhodes znalazł się przed ogrodzeniem. Zwolnił, ale nie uniknął poślizgu i zderzenia z solidnymi żerdziami. Krzyknął, gdy uszkodzone żebra otarły się o siebie. Odruchowo chwycił się rękami górnego drąga, wypuszczając przy tym pistolet. Nie zawracał sobie głowy podnoszeniem bezużytecznej broni. Wdrapanie się na płot było i tak wystarczająco trudne. Stał na najniższej żerdzi i przez chwilę myślał, że zamarznęta stopa pęknie na pół. Potem zawisł na brzuchu na najwyższej belce ogrodzenia i przeskoczył na drugą stronę, lądując na mocno obtartym kolanie.

Odległość między nim a człowiekiem, który zamierzał go zabić, zmniejszyła się jeszcze bardziej. Już niedługo. Tuż przed Griffem stało stado – kilkadziesiąt bizonów przypominających posągi, jeśli nie liczyć kłębów pary wydobywającej się z ich nozdrzy.

„Nieobliczalne... Groźniejsze niż grizzly... Kopyta... rogi... łeb”.

Przestroga kowboja rozbrzmiewała w myślach Griffa, gdy podchodził do najbliższego z tych majestatycznych zwierząt. Jego obecność wywołała wśród nich lekkie poruszenie, ale nic poza tym. Sapanie bizonów wydawało się równie ciężkie jak jeg°.

Przeszedł chyłkiem obok wielkiego samca, przyciskając dłonie do boków. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie za siebie, dostrzegł sylwetkę mężczyzny pochylającego się nad miejscem, w którym spadł pistolet. Chwilę później broń znalazła się w jego rękach, a on ostrożnie wspinał się na płot. Przez chwilę wieczór był niesamowicie cichy, jeśli nie liczyć parsknięć bizonów, ciągłego szumu wiatru i odgłosu krwi pulsującej w uszach Griffa.

W miarę jak przesuwał się wśród stada, bizony robiły się coraz bardziej niespokojne. Chrząkały coraz głośniej, jakby zaczęły porozumiewać się między sobą. Kilkoro zwierząt opuściło ogromne łby, żeby skubać rzadkie kępy trawy lub – być może – dać jakiś sygnał pozostałym. Stale jednak miał wrażenie, że patrzą na niego.

Spokojnie, panowie... tylko spokojnie.

Wiele większych zwierząt unosiło łby, gdy Rhodes je mijał. Ostre jak sztylet rogi zwracały się ku niemu. Ciemne oczy ukryte za gęstymi kudłami śledziły jego ruchy.

Spokojnie...

Bizony zaczęły przebierać krótkimi potężnymi nogami. Kilka kiwało się z boku na bok. Pomruki wydawały się głośniejsze, a smugi pary gęstsze.

I wtedy padły strzały.

Przeciwnik Griffa przykłęknął tuż za rowem. Początkowo wirusologowi wydawało się, że bizony nie zareagują. Był wewnątrz stada, przed sobą i z lewej

strony widział dość odległą jeszcze oborę.

Z pistoletu poszła kolejna seria, potem jeszcze jedna.

Griff zaklął na głos. Najwyraźniej przeoczył bezpiecznik, gdy miał broń w ręku.

W tym momencie jeden z rośniejszych samców padł. Drugi głośno parsknął. Kilka innych bizonów odsunęło się od leżącego zwierzęcia. Wydawało się, że wszystkie się kłębią i ryczą. Potem stado zwróciło się w kierunku Rhodesa.

Kule nadal świstały w lodowatym powietrzu. Tętent bizonich kopyt stał się ogłuszający. Para wylatywała z rozszerzonych nozdrzy niczym z kominów pędzących lokomotyw. Mijająca Griffa samica trąciła go prawym bokiem, a druga powaliła na ziemię. Czołgał się między kopytami, spodziewając się, że lada chwila masywne zwierzę zmiażdży mu czaszkę lub klatkę piersiową.

Czas się zatrzymał, gdy bizony biegły z hukiem, ocierając się nogami o Griffa. Żaden jednak nie wpadł prosto na niego. Rhodes dusił się poderwanym z lodowatej ziemi kurzem, który wypełnił mu nos i gardło. Tętent kopyt rozbrzmiewał w jego piersi niczym kanonada. Wyobraził sobie śmiech zabójcy, gdy ten odbezpieczał pistolet, a potem śmiał się jeszcze głośniejsze, gdy wywoływał popłoch wśród zwierząt.

Z dość bliska padła kolejna seria strzałów. Wielki bizon padł martwy przed Rhodesem i przewrócił się, nieruchomiejąc z olbrzymią włochatą głową przy piersi mężczyzny. Pędzące bizony natychmiast rozstąpiły się niczym Morze Czerwone, żeby nie wpaść na martwego samca. Griff podciągnął kolana i w pozycji embrionalnej wtulił się w swojego wybawcę najmocniej jak tylko potrafił.

I wtedy kątem oka zobaczył, że pędzący tabun zmienia kierunek. Stado z tętentem oddalało się od miejsca, w którym leżał martwy bizon, i gnało w stronę ogrodzenia. Griff nagle uświadomił sobie, że zacierają w kierunku strzelającego do nich mężczyzny.

Pośród huku kopyt usłyszał na nowo terkot pistoletu maszynowego, a potem, gdy ostatnie ze zwierząt przemknęło obok niego, wydało mu się, że słyszał też krzyk strzelca.

Podniósł się z trudem i rzucił w stronę stodoły. W nogach czuł ogień bólu. Zmęczony, przemarznięty i bez tchu nie miał szans utrzymać równowagi, gdy się poślizgnął na lodzie. Przejechał twarzą po zamarznętej ziemi i rozciął sobie policzki. Z rany trysnęła krew. Przeklinając, zdołał się podnieść, ale marsz przychodził mu z coraz większym trudem.

Przed nim roztaczał się ponury widok.

Na zamarznętej ziemi leżało dziesięć martwych lub zdychających bizonów. Reszta zwierząt przestała biec i utworzyła żywy mur między Griffem a jego prześladowcą. Spoglądał w mrok, ale początkowo nie był w stanie zlokalizować

mężczyzny. Potem przez lukę w tym zwierzęcym murze dostrzegł go leżącego twarzą do ziemi. W mroku trudno było ocenić, czy żyje i czy nadal ma przy sobie broń, ale po kilku sekundach Rhodes otrzymał odpowiedź na oba pytania.

W przejmująco zwolnionym tempie zabójca ociężale wstał. Nawet z oddali i w ciemnościach widać było, że jest poturbowany. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie u boku. Kiedy zrobił krok w stronę stodoły, okazało się, że powłóczy prawą nogą. Mimo to wyprostowany szedł, potykając się, naprzód. Griff niemalże widział wyraz determinacji na jego twarzy. Widział też potężny pistolet zwisający na prawej ręce terrorysty.

Droga do zaciemnionego domu była odcięta. Jediną szansę Griffa stanowiła stodoła wzniesiona na płaskim kawałku gruntu. Budynek był dość duży i wyglądał na porządnie utrzymany. Z obu jego stron, niczym wieże średniowiecznego zamku, stały stalowe silosy zbożowe, każdy co najmniej dwupiętrowy.

Dysząc ciężko, Griff skierował się ku wrotom od frontu. Jeżeli były zamknięte na klucz bądź łańcuch, już nie żył.

Zza jego pleców doleciał terkot wystrzałów. Kilka kul utkwilo z trzaskiem w ścianie. Gdy znajdował się o trzy metry od dwuskrzydłowych drzwi, zrobiło mu się słabo. Były spięte grubym łańcuchem i zabite deską.

Nadchodziła śmierć.

Rhodes skulił się i pobiegł zygzakiem w kierunku narożnika stodoły. Gdy dawał za nią nura, czuł, jak po policzku spływa mu krew. Zobaczył kolejne drzwi. Gładka gałka z kości bądź jakiegoś tworzywa nie chciała się obrócić. Za chwilę będzie już po wszystkim.

W całkowicie zaskakującym przyplýwie energii Griff walnął barkiem w wyblakłe drewno. Drzwi otwały się z hukiem. Krzyknął, gdy ból eksplodował w jego klatce piersiowej, a on sam z impetem wpadł do środka. Wnętrze oświeślało jedynie przyćmione światło wpadające przez długi rząd okien. Sterty bel siana ciągnęły się aż do przeciwległej ściany i tworzyły miejscami naturalne schody wysokości od trzech do niemal ośmiu metrów. Mógłby się ukryć za belami lub...

Jego prześladowca potknął się w progu, dając mu kilka cennych sekund. Stodołę wypełniło głośne dyszenie bandyty. Griff ostrożnie wspiął się po jednych z najwyższych „schodów”. W połowie drogi na górę szczęście się do niego uśmiechnęło.

W jedną z bel siana wetknięte były widły z długim styliskiem.

Rhodes wyciągnął narzędzie i wspierając się na nim, wszedł na szczyt sterty. Wydawało się, że ciężkie oddechy olbrzyma zagłuszają szelest siana.

– Ty durniu! – krzyknął w ciemności mężczyzna. – Myślisz, że możesz mnie powstrzymać? – Posłał serię w dach stodoły. – Mnie nic nie powstrzyma!

Widziałem krew przy drzwiach. Jesteś poważnie ranny? Jeżeli nie, to zaraz będziesz. Mam zamiar cię okaleczyć, nie zastrzelić. Potem nożem, którym załatwiłem twojego koleżkę, będę cię powoli patroszyć, dopóki nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, albo nie umrzesz. To naprawdę nie ma znaczenia.

Ze swojej kryjówki Griff wsłuchiwał się w kroki mężczyzny, który szurał w nierównym rytmie po drewnianej podłodze stodoły. Zbliżał się coraz bardziej. Wyobrażając sobie pozycję przeciwnika, Rhodes z trudem spowolnił oddech.

Nadszedł odpowiedni moment.

Griff zerknął znad krawędzi sterty na ostrożnie kroczącego olbrzyma. Dopiero teraz zobaczył, jak zmasakrowały go pędzące w popłochu bizona. Rękaw kurtki był niemal zupełnie oderwany i odsłaniał złamane przedramię z poszarpaną białą kością wystającą spod skóry. Całkiem możliwe, że złamaną miał także nogę. Te spektakularne obrażenia powinny spowolnić – przynajmniej do pewnego stopnia – jego reakcję.

Griff chwycił widły i przestąpił z nogi na nogę, szykując się do zjazdu po drugiej stronie sterty siana.

Gotowy... i... teraz!

Odepchnął się od najwyższej beli, krzycząc na całe gardło.

Mężczyzna obrócił się gwałtownie, uniósł lufę pistoletu i wypruł w powietrze gwałtowną serią, która nawet nie drasnęła spadającego nań mrocznego cienia.

Widły trafiły bandytę w sam środek klatki piersiowej. Przebiły śmiertelnościami zębami skórę, mięsień, serce oraz kość i wyszły plecami. Siła uderzenia rzuciła olbrzyma na pokrytą słomą podłogę i przygwoździła do niej. Z ust buchnęła mu krew. Usiłował coś powiedzieć, ale zdołał jedynie wypluć kolejną porcję krwi.

Kilka sekund później nie żył, a długie stylisko drgało wycelowane w sufit stodoły.

Griff wziął nóż i pistolet maszynowy, z którego wypalił do beli siana tylko po to, by udowodnić sobie, że potrafi strzelać. Potem sprawdził, czy nieboszczyk nie ma przypadkiem jakichś dokumentów, których raczej nie spodziewał się znaleźć u zawodowego mordercy, i przez chwilę spoglądał na martwe, zmasakrowane zwłoki.

– Żałuję tylko, że nie zdychałeś dłużej – powiedział zjadliwie.

Rozdział 54

DZIEŃ 6

18.00 EST

Wiceprezydent Henry Tilden przestąpił z nogi na nogę. Stał w kolejce po jedzenie, która wiła się wzdłuż dwóch ścian sali obrad Izby Reprezentantów. Ellis przyglądała mu się z centrum sali... Przyglądała się i czekała.

Zauważyła, że kaszlących jest teraz więcej. Niektórzy kaszleli tylko trochę, jakby próbowali się pozbyć uciążliwego łaskotania w gardle. Inni, z żoną i córką prezydenta włącznie, cierpieli na bardziej uporczywy mokry kaszel.

Ellis nawiązała kontakt wzrokowy z Gladstone'em, który stał za Tildenem, oddzielony od niego przez jakieś pięćdziesiąt osób. Nieznaczne skinienie głową i jej współpracownik opuścił swoje miejsce. Minał Tildena i bez słowa przeprosin bądź wyjaśnienia wepchał się przed sędziego Sądu Najwyższego Alfreda Bauera. W przeszłości, a także podczas obecnego kryzysu przewodnicząca Ellis widywała, jak zrzędlawy Bauer tracił zimną krew, zazwyczaj nawet niesprovokowany. Drobiazgi, takie jak głośne mówienie czy nawet chrapanie, wystarczały, by wyprowadzić z równowagi już i tak wzburzonego starszego pana. Ellis liczyła na to, że sędzia Bauer jeszcze raz wybuchnie.

– Nie może pan omijać kolejki, młody człowieku – usłyszała, jak zwrócił się do Gladstone'a.

Ten odwrócił się do Bauera i zgodnie z planem odparł:

– Nie ma pan nic do gadania. Tutaj nie jest pan wszechmocnym sędzią.

Gladstone odwrócił się tyłem i dalej stał w tym samym miejscu.

– Nie toleruję tego rodzaju braku szacunku, młody człowieku – warknął Bauer.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co pan toleruje, a czego nie.

Bauer połknął przynętę i pchnął Gladstone'a. Współpracownik Ellis potknął się, zatoczył i wpadł na stojącego przed nim mężczyznę. Gwałtownie wymachiwał przy tym rękami, jakby stracił równowagę. Natychmiast potem zrobił szybki krok w prawo i potrącony przez niego człowiek zareagował gniewnym szturchnięciem

w pierś Bauera. Sędzia zrewanżował się gwałtownym ciosem pięścią, który chybił celu, ale musnął szczękę kongresmena.

Bijatyka wybuchła niczym płomień buchający po przytknięciu zapalonej zapałki do nasączonych benzyną szmat.

Przewidziawszy każde zdarzenie w swoim scenariuszu, Ellis słuchała coraz głośniejszych krzyków i przekleństw padających z ust mężczyzn i kobiet, często znakomitego pochodzenia. Przyglądała się, jak następne osoby wplątują się w tę awanturę, popychając się i obrzucając wyzwiskami.

Nauczmy was, jak należy się awanturować – myślała. – Tak jak robimy to na głębokim Południu.

Teraz zaczęły padać ciosy. Kolacje w pojemnikach latały jak pociski. Jakiś kongresmen kopał raz po raz po brzuchu i głowie leżącego na ziemi reportera. Tłumiona frustracja i gniew, najprawdopodobniej spotęgowane działaniem WRX3883, eksplodowały niczym tryskająca z odwiertu ropa. Agenci Secret Service szybko wpadli do sali, żeby powstrzymać uczestników burdy. Kilku się w nią uwikłało. Inni wyciągnęli żonę i córkę Allaire'a, zanim zdążyły paść ofiarą wzmagającej się przemocy. Kapitolińska policja i kolejni agenci wspólnie próbowali ugasić kilka niewielkich ognisk konfliktu. Krew lała się z nosów, gdy w ruch poszły pięści. Kongresmeni i kongresmenki leżeli na podłodze wraz z innymi dygnitarzami, kuląc się ze strachu lub młóćąc rękami i nogami.

– Nie zniosę tego dłużej! – rozległ się czyjś krzyk.

– Przestań mnie bić! Nic ci nie zrobiłem! – krzyknął ktoś inny.

Ellis i Gladstone chwycili Tildena za ręce, zanim zdążył dotrzeć do niego agenci Secret Service.

– Niech pan pójdzie z nami! – krzyknęła mu do ucha przewodnicząca. – Jest jakiś problem z prezydentem. Doktor Townsend chce się z nami natychmiast spotkać.

Tilden skinął głową i pozwolił się ewakuować z sali obrad na korytarz prowadzący do skrzydła senackiego Kapitolu. Jak przewidziała Ellis, strażnicy, których postawiono przy drzwiach, pobiegli położyć kres bijatyce. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, krzyki i harmider ucichły. Zupełnie jej nie zdziwiło, że obrona taktyka doskonale się sprawdza. Przypuszczalnie nikt nawet nie zauważył, jak wychodzili.

– Co się dzieje? – zapytał Tilden.

W jego głosie i wyrazie twarzy można było wyczuć zmieszanie i paniczny strach. Ellis zastanawiała się, czy reaguje tak na bijatykę, czy na myśl, że zostanie prezydentem. Uznała, że prawdopodobnie na jedno i drugie. Jak, u diabła, w ogóle zaszedł tak wysoko?

– Townsend czeka na nas pod salą obrad Senatu – wyjaśniła. – Musimy się pospieszyć.

– Czemu akurat tam? – zdziwił się Tilden.

– Widział pan, co się tam działo. Townsend nie mogła się z nami spotkać przy mównicy, nie mogła też ryzykować spotkania w pobliżu prezydenta. Zaczął się paranoicznie bać, że zostanie usunięty z urzędu. Townsend użyła słowa „niebezpieczny”, żeby opisać jego zachowanie. To jej słowa, nie moje. – Ellis podniosła metalową tubę. – Mam tutaj dokumenty, które Townsend przygotowała nam do podpisu.

Ellis i jej współpracownik prowadzili wiceprezydenta w szybkim tempie. Według informacji dostarczonych przez O’Neila Allaire był na spotkaniu z Salitasem i miał na nim być jeszcze przez co najmniej godzinę. Gdyby O’Neil się mylił i gdyby przypadkiem wpadli na prezydenta, musiałyby szybko coś wymyślić. Dałaby sobie jednak z tym radę. Zresztą było niemożliwe, żeby Allaire zapuścił się do tego skrzydła, zważywszy na akcję dywersyjną, którą Gladstone rozpoczął w drugim.

Pięknie.

Zaprowadzili Tildena do sali obrad Senatu, podążając trasą, którą Ellis przebyła wcześniej – w dół West Grand Staircase, korytarzem łączącym z Izbą Reprezentantów do korytarza prowadzącego do Senatu i w końcu po East Grand Staircase. Wiedziała, że na polecenie Allaire’a zaprzestano patrolowania tej części Kapitolu – kolejna przydatna informacja od O’Neila. Może jednak znalazłoby się dla niego jakieś miejsce w jej administracji.

Przewodnicząca przyspieszyła kroku, żeby oddzielić się od Tildena. Gladstone został w tyle. Kiedy ukazały się drzwi sali obrad Senatu, upuściła tubę na marmurową posadzkę. Metalowy pojemnik służący do przesyłania korespondencji wylądował na podłodze z głośnym brzękiem. Próbując niezdarnie podnieść tubę, trąciła ją nogą, tak że ta potoczyła się od drzwi w kierunku Tildena.

– Podniosę – rzekł wiceprezydent, schylając się.

Ellis stanęła przed drzwiami, by zasłonić przed nim klamki. U jej stóp stał plastikowy kubeł. Łańcuch z kłódką, którymi wcześniej zabezpieczono drzwi, leżały teraz zwinięte na dnie kubła. Gladstone dobrze wykonał swoje zadanie. Jak zawsze. Zanim wszczął burdę w kolejce po jedzenie, dostał klucz od kłódkki wraz z kajdankami z niebieskiego plastiku używanymi podczas tymczasowego aresztowania. Tym razem posłużyły jako prowizoryczne zamknięcie drzwi.

W chwili gdy Tilden podniósł tubę z podłogi, Ellis przecięła kajdanki nożem ukradzionym służbom przygotowującym posiłki. Zanim wiceprezydent dotarł do niej z pojemnikiem, zdążyła kopnąć kawałki kajdanek pod drzwi.

– Jeżeli Townsend ma rację – powiedziała – za kilka godzin zostaniesz zaprzysiężony na urząd prezydenta.

Gladstone przygotował się, gdy Ellis wstrzymała oddech i otworzyła salę. Tilden zawahał się w progu wyraźnie zaskoczony tumultem i smrodem.

Było już jednak za późno.

Gladstone wepchnął go bezceremonialnie do pomieszczenia, a Ellis szybko zamknęła za nim drzwi, po czym wsunęła tubę w uchwyty. Usłyszeli, jak Tilden krzyczy i dobija się od środka.

– Otwórzcie! Na litość boską, Ursulo! Otwórz drzwi! Pomocy!... Ej, puście mnie. Puście mnie, do cholery!

Żadnych patroli. Żadnych strażników. Żadnych zmartwień.

Gladstone przytrzymał tubę i mocno napierał plecami na drzwi, a Ellis wyciągnęła łańcuch z kubła i przewlokła go przez uchwyty. Drzwi drżały, gdy Tilden, wciąż krzycząc, napierał na nie z drugiej strony.

Po czym, dość nagle, jego krzyki ustały.

Rozdział 55

DZIEŃ 6

19.00 EST

Ellis pozwoliła swojemu współpracownikowi wysforować się naprzód, a potem ruszyła za nim z powrotem do sali obrad Izby Reprezentantów. Pochłaniała ją myśl o tym, jak blisko jest teraz przejęcia steru rządów nad najpotężniejszym państwem w dziejach.

W sali posiedzeń panował zamęt. Grupki ludzi stały naprzeciw siebie, miotając pogroźki, dziecinne obelgi i wściekłe spojrzenia. Rzędy łóżek polowych, które wcześniej ustawiono na miejscu foteli, były poprzewracane, a pościel podarta i porzrucana. Podłoga była zaśmiecona pudełkami z jedzeniem i śliska od rozlanych napojów. Nawet jednak w tym zgiełku Ellis słyszała kaszlących.

Na wszelki wypadek przygotowała proste wytłumaczenie swojej nieobecności, ale okazało się, że drzwi, przez które wróciła, nikt nie pilnuje. Kapitolińską policję i agentów Secret Service nadal pochłaniało poskramianie zwaśnionego tłumu. Niektórzy wyciągnęli broń, jednak większość funkcjonariuszy wyglądała na oszołomionych i niezdolnych do zaprowadzenia porządku.

Ellis doskonale wiedziała, jak przywrócić dyscyplinę.

Nadszedł czas, by przedstawić kongresmenom projekt swojej ustawy.

Nadszedł czas, by ujawnić Ameryce niewybaczalne kłamstwa Jima Allaire'a.

W swoim mniemaniu okazała się takim przywódcą, jakim nie był Allaire. Miała teraz dowód, że Harlan Mackey został zlikwidowany, ponieważ wirus stanowił śmiertelne zagrożenie. Oczywiście prezydent mógł sobie poradzić z sędziwym senatorem w inny sposób, ale to wymagałoby przyznania się do oszustwa. Czyniąc to, dałby Amerykanom jasno do zrozumienia, że im nie ufa, a wtedy oni dowiedzieliby się, że sam nie jest godny zaufania.

W przeciwieństwie do Allaire'a Ellis miała poważne powody, by robić to, co robiła. Negocjacje z Genesis i zamknięcie wiceprezydenta w sali obrad Senatu były w tych wyjątkowych okolicznościach usprawiedliwione. Ona była urodzonym

przywódcą, a przywództwo wymagało nie tylko ofiary, ale i gotowości do zmiany reguł gry. Zrobiła to, co należało zrobić. Wiedziała, że prawdziwi przywódcy dokonywali trudnych wyborów i nigdy tego nie żalowali.

Po pracy nad szczegółami wystąpienia i obserwowaniem, jak zamęt wreszcie słabnie, przywołała Gladstone'a do siebie. Jej współpracownik był blady i miał zapuchnięte oczy. Zawsze słaby i chorowity, zaczynał marnie wyglądać. Jego osłabienie było zrozumiałe, zważywszy na wielogodzinną pracę nad przygotowywaniem projektu ustawy i wprowadzeniem jej poprawek redakcyjnych, by nie wspomnieć o stresie towarzyszącym zabiegom, które miały wynieść ją na urząd prezydenta.

– Jesteśmy gotowi? – zapytała.

– Tak sędzę – odparł. – Zrobiłem kopie ustawy dla wszystkich głosujących kongresmenów i ich współpracowników, ale tylko dla tych, którzy są w sali obrad. Zakładam, że grupy B i C nie wchodzą w rachubę.

– Dobrze zakładasz.

– I wykorzystałem wersję dwudziestą trzecią ustawy... to też się zgadza?

– Owszem. Dobra robota. A zdołałeś namierzyć Jordana Lamara? Ponieważ jest kapitolinim architektem, musimy mieć jego wsparcie, żeby wszystko poszło zgodnie z moim planem.

– Jeszcze nie próbowałem go znaleźć – odparł Gladstone – ale sędzę, że to nie będzie potrzebne.

– Chcę, żeby z powrotem włączono kamery. Nasz drogi Jordan to jedyna osoba władna przeciwstawić się prezydentowi i przywrócić transmisje telewizyjne. Istotne jest uświadomienie Amerykanom prawdy. Muszą zobaczyć na własne oczy, dlaczego negocjuję z Genesis.

Gladstone spojrział za plecy Ellis i wyjaśnił:

– Mówię, że szukanie go nie będzie potrzebne, ponieważ wygląda na to, że on znalazł nas.

Ellis się odwróciła. W ich stronę szli Lamar, Bethany Townsend i prezydent. Wszyscy troje mieli bardzo zatroskane miny.

– Od ponad godziny nie widzieliśmy wiceprezydenta Tildena – rzekł Allaire bez słowa powitania. – Któreś z was go widziało?

Ellis zmrzyła oczy.

– Ja nie – odparła. – Od wielu godzin. A ty, Lelandzie?

– Nie. Stał tu w kolejce, gdy zaczęło się to szaleństwo, ale wtedy widziałem go po raz ostatni.

– No to rozglądajcie się. Bierze leki na nadciśnienie.

Ellis próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Townsend, licząc na to, że

poruszy temat ich spotkania we troje, ale lekarka unikała jej spojrzenia.

Co za dużo, to niezdrowo – uznała Ellis i oświadczyła:

– Panie prezydencie, skoro pan tutaj jest, powinien pan wiedzieć, że zmieniłam plany dotyczące mojej komisji.

– Mam nadzieję, że ta zmiana polega na jej rozwiązaniu – odparł Allaire.

– Właściwie mam teraz zamiar zabiegać o współpracę komisji regulaminowej, licząc na to, że jej członkowie nadadzą uprzywilejowany status specjalnemu postanowieniu, które zamierzam przedłożyć członkom Izby. Dotyczy ono pewnych środków legislacyjnych...

Allaire był zbulwersowany.

– Mam już dosyć twoich błazeństw! – wykrzyknął. – Mamy do czynienia z katastrofalnym kryzysem na niebywałą skalę, a ty tylko utrudniasz jego zażegnanie.

Ellis pilnowała się, żeby nie wpaść w złość.

– Cóż, niestety, panie prezydencie, zasady obowiązujące w Izbie nie uwzględniają pańskiego niezadowolenia jako podstawy ingerencji w dozwolone prawem procedury. Poza tym nie może pan ze mną walczyć. To tylko przysporzy panu problemów. Proszę po prostu zapytać obecną tu doktor Townsend.

Allaire odwrócił się do swojej lekarki z cieniem zaniepokojenia na twarzy.

– O czym ona mówi?

Townsend przestąpiła z nogi na nogę i z trudem spojrzała mu w oczy.

– Ja... mam poważne obawy co do pańskiej zdolności panowania nad emocjami – odparła. – Zwłaszcza nad złością. – Zrobiła pauzę, by przesłać Ellis jadowne spojrzenie. – Sama byłam świadkiem pańskiego wybuchu, a ponieważ to mój obowiązek wobec kraju, podzieliłam się swoimi obawami z wiceprezydentem Tildenem i przewodniczącą Izby Reprezentantów.

– Po co to zrobiłaś? – zapytał Allaire, wyraźnie dotknięty jej zdradą.

– Przecież pan wie, co zakażenie wirusem WRX może zrobić z każdym z nas. Mogliby zostać obciążeni obowiązkiem wszczęcia postępowania.

– Przez postępowanie – rzekł Allaire – rozumiesz usunięcie mnie z urzędu.

Townsend skinęła głową z lekkim zakłopotaniem.

– Dostrzegłam u pana zachowanie, przed którym sam pan mnie ostrzegał, panie prezydencie.

Ellis uśmiechnęła się do siebie w myślach.

– Tak, panie prezydencie – wtrąciła się do rozmowy – większości z nas pan tego nie powiedział, ale ostrzegł pan doktor Townsend i wewnętrzny krąg swoich znajomych o prawdziwym zagrożeniu. Zgadza się?

– O czym ty mówisz? – zapytał Allaire.

– O wirusie – odparła słodko Ellis. – Mówię o straszliwym zabójczym wirusie, który nazwał pan grypą... o wirusie, który uśmierci nas wszystkich, jeżeli ktoś nie zrobi jakiegoś radykalnego kroku.

– Nie zawsze jest zabójczy.

– Jest, do kurwy nędzy! – Ellis uniosła telefon Gladstone’a. – Wprawdzie nie dzięki panu, ale wiem, jak cholernie jest zabójczy. Widziałam, co się stało z zakażonymi z grupy C. Zrobiłam zdjęcia.

Oblicze prezydenta wykrzywiła dzika furia. Ellis na wszelki wypadek cofnęła się o krok.

– Nie miałaś prawa wchodzić do tej sali – powiedział Allaire. – Jestem prezydentem. Moim zadaniem jest podejmować decyzje, które są w najlepszym interesie tego kraju. Ujawnienie całej prawdy o WRX3883 wywołałoby panikę tutaj, a na zewnątrz zagroziłoby wszystkim. Nie mogłem ryzykować rozpętania pandemii.

– Myli się pan, prezydencie. Mam niezbywalne prawo do życia, tak samo jak wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, których egzystencję naraził pan tak bezdusznie.

Jordan Lamar miał zatroskaną minę.

– O czym ona mówi, Jim? Powiedziałeś, że ten wirus nie jest aż tak groźny.

– Okłamał cię, Jordanie – odparła Ellis. – Okłamał nas wszystkich. Ja zaś proponuję, by włączyć z powrotem kamery sieci telewizyjnych i pokazać Amerykanom, w obliczu czego stoimy.

– W obliczu czego konkretnie stoimy, Ursulo? – zapytał architekt.

– Pewnej i straszliwej śmierci, właśnie tego. Lecz ustawa, którą zamierzam przedstawić, zagwarantuje nam dostawę leku przeciwwirusowego.

Allaire otworzył usta ze zdumienia. Na jego twarzy malowało się przerażenie i niedowierzanie.

– Oszalałaś – powiedział. – Zupełnie oszalałaś.

– Głosowanie przeciwko temu, co proponuję, byłoby równoznaczne z przystawieniem sobie lufy pistoletu do głowy i pociągnięciem za spust.

– Nie słuchaj jej, Jordanie – nalegał Allaire. – Ona nie zna faktów. Nie może spełnić swojej obietnicy.

– Czy to prawda, panie prezydencie? – zapytał Lamar. – Okłamał nas pan?

– Zrobiłem to, co uważałem za słuszne... dla nas wszystkich.

W głosie prezydenta po raz pierwszy zabrakło przekonania.

– Ten wirus nas zabije – powtórzyła Ellis. – Mam dowód, który mogę ci pokazać. I będzie to okropna śmierć. Ale powtarzam, że zapewniłam nam lek przeciwwirusowy.

– Jak?! – krzyknął Allaire. – Jak to możliwe, skoro jedyny człowiek, który mógłby dostarczyć lekarstwo, pracuje dla nas?

– Uchwalimy moją ustawę, a Genesis dostarczy lek przeciwwirusowy. Zdobyli ten wirus, mają lek.

Allaire poblądł.

– Coś ty zrobiła?! – zdołał zapytać.

– Zawarłam z nimi umowę – odparła Ellis. – Ta ustawa... ich ustawa... za nasze życie. I zanim powie pan, że nie negocjujemy z terrorystami, chcę, żeby wszyscy zobaczyli, co się z nami stanie. I chcę, żeby równocześnie pokazać to narodowi amerykańskiemu. Koniec z kłamstwami. Koniec z oszustwem. Czas zrobić to, co musi być zrobione. Przygotujmy tę transmisję.

– Jordanie, nie rób tego! – wykrzyknął Allaire. – Nasz wirusolog jest już blisko. Zbliży się do przełomu. Cokolwiek tej... tej wariatce obiecali terroryści, to kłamstwo. Mówię ci prawdę. Terapii jeszcze nie ma. Nie ma żadnego lekarstwa. Jeżeli podkopiesz mój autorytet, poważnie osłabisz naszą zdolność działania.

– Daj mi ten telefon – rzekł Lamar do Ursuli. – Chcę zobaczyć to nagranie.

– Jordanie, nie!

Lecz Lamar porwał aparat z wyciągniętej ręki Ellis i odwrócił się plecami, żeby prezydent nie zdołał mu go zabrać. Architekt przygarbił się, oglądając potworny film. Ellis słyszała dźwięki z nagrania w monofonicznym głośniku telefonu. Słyszała pomruki i krzyki. Odgłosy wymiotowania. Strzał z broni.

– Panie prezydencie, co pan zrobił? – zapytał architekt.

– Jordanie, nie rób tego – powtórzył prezydent.

– Jestem architektem Kapitolu, panie prezydencie. Jeżeli zapragnę przekazać to, co się dzieje w Izbie Reprezentantów, przepisy rządzące tym obiektem pozwolą mi to zrobić.

– Dopuścisz się zdrady – ostrzegł Allaire.

Lamar pokręcił ponuro głową.

– W takim razie obaj będziemy winni, panie prezydencie – odparł. – Pani przewodnicząca, uzgodnię warunki transmisji.

Lamar obrócił się na pięcie i szybko odszedł.

– Wracaj tu! – krzyknął Allaire. – Wracaj natychmiast!

Prezydent chwycił za poręcz sąsiedniego fotela i z zaskakującą, spotęgowaną przez furie siłą wyrwał ją, rozszczepiając drewno. Trzymając ją wysoko w górze, zrobił krok w stronę Ellis. Jego twarz wykrzywił gniew. Ręka, w której dzierżył swoją prowizoryczną broń, drżała. Po czym nagle upuścił poręcz i spojrzał z trwogą na swoje ręce.

Ellis i pozostali natychmiast zrozumieli, co go tak zatrwożyło.

Na jego dłoniach widniał misterny wzór z koncentrycznych kręgów – w kolorze krwi.

Rozdział 56

DZIEŃ 7

24.00 CST

Podczas czteroipółgodzinnej jazdy na wschód do Wichita poturbowany i poraniony na duszy i na ciele Griff niespokojnie wypatrywał policji. Wątpliwe, by już odkryto, że zniknął z Kalvesty, ale na wszelki wypadek nie przekraczał dozwolonej prędkości, używał kierunkowskazów i stosował się do wszystkich przepisów drogowych. Zatrzymanie, nawet za drobne wykroczenie, mogło prowadzić do pytań. Pytania, a zwłaszcza jego wygląd, przysporzyłyby mu kłopotów.

Uprzątnąwszy miejsce gwałtownej śmierci dwóch osób w Cahill Ranch, jechał przez całą noc, zatrzymując się przy całodobowym sklepie dla kierowców ciężarówek, żeby kupić ubranie i się umyć. Podróżował w bólu i poczuciu osamotnienia. Angie leżała w nowojorskim szpitalu, a jego najserdeczniejszy przyjaciel nie żył – na zawsze odszedł z jego życia. Kim był człowiek, który zaczął się na nich i zabił Melvina? Jak się dowiedział o ich planach? Czy Griff mógł cokolwiek zrobić, żeby to przewidzieć i temu zapobiec? Pokonywał kolejne kilometry, a te pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Ból po tragicznej i strasznej śmierci Melvina jeszcze bardziej spotęgowało to, co Griff zrobił z ciałem przyjaciela. Wróciwszy ze stodoły, daremnie sprawdzał, czy Forbush nie zdradza oznak życia. Potem, kompletnie wyczerpany, osunął się na zamarzniętą, smaganą wiatrem ziemię i zapłakał.

W końcu przebrał się w kurtkę z kapturem i dzinsy, które wcześniej przywiózł mu Melvin. Odkąd przybył Rappaport, teren wokół laboratorium był częściej patrolowany. Griff pośpiesznie opróżnił kieszenie Melvina i z największą czcią ułożył jego ciało na krawędzi stromego szybu wentylacyjnego. Potem, modląc się w milczeniu, puścił zwłoki.

Jeździł taurusem Melvina po okolicy, dopóki nie znalazł samochodu zabójcy – niepozornego auta z wypożyczalni z umową w schowku. Niemal na pewno zostało

wypożyczone na sfałszowane papiery. Kluczyki leżały na podłodze. Wrócił do stodoły, żeby wepchnąć zwłoki olbrzyma do bagażnika, i ukrył samochód w ustronnym cypryсовym zagajniku. Prędzej czy później wóz zostanie odnaleziony i pewnie wydadzą szczegółowy komunikat, ale przy odrobinie szczęścia Griff będzie miał wtedy już dawno za sobą spotkanie z bratem Bartholomew.

Gdy używał wyciągarki, żeby założyć z powrotem ciężką kratę – płytę na grobie najbliższego przyjaciela – myślał o zemście. Śmierć zabójcy Melvina nie wystarczyła. Chciał dopaść terrorystów z Genesis. Pragnął tego z całego serca. Będzie ich tropił równie intensywnie, jak tropił ogniska wirusa marburskiego, i zrobi wszystko, co konieczne, żeby ich zniszczyć.

Szosa KS-156 była prawie pusta. Griff jechał z wyłączonym radiem, wołąc ciszę i wspomnienia o swoim ekscentrycznym asystencie niż wieści z Kapitolu. W końcu zobaczył światła centrum Wichita. Wyobraził sobie Sylvię Chen jadącą tą samą drogą przed dwoma laty. Wiedział, że wówczas jej badania utknęły w martwym punkcie i władze federalne miały niebawem pokrzyżować jej plany, pozbawiając potajemnego finansowania. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak ta uczona, rozpaczliwie pragnąca kontynuować badania, umawia się na spotkanie z szemranym ratownikiem dusz, które doprowadziło do rozpaczliwych decyzji i przerażających wyborów. Miała zamiar przyspieszyć, rozwiązując problemy z niesfornym, ale niesamowicie obiecującym wirusem poprzez doświadczenia na ludziach.

I znowu, przynajmniej w zakresie opisanym w jej „przepisach kulinarnych”, Chen nie zdołała zapanować nad swoim dziełem. Wszyscy uczestnicy badań zmarli. Wszyscy, to znaczy wszyscy z wyjątkiem – być może – jednego. To musiało być dla niej katastrofą. Łatwo sobie wyobrazić, że niedługo po tym niepowodzeniu zawarła układ z diabłem o imieniu Genesis – układ, który doprowadził do kradzieży wirusa, wrobienia i uwięzienia jednego z jej współpracowników, a w końcu do jej gwałtownej śmierci i perspektywy nieuchronnego zgonu setek innych ludzi.

Nadeszła pora, by dowiedzieć się, co dokładnie robiła tutaj, w Wichita, komu to robiła i, co chyba najważniejsze, czego się dowiedziała.

Kipiąc oburzeniem, Griff jechał do misji trasą wskazaną przez Melvina na wydruku pozostawionym na przednim fotelu taurusa. Uliczne latarnie migotały niczym dyskotekowe kule, odbijając się w spokojnych wodach rzeki Arkansas. Większość biurowych wieżowców w uśpionym centrum zginęłaby wśród drapaczy chmur w innych metropoliach, lecz Griff miał wrażenie, że to miasto, jak oznajmiono na kilku tablicach, jest przyjemnym miejscem do życia. Przyjemnym,

jeżeli przypadkiem, szukając pomocy, nie trafiłeś do Misji Pewna Droga.

Przejechał obok wysokiego billboardu z ofertą modlitw za rząd i wszystkie ofiary tragedii w Kapitolu.

Siedziba Misji Pewna Droga była kanciastym, piętrowym budynkiem z kamienia, schowanym w cichej dzielnicy na peryferiach miasta. Na tablicy na trawniku od frontu, oświetlonej dwoma reflektorami punktowymi i okolonej równo przyciętymi krzewami, widniała nazwa duszpasterstwa. Obok tablicy stał mały kamienny posąg Indianki, której brązowe oczy spoglądały z nabożną czcią w niebo.

Było tuż po północy.

Griff obszedł budynek i próbował zajrzeć przez rozmieszczone w równych odstępach okna. Trudno było sobie wyobrazić, by samozwańczy duchowny mieszkał poza siedzibą misji. Nie zobaczył wewnątrz żadnych zapalonych świateł, więc zrobiwszy umiarkowanie uspokajający wdech, wzruszył ramionami i zadzwonił do drzwi. Z góry spoglądała nań beznamiętnie kamera monitorująca. Nie miał absolutnie żadnych wyrzutów sumienia, że budzi braciszka. Z tego, co wiedział, był on złym człowiekiem, który robił kiedyś bardzo złe rzeczy.

Po chwili zadzwonił po raz drugi. Grube dębowe drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Z ciemnego wnętrza wyglądał Xavier Bartholomew, pocierając zaspane oczy. Rhodes nie wątpił, że ten gest miał ukryć to, że mężczyzna spojrział w ekran monitora, zanim uchylił drzwi.

– Wyglądasz na wyczerpanego, mój bracie – rzekł wspaniałym basem. – Przybyłeś oczyścić się z trucizny rozkładającej twą duszę?

– Owszem – odparł Griff. – Brat Bartholomew?

– Jestem nim. latarnią wskazującą Pewną Drogę.

Ledwie panując nad sobą i zachowując resztki cierpliwości, Griff otworzył drzwi kolanem i szybko wkroczył do środka.

Brat Bartholomew próbował mu w tym przeszkodzić. Teraz cofnął się chwiejnie, a na jego rozespanej dotąd twarzy odmalował się wyraz trwogi. Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, na sobie zaś grubą wełnianą sutannę z kapturem, ściągniętą w pasie sznurem z chwastami, oraz sandały marki Birkenstock. Jego tłuste włosy były przyprószone siwizną i ściągnięte ciasno w koński ogon, wetknięty pod sutannę. Oczy miał ciemne i wąskie jak szparki, zalatywał dymem papierosowym i tanią wodą kolońską. Tandetne meble w holu i przyległym salonie stanowiły doskonałe odzwierciedlenie powierzchowności tego człowieka. Przez jadalnię Griff zobaczył kaplicę – rzędy wymieszanych z sobą składanych i kuchennych krzeseł pod żyrandolem, który zapewne pochodził z wyprzedaży rzeczy używanych.

– Błogosławiony jesteś, mój przyjacielu, albowiem znalazłeś Pewną Drogę – rzekł Bartholomew, szybko odzyskując panowanie nad sobą. – Z wielką radością

udzielę ci rady, ale żeby rozpocząć podróż, musisz złożyć ofiarę.

Wskazał na duży drewniany kubek zawieszony na postrzępionym sznurze, przywiązany do belki pod sufitem. Do kubka przybito pobieloną tabliczkę opatrzoną dość niestarannym napisem.

Wyrzuc swój chleb na wody płynące, a zysk twój będzie wielokrotny.

Zawsze chodzi o chleb – pomyślał Griff.

– Przebyłem długą drogę, żeby się z bratem zobaczyć – powiedział, dla ugruntowania swojej pozycji zbliżając się o kilka kroków do salonu. – Mam kilka pytań, które wymagają odpowiedzi.

Bartholomew stał się na powrót nieufny.

– Widzę, że życie zadało ci okrutne ciosy – zauważył, wskazując na świeże sińce i stupy na ciele Griffa. – Na razie do rozpoczęcia twojej podróży ku uzdrowieniu wystarczy to, co masz w kieszeni. Później ustalimy, ile dodatkowych ofiar potrzeba, żeby cię uleczyć.

– Jestem gotów złożyć ofiarę na misję, bracie Bartholomew, ale tylko wtedy, gdy odpowiedzi na moje pytania okażą się zadowalające.

Teraz duchownemu zapaliły się wszystkie lampki alarmowe.

– O jakich dokładnie pytaniach mówisz? – zapytał.

– Pytaniach o uczoną o nazwisku Chen. Sylvia Chen.

Bartholomew pobladł.

– Jesteś gliną?

– Nie.

– Prywatnym detektywem?

– Nie.

– W takim razie wynoś się stąd!

Brat Bartholomew chwycił wazon z niewielkiego kredensu i cisnął nim w głowę Griffa.

Griff stracił panowanie nad sobą.

Nie bacząc na silny ból w piersiach, zablokował atak i wazon spadł na wyłożoną kamiennymi płytami podłogę, gdzie rozpadł się na kawałki. Bartholomew odwrócił się, by uciec, lecz Griff złapał go za kaptur. Nie bił się z nikim od czasów licealnych, ale też co najmniej równie długo nie czuł takiej wściekłości. Wykręcił duchownemu rękę na plecy, po czym kolaniem z całej siły pchnął go na kamienną ścianę holu. Nigdy nie szkolił się w sztukach walki, lecz teraz każdy powodowany gniewem ruch wydawał się naturalny.

Nie zwolniwszy uchwytu, ułożył przedramię na karku Xaviera i docisnął jego twarz do ściany. Potem, pochylając się na tyle blisko, że tamten mógł słyszeć jego szept, rzucił mu do ucha:

– Jest tu jeszcze ktoś?

– Tak... jest – wykrztusił Bartholomew.

Samozwańczy duszpasterz dyszał ciężko i drżał. Myśląc o Melvinie, Griff jeszcze wyżej podciągnął rękę swojego rozmówcy. Ból w jego uszkodzonych żebrach, uśmierzony zastrzykiem adrenaliny, stał się ledwie wyczuwalny.

Ręka Xaviera była wykręcona do granic wytrzymałości.

– Wystarczy – wystękał. – Jestem sam! Sam! Błagam, puść, bo złamiesz mi rękę!

Griff nieznacznie rozluźnił uchwyt. To wystarczyło bratu Bartholomew, który zareagował z zaskakującą szybkością i nieoczekiwaną siłą. Wykręcił tułów mocno w prawo, uwalniając nadgarstek z uścisku Rhodesa, po czym zrobił unik i obrót, zupełnie wyrrywając się z jego objęć. Bez chwili wahania wpadł przez przeszkłone drzwi do kaplicy i pobiegł w głąb.

Griff, któremu brakowało tchu, lecz nie determinacji, przeklinając swoją głupotę, ruszył za nim. Na drugim końcu budynku znajdowały się drzwi pożarowe i Xaviera dzielił teraz od nich zaledwie metr, lecz wirusolog nie zamierzał pozwolić mu na pokonanie tego dystansu. Odbił się od ziemi i rzucił do nóg zbiega, chwytając go w kolanach i powalając na wyłożoną deskami podłogę. Stojące w pobliżu krzesła przewracały się niczym kręgle.

Brat Bartholomew zacharczał głośno, ale po paru sekundach poderwał się i rzucił do drzwi. Będący na czworakach Griff chwycił go za kostki i powalił na plecy. Usiadłszy mu okrakiem na piersiach, uderzył go w twarz – raz, potem znowu. Krew trysnęła Xawierowi z nosa, a jego ciało zwiotczało.

Griff wstał z wysiłkiem z podłogi, po czym zdjął pudełko chusteczek higienicznych z parapetu i rzucił je mężczyźnie.

– Opowiedz mi o Sylvii Chen – powiedział, ciężko dysząc.

– Nie wiem, kto to taki.

– Słuchaj, mój najbliższy przyjaciel właśnie został zamordowany z jej powodu. Skończ te gierki, bo przysięgam, że z wściekłości wbiję ci zęby do gardła.

Griff znowu podniósł rękę i jego przeciwnik się wzdrygnął.

– W porządku... znałem ją.

Bartholomew nadal leżał.

– Czego od ciebie chciała?

– Ona... zapewniała, że może mi pomóc w leczeniu uzależnienia od narkotyków. Powiedziała, że jej system się sprawdza. I... i że zapłaci mi za współpracę.

– Co dokładnie robiliście? – zapytał Griff, podnosząc Xaviera z podłogi za ramiona. – Zadałem ci pytanie!

– Testowaliśmy coś, nad czym pracowała – odparł Bartholomew. Po jego

czerwonej i opuchniętej twarzy zaczęły płynąć łzy. – Nie jestem złym człowiekiem. Chciałem pomóc. Ona była naukowcem i twierdziła, że ma lek, który chce wypróbować na... na części moich bardziej opornych pensjonariuszy. Powiedziała, że razem moglibyśmy wybawić z opresji wielu narkomanów.

Mężczyzna łkał teraz żałośnie, lecz Griff nie chciał powtórzyć błędu i pozwolić wywieść się w pole.

– Dostarczyłeś jej ludzi?

Griff trząsał się ze złości.

– Ja... tak.

– Gdzie prowadziła te doświadczenia? Powiedz, do cholery!

– Puść mnie – odparł Bartholomew drżącym głosem – a zrobię coś więcej.

– To znaczy?

– Pokażę ci.

Rozdział 57

DZIEŃ 7

1.00 CST

Griff mocno przyciskał mu wykręconą rękę do grzbietu i szedł tuż za nim.

– Nie mam zamiaru znowu uciekać – tłumaczył Bartholomew. – Obiecuję. W ogóle nie powinienem był tego robić. To... dlatego, że mnie zaskoczyłeś. Proszę, to naprawdę boli.

– A ja nie mam zamiaru znowu ryzykować. Samozwańczy duszpasterz umilkł i poprowadził Griffa przez dwa słabo oświetlone korytarze, a potem po krótkich schodach, na końcu których znajdowały się grube dębowe drzwi. Ściany były zrobione z betonowych bloków, pomalowane na popielato i bardzo brudne.

– Jeżeli mam cię zaprowadzić na dół, będziesz musiał mnie puścić.

– Puszczę – odparł Griff – ale musisz wiedzieć, że napytałeś sobie więcej biedy, niż myślisz.

– Jak to?

– Oboje z Sylvią Chen jesteście częściowo odpowiedzialni za chorobę i śmierć, które szerzą się w Kapitolu. Ona nie żyje.

Została zamordowana. Wystaw teraz moją cierpliwość na próbę, a nie zawaham się zrobić ci krzywdy. I jestem gotów się założyć, że wszyscy temu przyklasną.

Bartholomew z trudem spojrzał przez ramię. Wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Mówisz o prezydencie? – zapytał.

Griff próbował rozszyfrować jego słowa. Czyżby Bartholomew wiedział, że prezydent był zamieszany w to, co Sylvia Chen robiła w misji? Wydawało się niemal pewne, że odpowiedź brzmi „nie”. Allaire, przynajmniej w tym aspekcie prac Chen, był prawdopodobnie niewinny. Griff postanowił, że odtąd w razie potrzeby będzie szukał u niego pomocy. Jak najszybciej podzieli się z prezydentem rosnącymi podejrzeniami co do Paula Rappaporta.

– Doświadczenia, w których pomogłeś Chen, nie miały nic wspólnego

z uzależnieniem od narkotyków. Były częścią programu badań biologicznych, w których uczestniczyłem. Jestem naukowcem.. wirusologiem tak samo jak Chen. Wirus, który udoskonaliliśmy i który pomogłeś jej wypróbować na ludziach z misji, jest tym, co terroryści wypuścili podczas orędzia o stanie państwa.

– O Boże. Słyszałem w wiadomościach, że to tylko jakaś odmiana grypy, nic...

– Wiesz, że jest zabójczy, prawda?... Prawda?

Duchowny pochylił głowę, po czym zaczął płakać.

– Robiłem takie okropne rzeczy – przyznał. – Takie okropne rzeczy...

Jego głos zanikł, a ciałem wstrząsał szloch. Griff musiał sobie przypomnieć, że brat Xavier Bartholomew jest najprawdopodobniej socjopatą zdolnym na zawołanie okazać odpowiednie emocje.

– Jeżeli będziesz współpracował i powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, obiecuję wstawić się za tobą. Zrozumiałeś?

Bartholomew skinął głową z przygnębieniem. Griff puścił go i cofnął się ostrożnie o krok, gotów w każdej chwili zareagować. Potrząsając odrętwiałą ręką, mężczyzna wyciągnął spod sutanny czarny sznur. Zwiślał na nim duży staroświecki klucz, który wyglądał jak wzięty prosto z planu jakiegoś horroru. Przekreślił go w zamku solidnych drzwi ze szczękiem, który odbił się od ścian. Potem, po mocnym szarpnięciu za ozdobną klamkę, drzwi otworzyły się, skrzypiąc.

Za drzwiami znajdowały się spiralne kamienne schody słabo oświetlone poświatą docierającą z jakiegoś pomieszczenia u dołu.

– Dużo jest takich miejsc w Wichita? – zapytał Griff.

– Być może, ale o żadnym innym nie słyszałem. Najwyraźniej człowiek, który wznosił ten budynek był trochę... jak by to określić... ekscentryczny.

– Załóżę się, że mógłbym znaleźć kilka bardziej stosownych określeń.

Bartholomew ruszył po schodach, a Griff ostrożnie podążył za nim. Schody były wąskie i tak strome, że musiał się podpierać jedną ręką. W miarę jak zstępowali coraz niżej, w przenikliwie zimnym powietrzu coraz bardziej załatywało stęchlizną. Gładkie wcześniej ściany przeszły w nagą skałę.

Rzeczywiście ekscentryczny.

Schody wreszcie się skończyły zaskakująco dużym okrągłym pomieszczeniem, od którego promieniście rozchodziły się trzy ciemne korytarze. Na jego ścianach, przymocowane metalowymi gwoździami wbitymi w kamień, wisiały narzędzia tortur – pejczy, pałki, trzcinowe laski, kajdany i łańcuchy. To miejsce ożywiło wspomnienia Rhodesa z celi w Alcatraz Gór Skalistych.

– Co to za miejsce? – zapytał Griff.

– Wierz lub nie, kiedyś była tu piwnica na wino. Potem przekształciłem ją w coś, co wielu moich akolitów nazywa ośrodkiem rzeczy wszelakich.

– To tutaj bijesz ludzi?

– To była terapia awersyjna, zastrzeżona tylko dla niereformowalnych narkomanów i alkoholików. tych, u których zawiodło wszystko inne, w tym AA. Cokolwiek mogłeś na ten temat słyszeć, miałem sporo sukcesów.

– W porządku. Czy to tutaj właśnie prowadziłeś swoją... terapię awersyjną?

– Nie.

Bartholomew pstryknął zamontowanym na ścianie przełącznikiem. W korytarzu na wprost nich zapaliły się maleńkie kolorowe lampki choinkowe na długim przewodzie przybitym do sufitu.

Dziwaczne... makabryczne... zatrważające... odrażające...

Griff szukał najtrafniejszego określenia i stwierdził, że wszystkim czegoś brakuje.

Bartholomew pochylił się, żeby przejść pod łukiem, i dał Griffowi znak, żeby poszedł za nim. Para z ich ust wisiała teraz w zimnym powietrzu, a woń stęchlizny – zapach strachu... i śmierci – była tym bardziej nieznośna, im głębiej się zapuszczali. Griff zadrżał. Wentylacja była śladowa. Zaczął się pocić pod kurtką.

Korytarz otworzył się na kwadratowy pokój – rodzaj przedsionka. W trzech jego ścianach znajdowały się kamienne wnęki. Każda miała drewniane drzwi z niewielkim zakratowanym okienkiem pośrodku górnej połowy.

– Tutaj prowadziłem moją pracę misyjną – wyjaśnił Bartholomew. – Czasami trzymałem tu przez wiele dni bez jedzenia moich braci. Czasem, w razie potrzeby, ich biłem. Kluczem było osłabienie ich woli.

Straszna ironia zawarta w tym stwierdzeniu dotarła do świadomości Rhodesa z całą mocą. Rozmyślał ponuro o dniu, w którym poznał Sylvię Chen w jej gabinecie na uniwersytecie Columbia, i o decyzji, by przenieść się do Nowego Jorku i pracować z nią nad rozwojem pewnego drobnoustroju. Kluczem jest osłabienie ich woli. Niewykłuczone, że wypowiedziała te właśnie słowa.

– Twoich braci i siostry? – zapytał go teraz Griff.

– Tych, którzy przyszli do mnie po ratunek.

– Masz na myśli swoich więźniów.

– Mogli odejść w każdej chwili. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Prosilili o tę terapię, dopiero gdy zawiodła pomoc AA i inne programy.

Griff przesunął palcami po drzwiach jednej z wnęk i próbował sobie wyobrazić, jak odbierali tę terapię nieszczęśni bracia i siostry Xaviera Bartholomew.

– Jak wytłumaczysz istnienie tych zamków?

Bartholomew przybrał skruszony wyraz twarzy.

– Zainstalowałem je wskutek nalegań Sylvii Chen.

– Wyjaśnij mi to.

– Przyszła do mnie z propozycją. Dobrze zbadła moją przeszłość i wiedziała o moim aresztowaniu oraz wynikłych z niego kłopotach finansowych. Zaproponowała mi sposób na to, bym znowu stanął na nogi, a równocześnie dalej pomagał ludziom.

– Więc ci zapłaciła?

Griff pamiętał jak przez mgłę wizytę, którą przed kilkoma laty złożył w Kalveście jakiś biurokrata z jednej z rządowych izb rewizyjnych. Zastanawiał się teraz, czy Chen żonglowała danymi księgowymi, żeby ukryć tę tajną operację. Zastanawiał się też, czy prezydent był w nią w jakiś sposób zamieszany.

– Zapłaciła za wszystko – potwierdził Bartholomew. – Za sprzęt, który sprowadzono. Za wszystko.

– Jaki sprzęt?

– Śluzы powietrzne, przegrody i pryszniczce oraz rozmaite dziwne urządzenia.

– Czy nosiła skafander ochronny, gdy tutaj pracowała?

– Jeżeli chodzi o taki skafander, o jakim myślę, to nosiła go cały czas.

– A ludzie, na których prowadziła prace badawcze... twoi pensjonariusze?

– Byli alkoholikami i narkomanami najgorszego sortu. Przychodzili tutaj na posiłek i modlitwę i często zostawali. Byli samotnymi ludźmi. Bez rodziny. Bez przyjaciół. Jak powiedziałem, najgorszego sortu.

Mylisz się, pomyślał Griff. To ty jesteś osobnikiem najgorszego sortu. Ty i Sylvia Chen.

– A więc bracia i siostry, na których eksperymentowała doktor Chen... wszyscy zmarli?

Griff stłumił nową falę gniewu.

– Tak.

– Ilu ich w sumie było?

– Nie wiem. Sześcioro? Siedmioro? Ośmioro?

Skutki zachłanności – finansowej i naukowej.

Griff poczuł skrajną odrazę.

– Co zrobiliście z ciałami?

– W głębi drugiego korytarza mamy duży piec, ogrzewający cały budynek. Kremowaliśmy w nim zwłoki, a potem wrzucaliśmy prochy do stalowego cylindra.

– Dlaczego mi to wszystko teraz mówisz?

Łzy popłynęły po zarumienionych policzkach Xaviera.

– Dlatego, że modliłem się o to, żebyś się zjawił – odparł, wstrząsany gwałtownym szlochem. – Miałem zbyt słaby charakter, by skończyć z sobą. A wierz mi, chciałem to zrobić.

I próbowałem... niejednym razem. Modliłem się więc, by ktoś dowiedział się prawdy

i przyszedł uwolnić mnie od moich grzechów. Przypuszczam, że ty jesteś tym kimś.

Szarlatan w sutannie w równym stopniu mierzył Griffa i budził w nim współczucie. Jego intencje mogły być kiedyś uczciwe. Jednak metody i chciwość nigdy takie nie były.

– Według moich informacji nie wszyscy uczestnicy eksperymentów Chen zmarli.

Bartholomew skinął głową.

– To prawda. Jeden z nich uciekł. Uległem Chen i zacząłem tu przychodzić i nosić te, jak je nazwałeś, skafandry ochronne. Nie miałem doświadczenia w pracy w tych okropnych skafandrach i nie zamknąłem należycie celi. Chen obwiniła mnie o to.

– Czemu ten człowiek nie zadenuncjował was obojga po tym, jak się stąd wydostał?

– To nie było w stylu starego J.R. Myślał tylko o sobie. Poza tym był już poszukiwany za rabunek z bronią w ręku w jakimś sklepie spożywczym. Był silnie uzależniony. Naprawdę silnie. Takie uzależnienie wymaga stałego zaspokajania głodu.

– Co oznaczają jego inicjały?

Bartholomew nie odpowiedział od razu. Wykorzystał już niemal wszystkie atuty i Griff zauważył, że próbuje wykombinować jakiś układ. Wirusolog nie potrafił dłużej powstrzymać gniewu. Rzucił się na duszpasterza, chwytając go za sutannę i popychając na kamienną ścianę.

– Podaj mi jego nazwisko! – wychrypiał.

– Davis. Johnny Ray Davis. Nazywał się jednak J.R., jak ten gość z telewizji.

Griff czuł, że serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Puste miejsce obok nazwiska mężczyzny zapisanego w notesie Chen nie było przypadkiem. Z pewnością mógł uciec, zanim został narażony na kontakt z wirusem WRX3883. Ale z drugiej strony...

– Wiesz, czy Chen podała J.R. wirus? – zapytał. Bartholomew zawahał się i Rhodes z całej siły uderzył go w twarz, po czym uniósł rękę, by ponowić cios. – Moja cierpliwość się skończyła, krętaczu. Odpowiedz!

W kąciку ust Xaviera pojawiła się strużka krwi. Nawet w przyćmionym świetle Griffdostrzegł na jego policzku szkarłatny odcisk swojej dłoni.

– On... był tutaj ponad tydzień, więc przypuszczam, że otrzymał wirus. Tak naprawdę jestem tego pewien.

– I nie zachorował?

– O ile wiem, nie. Czuję się na tyle dobrze, by otworzyć wytrychem zamek na

górze, a potem ukraść sporo rzeczy z mojego biurka, zanim się stąd zabrał.

– Chryste – wyszeptał Griff. Serce waliło mu jak młot. – Wiesz, gdzie teraz jest? Bartholomew spojrział na niego z udawaną brawurą.

– Co ja będę z tego miał?

– Szansę żyć – warknął Griff, chwytając go z wściekłością za gardło.

Bartholomew zdołał dać znak głową, że się poddaje, i Griff zwolnił uścisk.

– Jest w więzieniu. Zakład karny El Dorado. Niezły numer. Uciec stąd i wylądować w El Dorado.

– Za co tam siedzi?... Pytam, za co tam siedzi?

Griff widział, jak opór stawiany dotąd przez mężczyznę słabnie do cna.

– Za morderstwo. I do tego podwójne – odparł Bartholomew. – Ten drań czeka tam na egzekucję.

Rozdział 58

DZIEŃ 7

6.30 CST

Zakład karny El Dorado, usytuowany na wschód od miasta o tej samej nazwie, był rozległym kompleksem budynków z szarego betonu, najwyraźniej zaprojektowanych tak, by mogły wtopić się w wymarłe otoczenie.

Po wysłuchaniu wyznań brata Bartholomew Griff skontaktował się z prezydentem. Uznał, że pora mu zaufać. Był przekonany, że poza finansowaniem badań Sylvii Chen James Allaire nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki je prowadziła. W reakcji na jego raport o Misji Pewna Droga i J.R. Davisie prezydent zmobilizował wszystkie środki, jakie miał do dyspozycji. Najwyraźniej rozumiał, że uwięzieni w Kapitolu mogą nie doczekać.

Teraz wojskowa eskorta Griffa, zorganizowana w zdumiewająco krótkim czasie, przejechała przez dwa ogrodzenia, jedno z drucianej siatki, a drugie z mocno naciągniętych stalowych lin. Oba były zwieńczone drutem kolczastym.

Kierowca limuzyny wiozącej Griffa spojrział na zegarek.

– Normalnie dojazd tutaj z Wichita zajmuje czterdzieści minut – powiedział zza przegrody. – My uporaliśmy się z tym w ciągu dwudziestu z małym hakiem.

W powietrzu nad nimi wisiały, wzbijając pył, trzy helikoptery Apache; ich załogi obserwowały okolicę. Ekipa strażników więziennych przywitała czarną opancerzoną limuzynę Griffa przy bramie, a potem eskortowała karawanę na główny parking więzienia. Transportery Humvee niczym ruchome ściany osłaniały limuzynę z każdej strony. Karetki i policyjne radiowozy wraz ze sznurem motocykli także wchodziły w skład kolumny transportowej, która zajęła większość wolnych miejsc parkingowych na rozległym terenie więzienia. Doktor James Allaire jako prezydent najwyraźniej nie lubił się ograniczać, szczególnie gdy stawką było życie jego i jego rodziny.

Griff wysiadł na asfaltowym placu i osłonił oczy przed wczesnoporannym słońcem i podmuchami wywołanymi przez helikoptery. Dołączyła do niego

brygada antyterrorystyczna wraz z żandarmerią wojskową i funkcjonariuszami więziennymi. Rhodes podejrzewał, że polecono im chronić go przed zamachowcami. Dobrze było zobaczyć, że Allaire w końcu oddaje terrorystom z Genesis sprawiedliwość.

Krąg uzbrojonych ochroniarzy rozstał się, by przepuścić do Griffa mężczyznę w ciemnym garniturze, z rzednącymi włosami i okazałym brzuchem. Jego policzki porastała starannie przystrzyżona siwobrazowa broda. Mężczyzna energicznie uściśnął dłoń Rhodesa i przekrzykując wizg silników, powiedział:

– Jay Tobert. Dyrektor więzienia. Witam w El Dorado. Zapoznamy pana z procedurami i jak najszybciej doprowadzimy do więźnia. Liczę na to, że miał pan okazję przejrzeć akta, których pan sobie zażyczył?

Griff skinął głową. Otrzymał przefaksowane kartki od jednego z żandarmów i w drodze do więzienia o zaostrowym rygorze przeczytał wszystko o Johnnym Rayu Davisie. Oskarżony o zastrzelenie małżeństwa podczas nieudanej kradzieży ich samochodu został skazany na śmierć. Początkowo nie przyznawał się do winy, jednak dowody zawarte w aktach były niepodważalne. Ekspertyzy specjalistów od medycyny sądowej i balistyki powiązały Davisa z tą zbrodnią. Kilkoro wiarygodnych świadków wzmocniło argumenty oskarżenia.

Griff przełknął ślinę, spoglądając na kamienne mury i stalowe kraty. Czym innym było przypomnienie odsiadki w więzieniu, a czymś zupełnie innym powrót do niego. Miał wrażenie, że beznadzieja i rozpacz, które na powrót poczuł, nigdy go nie opuściły.

– Czekają na pana w biurze przyjąć – rzekł dyrektor. – Najpierw pójdziemy do wieży wschodniej, żeby pana sprawdzić. Potem udamy się do budynku dla pospolitych przestępców. Tam właśnie spotka się pan z Davisem.

Griff ruszył za Tobertem, a batalion ochroniarzy podążył w ślad za nim.

– Wygląda na to, że ma pan znajomych na dość wysokich stanowiskach – zauważył powściągliwie dyrektor w drodze do wieży wschodniej. Gdy Griff w odpowiedzi tylko skinął głową, Torbet dalej próbował uzyskać jakieś informacje.

– Nie co dzień dzwoni do mnie prezydent Stanów Zjednoczonych, żeby poprosić o specjalny dostęp do więźnia.

– Nie co dzień – powtórzył jak echo Griff.

– Rozumiem, że policja w Wichita aresztowała tego Bartholomew, gdy wyjeżdżał z miasta.

Griff znowu skinął głową.

– Próbował uciec – powiedział. – Chyba wpadł w panikę, gdy zadzwoniłem do Waszyngtonu. Zdaje mi się, że wkrótce będzie go pan tu gościł.

– Starannie dbamy o to, by nasi więźniowie przebywali tam, gdzie powinni.

Odkąd jestem tu dyrektorem, nikomu nie udało się stąd uciec. I dobrze, bo gdyby Johnny Ray kiedyś stąd zwał, cholernie trudno byłoby go schwytać.

– A to dlaczego?

– Ten chłopak to urodzony biegacz – odparł Torbet. – Przypuszczam, że mógłby pobiec prosto do Kalifornii, nie zatrzymując się i nie dostając nawet zadyszki. Gdy biega na dziedzińcu, nigdy się nie męczy. Naprawdę nigdy.

– Cóż, nie wiem, co się stanie z Bartholomew w areszcie – rzekł Griff. – Ale mam nadzieję, że nic dobrego.

Rhodes liczył również na to, że Allaire dotrzyma obietnicy i przeświecili Paula Rappaporta. Ta część ich krótkiej rozmowy wcale nie była przyjemna. Zadzwoił na numer alarmowy prezydenta z ciasnego zagraconego gabinetu Xaviera Bartholomew w Misji Pewna Droga.

– Rappaport się zjawia i od razu ginie Melvin – powiedział prezydentowi – zamordowany przez kogoś, kto pracował dla Genesis. Wyjaśni mi pan, skąd terroryści wiedzieli o naszych zamiarach?

– Nie potrafię – odparł Allaire. – Ale nie miał pan prawa narażać naszych działań, wymykając się z Kalvesty. Oszukał mnie pan i to mi się bardzo nie podoba.

– Pan wybaczy, że to powiem, panie prezydencie, ale niespecjalnie obchodzi mnie, co się panu podoba. Obchodzi mnie, co pan robi. I teraz musi pan coś dla mnie zrobić.

– Co?

– Właściwie to dwie rzeczy. Chcę, żeby traktował pan Rappaporta jak podejrzanego. Kazał go obserwować. Zlecił, by go śledzono. Założył mu podsłuch. Dotarł do jego komputerów. Nasłał na niego CIA, NSA, FBI i dowolne inne służby, jakie przyjdą panu do głowy. Zebrał dossier, w którym będzie wyszczególnione, co jadał rano na śniadanie przez ostatnie dziesięć lat. Jestem przekonany, że to on, i w którymś momencie okaże się, że nas wsypał. To on stoi za Genesis. Zrobił to, żeby zostać prezydentem.

– Myśli pan, że zaaranżował rabunek w domu córki, w czasie gdy brała prysznic? – zapytał Allaire. – Że zniszczyły ją psychicznie, zlecając pocięcie i rozrzucenie jej bielizny na łóżku, po to tylko, żebym wyznaczył go na swojego następcę?

– Ktoś, kto naraził na śmierć pana i pozostałych w Kapitolu, jest zdolny do wszystkiego – odparł Griff. – Przygotowania do uwolnienia WRX3883 prowadzone były od dłuższego czasu. Cała działalność Genesis: zaciemnienie Nowego Jorku oraz tamte wybuchy, stanowiła jedynie wstęp do ataku podczas inauguracji.

– Pomyślę o tym – rzekł tylko Allaire. – A ta druga rzecz?

– Niech pan poleci sierżantowi Staffordowi, żeby poszedł z paroma ludźmi do szybu wentylacyjnego i wyciągnął ciało Melvina. On był bohaterem. Jeżeli wyjdzie pan z tego, niech pan pamięta, że zasłużył na Kongresowy Medal Honoru lub jakiś cywilny odpowiednik.

– Załatwione. A teraz niech pan jedzie do tego więzienia i tym razem informuje mnie na bieżąco o swoich działaniach.

Griff odtwarzał w myślach tę rozmowę, gdy zaskoczyło go głośne brzęczenie. Zesztywniał na ten dźwięk. W ciężkich metalowych drzwiach otworzył się zamek i brzęczenie ucichło.

– Ciężko jest wrócić za kratki, co? – zauważył dyrektor, najwyraźniej świadomy przeszłości Griffa.

– Nie ma pan pojęcia, jak ciężko – odparł Griff.

– Cóż, na szczęście dla mnie ma pan rację.

Griff zaliczył bez przeszkód procedurę sprawdzenia i wszedł za dyrektorem na więzienny dziedziniec. Helikoptery nadal krążyły nad nimi niczym myszołowy w powracającym śnie o eboli. Po przejściu przez skrawek jałowej ziemi wkroczyli do budynku dla pospolitych przestępców. Korytarze były ciche i opustoszałe.

– Na czas pańskiej wizyty kazałem zamknąć cele – oznajmił z dumą Tobert.

– Dzięki. Jestem pewien, że nie przysporzy to J.R. Davisowi popularności.

– On potrafi zatroszczyć się o siebie. Prawda wygląda tak, że większość więźniów się go boi.

Dyrektor otworzył drzwi z napisem POKÓJ DLA ADWOKATÓW i skinął na Rhodesa, by ten wszedł za nim do środka.

Griff był zaskoczony, gdy zobaczył tylko rozkładany stół z plastikowym krzesłem z każdej strony, bez przegrody z pleksi oddzielającej adwokatów od więźniów. Usiadł przy stole twarzą do wejścia. Za nim stanęło czterech strażników.

Rozległ się brzęczyk, po czym otworzyły się drzwi. Weszło trzech następnych strażników eskortujących mężczyznę w pomarańczowym więziennym kombinezonie. Na rękach i kostkach miał kajdany. Usiadł w asyście dwóch strażników. Wierzchy obu jego dłoni pokrywały wyblakłe tatuaże kobiet. Miał krótko przystrzyżone maszynką, czarne jak smoła włosy, wąską końską twarz, a górna warga została rozcięta w jednym miejscu i zszyta tak niestarannie, że brzegi cynobrowej obwódki się nie stykały. Skutkiem tego na jego ustach zagościł permanentny szyderczy uśmiech.

Lecz najbardziej znamiennej cechą Johnny’ego Raya Davisa, która niemal natychmiast uderzyła Griffa, były jego oczy.

Prawe było błękitne... a lewe piwne.

Rozdział 59

DZIEŃ 7

7.00 CST

– Johnny Ray Davis? – zapytał Griff, chociaż widział już zdjęcia bladego skazańca.

– J.R. Kim pan jest?

Davis mówił z dziwnym nosowym akcentem, który Griffowi kojarzył się po trosze ze Środkowym Zachodem, a po trosze z Kreolami.

– Griffin Rhodes. Jestem wirusologiem.

Davis zeszywniał. Wyraz strachu w oczach osłabił nieco jego wizerunek twardego.

– Współpracownikiem tej kobiety z misji w Wichita?

– Kiedyś nim byłem. Ona nie żyje.

– To dobrze. Próbowałem doprowadzić do zapuszkowania tych skurwieli za to, co mi zrobili. Jej i tego szemranego kaznodziei. Zadzwoiłem na policję, ale nie mogłem podać nazwiska. Nie chodziło tylko o mnie. Byli też inni. Ale policja nie chce słuchać donosów jakiegoś ćpuna. Wie pan, co mam na myśli? Ma pan papierosy?

– Przykro mi.

– Może więc pośle pan kogoś po nie?

Zabójca wiedział już, że cokolwiek jest grane, uzyskał możliwość nacisku. Griff przestrzegał siebie w duchu przed lekceważeniem tego człowieka. Odwrócił się do dyrektora, który uznał, że osobisty nadzór nad najważniejszym w jego karierze widzeniem z więźniem leży w jego najlepszym interesie.

– Może pan to załatwić? – zapytał Griff. – Papierosy?

– Czerwone marlboro – sprecyzował Davis.

– Dostaniesz to, co zawsze – warknął dyrektor.

Jeden strażnik sam, bez żadnych sugestii, wyszedł z pokoju, żeby przynieść papierosy.

Griff pochylił się nad stołem.

– Co z tobą zrobili, J.R.? – zapytał cicho współczującym tonem.

Widział niemal, jak obracają się tryby w głowie więźnia. Davis wyraźnie nie był skłonny zdradzać czegokolwiek za darmo.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

– Muszę wiedzieć, co się z tobą stało w Misji Pewna Droga.

– Po co?

– To ważne.

– Co będę z tego miał?

– Specjalne przywileje.

Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Dyrektor spojrzał na niego z dezaprobatą i rzekł:

– O tym nie było mowy.

Zniecierpliwiony i wyczerpany Griff posłał mu w odpowiedzi gniewne spojrzenie.

– Jestem pewien, że rząd federalny znajdzie jakiś sposób, żeby panu zrekompensować wszelkie dodatkowe koszty i obciążenia.

Dyrektor uśmiechnął się szeroko, Davis też.

– Rząd federalny? – powiedział przestępca. – Ma pan na myśli prezydenta?

– Zgadza się.

– Więc to nie tylko pogłoska.

– „To”, czyli co?

Davis wyprostował się bardziej i zastępował w szybkim rytmie.

– W celach krążą słuchy, że to sam prezydent zaaranżował to spotkanie.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał Tobert.

Griff uznał w tym momencie, że w każdym starciu charakterów lub intelektów między więźniem a jego strażnikiem postawiłby na więźnia.

– Spokojnie, dyrektorze – odparł Davis. – Skazańcy i strażnicy rozmawiają. My się czegoś dowiadujemy, oni też. Więc to prawda? Przysłał pana prezydent?

– Tak.

– To ma związek z tym, co się dzieje w Waszyngtonie? – Davis dostrzegł zaskoczenie na twarzy Griffa. – W bibliotece mamy dostęp do gazet. Nie wszyscy z nas są tak tępi, na jakich wyglądają. Niektórzy potrafią nawet czytać.

– Chodzi o Kapitol.

Davis zamyślił się, wodząc poślizniętym od nikotyny paznokciem po bliźnie na wardze.

– Specjalne przywileje, co?

– A teraz powiedz mi, co się działo w Misji Pewna Droga.

Davis milczał. Wpatrywał się w Griffa swoimi różnokolorowymi oczami i nie odzywał się, dopóki strażnik nie wrócił z paczką papierosów i popielniczką, nie zapalił papierosa i nie wręczył mu go. Więzień męczył się trochę z kajdankami, żeby wsunąć papieros do ust. Potem zaciągnął się mocno i wypuścił smugę dymu w kierunku dyrektora.

– Robili na mnie doświadczenia – odparł. – Kobieta w białym skafandrze, wyglądająca jak astronauta, to znaczy astronautka, pryskała mi czymś w twarz. Robiła mi też zastrzyki. I prawie codziennie pobierała mi krew z ręki.

– Mówiła, co wstrzykuje?

– Powiedziała, że to pomoże mi oczyścić organizm z narkotyków – odparł Davis.

– Ale nie uśmierzyło głodu. Kiedyś usłyszałem, jak ona i ten szemrany mnich rozmawiali o paleniu ciał. Ale, jak już panu mówiłem, policja nie potraktowała mojego doniesienia poważnie. To ta Chinka i ten dupek w sutannie powinni tutaj siedzieć, nie ja.

– Czy przeprowadzali na tobie jakieś inne eksperymenty?

– Pytała mnie o różne rzeczy.

– Jakiego rodzaju?

– Dała mi kiedyś talię kart – zaczął Davis. – Na każdej była liczba, od jednego do dziesięciu, a czasem jakaś figura, na przykład gwiazda lub kółko. Potem kazała mi wybrać jedną kartę i przyjrzeć się jej uważnie. Nie wolno mi było pokazywać jej tej liczby, ale ona pytała, jaka to liczba. Czasem mówiła, że muszę skłamać, na przykład gdybym miał czwórkę, miałem powiedzieć, że to szóstka lub inna liczba. Rozumie pan?

– Mów dalej – rzekł Griff. – Świetnie ci idzie.

– Potem jednak pytała, czy ją okłamuję. No jasne, że ją okłamywałem – powiedział ze śmiechem. – Przecież mi kazała. Takie otrzymałem polecenie. Ale naprawdę dziwne, i na tym polegała trudność, było to, że czasami mówiła, że jeżeli przyznam się do kłamstwa, przypali mi skórę na ręce lutownicą.

– Miałeś więc mówić, że nie kłamiesz w kwestii liczby na karcie, chociaż kłamałeś.

– Zgadza się. Proste. Nie, nie kłamię, to naprawdę siódemka, więc nie przypalaj mi skóry.

– I co się działo, gdy pytała, czy kłamiesz?

– Byłem trochę zamroczony... na wpół śpiący, jeśli pan wie, co mam na myśli. Ale wiem, że mówiłem jej prawdę. Przyznawałem się, gdy kłamałem, i wtedy, gdy mówiłem prawdę.

Davis spojrział na papierosa, wyraźnie wyprowadzony z równowagi swoimi wspomnieniami.

– Przyznawałeś się do kłamstwa, chociaż to oznaczało, że zostaniesz oparzony?

Davis obrócił swoje żylaste ręce i pokazał Griffowi ciąg krzyżujących się blizn, które pokrywały oba przedramiona i sięgały prawie do bicepsów. Niemal na pewno były to blizny po oparzeniach. Griff poczuł mdłości i gwałtowne przyspieszenie tętna.

To był dowód!

– Czy próbowałeś kiedyś ją okłamać?

– Za każdym razem – przyznał Davis. – Wiedziałem, jak boleśnie parzy ta przekłeta lutownica. Ale ona prosiła: Johnny Ray, mów prawdę. Czy teraz mnie okłamujesz? Czasami kręciłem głową, że nie, ale potem odpowiadałem, że tak. I wtedy przypalała mi rękę lutownicą. I robiliśmy to dziesiątki razy.

Davis, przygnębiony tymi wspomnieniami, poprosił strażnika o jeszcze jednego papierosa.

Griff nie mógł oderwać od niego oczu. Nie dość, że ten człowiek przeżył kontakt z WRX3883, to jeszcze wirus w jego ciele rzeczywiście działał na ośrodek woli. Mimo wszystkich wad Chen test, który wymyśliła, był naprawdę genialny – genialny i wspinały w swojej prostocie. Johnny’emu Rayowi Davisowi brakowało siły woli, chociaż wiedział, że konsekwencją prawdomówności będzie dojmujący ból.

Potem Rhodes poczuł narastający ucisk w żołądku. Rozpaczliwie potrzebował krwi tego człowieka. Musiał ją zbadać, dojść do tego, co pozwoliło mu przeżyć w sytuacji, gdy wszyscy pozostali poumierali. Wiedział jednak również, że wykorzystanie surowicy krwi Davisa będzie równoznaczne z najbardziej skandalicznym pogwałceniem własnego kodeksu. Poświęcił swoje życie zawodowe badaniom na modelach komputerowych, nie na zwierzętach. Ale „Orion” stale sprawiał mu zawód, a czas upływał. Żeby jego program zadziałał, musiał wprowadzić do niego lepsze dane, a dane, których potrzebował, krążyły w żyłach i tętnicach mężczyzny siedzącego naprzeciwko.

Czy to, że Johnny Ray Davis został skazany za podwójne morderstwo, miało jakieś znaczenie? Czy miało znaczenie to, że to nie Griff naraził go na kontakt z wirusem i badał jego skutki? Prędzej czy później wszystkie leki przeznaczone do stosowania u ludzi bądź zwierząt trzeba było wypróbować na ludziach lub zwierzętach. Gdzie należało wytyczyć granicę?

Pomóż mi, Louiso. Pomóż mi to rozstrzygnąć.

– Potrzebuję twojej krwi – powiedział bezwiednie.

Davis potraktował to życzenie tak, jak mógłby potraktować wymianę papierosa za dziesięć dolarów.

– Ile? – zapytał.

– Całej.

Davis wykrztusił gęsty kłęb dymu i zgasił rozżarzonego peta.

– Jak to możliwe?

– To się nazywa plazmafereza – wyjaśnił Griff. – Zastąpimy twoją krew roztworem albumin, a w razie potrzeby świeżą krwią tej samej grupy. W szpitalach stale się to robi.

– Czemu to ma służyć? Próbuje pan dojść do tego, czemu wciąż żyję?

– Tak, właśnie tego staram się dowiedzieć.

– A jak pan myśli, dlaczego nie umarłem?

– Gdybym miał snuć przypuszczenia?

– Owszem.

– Masz heterochromię – odparł Griff.

– Hetero-co?

– Twoje oczy. Są różnobarwne. To znacznik genetyczny. Często towarzyszy innym konfiguracjom genetycznym. Właśnie dlatego potrzebna mi twoja krew. Muszę sprawdzić, co w niej jest odmiennego... co jeszcze oprócz genu decydującego o kolorze oczu. Bo szczerze mówiąc, powinieneś już nie żyć.

– Moja siostra ma oczy identyczne jak moje.

– Nie dziwi mnie to.

– Czy to nie kapitalne? – zauważył Davis. – Potrzebuje pan mojej krwi. Ale przecież nie może mnie pan wypatroszyć jak ryby, prawda?

– Nie mogę.

– Ale w gruncie rzeczy chodzi o to, że moja krew jest potrzebna samemu prezydentowi.

– Mam tu oświadczenie, które będziesz musiał podpisać, żeby zezwolić na transfuzję – rzekł Griff.

– Nie tak szybko, amigo – odparł Davis. – Wiesz przecież, że jestem niewinny. Te dranie mają zamiar posłać mnie na krzesło elektryczne za przestępstwo, którego nie popełniłem.

Przez głowę Griffa przemknęły zdjęcia brutalnie zamordowanego małżeństwa, które widział w aktach sprawy.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby cię osądzać, J.R. Jestem tu po to, by pobrać od ciebie krew.

– Cóż, pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, że jestem niewinny, zanim panu powiem, ile to będzie kosztować.

– Chcesz pieniędzy?

Davis wybuchnął gwałtownym śmiechem i zapalił kolejnego papierosa.

– Nie, ty tępy kutasie – rzucił. – Chcę, żebyś zadzwonił do swojego kumpla,

pana prezydenta, i zmusił go do całkowitego darowania mi kary. Możesz oczywiście mieć moją krew, ale zanim oddam ci choćby jedną niewinną kroplę, będę wolnym człowiekiem.

Rozdział 60

DZIEŃ 8 9.00 CST

Kuchnia przypominała wymarłe miasto. Skafander Griffa odcinał go od rzeczywistości, gdy w pobliżu był Melvin. Teraz jedynie wzmagał w nim uczucie niezmiernego smutku i samotności. Każda procedura badawcza wydawała się ostatnią, jaką będzie w stanie wykonać. Nawet kryzys w Kapitolu i tykająca bomba w postaci WRX3883 nie były wystarczającą motywacją. Przy pracy trzymały go wyłącznie myśli o Angie.

Gdy Chad Stafford i jego ludzie wyciągnęli Melvina z szybu wentylacyjnego i wrócili na teren ośrodka, Griff spędził jakiś czas sam obok plastikowego worka z ciałem przyjaciela. Rodzina w Wirginii Zachodniej zdecydowała się na kremację i nabożeństwo żałobne. Griff obiecał siostrze i matce Melvina, że jeżeli prezydent przeżyje kryzys w Kapitolu, zjawi się na nabożeństwie, żeby uhonorować człowieka, który uczynił tak wiele, aby ocalić jego życie.

Teraz wiedział, że znowu potrzebuje pomocy tego chudego, mającego dziwne obsesje człowieka, swojej bratniej duszy – tym razem w postaci motywacji, by dalej badać surowicę krwi Johnny’ego Raya Davisa i wprowadzać nowe dane do programu, który nazwał na cześć mitycznego myśliwego.

Griff prawie się nie odzywał podczas lotu wojskowym helikopterem z El Dorado do Kalvesty. W myślach raz po raz odtwarzał piosenkę *Dazed and Confused*¹¹ Led Zeppelin. Odkąd opuścił laboratorium, minęło trzydzieści sześć godzin – trzydzieści sześć godzin, w ciągu których prawie nie spał, patrzył, jak z rąk mordercy ginie najbliższy przyjaciel, i był maltretowany na ciele i duszy.

*

Oszołomiony i zmieszany.

Prezydent niemal natychmiast ułaskawił Davisa – co dowodziło, jak krytyczna stała się sytuacja siedmiuset osób czekających w Kapitolu na wiadomość, że może nie umrzeć. Griff zostawił teraz już byłego więźnia w szpitalu, gdzie przechodził plazmaferezę. Dziedzictwo WRX3883: kolejne makabryczne zabójstwa, a teraz jeszcze uwolnienie podwójnego mordercy.

Paul Rappaport nadal przebywał w Kalveście i powitał tam Griffa, gdy ten wysiadł z helikoptera. Uścisnęli sobie dłonie, ale Rhodes nawet nie próbował ukryć oziębłego stosunku do sekretarza.

Jesteś terrorystą, sukinsynu – pomyślał. – Wiem, że należysz do Genesis.

Rappaport robił wrażenie dość spokojnego.

– Liczymy na pana, Rhodes. – Tylko tyle powiedział, gdy Griff rozpoczął podróż na dół.

Licysz, że mi się nie uda – odparł w duchu Griff. – Ale tak czy inaczej załatwię cię. A wtedy w twojej trumnie znajdzie się zdjęcie Melvina Forbusha.

Sierżant Stafford skoordynował działania pododdziału wyznaczonego do ochrony Griffa i głośnym krzykiem nakazał swojej ekipie bezustanną czujność. Wraz z kilkoma żołnierzami dotrzymał Rhodesowi towarzystwa w drodze na poziom laboratorium. Z powodu groźby kontaktu z wirusem strażnicy pilnowali wejścia do laboratorium tylko z zewnątrz. Rhodes wszedł do strefy o ograniczonym dostępie sam, niosąc w wyłożonym workami z lodem dużym pojemniku sześć litrów osocza Johnny'ego Raya Davisa z dodatkiem antykoagulantów.

Ostrożnie przelał część osocza do czterech próbek i każdą umieścił w jednym z czterech gniazd dużej wirówki. Urządzenie wirowało z prędkością ponad trzech tysięcy obrotów na minutę, oddzielając szczątki komórek od surowicy.

Życie siedmiuset osób zależało od tego, czy znajdzie w tej surowicy nieuchwytny antygen bądź jakiś niezwykły enzym – coś, co pozwoliło przeżyć Davisowi, podczas gdy inni, którzy mieli kontakt z WRX3883, zmarli. Dla siedmiuset zagrożonych śmiercią ludzi czas się kończył.

Griff zastosował elektroforezę żelową, żeby wydzielić z oczyszczonej surowicy DNA, RNA i cząstki białka do dalszego badania. Specjaliści od medycyny sądowej używali tej metody do zwiększania stężenia DNA potrzebnego w policyjnych dochodzeniach, ale Griffa interesowały wszystkie składniki surowicy – a dokładnie jakaś jej cecha charakterystyczna wyłącznie dla J.R. Davisa.

Mijały godziny. Rosły lęk i frustracja. Zmęczenie stało się śmiertelnym wrogiem. Po czym, nagle, jest.

Interleukina 6.

Dziesięciokrotne przekroczenie normy.

Griff sprawdzał i weryfikował swoją metodę oraz obliczenia. Czuł drżenie na

karku i grzbiecie. Dobrze znał to uczucie. Pojawiało się, ilekroć nasuwał mu się jakiś pomysł.

Co dokładnie powiedział o Davisie dyrektor? Próbował to sobie przypomnieć. Ten człowiek mógłby pobiec prosto do Kalifornii, nie dostając zadyszki – coś w tym sensie. Nigdy się nie męczy, biegając po dziedzińcu... Nigdy.

Była to zwykła dygresja w rozmowie, o której Griff niemal zapomniał. Lecz nagle ta uwaga, rozpatrywana w innym kontekście, nabrała ogromnego, nowego znaczenia.

Griff sporo wiedział o białku IL-6. Było ono wydzielane przez tymocyty i po części spełniało funkcję stymulatora reakcji organizmu na uraz – oparzenie, uszkodzenie tkanek i temu podobne. Zdawał sobie również sprawę, że poziom IL-6, z przyczyn wciąż nieznanymi badaczom, podnosił się podczas wysiłku fizycznego. Dokonał szybkiego sprawdzenia w internecie i znalazł studium heterochromicznego zapalenia błony naczyniowej Fuchsa, w którym powiązano pacjentów o różnobarwnych tęczówkach ze zwiększoną zawartością IL-6 we krwi. Odmianę heterochromii Fuchsa kojarzono z chorobą wirusową, przypuszczalnie z odrą.

Griff zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby dodał do „Oriona” adiuwant – biochemiczny środek wspomagający, który pobudzał wytwarzanie IL-6.

Tylko który?

Znowu zbieranie informacji w sieci. Kolejna analiza notatek ze studiów doktoranckich i zawartości teczek z artykułami.

Dziękuję ci, Melvinie, za utrzymanie wszystkiego w takim porządku. Dziękuję, przyjacielu.

Stale nasuwała się jedna możliwość: antysensowne oligodezoksynukleotydy, częściej nazywane ODN. Te dziwne nukleotydy znane były też genetykom pod nazwą „przeciwsensownych”. Sensowne i antysensowne nici białek stosowano coraz częściej do walki ze złożonymi chorobami, takimi jak AIDS, astma, a nawet dystrofia mięśni. W teorii syntetyczny łańcuch kwasu nukleinowego mógł się połączyć z informacyjnym RNA i skutecznie zmienić jego zachowanie.

Griff włączył komputer. Zmodyfikował programowanie „Oriona”, by uwzględnić adiuwant ODN, który pobudzał wytwarzanie IL-6 w węzłach chłonnych i śledzionie. W swoim programie zwiększał produkcję IL-6, dopóki jego stężenie nie odpowiadało stężeniu we krwi Davisa.

Dziesięciokrotne przekroczenie normy.

Skutki uboczne terapii nie miały znaczenia. Przy zarażeniu WRX jedyną rzeczą gorszą od nieuchronnej śmierci były poprzedzające ją dni.

Dodanie adiuwantu w postaci antysensownego ODN do „Orion” zajęło ponad

cztery godziny. Griff od dwóch dni prawie nie jadł i nie spał. Mimo to pod wpływem podniecenia odkryciem stwierdził, że nie ma problemu z koncentracją. Jego umysł odsłaniał fascynujące możliwości.

Do dzieła, dziecinko!... No, spełnij oczekiwania tatusia!

Gdy programowanie dobiegło końca, Griff siedział przez jakiś czas w milczeniu z palcem nad klawiszem Enter, gotów uruchomić „Oriona”. Obrazy Kapitolu i Jima Allaire’a mieszały się w jego świadomości z obrazami Angie, Melvina oraz Louisy, a nawet Bimbry. W końcu wstrzymał oddech i nacisnął klawisz.

„Orion” został przez niego tak zaprogramowany, żeby przerywać obliczenia w chwili otrzymania negatywnego wyniku. Nie było powodu, by marnować czas na przetwarzanie danych do terapii nieotwierającej żadnych perspektyw. Im dłużej trwało przetwarzanie, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo sukcesu. Przez lata pracy w laboratorium Sylvii Chen Griff uruchomił tysiące symulacji, które przemieliły tysiące zaprogramowanych założeń, podprogramów i ponad sto tysięcy wierszy skomplikowanego kodu. Przez cały ten czas „Orion” nigdy nie działał dłużej niż dziesięć minut.

Rhodes obserwował zegar cyfrowy na monitorze komputera odmierzający kolejne sekundy.

Minęły dwie minuty... potem trzy... pięć.

Griff czuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny.

Osiem minut... dziewięć...

Dokładnie po dziesięciu minutach program „Orion” zakończył działanie niczym wyścigowy samochód uderzający czołowo w mur. Griff nie musiał odczytywać wyniku, by wiedzieć, co się stało. Jego system znowu zawiódł.

Kolejne cztery godziny.

Griff stopniowo podnosił dawkę adiuwantu, aby zwiększyć ilość IL-6 aż do trzydziestokrotności normy. Dla każdej dokonanej zmiany, zawsze stanowiącej pięciokrotność normy, przeprowadzał test.

I za każdym razem symulacja terapii kończyła się niepowodzeniem, zawsze dokładnie po dziesięciu minutach.

Rhodes pocił się teraz obficie pod skafandrem. Był tak wyczerpany, że zdradzał oznaki delirium. Lecz dla ludzi w Kapitolu czas nadal uciekał. Griff nie chciał zrezygnować – uznać, że on i system, w którym pokładał taką wiarę, zawiedli.

I wtedy, jak latarnia przybliżająca się we mgle, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

A jeśli zmiana poziomu IL-6 tylko częściowo rozwiązuje problem? A jeśli w samej surowicy krwi Davisa jest coś wyjątkowego, co sprawi, że terapia poskutkuje?

Griff przeprogramował „Oriona” tak, aby oprócz środka wspomagającego antysensowny ODN zawierał dokładną kopię DNA, RNA i białek wykrytych we krwi Davisa.

Po czym znowu, ze wzrokiem utkwionym w liczniku, uruchomił program.

I znowu „Orion” zaczął syntetyzować bloker wirusa WRX.

Po upływie dziewięciu minut i czterdziestu pięciu sekund Griff zaczął oddychać w przyspieszonym rytmie – krótko i płytko.

Zamknął oczy, odczekał tak długo, jak tylko mógł wytrzymać, a potem spojrzał na zegar.

Jedenaście minut i czterdzieści osiem sekund, a „Orion” nadal pracował.

Ukończenie zadania zajęło mu dwadzieścia pięć minut. Zarumieniony z podniecenia Griff czekał, aż maszyna przedstawi wyniki końcowe. Gdy dane przestały być przetwarzane, opadł na krzesło. Nawyk oczekiwania na niepowodzenie utrwalił się tak silnie, że gdy sukces w końcu nastąpił, nie bardzo wiedział, jak ma się czuć.

Kluczową rolę odegrała Angie. Gdyby nie udało się jej w Nowym Jorku, ten sukces w ogóle nie byłby możliwy. To dzięki niej mieli lek przeciwwirusowy. Żałował, że nie może zadzwonić i powiedzieć jej o tym, ale w sytuacji gdy był na podsłuchu, nie miał pewności, czy to rzeczywiście dobry pomysł.

I wtedy zaczął się zastanawiać. „Orion” zadziałał, a przynajmniej wskazywał na to komputer. Dane świadczyły o tym, że ten lek będzie skuteczny, ale Griff nie miał na to dowodów empirycznych – żadnych zarażonych, których wyleczył.

Co należało teraz zrobić?

W laboratorium był spory zapas środków biologicznych i syntetycznych. Griff zajrzał do skrzynki z odczynnikami i stwierdził, że ma do dyspozycji wystarczająco dużo antysensownego ODN, żeby wykonać przynajmniej jeden test.

Potem zadał sobie pytanie, czy naprawdę musi go przeprowadzić, żeby dowieść skuteczności swojej terapii. Czyż nie dowiódł jej model komputerowy? Czy nie o to właśnie chodziło w jego pracach? Czyż nie znalazł sposobu na opracowanie i wypróbowanie leków, który oszczędzał zwierzętom męki i tortur eksperymentowania?

Znowu przestudiował pliki z wynikami, wyobrażając sobie, że stoi na rozdrożu. Ale podejrzewał, że w odróżnieniu od rozdroży uwiecznionych w pieśniach i opowieściach, na tym rozdrożu diabeł czeka na niego bez względu na wybór kierunku. Zamknął oczy i czekał, aż pojawi się odpowiedź. Jego myśli niebawem wypełnił hałas. Potrzebował czasu, by rozpoznać te odrażające odgłosy – były to krzyki małą, zdychających w Kuchni Piekielnej wskutek przypadkowego przedawkowania WRX3883.

W tym momencie już doskonale wiedział, co musi zrobić.

Wstał od stołu. Po tak długim siedzeniu nogi niemal zupełnie mu zdrętwiały. Ostrożnie pobrał próbkę wirusa WRX3883 z kultur komórek, które zachował Melvin, i przy użyciu strzykawki wymieszał go ze stoma mililitrami płynu fizjologicznego. Teoretycznie same jego modele komputerowe powinny stanowić wystarczający dowód, że mu się udało.

Jednak w głębi serca wiedział, że to nie wystarczy.

Być może pewnego dnia „Orion” pomoże ograniczyć, a jeszcze lepiej – wyeliminować doświadczenia na zwierzętach zarówno w wirusologii, jak i w innych badaniach medycznych. Ale na razie pewną drogą do terapii przeciwwirusowej, niezależnie od tego, co wyrzucił z siebie komputer, były doświadczenia na zarażonym nosicielu.

Poruszając się jak we śnie, Rhodes odłączył przewód powietrzny i rozpiął zamek skafandra. Zdjął hełm i z przyjemnością starł pot z czoła. Następnie położył na stole strzykawkę i przygotował jedną dawkę zaprogramowanego przez „Oriona” leku przeciwwirusowego – mieszankę surowicy krwi Johnny’ego Raya Davisa i silnego adiuwantu wspomagającego wytwarzanie IL-6. Miał idealny przedmiot badań, żeby dowieść słuszności wszystkich swoich teorii i uprawomocnić wszystkie swoje prace.

Miał siebie.

Rozdział 61

DZIEŃ 9

00.00 CST

Griff wiedział, że rozmowy prowadzone z telefonu w Kuchni są monitorowane przez całą dobę, ale nie przejmował się tym. Rappaport miał się zaraz dowiedzieć, że mogło dojść do przełomu, lecz Rhodes znajdzie sposób, żeby coś z tym zrobić, gdy już zyska pewność. Przeniósł interkom na swoje stanowisko pracy, włączył tryb głośnomówiący, wybrał 9 dla rozmów międzymiastowych i zadzwonił na komórkę Angie. Gdyby nie odebrała, spróbowaliby zadzwonić do dyżurki pielęgniarek, żeby przekazały jej prośbę o telefon w nagłej sprawie rodzinnej.

Skafander leżał zwinięty w kłębek u jego stóp. Wóz albo przewóz, kości zostały rzucone.

Angie odebrała po drugim sygnale. Sprawiała wrażenie rozespanej. Griff zerknął na zawieszony na ścianie zegar. Był kwadrans po północy czasu lokalnego w Kansas, pierwsza piętnaście czasu wschodnioamerykańskiego.

– Siemasz, kobieto – powiedział, rozsiadając się wygodnie i delektując świeżym powietrzem. – Pozdrowienia z centrum kraju.

– Griff! Ilekroć ktoś dzwonił, miałam nadzieję, że to ty. Allaire i jego lekarz kontaktują się ze mną, przysłali też specjalistów i postawili przed drzwiami i tutaj ochroniarzy, ale zastanawiałam się, kiedy znowu usłyszę twój piękny głos. Mam wrażenie, że nie mówisz przez maskę. Gdzie jesteś? Co się dzieje? Masz jakieś wieści?

Griffuśmiechnął się do telefonu, żałując, że Angie nie widzi, jak bardzo go uszczęśliwia. Zarzuciła go gradem pytań. Ani na chwilę nie przestała być dziennikarką. Zwlekał z odpowiedziami, zadowolając się słuchaniem jej głosu. Ten stan uniesienia potwierdził dwie rzeczy, których już był świadomy: kochał ją równie mocno jak zawsze, prawdopodobnie jeszcze bardziej, i miał rację, pragnąc słyszeć jej głos, zanim wstrzyknie sobie wirus.

– Angie – wtrącił wreszcie – powiedz mi, jak sobie radzisz. Mam wrażenie, że

już czujesz się dobrze.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Jestem tylko zmęczona. Być może wiąże się to z tym, że nie śpię normalnie. Przysypiam na dwadzieścia minut co jakiś czas, ale nie jest to głęboki sen, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem, wiem. Kiedy to wszystko się skończy, polecimy na tę wyspę na południowym Pacyfiku, która jest pokryta na całej długości materacami. Czytałem o tym w „National Geographic”. Sealy, Serta, Tempur-Pedic, same najlepsze marki. Mówią coś o wyjściu ze szpitala?

– Wygląda na to, że wypiszą mnie dzisiaj. Po południu. Chcę wrócić do was. Tak bardzo za wami tęsknię. – Angie niemal natychmiast wyciągnęła wniosek z milczenia Griffa. – Coś się stało. O co chodzi?

Przedłużająca się cisza. Łzy stanęły mu w oczach i nie był pewien, czy będzie w stanie mówić.

– O Melvina – zdołał w końcu wykrztusić. – Nie żyje.

Teraz po jej stronie linii zapadło długie milczenie.

– Opowiedz – poprosiła po chwili.

Griff przedstawił Angeli skróconą wersję wydarzeń od momentu, gdy doznała urazu, do chwili przeprowadzenia plazmaferezy u J.R. Davisa.

– Przykro mi, Griff – powiedziała, gdy umilkł. – Tak mi smutno i przykro. Był wspaniałym facetem. Wiem, jak byliście sobie bliscy. I cieszę się, że załatwiłeś człowieka, który go zabił.

– Dzięki. Gdy tylko będzie to możliwe, odwiedzimy jego rodzinę w Wirginii Zachodniej.

Spojrzał na napełnione strzykawki leżące na metalowej tacy przy biurku. Wydawało się, że rozmowa o ich przyszłości to niemal pobożne życzenie.

– Mam jednak dobrą wiadomość – dodał.

– Mów, mów.

– Dzięki tobie i Melwinowi chyba dopięliśmy swego. Według „Oriona” otrzymałem skuteczny lek przeciwwirusowy.

Miał nadzieję, że w jego głosie będzie więcej ekscytacji, lecz Angie zrozumiała i podniecenie w jej głosie zastąpiło jego niedostateczny entuzjazm.

– Och, to wspaniale! Wiedziałaś, że potrafisz to zrobić. Wiedziałaś!

Griff się zawahał. Nadszedł czas, by jej powiedzieć.

– Nadal nie wiem z całą pewnością, czy moje wnioski się potwierdzą. Jak można było się spodziewać, Angie wyczuła, co za chwilę usłyszy.

– Nie rozumiem.

– Po prostu. W tym momencie wiem tylko to, co powiedział mi „Orion”, a on dziwnie przypomina komputer.

Zapadła długa cisza.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała w końcu Angela.

Griff wyczuł lęk w jej głosie.

– Muszę mieć pewność, że mam rację, Ang. Mamy ograniczony zapas surowicy Davisa. On jest teraz pewnie z tysiąc kilometrów stąd. Ludzie w Kapitolu są w poważnych tarapatach i ich stan szybko się pogarsza. Jeżeli trafimy tam z tym, co mam, a „Orion” z jakiegoś powodu się myli, nie będzie czasu na powrót tutaj i dalszą zabawę.

– Nie podoba mi się kierunek, w którym to zmierza.

– Musisz być ze mną, Angie. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

– Griff, proszę...

– Zamierzam wstrzyknąć sobie dawkę wirusa, a potem zaaplikować lek.

– Nie! Musi być jakiś inny sposób.

– Jeżeli nie podziała, zostawię ci moje notatki i surowicę. Powierzam te informacje wyłącznie tobie. Przyjedziesz do Kalvesty z kolejnym zespołem badawczym i zaczniecie tam, gdzie ja przerwałem. Może w Kapitolu zostaną jeszcze jacyś ludzie, którym zdołamy pomóc.

– Wypróbuj je na jakimś zwierzęciu... małpie, szympanse. Jeżeli się mylisz, umrzesz.

– Nie myślę się.

– Co masz na myśli? Nie rozumiem.

Rhodes westchnął.

– Przez wszystkie te lata powtarzam wszystkim, którzy chcą słuchać, że komputery mogą zastąpić doświadczenia na zwierzętach. To moja mantra... jedyna rzecz, która od śmierci mojej siostry pozwala mi zajmować się wirusologią. Myślałem o tym, Ang. Czas zaufać programowi, którego opracowaniu poświęciłem tyle czasu. Nadszedł czas i jest to słuszne. Musisz to zrozumieć.

– Ależ... rozumiem.

Griff słyszał, jak płacze. Przez chwilę płakał razem z nią.

– To się uda – powiedział. – Musi się udać.

– Kocham cię – odparła ze szlochem. – Kocham cię od dnia, w którym cię poznałam.

– Ja też cię kocham. Po prostu myśl o tej wyspie na Pacyfiku. O tych palmach wyrastających wśród materaców podwójnej grubości z warstwą puchu u góry.

– O hamakach też?

Griff podniósł strzykawkę wypełnioną WRX3883 i płynem fizjologicznym.

– O hamakach też. Na całej wyspie.

Wymieszał lek na podstawie danych z jedynej udanej próby „Oriona”. Wspólnie

obliczyli, że surowicy wystarczy na siedemset trzydzieści dawek.

– Co teraz robisz? Opisz mi to, proszę.

– Przemynam alkoholem miejsce wkłucia... Nic mi nie jest, kochanie. Kocham cię... Namierzyłem żyłę, naprawdę wyraźnie ją widać.

– Kocham cię. Wszystko będzie dobrze. Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

– Potwierdzam. Wszystko będzie dobrze. Wtedy na barce powiedziałaś, bym przestał tam sterczeć, popijając piwo i wędkując. Miałaś rację. Tu właśnie powinienem być, robiąc coś ważnego... Dobra, zaraz wstrzyknę...

– Griff...

– Proszę bardzo.

Rhodes wsunął igłę w nabrzmiałą żyłę, zerwał opaskę uciskową i wcisnął tłok strzykawką. Ponieważ wybrał zastrzyk dożylny z użyciem dużej ilości stężonego wirusa, oznaki zarażenia miały się pojawić już wkrótce. Zrobił kilka głębokich wdechów. Czy to możliwe, by już czuł ucisk w piersiach? Czy to tylko lęk, czy też wirus już zaczął działać?

– Griff! Rozmawiaj ze mną.

– Jest w środku – odparł. – Świetnie sobie radzę.

– Jak długo poczekaasz?

– Dwadzieścia minut. Potem wstrzyknę lek.

– Dwadzieścia minut... Boże, co ja mam przez ten czas robić.

– Moglibyśmy snuć opowieści o duchach – zaproponował.

– Kiepski żart.

– Po prostu posiedź ze mną, Angie. Po prostu oddychaj do słuchawki. Po prostu powiedz coś od czasu do czasu. Bądź ze mną. Bądź moją kochanką. Bądź moją przyjaciółką. Niczego więcej nie potrzebuję.

Griff zamknął oczy i słuchał wszystkich odgłosów w słuchawce. Szelestu jej szpitalnej pościeli. Pikania jakiegoś urządzenia w tle. Jej westchnień. I jej szlochów.

Czuł coraz większy ucisk w klatce piersiowej. Pojawił się też świszczący oddech. Słyszał go i czuł. Oddychając głęboko, i celowo przez nos, podniósł strzykawkę zawierającą surowicę z lekiem przeciwwirusowym. „Orion” z zadowoleniem przyjął to, że J.R. Davis ma krew grupy AB Rh minus. Griff zastanawiał się, czy to ma jakikolwiek związek z nadmiarem interleukiny i heterochromią. Być może chodziło o geny sprzężone.

– Mów, Griff! Rozmawiaj ze mną! – zażądała Angie.

– Już. Lek jest w moim ciele. Teraz trzeba po prostu czekać. Mam do ciebie oddzwonić?

– Czubek. Ile mamy czekać?

- Przypuszczam, że parę godzin. Zamknij oczy, Angie. Obudzę cię.
- Telefon mam podłączony do gniazdka, więc mogę zostać na linii. Nie zasnę.
- Jeśli zaśniesz, nic się nie stanie.

Griff siedział przy biurku, wpatrując się w czarny plastikowy interkom i żałując, że to nie ona. Powieki ciążyły mu, lecz podejrzewał, że nie będzie mógł zasnąć. Ucisk w piersi nie zelżał, ale wydawało się też, że nie nasilił się zbyt. Przez godzinę odzywali się tylko sporadycznie. Rozmawiali głównie o Melvinie i o tym, przez co Angie przeszła w Chinatown. Wspominali również Afrykę.

W drugiej godzinie Angela zasnęła. Przez pewien czas milczeli, po czym Griff usłyszał, jak zmienia się rytm jej oddechu. Zamiast ją zbudzić, po prostu słuchał. Poczł podrażnienie w gardle i kaszlnął lekko, żeby się go pozbyć. Nie chciał myśleć o swoim przybyciu do Sali Rzeźb w Kapitolu, ale w żaden sposób nie mógł powstrzymać fali wspomnień. Zastanawiał się, czy nie powinien już czuć się gorzej.

Nadal słuchał oddechów śpiącej Angie.

Zbliżała się piąta rano – szósta u niej. Griff co godzina sprawdzał u siebie objawy czynności życiowych. Bez zmian. Sięgnął po długopis i notes, w którym prowadził te zapisy. Jego uwagę przykuło coś na ręce. Coś, czego chwilę wcześniej nie było.

Gorąco pragnąc nie widzieć tego, co zobaczył, odwrócił dłonie i podniósł je. Serce mu zamarło. Nagle obręcz wokół piersi zacisnęła się jeszcze mocniej i oddech stał się cięższy.

Prawie całą powierzchnię obu dłoni pokrywały, podobne do środka tarczy strzelniczej będącej symbolem popularnego domu towarowego, wyraźne, choć nieco nierówne koncentryczne szkarłatne kręgi.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała sennym głosem Angie. – Chyba zasnęłam.

– Taak, Ang – odparł, nadal wpatrując się ze śmiertelnym przerażeniem w swoje dłonie. – W najlepszym.

Rozdział 62

DZIEŃ 9

6.30 CST

Głośne pukanie do drzwi bungalowu wyrwało Paula Rappaporta z niespokojnego snu. Dla siedmiuset osób w Kapitolu czas uciekał. Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego miał pewność, że śniło mu się, jak on uporałby się z tą katastrofą, gdyby był na miejscu Jima Allaire'a, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Czy w sytuacji bardzo realnego ryzyka wywołania pandemii dokonałby heroicznego wyboru, na który zdecydował się Allaire – w istocie wybierając złożenie w ofierze siebie, swojej rodziny oraz bardzo wielu przyjaciół i stronników w zamian za ocalenie kraju, a być może nawet świata?

Gdyby ten buntownik Rhodes nie spełnił oczekiwań – a Rappaport bardzo wątpił, by to się miało stać – już niebawem otrzymałby telefon z wezwaniem do Waszyngtonu w celu objęcia urzędu prezydenta. Na tę myśl zaschło mu w ustach.

– Wejść! – zawołał, naciągając frotowy szlafrok.

Janet Fox, chroniąca go na nocnej zmianie agentka Secret Service, weszła do środka. Była ubrana w narciarskie spodnie i podszytą futrem parkę, ale i tak sprawiała wrażenie zziębniętej.

– Pan Roger Corum i dwaj pozostali przyszli się z panem zobaczyć, panie sekretarzu. Twierdzą, że to ważna i poufna sprawa. Zaprowadziłam ich do sąsiedniego bungalowu i posłałam po posiłki, żeby mi pomogli ich sprawdzić.

– To nie będzie konieczne, Janet.

– Niestety, mamy własne rozkazy w tej sprawie, panie sekretarzu. Prosto z góry.

– Och. Rozumiem. Róbcie, co trzeba. Nie będę wam wchodził w paradę.

– Miejmy nadzieję, że sytuacja w Kapitolu wkrótce się poprawi, panie sekretarzu.

– Miejmy nadzieję.

Tyle że trudno to sobie wyobrazić.

Zanim Fox wróciła, Rappaport wziął prysznic, umył zęby i zaparzył sobie

filizankę kawy. Zastanawiał się, co tak ważnego dla ludzi ze Staghornu może się dziać o tej porze.

W ostatnim raporcie sprzed pięciu czy sześciu godzin Corum i jego ekipa techniczna informowali o szybkich postępach prac i prawdopodobnym zakończeniu instalacji ich supernowoczesnego systemu bezpieczeństwa i monitoringu jeszcze przed nocą. Najważniejsze miało być ostatnie zadanie – montaż kamer monitorujących w Kuchni. Gdyby Rhodesowi się nie powiodło, z systemu i tak można by zrobić dobry użytek.

Jednym z pierwszych jego działań w roli prezydenta byłoby wzmocnienie ośrodka w Kalveście jako cennego elementu w rządowym systemie badań nad bioterroryzmem i przeciwdziałania zamieszkom. Utworzenie tego oddziału prezydenckiej armii nowej ery stanowiłoby tylko początek totalnej wojny w celu zabezpieczenia granic państwa, powstrzymania napływu nielegalnych imigrantów i zdławienia terroryzmu – wszechstronnego podejścia, które przyćmiłoby wszystkie dotychczasowe wysiłki w tej mierze. Allaire wykonał porządną robotę, walcząc ze złożonym problemem, lecz on, Paul Rappaport, przeszedłby do historii jako prezydent, który uczynił życie w Ameryce bezpiecznym.

Gdy Janet Fox zapewniła go, że oficjele ze Staghornu są „czyści”, wprowadziła ich do bungalowu i skierowała do wyposażonej w system monitorujący strefy od frontu. Corum i jego zespół w niewiarygodnie krótkim czasie zainstalowali na ścianach bungalowu trzy dotykowe mapy cyfrowe. Pozwalały one szefowi Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego śledzić zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych ze strony wszelkich organizacji terrorystycznych, krajowych i międzynarodowych.

W pokoju po drugiej stronie korytarza znajdowało się kilka terminali komputerowych i dwa telefony satelitarne, z których jeden miał stałe łącze ze Schronem w Kapitolu. Marguerite Prideaux i Colin Whitehead, każde z nich z kubkiem kawy w dłoni, weszli za Corumem do sali konferencyjnej. Miny mieli ponure.

– Co się dzieje? – zapytał Rappaport, gdy zasiedli we czwórkę przy małym stole.

– W trakcie podłączania centrum telekomunikacyjnego z nowym sprzętem monitorującym do sieci – odparł Corum – jeden z pracowników Marguerite usłyszał i zarejestrował rozmowę z laboratoryjnego interkomu. Proszę spojrzeć.

Corum wręczył Rappaportowi plik wydruków. Troje specjalistów od zabezpieczeń czekało cierpliwie, aż sekretarz przeczyta stenogram. Gdy skończył lekturę, położył przed sobą kartki zadrukowaną stroną do dołu i zapytał:

– Co o tym sądzicie?

Blady i wychudzony Whitehead odpowiedział za całą grupkę. Był

uniwersyteckim intelektualistą – chyba z Yale, o ile pamięć nie myliła Rappaporta.

– Nie jesteśmy pewni – odparł Whitehead. – Żeby zainstalować nową tablicę rozdzielczą i nowy sprzęt, musieliśmy wyłączyć przekaz wideo z laboratorium. Przez trzy, cztery najbliższe godziny możemy monitorować wyłącznie rozmowy w różnych pomieszczeniach laboratoryjnych i telefony.

Atak kaszlu skrócił wyjaśnienia Whiteheada. Rappaport skrzywił się, usłyszawszy rżenie w jego piersi. Nie cierpiał palaczy, nawet tych z Ivy League. Odór papierosów budził wystarczające obrzydzenie, ale jeszcze bardziej karygodna była prowadząca do tego nałogu słabość. Gdy ruszy jego program zwalczania terroryzmu ze wszystkimi tego konsekwencjami, on skupi uwagę na uszczelnieniu granic i wzmożeniu walki z narkotykami. Jej elementem będzie święta wojna z paleniem i palaczami.

Przerwany przez Whiteheada wątek podjęła Marguerite Prideaux. Jej francuski akcent był przyjemny dla ucha, a zgrabne ciało i pewność siebie cieszyły oko.

– Wydaje się, że wirusolog pracujący w tym momencie w laboratorium pod nami sądzi, że ma lek na infekcję w gmachu Kapitolu. I teraz celowo zakaził się wirusem, żeby tego dowieść.

– I na podstawie tej zarejestrowanej rozmowy sądzicie, że odkrył jakiś lek?

Corum znowu zabrał głos.

– Niestety, nie mamy nagrania wideo, żeby potwierdzić, co w tej chwili dzieje się w laboratorium, ale odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak. Wydaje się, że Rhodes jest tego całkiem pewien.

– Nadal mogę do niego dzwonić, prawda?

– Oczywiście. Sygnał interkomu dotrze do niego w każdym pomieszczeniu, a ponieważ może mieć nadal hełm na głowie i z uwagi na szum powietrza mógłby nie usłyszeć dzwonka, wszędzie będą błyskały lampy, żeby go powiadomić o telefonie.

– Pomyśleliście o wszystkim – zauważył Rappaport.

– W naszej branży panuje ostra konkurencja – odparła Prideaux. – Zawsze musimy być o jeden krok przed rywalami.

– Tak samo jest w polityce – rzekł sekretarz, chichocząc. – Słuchajcie, na razie będę zakładał, że Rhodes rzeczywiście wpadł na jakiś trop. Ale to szczwany lis i mu nie ufam. Zadzwońię na dół i sprawdzę, czy uda mi się wydobyć z niego jakieś informacje. A wy tymczasem sprawdźcie, czy można uruchomić monitoring wideo w laboratorium przed czasem. Nie mam najmniejszej ochoty schodzić tam i wkładać skafandra. Jeżeli Rhodes przeżyje, będę musiał to potwierdzić, a potem skontaktować się z prezydentem. Wideo bardzo by mi się przydało.

Rozdział 63

DZIEŃ 9

14.00 EST

Ból głowy wcale nie był aż tak dokuczliwy, jak przewidywali lekarze. Angie czuła łagodne pulsowanie nad oczami w miejscu, gdzie znajdowało się pęknięcie, ale nic poza tym – przynajmniej na razie.

Zgodnie z instrukcją zawartą w faksie od Griffa pojechała metrem ze stacji naprzeciwko szpitala, ale po drodze przesiadała się cztery razy, w tym dwa, żeby cofnąć się do poprzedniego przystanku. Na każdej stacji dyskretnie wypatrywała w tłumie zauważonych wcześniej twarzy. Czuła suchość i ucisk w gardle, a jej serce biło jak młot, zachowała jednak coś, co uważała za spokojny, wyważony sposób bycia. W poprzednim wcieleniu reportera śledczego nauczyła się wielu fachowych sztuczek ułatwiających śledzenie lub gubienie tropu. Teraz zastosowała niektóre z nich.

Przekonana, że nikt jej nie śledzi, w końcu pojechała taksówką z Columbia Circle na Penn Station i wsiadła do Aceli, ekspresu do Waszyngtonu. Wagon pierwszej klasy był prawie pełny, ale udało jej się znaleźć pojedynczy fotel oddzielony stolikiem od drugiego pojedynczego miejsca.

Zalecenia w faksie były jednoznaczne, ale ich lektura wzbudziła w niej niepokój. Po długim czułym poranku przy telefonie oczekiwała, że Griff zadzwoni do niej jeszcze z potwierdzeniem, że lekarstwo stworzone przez niego i komputer nie przestało działać. Zamiast kontaktu telefonicznego w kilka godzin po zakończeniu rozmowy doczekała się niespodziewanego gościa – Mei Wu, pięknej młodej pielęgniarki z domu opieki Riverside.

Meinie posiadała się z radości, dowiedziawszy się, że Angie jest gotowa do wypisania ze szpitala, i nieśmiało wręczyła jej małe pudełko chińskich słodczy i szarą kopertę zawierającą ten faks. Griff był skrupulatny w przygotowaniach i najwyraźniej wybrał ten sposób doręczenia jako najbezpieczniejszy. Strona przewodnia faksu zawierała wyjaśnienie, że to nagła sytuacja, i prośbę, by Wu Mei

natychmiast dostarczyła go Angeli Fletcher do szpitala na dolnym Manhattanie.

Angeli zaś napisał, że odtąd będą się komunikowali tylko osobiście. Żadnych telefonów. Żadnych SMS-ów. Żadnych e-maili. Miała dostarczyć faks generałowi Frankowi Eganowi, który potem zanieśe go do Kapitolu prezydentowi i wróci z rozkazami dla niej. Dopóki nie dotrze do Egana, w gruncie rzeczy będzie zdana na siebie.

Faks zawierał dość szczegółowe informacje, chociaż Griff wiedział, iż może go przeczytać parę osób w domu opieki. Był w nim jednak jakiś chłód – obojętność, która sprawiała, że Angie poczuła się nieswojo. Coś było nie tak albo z Griffem, albo w jego otoczeniu. Czuła to w głębi serca. Mimo wielokrotnych zapewnień o miłości nie zadzwonił do niej, a w faksie nie padło ani jedno słowo troski bądź zachęty. Na końcu prosił Allaire'a, by ten zadzwonił do niego po przeczytaniu listu.

Działo się z nim coś złego.

Ekspres jechał spokojnie i szybko. W drodze do Waszyngtonu Angela kilka razy na chwilę przysnęła. Faks spoczywał na jej kolanach w teczce, którą kupiła w sklepie z galanterią skórzaną niedaleko szpitala. Na polecenie Griffa kupiła też łańcuch zabezpieczający, który przypięła do ucha teczki i nadgarstka.

Generał Egan czekał na nią przed Kapitołem. Po kilku minutach przydzielono jej dwoje agentów FBI, żeby opiekowali się nią aż do zakończenia jego spotkania z prezydentem. Jednym z nich była seksowna Afroamerykanka w minispódniczce i sięgających do uda kozaczkach, a drugim noszący džinsy, okulary w rogowych oprawkach i plecak krępy brunet, który wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat.

Agenci usiedli razem z nią w pobliskim barze kawowym.

Minęła godzina, potem jeszcze dwie. Tajni agenci FBI najwyraźniej byli przyzwyczajeni do czekania. Gawędzili, czytali, a nawet drzemali. W pewnym momencie zarezerwowali telefonicznie pokój dla Angie w pobliskim hotelu. Chwilę później zabrali ją do sklepu, żeby kupiła małą walizkę, jakieś ubrania i przybory toaletowe. W końcu generał Egan wezwał ich z powrotem do Kapitolu. Szef Okręgu Północnego odprawił ochroniarzy i wprowadził Angie do małego, lecz dobrze wyposażonego biura polowego.

– Przede wszystkim niech pan mi powie, czy Griff dobrze się czuje. Styl napisania tego faksu każe mi podejrzewać, że są jakieś problemy.

– Nikt mi nic nie mówił o żadnym problemie.

Marny z ciebie kłamca – wywnioskowała szybko dziennikarka. Przeciwwirusowa surowica zawiodła, a on jest chory... w najlepszym razie.

Niech go cholera weźmie, że mi nie powiedział. Niech go cholera weźmie! Niech ich szlag trafi!

– Czytała pani ten faks, więc wie pani, co prezydent ma zamiar zrobić w naszej kryjówce.

– Myślę, że to kapitalny pomysł. Chcę tam być, gdy to się stanie.

– Omawialiśmy tę ewentualność i niestety prezydent ją wykluczył.

– Niech pan w takim razie pozwoli mi tam wejść i porozmawiać z nim osobiście.

– Rozumiem, że trafiła pani do szpitala z dość paskudnym obrażeniem głowy.

– Będę tam – powiedziała, ostentacyjnie ignorując tę konkluzję.

– Możemy panią umieścić w furgonetce z ekipą nadzorującą. Będzie stała zaledwie kilka przecznic dalej.

– Genesis zamordowało dwóch moich serdecznych przyjaciół, a teraz człowiek, na którym zależy mi bardziej niż na kimkolwiek w świecie, może być chory. Będę w tej kryjówce, gdy plan Griffa zacznie przynosić efekty. A gdy cała ta sprawa dobiegnie końca, zamierzam napisać o Melvinie Forbushu i Gottfriedzie Sliplitzu, przede wszystkim zaś o Griffinie Rhodesie. Niech pan powie prezydentowi, że zasłużyłam sobie na to.

Egan miał trochę zmieszana minę. Przeprosił i wyszedł z biura.

Griff jest chory, pomyślała, siedząc tam ponura i zła. Surowica nie podziałała zgodnie z jego oczekiwaniami i teraz był chory. Ale postanowił, że jeśli pójdzie na dno, to pociągnie za sobą Paula Rappaporta. Musieli pozwolić jej tam być.

Angie obmyślała, jak zareagować na odmowę Allaire'a, gdy Egan ponownie wszedł do biura.

– W porządku, pani Fletcher – rzekł, zajmując miejsce za małym biurkiem. – Weźmie pani w tym udział. To pani temat. Oto co musi pani zrobić...

Rozdział 64

DZIEŃ 9

16.00 CST

Rozmowa przez interkom z Griffinem Rhodesem wyglądała mniej więcej tak, jak przewidywał Rappaport – była równie chłodna jak poranek w Kansas i równie bogata w informacje jak prognoza pogody. Tak, wydaje się, że jego program komputerowy zdołał stworzyć lek przeciwwirusowy, i owszem, ma do swoich prac badawczych wystarczająco duże zaufanie, by wypróbować go na sobie. Teraz nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać. Będzie robił sobie testy przez cały dzień i gdy nabierze pewności, że wszystko idzie dobrze, powiadomi Rappaporta oraz prezydenta. I wreszcie, tak, zdaje sobie sprawę, że liczy się czas.

To wszystko.

Z Rhodesem nie można było sobie poradzić.

Zniechęcony i niespokojny Rappaport przez godzinę gimnastykował się i podnosił ciężary, załatwił zaległą korespondencję i poszedł do centrali Staghornu, żeby sprawdzić postępy w instalowaniu monitoringu wideo. Dowiedział się, że z powodów technicznych ich ludzie zostaną ubrani w skafandry i wysłani do strefy skażenia z opóźnieniem. Kolejne cztery godziny, wyjaśnił mu Corum. Może pięć. Marguerite Prideaux przyrządziła mu herbatę, ale gdy jeden z członków jej zespołu doniósł o problemach technicznych, musiała wyjść.

Rappaport wrócił do gabinetu i zadzwonił do córki, by zapytać, jak się czuje. Nadal mieszkała w jego domu i reagowała paranoicznie na obecność Secret Service. Denerwowało ją również to, że najnowsza seria lekarstw nie działała, i zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do szpitala.

Rappaport szybko zakończył rozmowę i postanowił znowu skontrolować Rhodesa. Podchodził do interkomu, gdy zaćwierkał telefon satelitarny na jego biurku, sygnalizując, że ktoś próbuje się do niego dodzwonić. Szybko wstukał kod potrzebny do uzyskania łączności, po czym włączył tryb głośnomówiący i usiadł z nogami na biurku.

– Sekretarz Rappaport.

– Paul, mówi Jim. Musimy porozmawiać.

Rappaport poczuł rosnące napięcie.

Czy to ten moment?

– Ja też chyba mam dla pana interesujące wieści.

Allaire mówił dalej, jakby nie usłyszał słów Rappaporta.

– Kilka minut temu zadzwoniłem do doktora Rhodesa, żeby sprawdzić postęp jego prac.

– I dowiedział się pan, że wstrzyknął sobie dawkę wirusa WRX.

– Wiesz o tym?

– Panie prezydencie, przygotowuję dla pana raport. Przed kilkoma godzinami ludzie ze Staghorn Technologies przechwycili długie, nieautoryzowane połączenie laboratorium z telefonem komórkowym Angeli Fletcher, reporterki, która stąd zniknęła. Jest na...

– Na Manhattanie. Wiem. – Głos Allaire'a był osłabiony, drżał dziwnie, jakby Allaire się postarzał.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi Rappaporta.

– Przepraszam na chwilę, panie prezydencie. Ktoś puka do drzwi. Wejść!

Jeden z agentów z dziennej zmiany wszedł do pokoju i oznajmił, że przyszedł Roger Corum, że został sprawdzony przy poprzednich drzwiach i że chodzi o ważną sprawę. Rappaport ruchem głowy dał znak, by go wprowadzić.

Szef Staghornu przestąpił próg pokoju, trzymając w ręce stenogram kolejnej transmisji.

– To Roger Corum, panie prezydencie, dyrektor generalny Staghorn Security.

– Podejrzewam, że przyczyna jego obecności ma związek z tym, dlaczego dzwonię. Panie Corum, czy dotyczy to rozmowy, którą właśnie odbyłem z doktorem Rhodesem?

– Tak, panie prezydencie. Mam w ręku jej stenogram.

– Niezwykle szybka robota. Rhodes powiedział, że w laboratorium nie ma bezpiecznej linii. Chyba ma rację. Niech pan po prostu go zostawi, panie Corum. Sekretarz Rappaport może go przeczytać po zakończeniu naszej rozmowy.

– Tak, panie prezydencie.

Corum wypowiedział bezgłośnie słowo „powodzenia” i wyszedł z pokoju.

– Powiedziano mi, że firma Staghorn posiada dostęp do największych tajemnic – rzekł Allaire.

– Tak, panie prezydencie. Jestem głęboko przekonany, że można im powierzyć wszystkie informacje, które są zawarte w tym stenogramie.

– Doskonale, Gary cię poinformuje. Głośnik jest włączony.

Po chwili sekretarz obrony podjął rozmowę.

– Paul. Trzymasz się jakoś?

– Bardzo się o was wszystkich martwię, Gary.

– Nie bez powodu. Ale chyba już widać światło w tunelu. I wcale nie chodzi o nadjeżdżający pociąg.

– Mów.

– Być może powtórzę to, co już wiesz, ale o godzinie trzynastej Griffin Rhodes przeprowadził udaną symulację komputerową swojego programu terapii przeciwwirusowej o nazwie „Orion”. Po tej symulacji Rhodes odważnie wstrzyknął sobie sporą dawkę wirusa WRX, żeby dowieść, że lek podziała na tych z nas, którzy mieli kontakt z wirusem tutaj, w Kapitolu.

– Czy do wytworzenia leku użył krwi tego więźnia z El Dorado?

– Byłego więźnia – odparł Salitas. – Prezydent go ułaskawił. W przeciwnym razie drań nie poszedłby na współpracę.

– Zrobiłbym to samo na pańskim miejscu, panie prezydencie.

– Dziękuję – rzekł Allaire.

– Tylko on ze znanych nam osób ocalał po zarażeniu WRX – ciągnął Salitas. – Rhodes zmieszał surowicę jego krwi z substancją zwaną adiuwantem, którą stosuje się do podniesienia poziomu specjalnego białka.

– I ta terapia zakończyła się sukcesem?

– Nie – odparł kategorycznie sekretarz obrony. – Po kilku godzinach od wstrzyknięcia celowo dużej ilości wirusa u Rhodesa pojawiły się zadyszka, kaszel i dziwne ślady na dłoniach, które, jak wiemy, są objawem środkowego stadium zakażenia.

– Dobry Boże – jęknął Rappaport.

– Jesteśmy w tragicznej sytuacji. Sądzymy, że większość zarażonych z grupy C, zamknięta w sali obrad Senatu, już nie żyje. Stan grupy B, w Sali Rzeźb, pogarsza się. A prezydent, zaliczony do grupy A, również zdradza oznaki rozwijającej się infekcji wirusowej. U niego, podobnie jak u Rhodesa, na dłoniach pojawiły się czerwone ślady. Jego usposobienie staje się coraz bardziej chwiejne.

– To straszne – rzekł Rappaport, zastanawiając się, o jakim światelku w tunelu mówił Salitas.

– A co gorsza – dodał sekretarz – nie możemy znaleźć wiceprezydenta.

– Henry zniknął?

– Nie ma go od paru dni. Nadal go szukamy, ale na razie bez skutku.

– Myślisz, że opuścił Kapitol?

– Nie wykluczamy żadnej możliwości. Oprócz tego ta jędza Ellis przekonała kapitolińskiego architekta, by wznowił transmisje telewizyjne z sali obrad Izby

Reprezentantów.

– Co takiego?!

– Wygląda na to, że nawiązała kontakt z Genesis. Nie pytaj w jaki sposób. Ona stosuje obstrukcję na każdym poziomie. Przygotowała nawet projekt aktu prawnego, którego uchwalenia, jak twierdzi, domaga się Genesis.

– Akt prawny? O czym ty mówisz?

– O ustawie – odparł Salitas. – Prawdziwej, prawnie usankcjonowanej ustawie. Większość członków Kongresu znajduje się tutaj, więc mogą to zrobić. Rozprowadziła projekt, debatowano nad nim przez wiele dni, a teraz nawołuje do głosowania. Najwyraźniej szefowie Genesis to jacyś ultralewicowi szaleńcy. Aktywiści ACLU¹² na sterydach. Ustawa, której się domagają, uchyli przepisy Patriot Act, zdelegalizuje podsłuch telefoniczny i zlikwiduje niemal cały postęp, jakiego dokonaliśmy we wzmacnianiu naszego bezpieczeństwa narodowego.

– Nie możemy do tego dopuścić!

– Być może będziemy musieli – rzekł prezydent, wracając na linię. – Ellis jest gotowa podzielić się swoją wiedzą o wirusie z Amerykanami. Robiłem, co mogłem, żeby ukryć prawdę. Chciałem uniknąć wybuchu paniki. Teraz wygląda na to, że ta decyzja zostanie wykorzystana przeciwko mnie.

– Dlaczego ona chce uchwalenia tej ustawy?

– Terrorysty obiecują, że gdy zostanie uchwalona – odparł Allaire – dostarczą lek przeciwwirusowy. Wtedy ona będzie bohaterem. A w sytuacji gdy nie ma Henry’ego, jeżeli umrę, Ellis bez przeszkód przejmie władzę.

– Genesis naprawdę ma jakiś lek?

– Jasne że nie! Kimkolwiek oni są, kręcą nią jak marionetką. Po co? Grają na zwłokę, to jasne. Grają na zwłokę... dopóki wszyscy nie pomrzemy.

Niemoc w głosie Allaire’a stała się jeszcze bardziej wyraźna.

– Nie ma tam nikogo, kto może ją przekonać? – zapytał Rappaport.

– To znowu ja – powiedział Gary Salitas. – Ellis nie chce słuchać głosu rozsądku. Szaleńczo pragnie władzy. Zmusiła nawet Bethany Townsend, lekarzkę prezydenta, do obserwowania każdego jego ruchu w poszukiwaniu oznak, że nie może dalej sprawować urzędu. Jim jest gotów zawetować jej ustawę, ale na razie wygląda na to, że ona go przeżyje.

– Mój Boże!

Allaire znowu włączył się do rozmowy.

– Chyba nie będę prezydentem wystarczająco długo, żeby przeszkodzić w jej uchwaleniu. Paul, sytuacja stała się naprawdę rozpaczliwa. Ale jest jeden promyk nadziei.

Świąteczko.

– Słucham cię.

– Wiadomość, którą otrzymaliśmy od Rhodesa, zawierała podsumowanie danych z badań. Sądzi on, że jego błąd polegał na użyciu niewłaściwej ilości adiuwantu w stosunku do ilości surowicy. Jest przekonany, że skuteczne zwalczanie wirusa wymaga o połowę większej dawki tego białka, i właśnie tę zaleconą przez program proporcję błędnie zinterpretował. Twierdzi, że to jego jedyny błąd.

– Nie może po prostu zaaplikować sobie kolejnej dawki leku z dodatkiem tego czynnika pobudzającego?

– Za późno – odparł Allaire. – Potężna dawka wirusa, którą sobie wstrzyknął, neutralizuje wpływ leku. Wirus ulega już mutacji... wywołując nowe objawy. Podobnie jak wiele osób tutaj, Rhodes ma krwotoki z nosa. Przyznaje, że wstrzykując tak dużą ilość wirusa, wykazał się nadmierną pewnością siebie, ale jest przekonany, że pięćdziesięcioprocentowe zwiększenie ilości adiuwantu podziela na większość z nas, a może nawet na wszystkich.

– Jaki jest więc następny krok, panie prezydencie?

– Najważniejsza jest surowica – odparł Allaire. – Tyle że to unikat. Nie możemy zdobyć kolejnej porcji.

– Jak mogę pomóc?

– FBI i CDC tworzą laboratorium, żeby przygotować nową porcję leku zgodnie ze specyfikacją przekazaną nam przez Rhodesa.

– Gdzie?

– W jednej z naszych kryjówek w Waszyngtonie. Gary poda ci adres. Ty i twoja ochrona z Secret Service musicie przywieźć tę surowicę do laboratorium. Terroryci za każdym razem uprzedzali nasze działania, więc bezwzględnie należy zachować dyskrecję.

– Rozumiem. Załatwione, panie prezydencie.

– Paul, to wszystko. To nasza jedyna szansa. Wierzę, że tylko ty dasz sobie z tym wszystkim radę. Posyłamy po was trzy helikoptery. Piloci będą wiedzieli, co mają dalej robić.

– Nie zawiodę cię, Jim. Jak mam wy dostać surowicę z laboratorium?

– Rhodes odkaził lodówkę z surowicą i zostawi ją pod drzwiami laboratorium. Możesz ją zabrać bez konieczności wkładania skafandra ochronnego.

– A co z nim?

Znowu nastąpiła długa przerwa w rozmowie.

– Rhodes jest już poważnie chory – odparł w końcu Allaire. – Zgodnie ze swoją oceną za kilka godzin nie będzie żył.

Rozdział 65

DZIEŃ 10 24.00 EST

Angie zerkała na zegarek i chodziła po słabo oświetlonym salonie niczym lwica w klatce. Dla uspokojenia kilka razy wciągnęła powietrze głęboko w płuca, ale nie była w stanie stłumić podniecenia. Dla zabicia czasu przygotowywała w myślach swój artykuł, z Griffem w roli bohatera i Paulem Rappaportem jako mózgiem operacji Genesis. Stawką była prezydentura w najpotężniejszym państwie na Ziemi.

Powiedziano jej, że kamienica z elewacją z piaskowca jest jedną z kilku waszyngtońskich kryjówek używanych przez FBI, ATF i CIA. Dyskretnie elegancki budynek, usytuowany przy cichej ulicy w dzielnicy Adams Morgan, wykorzystywano w przeszłości do zwabiania w pułapkę szpiegów, szantażystów, handlarzy bronią, pedofilów i kanciarzy. Wszystkie pokoje były na podsłuchu i wszędzie ukryto nowoczesne kamery. Furgonetka ze sprzętem monitorującym zaparkowana kilka przecznic dalej miała służyć jako wsparcie.

Zapewniali, że będzie bezpieczna, lecz ona miała co do tego wątpliwości, zwłaszcza gdy dali jej pistolet – glocka 19 – i zrobili krótki wykład na temat posługiwania się nim. Broń, leżąca idealnie w dłoni, podziałała trochę uspokajająco. Angie widziała, do czego zdolni są terroryści, i uważała, że tak naprawdę żadne miejsce przed nimi nie chroni.

Po raz tysięczny zastanawiała się nad losem Griffa. Nikt jej nic nie powiedział. Realizowali jego plan, ale on sam był gdzie indziej. Zażyczył sobie, by Allaire zadzwonił do niego, gdy tylko zapozna się z faksem. Co dokładnie powiedział prezydentowi w tej rozmowie? Czy opowieść o konieczności zmodyfikowania składu leku wziął z sufitu, czy była prawdziwa? W tym momencie wydawało się, że jest przynajmniej w połowie prawdziwa, w takim razie więc Griff mógł już nie żyć.

Rappaport wierzył, że przewozi surowicę, która, po modyfikacji w tutejszym

laboratorium, stanowiła ostatnią nadzieję dla prezydenta i wszystkich uwięzionych w Kapitolu. Jeżeli należał do Genesis, to albo się zjawi z bajką o tym, jak zmuszono go pod groźbą użycia broni do oddania surowicy, albo nie zjawi się wcale. Tak czy inaczej, zgodnie z konstytucją będzie następny w kolejce do prezydentury. Możliwe też, że już dokonał podmiany i to, co dostarczy, będzie namiastką pozbawioną jednego ważnego składnika, ale na tyle umiejętnie spreparowaną, by zwieść biochemików z laboratorium. Ostatecznie tylko Griff wiedział, co przygotował razem ze swoim komputerem.

Meble w bogato urządzonych pokojach dobrze pasowały do oszustwa na dużą skalę – fotele obite pluszem, olśniewający żyrandol z mosiądzu i kryształu oraz piękne orientalne dywany, które otaczały głęboki kominek z polnego kamienia. Ten dom mógłby należeć do wysokiego rangą dyplomaty bądź ustosunkowanego polityka.

Angie dotknęła niewielkiego pistoletu w kieszeni spódnicy. Nie miała większego doświadczenia w posługiwaniu się bronią, lecz gorąco kochała życie i podejrzewała, że użyje glocka, jeżeli od tego będzie zależało ocalenie.

Boazeria na jednej ścianie uchylła się bezszelestnie i trzech agentów FBI, którzy towarzyszyli Angie, odkąd przywieziono ją do tego domu, wróciło do pokoju.

– Już są.

Przez wysokie wykuszowe okno obserwowała, jak czarny lincoln town car zatrzymuje się gwałtownie przy krawężniku. Wyskoczyło z niego szybko trzech agentów Secret Service. Jeden z nich otworzył tylne drzwi auta i Paul Rappaport wysiadł na chodnik. Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego, w eleganckim płaszczu, trzymał w dłoni jeden uchwyt dużej niebieskiej lodówki. Muskularny agent chwycił wcześniej za drugi. Angie zrobiła kilka zdjęć nową cyfrową lustrzanką, gdy obaj szli po chodniku w stronę schodów. Dwaj pozostali agenci zajęli miejsca koło samochodu.

Angela czekała za brązową skórzaną kanapą, która stała naprzeciw jedynych drzwi w salonie. Otworzyły się bez pukania i agent Secret Service wszedł do środka z bronią w ręku. Sprawdziwszy pokój, wsunął broń do kabury i dał znak Rappaportowi, by przestąpił próg. Sekretarz od razu spostrzegł dziennikarkę i zapytał:

– Co pani tu robi? Gdzie są chemicy? Gdzie laboratorium?

Przyciągnął lodówkę do siebie i przezornie cofnął się o krok.

Angie pstryknęła serię zdjęć.

– Na górze – odparła. – Czekają na pana.

– Co pani tu robi? – powtórzył Rappaport. – Powiedziano mi, że jest pani w szpitalu w Nowym Jorku.

– Wydobrzałam. I teraz opisuję tę historię. Przy odrobinie szczęścia będzie miała pomyślne zakończenie.

– Przy odrobinie szczęścia – rzekł Rappaport z podejrzliwie zmrużonymi oczami.

– Przepraszam za ten aparat, ale ludzie lubią oglądać zdjęcia.

Angie spojrzała przez wizjer lustrzanki i wydała z siebie stłumiony okrzyk przerażenia. Za Rappaportem pojawili się dwaj potężnie zbudowani mężczyźni ubrani na czarno, w czarnych narciarskich kominiarkach i z pistoletami w ręku.

– Uwaga! Za wami! – krzyknęła, lecz jej ostrzeżenie padło zbyt późno.

Jeden z mężczyzn chwycił Rappaporta za gardło i zanim ten zdążył się ruszyć, miał przytkniętą do skroni lufę ciężkiego pistoletu. Agenci w pokoju zareagowali z opóźnieniem. Drugi intruz zbliżył się szybko do sekretarza i wyrwał mu z drżącej ręki lodówkę. W tej samej chwili do salonu wpadli trzej następni zamaskowani mężczyźni, każdy z pistoletem maszynowym.

– Rzućcie broń – zażądał człowiek przytrzymujący Rappaporta – a nikt nie zginie.

Dwaj agenci zdążyli sięgnąć po pistolety, ale napastnicy mieli przewagę liczebną. Angie trzymała rękę w kieszeni spódnicy, zaciśniętą na glocku. Wydawało się mało prawdopodobne, by zdążyła go wyciągnąć, strzelić i trafić w kogokolwiek, zanim zostałaby rozwalona na kawałki.

– Mamy to, czego nam potrzeba – warknął jeden z intruzów mówiący z wyraźnie latynoskim akcentem. – Róbcie, co mówimy, bo inaczej wszyscy zginiecie. Broń rzućcie tam. Na podłogę. Ręce na kark. No już!

Angie się zawahała. Rozległa się seria z broni maszynowej, pociski przeleciały ze świstem obok jej głowy i uderzyły w ścianę. Przez chwilę sądziła, że stanęło jej serce. Uchyliła się przed kulami i z krzykiem padła na podłogę. Inni ochroniarze i Rappaport już leżeli; broń odrzucili na bok. Gdy się obejrzała, wszyscy napastnicy mieli na twarzach maski przeciwigazowe.

Byli niewyobrażalnie szybcy i dobrze zorganizowani.

Rzucili jakiś pojemnik na dywan. Dziennikarka i pozostali zaczęli kaszleć, gdy cuchnące wyziewy podrażniły im płuca. Z oczu płynęły jej łzy, miała wrażenie, że krtań zacisnęła się zupełnie. Czyjeś dłonie w rękawicach chwyciły ją od tyłu. Zanim znowu zdążyła krzyknąć, zaklejono jej usta taśmą i związano ręce na plecach. Cała operacja trwała niespełna minutę. Potem zapadła ciemność.

Angie odzyskała przytomność równie szybko, jak ją straciła. Czuła piekącą żółć wędrującą z żołądka do gardła i zadrzała ze strachu na myśl, że z powodu taśmy zaklejającej jej usta udusi się od własnych wymiocin.

Przewróciła się na bok, odetchnęła głęboko i powoli przez nos i skupiła myśli na

obrazie Griffa, który stworzyła podczas telefonicznej rozmowy w szpitalnym pokoju. Wyobraziła go sobie w laboratorium w Kalveście, odważnie i pewnie wstrzykującego sobie wirus równie zabójczy jak te, które tropił kiedyś w Afryce. W jego odwadze znalazła siłę potrzebną do zachowania spokoju.

Wokół krztusili się i kaszleli agenci. Chwilę później w drzwiach zrobił się tumult. Rozwiązano jej zdrętwiałe ręce. W salonie roiło się teraz od policjantów, żołnierzy i agentów FBI. Było ich tylu, że z trudem się przemieszczali.

– Nie mogę uwierzyć, że to spieprzyliśmy – rzekł jeden z agentów, który wcześniej towarzyszył Angie. – Wkroczyli do akcji niczym komandosi Delta Force. Jak, u diabła, dostali się tutaj z taką łatwością?

– Dwaj ochroniarze na zewnątrz nie żyją, obaj zginęli od strzałów w głowę, przypuszczalnie z broni z tłumikiem. Nie słyszeliśmy niczego, dopóki nie dobiegła stąd seria z karabinu maszynowego. Zanim wyskoczyliśmy z furgonetki i dotarliśmy na miejsce, ich już nie było.

– Rappaport! – Angie wykrztusiła te słowa, gdy agent FBI ściągnął jej z ust taśmę. – Gdzie jest Paul Rappaport?

– Jest tutaj – odparł agent. – Był związany tak samo jak reszta z was.

– Lodówka... surowica... – Angie z trudem wydobywała z siebie słowa. Oddychała w przyspieszonym rytmie, a oczy piekły ją od dymu. – Lodówka – zdołała powtórzyć.

Agent FBI pokręcił tylko głową.

– Cokolwiek było w tej lodówce – odparł, pomagając jej wstać – ulotniło się tymi drzwiami razem z ludźmi, którzy ją zabrali.

Rozdział 66

DZIEŃ 10

1.00 EST

Przeznaczenie!

Ursula Ellis wiedziała, że już za moment przejdzie do historii. Stała przy mównicy w sali obrad Izby Reprezentantów i spoglądała na trzysta przerażonych i oszołomionych twarzy. Ale teraz była ich przywódcą – ich pasterzem. Przegrała bitwę wyborczą, ale teraz, dzięki przeznaczeniu i Genesis, zamierzała wygrać wojnę.

Wzięła głęboki oddech, chłonąc atmosferę tej chwili i nadchodzących wydarzeń. Komisja regulaminowa, stanąwszy w obliczu sformułowanej przez nią alternatywy: „ta ustawa albo śmierć”, nadała uprzywilejowany status jej projektowi legislacyjnemu.

Ruchem ręki przywołała do siebie Gladstone’a, który nosił komunikator przekazany jej przez terrorystów.

– Czy już nam odpowiedzieli? – zapytała.

– Cisza – odparł. – Wiedzą, że teraz będzie głosowanie?

– Poinformowałam ich. Na pewno dotrzymają słowa.

– Może powinniśmy się wstrzymać do czasu, aż dostarczą lek.

– Zabrnęliśmy za daleko – odpowiedziała szeptem, czując, jak w jej sercu zagnieźdża się niepokój. – Po prostu dalej próbuj się z nimi skontaktować.

Minęły dwa dni, odkąd Gladstone rozdał kopie ustawy wszystkim kongresmenom zdolnym oddać głos. Przez ten czas Ellis słyszała głosy oburzenia ze wszystkich kątów sali obrad. Jeden kongresmen podarł dwudziestostronicowy tekst ustawy. Inny próbował go podpalić, zmuszając do interwencji kapitolijną policję.

Jednak z tego, co widziała przed sobą teraz, ani jeden kongresmen nie wyglądał na zainteresowanego protestowaniem przeciwko ustawie – nie po tym, jak pokazała im nagranie wideo zrobione w sali obrad Senatu, gdy wszyscy zrozumieli, jak

perfidny jest James Allaire i jaki koszmar ich czeka, i gdy uświadomili sobie, że bez niej, bez tej ustawy, umrą, i to w potwornych mękach.

Po pokazie makabrycznego filmu zapadła grobowa cisza, ale już kilka sekund później wybuchła wrzawa. Hałas narastał. W górę poszły ręce – politycy błagali Ellis o szansę zabrania głosu.

Chcą głosować za moją ustawą. Nie chcą umierać.

Pozwoliła, by zamieszanie trwało kilka minut. Dzięki Lamarowi oczy całego świata były zwrócone na nią. Kamery telewizyjne, wyłączone wcześniej na rozkaz Allaire'a, znowu pracowały. Naród amerykański był silny. Ellis pokładała w nim większą wiarę niż Allaire. Amerykanie musieli być naocznymi świadkami historii.

Dotarła do niej pogłoska, że prezydent słabnie w oczach. Gdy ta ustawa zostanie uchwalona i gdy Genesis dostarczy lek, najprawdopodobniej dla niego będzie już za późno. Ellis poprawiła mikrofon, podkreśliła głośność, po czym trzy razy stuknęła młotkiem w mównicę i w sali zapanowała cisza.

– Chciałabym rozpocząć głosowanie nad zaproponowaną przeze mnie specjalną ustawą, zwracając się do obywateli Stanów Zjednoczonych i tych, którzy oglądają transmisję w innych krajach. Poprosiłam, by dzisiejsze obrady pokazano na całym świecie, ponieważ rządowi Stanów Zjednoczonych chodzi o naród i działa na rzecz narodu. I nie zrezygnujemy z najświętszej i najbardziej fundamentalnej zasady, na jakiej opiera się nasz kraj, nawet jeżeli prawda, którą dzisiaj ujawniamy, jest tak potworna jak tragedia, w obliczu której stajemy.

Ellis zrobiła pauzę i przypomniała sobie, żeby trzymać się wyćwiczonego sposobu wygłaszania przemówienia, które napisała wspólnie z Gladstone'em.

– To będzie niedokończone orędzie o stanie państwa – powiedziała swojemu współpracownikowi – tyle że tym razem to ja je wygłoszę.

Przeznaczenie.

– Zwracam się do moich przyjaciół, koleżanek i kolegów w Kongresie – ciągnęła. – Zdaję sobie sprawę, że ustawa, którą przedstawiam, was zaszokowała. Jeżeli nie wszyscy, to spora część z was wie, że niektóre z zawartych w niej zapisów różnią się od moich dobrze udokumentowanych poglądów. Ale otrzymałam fantastyczną możliwość, możliwość ocalenia życia wielu spośród najważniejszych przywódców naszego kraju. Genesis, nikczemna i zdradziecka organizacja odpowiedzialna za akty terroryzmu, które nękają nasz kraj, uwolniło zabójczy wirus, domagając się nagłośnienia swojego stanowiska. To nie jest handel, który akceptuję, ale chcąc nie chcąc, wezmę w nim udział. Genesis zaproponowało nam lek ratujący przed okropieństwami, jakie spotkały nieszczęśników, których właśnie widzieliście w sali obrad Senatu. Cena jest wysoka: uchwalenie przez was tej ustawy. Ja w każdym razie wybieram życie!

W sali wybuchły głośne komentarze. Ellis przeprowadziła niemy sondaż wśród siedzących przed nią sędziów Sądu Najwyższego, szukając werdyktu w ich oczach. To, że nie dostrzegła w nich wyrazu lekceważenia, pogłębiło jej determinację. Pomogło jej to, że jeden z ich grona odegrał ważną rolę w filmie z sali obrad Senatu.

– Wynegocjowałam porozumienie z terrorystami – powiedziała. – To prawda. Ale mamy demokrację i...

W tym momencie drzwi do korytarza prowadzącego ze skrzydła senackiego Kapitolu otwarły się gwałtownie i do sali wkroczył prezydent James Allaire.

Rozdział 67

DZIEŃ 10

1.20 EST

Ellis wpatrywała się wybałuszonymi oczami w prezydenta, gdy wszedł na mównicę i zbliżał się do niej.

– Jest pani skończona, pani przewodnicząca – powiedział na tyle donośnie, by jego słowa wzmocnił system nagłaśniający. – Dokonała pani równie wielkich szkód i wywołała równie wielki chaos jak terroryści. I teraz kładę temu kres!

Prezydent dał znak Seanowi O’Neilowi, wciąż stojącemu przy drzwiach, które chwilę wcześniej otworzył Allaire. Jeden za drugim, w małej procesji, chorzy i osłabieni ludzie zaczęli wchodzić, powłócząc nogami, do sali obrad. Mieli ziemiste, często umazane krwią twarze. Niektórzy byli wyraźnie zdezorientowani, oszołomieni i poruszeni. Idąc, kaszleli. Część musiała się zatrzymać, żeby odetchnąć. Zbyt słabym, by iść o własnych siłach, pomogli wejść do sali agenci Secret Service i funkcjonariusze policji.

Właściwie w tym samym momencie do Izby weszła od strony Sali Rzeźb druga, dłuższa procesja. Ta grupa, prowadzona przez muskularnego Afroamerykanina o posturze wojskowego, ubrana w szpitalne stroje, była w mniej przerażającym stanie niż poprzednia, ale już mocno osłabiona.

Dwaj ostatni ludzie, którzy dotarli do sali, przyszli od strony Senatu. Szli ramię w ramię, chociaż jeden poruszał się z wielkim trudem i musiał się wspierać na swoim towarzyszu. Wiceprezydent Henry Tilden, ten słabszy, wyglądał upiornie – sponiewierany, zgarbiony i wychudły. Jego twarz była paskudnie podrapana i brudna od zakrzepłej i krzepnącej jeszcze krwi. Tildena wspierał wysoki mężczyzna w niebieskim skafandrze ochronnym. Światło odbite w masce jego hełmu sprawiło, że Ellis nie zdołała go rozpoznać. W lewej ręce trzymał niebieską plastikową lodówkę.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknęła do mikrofonu. – To najbardziej chorzy z nas. Sprowadzacie śmierć na tę salę. Ludzie na całym świecie są tego świadkami.

Na twarzy Allaire'a odmalował się wyraz odrazy.

– Mylisz się, Ursulo. Są świadkami twojego szaleństwa, a wiceprezydent Tilden i inni są gotowi przysiąc, że to ty zamknęłaś go w sali obrad Senatu, by tam zmarł lub zginął.

Wśród zebranych wybuchły gniewne okrzyki. Allaire uderzył młotkiem przewodniczącej, żeby je uciszyć, i kontynuował. Wciąż był bardzo roztrzęsiony, ale zdołał przemówić do zgromadzonych w stylu godnym prezydenta.

– Ci ludzie zostali sprowadzeni z sali obrad Senatu, a tamci z Sali Rzeźb, ponieważ teraz mamy środki, żeby wyleczyć ich... oraz resztę z nas.

– To kłamstwa! – krzyknęła Ellis. – On nas wszystkich okłamuje. Ten człowiek jest szalony! Jest ciężko zarażony wirusem i miał być niebawem zwolniony z pełnienia swoich obowiązków. Zapytajcie doktor Townsend, jego lekarkę. Ona wie, że wirus zaatakował jego umysł.

– Owszem, wirus z każdą godziną wpływa na mnie coraz silniej – przyznał Allaire. – I zgadza się, postanowiłem nie pokazywać okropnych skutków jego działania w telewizji. Ale uczyniłem tak, by uchronić was wszystkich przez wybuchem paniki w czasie, gdy pracowaliśmy przez okrągłą dobę nad znalezieniem jakiegoś lekarstwa. Wprowadziłem was w błąd nie dlatego, że chciałem oszukać, ale dlatego, że w głębi duszy czułem, iż mam obowiązek was chronić.

– Nie wierzcie w te szaleństwa! – zagrzmiała Ellis. – Jeżeli chcecie żyć, ta ustawa musi zostać uchwalona. Lekarstwo ma Genesis i tylko ja mogę je dostać!

Allaire zerknął na żonę i córkę.

– Genesis, ktokolwiek ją tworzy, nie ma żadnego leku, Ursulo – wyjaśnił cierpliwie Allaire. – I nigdy nie miało. To złodzieje i terroryści. Nie dysponują ani technologią, ani zdolnością zapewnienia leku na tak złożony wirus. Moja administracja stworzyła ten koszmar w złudnej nadziei, że stosując go, moglibyśmy się obyć bez wszelkich form tortur. My opracowaliśmy wirus WRX i my jako jedyni jesteście w stanie go powstrzymać.

– Kłamiesz... Kłamiesz... – powtarzała Ellis, lecz jej słowa straciły już siłę.

– Terroryści musieli grać na zwłokę, Ursulo. Czekać, aż wszyscy pomrzemy. Użyli więc ciebie. Wykorzystali twoją żalną żądzę władzy, żeby zmienić cię w swoją marionetkę. To my mamy lekarstwo. Właśnie dlatego sprowadziłem tych wszystkich dzielnych ludzi z powrotem na tę salę, żeby wam dowieść, iż wkrótce to zakażenie będzie tylko wspomnieniem. Niebawem będziemy mogli zacząć ratować nasze zdrowie. I musimy za to podziękować jednemu człowiekowi.

Allaire skinął na mężczyznę w skafandrze, który powoli dostał się na mównicę. Potem mężczyzna odpiął zatrzaski i oderwał taśmy na swoim hełmie i zdjął go,

narażając się na kontakt z zanieczyszczonym powietrzem, którym oddychali wszyscy zebrani.

Mężczyzna miał poszarzałą twarz i siwe włosy, ale jego oczy były promienne. Ellis potrzebowała kilku sekund, żeby go rozpoznać. Ale gdy już poznała, odniosła wrażenie, że jakaś lodowata ręka chwyciła jej serce.

Mężczyzną tym był Griffin Rhodes.

Rozdział 68

DZIEŃ 10

1.30 EST

Trzy wynajęte sedany, jeden po drugim, wjechały w pięciominutowych odstępach przez bramę garażu na tyłach budynku S&S Trading Co. Pięciu mężczyzn w czerni wyszło z garażu przez wewnętrzne drzwi i znalazło się w dużym magazynie od strony ulicy.

Wokół prowizorycznego laboratorium biochemicznego, wyposażonego w aparaturę do immunoelektroforezy i spektrometrii masowej, czekali wraz z jakimś chemikiem Roger Corum, Colin Whitehead i Marguerite Prideaux.

Przywódca najemników wyjął z lodówki pięć dużych szklanych słoików, każdy starannie oznakowany i zawierający lekko mętny płyn w kolorze słomy. Ich grupa dołączyła potem do dwóch innych ubranych na czarno mężczyzn, z których jeden obsługiwał imponujący zestaw dwóch monitorów wideokonferencyjnych. Na ekranach widać było Songa Xi oraz Ibn al-Basarth, czekających przy swoich biurkach w Pekinie i Rijadzie.

Tych pięcioro multimilionerów stworzyło tajny kartel międzynarodowy, który przyjął nazwę „Genesis”. Na ten pomysł, podobnie jak na pomysł sięgania po nazwy ze Starego Testamentu, wpadł Corum. Ich organizacja miała jeden jedyny cel: zyski. Po zakończeniu tej operacji i zaprzysiężeniu Rappaporta na urząd prezydenta dalsze istnienie Genesis nie byłoby potrzebne. Naród amerykański i jego nowy przywódca sami zajęliby się resztą.

– Były jakieś problemy? – zapytał Corum dowódcę oddziału.

– Dwie ofiary po ich stronie, to wszystko – odparł rzeczowo mężczyzna. – Rzecz nieunikniona.

– Nie ma sprawy. Rappaport cały i zdrowy?

– Owszem. Był równie zaskoczony i przerażony jak cała reszta.

– A więc – rzekł Song Xi niemal perfekcyjną angielszczyzną – sekretarz Rappaport nadal nie ma pojęcia, że Genesis chodzi wyłącznie o wprowadzenie jego

i jego strategii do Białego Domu?

– Nie tylko o to – odparła Prideaux. – Również o przygotowanie Amerykanów do współpracy z nimi i o rozbudowę systemu bezpieczeństwa kraju kosztem miliardów dolarów.

– Dziesiątek miliardów – poprawił ją Whitehead, rozdzielając słowa kaszlem.

– I oczywiście – dodał al-Basarth – ktoś lepiej nadaje się do dostarczenia nowego systemu identyfikacji i kamer monitorujących niż nasze firmy... już teraz będąc liderami w swoich branżach.

– Idę o zakład, że nasz rząd nie pozostanie w tyle – wtrącił Xi. – Myślę, że świat jest gotów do wprowadzenia odrobiny izolacjonizmu. Paranoja równa się zysk. Kto pierwszy to powiedział?

– Ja – odpowiedzieli zgodnym chórem Corum, Prideaux oraz Whitehead i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Jak nam idzie? – zapytał Corum chemika, mężczyznę o nazwisku Falicki.

Falicki pracował już wcześniej dla niego. Tak naprawdę to właśnie on skontaktował go ze zmarłym Mattem Finkiem. Uciszanie Falickiego i któregokolwiek z tych ludzi nie było potrzebne. Gwarantowały to ich pensje.

– Prawie gotowe.

Rozległ się dzwonek drukarki komputerowej, która zaraz potem zaczęła wyrzucać z siebie wyniki spektrometrii masowej surowicy, którą Paul Rappaport przywiózł do Waszyngtonu z Kalvesty. Studiując wydruk, Falicki zmarszczył czoło.

– No i?

– Wydaje się, że to autentyczny lek przeciwwirusowy – oznajmił chemik. – Surowica posiada właściwości, które spodziewaliśmy się wykryć, oraz adiuwant dodany, jak wiedzieliśmy, przez wirusologa. Chciałbym mieć pewność, że to, co zawierają te pojemniki, to właśnie lek, który doktor Rhodes sobie wstrzyknął, ale dokładniejszej weryfikacji nie przeprowadzimy. Na tyle, na ile potrafię określić, sądzę, że to autentyk. Moje gratulacje.

Corum wzdrygnął się, usłyszawszy za sobą głośny trzask. Odwrócił się, by ujrzeć, jak rozpromieniona Prideaux trzyma otwartą półtoralitrową butelkę szampana, z której tryska piana.

– Mamy powód do świętowania, *non?* – powiedziała, celowo z mocnym francuskim akcentem, zazwyczaj bowiem mówiła niemal bez niego.

Whitehead przyklasnął jej i wszyscy w magazynie przyłączyli się do nich. Nie będzie dostarczonego w ostatniej chwili leku dla Jamesa Allaire'a i jego rządu. Ocalały z zagłady został trafnie wybrany. Decyzja o skłonieniu Rappaporta, by sam poprosił o desygnowanie do tej niepożądanego roli, tłumacząc to potrzebą opieki nad

psychicznie chorą córką, była genialna, pomyślał Corum. Po prostu genialna.

– Panowie – rzekł Corum do mężczyzn obserwujących wydarzenia za pośrednictwem kamer – jeżeli macie pod ręką jakieś napoje, pora wznieść toast. Wraz z panem Whiteheadem i mademoiselle Prideaux pojawimy się wkrótce na listach najbogatszych ludzi w naszych krajach.

Prideaux wręczyła butelkę szefowi oddziału najemników i rozdała wysokie kieliszki zakupione w sklepie z alkoholem. Potem wzniosła swój kieliszek ku dwóm uśmiechniętym mężczyznom na drugim końcu świata. Grupa zgromadzona w starym magazynie uczyniła podobnie, a Song i al-Basarth odpowiedzieli tym samym.

– Za wystawę branżową w Las Vegas i za wieczór, gdy wizjoner Roger Corum poznał nas z sobą – powiedziała Prideaux, nie opuszczając kieliszka.

– Za wystawę! – wykrzyknęli wszyscy.

– Roger, przemówienie – zażądał Whitehead.

Corum wystąpił naprzód, jeszcze raz wznosząc kieliszek.

– Myślę, że jesteśmy winni przewodniczącej Ellis chwilę pełnego wdzięczności milczenia za to, że była tak doskonałą bronią i że najwidoczniej nie знаła ludowej opowieści o Bracie Króliku i Bracie Lisie.

– Co to za opowieść?

– Cóż, Brat Lis miał właśnie zjeść Brata Królika, gdy Królik zaczął z płaczem nawijać, że Lis może zrobić wszystko, na co ma ochotę, ze zjedzeniem królika na obiad włącznie. „Ale proszę, błagał sprytny królik, tylko nie rzucaj mnie w te cierniste krzaki”. Cóż, Brat Królik przysporzył Bratu Lisowi tylu zmartwień, że Lis uznał, że zawsze może upolować inny posiłek. Nie zawsze jednak mógł sprawić swojemu wrogowi taką straszną i budzącą tak wielką grozę przykrość.

– Ale oczywiście – zauważył al-Basarth – ów krzak był właśnie tym miejscem, gdzie Brat Królik chciał trafić.

– Miał tam nawet piękny dom letniskowy – potwierdził Corum. – Przedstawiając spłodzoną przeze mnie bezsensowną, skrajnie lewacką ustawę, przewodnicząca Ellis w istocie wrzucała nas w cierniste krzaki. Skoro Genesis było za nią, po objęciu urzędu przez Rappaporta cały świat byłby jej przeciwny.

– Za Brata Królika – zaproponował Song, unosząc kieliszek.

– Za Brata Królika – powtórzyli jak echo pozostali.

– A teraz – rzekł Corum, gdy ucichł śmiech – nadszedł czas, byśmy pozbyli się zawartości tych naczyń.

Z pomocą Prideaux włożył pojemniki z surowicą do podwójnego przemysłowego zlewu znajdującego się pod jedną ze ścian.

– Pięć naczyń – zauważyła Francuzka. – Po jednym na każdego z nas. Xi,

uczynię honory domu w twoim imieniu, a Roger będzie reprezentował Ibn al-Basartha.

To powiedziawszy, zdjęła nakrętkę oznaczoną napisem WYSTERYLIZOWANE, po czym bezceremonialnie wylała zawartość słoja do zlewu.

Po opróżnieniu drugiego naczynia do zlewu podszedł Corum.

– Ibn, to twoja działka – powiedział.

Gdy ostatnia porcja złocistego płynu wylewała się z pojemnika, do stalowego zlewu wypadło z cichym brzękiem coś metalicznego. Corum sięgnął ręką i podniósł złoty krążek średnicy jednodolarówki i grubości trzech milimetrów.

– Do jasnej cholery! To urządzenie naprowadzające. Jedno z naszych...

Jego wypowiedź przerwała seria głośnych eksplozji przed magazynem. Gdy elewacja budynku i część stropu rozpadły się na kawałki, wewnątrz natychmiast wypełniło się betonowym pyłem, odłamkami i dużymi śmiertcionośnymi kawałkami metalowej okładziny. Przeciągły huk, który towarzyszył eksplozjom, wytłukł wszystkie szyby i szkło w pomieszczeniu i powalił wszystkich na posadzkę. Opadła na nich ruchoma ściana pyłu.

Niektórzy kaszleli, część nie żyła, inni zwijali się z bólu spowodowanego ranami i złamaniami kości. Wtedy do środka wdarli się żołnierze.

Światła i lasery zamocowane na broni szturmowej penetrowały gęstą chmurę kurzu i pyłu. W ślad za mroźnym wiatrem do magazynu wpadły dziesiątki żołnierzy. Niektórzy pchali przed sobą przewoźne szperacze.

– Ręce na kark! – zawołał generał Frank Egan, wymachując pistoletem. – Kłaść się z rękami z tyłu, bo przysięgam, że was wystrzelamy! Na ziemię.

Któryś z najemników obrócił się gwałtownie i oddał jeden niecelny strzał. Ugodziło w niego tyle pocisków, że podrygiwał na ziemi niczym marionetka. Wtedy opór ustał. Żołnierze skuli terrorystom ręce oraz nogi i odebrali broń.

Gdy żołnierze się wycofali, Angie weszła do magazynu i dołączyła do Egana. Śledząc rozmowy z furgonetki, wywnioskowała, że to Corum jest przywódcą Genesis, a Rappaport naiwniakiem wybranym z powodu dobrze znanych reakcyjnych poglądów politycznych.

Wojskowi specjaliści od informacji dostarczyli jej krótkie dossier Coruma, jego firmy oraz wszystkich osób, których nazwiska padły podczas spotkania. Zdołali nawet wydobyć z archiwum zdjęcia Coruma i Whiteheada.

Zdumiewające.

Oszołomiony Corum próbował wstać. Miał rany cięte na plecach i ręce, wyglądało też na to, że druga ręka była złamana.

– Leż – warknęła Angela. – Leż na ziemi, bo cię zastrzelę. Nie masz pojęcia, jak

ogromną mam na to ochotę, i zapewniam, że to zrobię! Nazywam się Angela Fletcher. Pracuję dla „Washington Post”. Nie zgadniesz! Jutro będziesz w gazetach.

W jednym z martwych mężczyzn, leżącym koło Coruma, Angie rozpoznała Colina Whiteheada. Kurz w dużej mierze opadł lub został rozwiany przez wiatr. Dziennikarka zwróciła się do żołnierza, który pilnował Coruma.

– Niech pan go obróci – poprosiła.

Żołnierz trącił stalowym czubkiem dyrektora firmy Staghorn. Ten wydał z siebie jęk bólu i obrócił się na plecy. Angie zrobiła mu zdjęcie, po czym zaczęła fotografować pomieszczenie.

– To moja zapłata za wyświadczone usługi – wyjaśniła. – Napiszę w końcu wszystko o tobie i twoich zachłannych kumplach, a Griffin Rhodes ucieszy się na wieść, że dotarła do was przeciwwirusowa surowica, którą Rappaport przywiózł do Waszyngtonu na rozkaz prezydenta. To imitacja stworzona w laboratorium i zaopatrzona w wasze urządzenie naprowadzające, które miał nosić Rhodes. Nie było to łatwe. Tak naprawdę przyrządzenie tej fałszywej surowicy zajęło mu równie dużo czasu jak zrobienie prawdziwego leku.

– Pierdol się – wychrypiął dyrektor.

– Zabiliście moich przyjaciół. Zabiliście dziesiątki porządnych, niewinnych ludzi. Sterroryzowaliście kraj. Myślałeś, że kim, u diabła, jesteś? Kto ci dał do tego prawo?

Usta Coruma rozciągnęły się w paskudnym, ukazującym zakrwawione zęby uśmiechu.

– Jestem po prostu człowiekiem – odparł, plując krwią. – Człowiekiem, który marzył.

– Marzył o tym, by siać śmierć?

– Nawet jeśli nie skorzystam na tym bezpośrednio – odparł Corum – skorzysta moja branża. Moi spadkobiercy.

Moi pracownicy... To handel. Handel w najczystszej postaci.

– Paul Rappaport nie zostanie prezydentem – powiedziała Angie. – Ucieszy się, że mamy nagranie waszej rozmowy o tym, jak go wykorzystujecie... wrabiacie z uwagi na jego konserwatywną filozofię. W istocie wrabiając jego oraz resztę Amerykanów w pracę dla ciebie i bandy twoich zbirów.

Corum próbował coś powiedzieć, ale tylko wykaszła kolejną porcję krwi.

– Teraz to bez znaczenia – zdołał w końcu wykrztusić. – Forsa i tak będzie płynąć do branży ochroniarskiej szerokim strumieniem. Mogę to nazwać swoją spuścizną.

– Ale nie trafi do ciebie ani żadnej z twoich firm. Dopilnuję tego.

– Czy to sprawia pani satysfakcję, pani Fletcher?

– Wyobraź sobie, że poniekąd tak, ty żałosna mendo.

Rozdział 69

DZIEŃ 10 2.00 EST

Griff stał przy mównicy, spoglądając na prawie siedmiuset ocalałych, w różnym stopniu zakażonych wirusem WRX. Chwila, w której ujrzał koncentryczne czerwone kręgi na swojej dłoni, była jedną z najbardziej przerażających i druzgocących chwil w jego życiu. Chodziło nie tylko o to, że jego badania się nie powiodły i umrą ludzie, ale o świadomość, że już nigdy nie zobaczy Angie. Przez prawie godzinę siedział nieruchomo w swoim gabinecie, gapiąc się w ścianę i zastanawiając się, co może zrobić, by zakończyć życie, gdy tylko objawy zarażenia wirusem staną się oczywiste.

I wtedy, nagle, zaczął się dokonywać cud.

W ciągu kolejnych sześćdziesięciu minut okropne ślady zaczęły znikać, aż w końcu, po prawie trzech godzinach, stały się zupełnie niewidoczne. Wcześniej skontaktował się już z prezydentem za pośrednictwem wysłanego do Angeli faksu, prosząc, by zaczął zastawiać pułapkę, która miała potwierdzić podejrzenia o związki Rappaporta z Genesis lub zadać im kłam.

Nastrój w sali obrad Izby Reprezentantów był osobliwą mieszanką oszołomienia i optymizmu. Niektórzy brali się w objęcia. Niektórzy płakali. Inni zaś tylko tkwili nieruchomo, wpatrując się w tę dziwną scenę.

Ellis stała jak skamieniała na podium, spoglądając wściekłym wzrokiem na Rhodesa. Kilku funkcjonariuszy kapitolńskiej policji zbliżyło się do niej, oczekując rozkazów od swojego szefa lub bezpośrednio od prezydenta. Griff pomógł osłabionemu wiceprezydentowi usiąść w fotelu przewodniczącego Izby, po czym otworzył lodówkę, wyjął z niej duży pojemnik z mętnym płynem i podniósł go, żeby wszyscy widzieli.

Zanim jednak zdążył przemówić, jakiś mężczyzna wykrzyknął gdzieś ze środka sali:

– Ustawcie się w kolejce! Może nie wystarczy dla wszystkich!

I nagle, niesiony pierwotnym instynktem przetrwania, a najprawdopodobniej również działaniem wirusa, tłum ruszył do przodu.

– Czekaście! – krzyknął Griff do mikrofonu. – Zatrzymajcie się! Wystarczy, wystarczy dla wszystkich.

Jego słowa nie odniosły jednak skutku. Ludzie, niektórzy przepychając się gwałtownie, inni już pełzając po podłodze, dotarli do schodów prowadzących na mównicę. Do akcji wkroczyła policja, a agenci Secret Service zaczęli tworzyć kordon wokół prezydenta i jego zastępcy.

Zanim jednak którykolwiek z nich dotarł do Griffa, trzy ogłuszające huki powstrzymały kłębiący się tłum i uciszyły salę. Leland Gladstone stał za Rhodesem z dymiącą jeszcze lufą pistoletu, z którego wystrzelił w powietrze, przytkniętą do skroni wirusologa.

Wyrwał mu lodówkę z ręki i wręczył ją swojej szefowej. Otaczający Ellis policjanci cofnęli się.

– To należy do pani, pani przewodnicząca – powiedział Gladstone. – Zbyt ciężko pani na to pracowała, byśmy mogli teraz się zatrzymać. Nie wolno nam tego zrobić.

Ellis wzięła lodówkę od swojego współpracownika i wyjęła z niej jedno z wysterylizowanych naczyń. W sali obrad nadal panowała cisza, oczy wszystkich utkwily w cennej surowicy. Przewodnicząca stała twarzą do zebranych, podczas gdy Gladstone z oszalałym wzrokiem kierował broń ku każdemu, kto się poruszył.

– Wszyscy zostaliście oszukani! – krzyknęła Ellis. – I nadal się was oszukuje. Co to jest? – Dla podkreślenia swoich słów potrząsnęła naczyniem. – Macie zamiar pozwolić, by ten szarlatan wstrzyknął to wam, gdy ja obiecałam wam prawdziwy lek? Macie zamiar zaufać temu... temu pustelnikowi, a nie mnie? Czyż nie ukazałam wam prawdy? Prawdy o senatorze Mackeyu? Prawdy o sytuacji w sali obrad Senatu? Czyż nie przyczyniłam się do zdemaskowania kłamstw tego prezydenta? A mimo to rzucacie się po tę miksturę? Zawartość tego pojemnika jest albo bezużyteczna, albo tylko przyspieszy waszą śmierć. Ale o jednym mogę wam zapewnić... to nie jest lekarstwo! Mają je tylko terroryści. Tylko Genesis oraz ustawa, którą przedstawiłam, może ocalić wam życie, nie ten stek kłamstw.

Allaire, który został sprowadzony z podium przez agentów Secret Service, przecisnął się przez kordon otaczających go ludzi.

– Nie możesz tego robić, Ursulo – powiedział spokojnie. – Tego, co trzymasz w ręce, nie da się odtworzyć. Przecież chcesz ocalić życie wszystkich tych porządnych ludzi. Musisz oddać surowicę i pozwolić, byśmy podali ją chorym. Musisz.

– Muszę ocalić tych ludzi przed tobą! – krzyknęła w odpowiedzi.

Gary Salitas, który skończył rozmawiać przez telefon komórkowy, pochylił się

i szepnął coś prezydentowi. Allaire zwrócił się do zebranych.

– Właśnie otrzymałem wiadomość, że banda terrorystów nosząca nazwę „Genesis” została schwytana. Kilku z nich nie żyje. Reszta jest w drodze do więzienia. – Przeniósł wzrok z powrotem na Ellis. – Przyznali, że posłużyli się tobą, Ursulo. I nie mają żadnej surowicy.

Niektórzy z zebranych przyjęli tę wieść oklaskami, inni dalej wpatrywali się w przewodniczącą.

Oświadczenie Allaire’a przepełniło miarę.

– To kłamstwa! – wrzasnęła. – To wszystko kłamstwa.

Uniosła pojemnik nad głowę i cisnęła nim w głąb sali, gdzie roztrzaskał się na dywanie. Drugi rozbił się na głowie wysokiego łysawego mężczyzny, po którym jego zawartość spłynęła razem z krwią.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, Ellis rzuciła trzecim naczyniem, tym razem rozbijając je o metalową ramę łóżka polowego.

Rozległ się donośny strzał. Głowa przewodniczącej odskoczyła do tyłu, gdy kula przeszła czaszkę i rozerwała potylicę. Krew, mózg i kości bryznęły na podłogę, kiedy Ellis upadła przy fotelu, który tak długo należał do niej.

Gladstone, nadal z bronią w ręku, z coraz bardziej wybałuszonymi oczami, został trafiony w twarz. Osunął się na ciało swojej szefowej. Ich krew zmieszała się z sobą.

Sean O’Neil trzymał dymiący pistolet, przygotowując się do dodatkowego strzału, który nie był potrzebny.

Allaire podbiegł do Rhodesa z wyrazem panicznego lęku na twarzy.

– Mówił pan, że tej surowicy nie da się odtworzyć – powiedział. – Mówił pan, że to jedyna porcja leku. Nie może pan rozcieńczyć tego, co zostało? Tak żeby wystarczyło dla nas wszystkich?

Griff uniósł ręce, żeby uciszyć tłum, po czym, gdy już ustał zamęt, odwrócił się do prezydenta i uśmiechnął się szeroko.

– Panie prezydencie – powiedział do mikrofonu – to prawda, leku przeciwwirusowego, który stworzyłem, nie da się odtworzyć.

– Nie! Nie pozwólcie nam umrzeć! – krzyknął ktoś z sali.

Zawtórowały mu inne wystraszone głosy i tłum przerażonych, łatwo poddających się emocjom ludzi zaczął się na nowo dezintegrować.

– Proszę! – zawołał do nich Griff. – Dość już wszyscy przeszliście. Posłuchajcie.

– Na powrót zapadła niespokojna cisza. – Tej surowicy nie da się odtworzyć – ciągnął – więc nie mogłem wierzyć, że sam potrafię ją tutaj przywieźć. Genesis miało zbyt wiele oczu i uszu, bym sądził, że nie zdołają do mnie dotrzeć. I właśnie dlatego mikstura, którą wniosłem do sali, była przynętą, a nie opracowanym przeze

mnie lekiem. – Skinął głową ku drzwiom do skrzydła senackiego i naprzód wystąpił mocno zbudowany człowiek w skafandrze ochronnym. – Pozwólcie, że przedstawię wam sierżanta Chada Stafforda z armii Stanów Zjednoczonych – jedyne go człowieka, do którego mogliśmy mieć bezgraniczne zaufanie. Surowicy w jego plecaku wystarczy dla wszystkich.

Burza braw i wiwatów wybuchła w tyle sali i przetoczyła się ku żołnierzowi, który oprócz plecaka trzymał w ręku odbezpieczoną broń szturmową. Ludzie odsuwali się, by pozwolić mu przejść, a wiwaty jeszcze się nasiliły. Niewzruszony Stafford wszedł po schodach na mównicę i stanął obok Griffa, który odwrócił się do niego, uścisnął mu rękę i rzekł:

– Cieszę się, że trafiłeś tu bez przeszkód.

Epilog

Zajazd na wschodnim krańcu Coco Island w archipelagu Samoa Amerykańskiego różnił się od innych celów wakacyjnych podróży na świecie. Zbudowany na palach, trzy metry nad falami ulegającego kaprysom wiatru oceanu, stanowił jedyną oprócz usytuowanego na zachodnim końcu wyspy domu administratora Jarvisa H'malei budowlę na zajmującym niespełna trzy kilometry kwadratowe atolu. W zajeździe mieścił się tylko jeden, sześciopokojowy apartament. Należał do konsorcjum szefów kasyn w Las Vegas i był obsługiwany przez H'maleę i członków jego rodziny. Czynnosc za wynajem wynosił pięćdziesiąt tysięcy dolarów na tydzień, a minimalny czas pobytu dwa tygodnie.

Ścisłe strzeżona lista gości zajazdu wyglądała niczym spis gwiazd rozrywki, biznesu i sportu, a możliwość opłacenia kosztów wynajmu i lotu hydroplanem nie gwarantowała wcale, że chętnemu uda się tam spędzić wakacje. O drobnym białym piasku krążyły legendy, a palmy rodziły ponoć największe i najśłodsze kokosy, jakie można było sobie wyobrazić.

Przez dziesięć lat zarządzania zajazdem H'malea skutecznie spełniał wymagania – dietetyczne oraz inne – najbardziej ekscentrycznych i bezkompromisowych ludzi na świecie. Ale życzenie dwojga gości, którzy mieli przylecieć teraz – wielki materac umieszczony w palmowym gaju na małej skarpie zwróconej na wschód – było jedyne w swoim rodzaju.

Nowy materac firmy E.S. Kluff model „Boski Luksus” został przetransportowany samolotem do Pago Pago z kalifornijskiej wytwórni, przewieziony łodzią do zajazdu i opłacony, jak H'malea dowiedział się od swojego znajomego z Vegas, na mocy jakiejś specjalnej uchwały Kongresu Stanów Zjednoczonych. Początkowo zarządca był przekonany, że ten człowiek go nabiera, ale zmienił zdanie, gdy wyładowano materac z metką opiewającą na trzydzieści parę tysięcy dolarów.

Hydroplan pojawił się jako kropka na idealnie czystym późnoporannym niebie. H'malea z kciukami wetkniętymi w szlufki swoich spodni khaki, siedł po moło obok nieprawdopodobnie błękitnej wody o przejrzystości ponad sześćdziesięciu

metrów. Dwoje jego gości zażyczyło sobie jedynie spokoju oraz ciszy, i oczywiście materaca, ale mieli mieć również dostęp do sprzętu do nurkowania z akwalungiem, kajaków, małych żaglówek, gorącej kąpieli i luksusowo zaopatrzonej piwniczki z winami i kuchni z możliwością skorzystania z kucharskich umiejętności zarządcy zajazdu.

Teraz gdy pilot przechylił łagodnie hydroplan w lekkiej południowej bryzie, dał się słyszeć warkot silnika. H'malea wiedział o tym, co się wydarzyło w Kapitolu, i o tym, że pasażerowie samolotu odegrali kluczową rolę w ograniczeniu liczby ofiar oraz ocaleniu życia prezydenta, jego zastępcy i blisko siedmiuset innych osób. Nie znał jednak większości szczegółów. Nie zamierzał wypytywać o nie Angeli Fletcher i doktora Griffina Rhodesa.

Angie spojrzała w dół z fotela obok pilota.

– Mówiłam panu, że nie lubię dużych grup ludzi, doktorze Rhodes – powiedziała do mikrofonu. – Co na molo robi to pospólstwo?

– Pogadam z nim o technikach panowania nad tłumem – odparł Griff.

Odkąd ostatnia z ofiar zakażenia wirusem WRX3883 otrzymała lek, a po upływie doby została odkażona i opuściwszy Kapitol, wróciła do normalnego życia, minęły trzy tygodnie. Chociaż Griff wolałby pozostać anonimowy, wiedział, że tak nie będzie. Angie spędziła większość tego okresu przy komputerze, pisząc cykl artykułów dla „Post” oraz tworząc zarys tego, co jej nowy agent literacki określił mianem książki stulecia.

Zanim jednak Angie zaczęła pisać, zanim Griff pogodził się z nowo zdobytą sławą i zanim złożył obszerny raport prezydentowi i jego doradcom z sekretarzem bezpieczeństwa wewnętrznego Paulem Rappaportem włącznie, załadowali się we dwoje do jej srebrnej mazdy i pojechali na małą farmę koło Beckley w Wirginii Zachodniej.

– Melvin nigdy się nie palił do częstych kontaktów – wyjaśnił im Kyle Forbush przy obiedzie złożonym z wieprzowiny, fasoli, gotowanych warzyw i chleba domowego wypieku – ale czasem dzwonił i na ogół co drugie Boże Narodzenie spędzał w domu. Od początku wiedzieliśmy, że z niego, sam nie wiem, większy oryginał niż jego rówieśnicy. Gdyby został i pracował w kopalni, pewnie w pierwszym miesiącu spraliby go tam na kwaśne jabłko. Przez ostatni rok nauki w liceum mieszkał u mojej siostry w Morgantown, a potem skończył szkołę dla speców od wirusów. tak ją nazywałem... pracując w wypożyczalni wideo. Naprawdę miły był z niego chłopak i dobry syn. To smutne, że od nas odszedł.

Forbush i jego żona wiedzieli zaskakująco mało o wydarzeniach w Kapitolu, ale wiadomość, że prezydent i senatorowie z Wirginii Zachodniej ogłosili nadchodzącą środę Dniem Melvina Forbusha i przyjadą do Beckley na obchody, ucieszyła ich

i zrobiła na nich wrażenie.

Pilot z wyćwiczoną łatwością osiadł na wodzie i przywiązał hydroplan do moła. Trzydzieści minut później Griff i Angie leżeli sami na swoim materacu, a ich ciała okrywał jedynie krem do opalania.

– Biorąc pod uwagę to, że wymyśliłem sobie to miejsce – powiedział Rhodes – trudno uwierzyć, że naprawdę istnieje.

– Jestem dumna, że pozwoliłeś, by Kongres zrobił coś dla ciebie oprócz wręczenia medalu i dyplomu uznania. I cieszę się, że ponieważ nasza podróż została sfinansowana przez prywatnych ofiarodawców, po trosze od każdego z nich i od członków gabinetu... nie muszę pisać o tym demaskatorskiego artykułu. Jestem również zadowolona, że prezydent zapłacił za materac z własnej kieszeni.

– Powiedzieć, że ma wobec mnie dług wdzięczności, to trochę nie w moim stylu – zauważył Griff, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła – ale to prawda.

W płomiennym i pełnym skruchy przemówieniu do świata Allaire wyznał całą prawdę o wirusie WRX3883 i swojej roli w jego stworzeniu. Przyznał się, że pod presją sytuacji dokonywał wyborów, których w innych okolicznościach by nie dokonał, z niesprawiedliwym uwięzieniem człowieka, który później ocalał życie jemu, jego rodzinie i tylu innym osobom, włącznie. Zapewnił, że złoży rezygnację, jeśli opinia publiczna będzie się tego domagać.

W dowód uznania dla politycznej uczciwości poziom aprobaty dla jego polityki w następnym sondażu był najwyższy w historii tej prezydentury.

Griff i Angie kochali się przez całe popołudnie i znowu w nocy pod niezmiernym oceanem gwiazd. Mijały dni, a oni spali i dochodzili do zdrowia, pływali, jedli, czytali i pili mleko kokosowe. Przez ten czas niemal w ogóle nie mówili o Kalveście i Kapitolu.

Cztery lub pięć dni później zaskoczyło ich pojawienie się chudego biało-brązowego psa – ważył około trzynastu kilo i trudno było określić jego rasę. Najpierw przechadzał się powoli między palmami, a potem na godzinę ułożył się obok Boskiego Luksusu. Pozwalał się pogłaskać i tulił się do nich, nie był jednak natrętny. Po czym bez szczególnego pośpiechu odszedł tak, jak przyszedł. Nazajutrz... i kolejnego dnia wrócił i odszedł w taki sam sposób.

Dziesiątego dnia po śniadaniu, na długo przed pojawieniem się ich czworonożnego gościa, Angie zamruczała radośnie i mocno wtuliła się w ramiona Griffa.

– Nie pytałam cię o to, ponieważ nie poruszałeś tego tematu, ale czy zastanawiałeś się nad propozycją Allaire'a, by objąć stanowisko dyrektora CDC?

– CDC jest w Atlancie – odparł Rhodes.

– Wiem, głuptasie. Gdybyś przyjął tę posadę, przeprowadziłabym się tam.

Griff pocałował ją w usta.

– A ja przeniósłbym się dla ciebie do Waszyngtonu. Tak naprawdę, jeżeli chcesz, tak właśnie zrobię. To tylko cztery lata, ale wystarczy, byś skończyła książkę i byśmy zdecydowali, czy wypada nam użyczyć światu puli naszych genów.

Tym razem to ona go pocałowała – mocno i namiętnie.

– I o tym warto by napisać – powiedziała, uśmiechając się promiennie. – Ale co rozumiesz przez cztery lata?

Opalona twarz Griffa zmarszczyła się w szerokim uśmiechu, który Angie lubiła najbardziej.

– Zachowywałem te informacje dla siebie – odparł – i wydaje się, że to dobry moment, by sprawić ci niespodziankę. Zawarłem z Allaire’em umowę.

– Umowę?

– W tej chwili dźwiga wielkie jak prezydentura brzemie winy, więc postanowiłem wykorzystać sytuację. Jeżeli się zgodzisz, to przedstawiam ci najnowszego członka prezydenckiego gabinetu... pierwszego sekretarza Departamentu Ochrony zwierząt.

Angie zarzuciła mu rękę na szyję.

– Och, kochanie, to niewiarygodne! Absolutnie cudowna wiadomość. Wiesz, z czym to stanowisko będzie się wiązało?

– Trochę liczyłem na to, że pomożesz mi uzupełnić luki w wiedzy podczas podróży do domu.

– Głowa pęka mi już od pomysłów. Możesz zająć się problemem okrucieństwa wobec zwierząt i hodowania egzotycznej fauny w domu. Oraz standardami w ogrodach zoologicznych, karmieniem i warunkami przetrzymywania kurcząt, bydła i trzody chlewnej przed ubojem, kredytem podatkowym na sterylizację i oczywiście doświadczeniami na zwierzętach oraz...

– Ejże, powiedziałem, dopiero w podróży do domu.

Zbliżyła twarz do jego ust i powiedziała:

– W porządku. Pomyślę, co takiego możemy tymczasem zrobić. Ale jest jeden problem.

– Słucham.

– Czy pomyślałeś, że utworzenie tego stanowiska postawi cię na osiemnastym miejscu w kolejce do prezydentury?

Tamtego wieczoru Jarvis H'malea złożył w zajeździe kolejną, wypadającą co trzeci dzień wizytę. Wydawał się szczególnie zadowolony z tego, że zapewnił już swoim gościom wszystko, czego tylko potrzebowali.

– Niech pan mi powie – rzekł Griff, gdy zarządca spożył z nimi na werandzie grillowanego strzępiela i butelkę pysznego chardonnay. – Pański pies niemal codziennie jest na tym końcu wyspy mile widzianym gościem. Jak się wabi?

– Nie mam pojęcia – odparł H'malea. – I nie jest moim psem. Tak naprawdę, jeżeli zostanie na Coco Island trochę dłużej, to mnie wykończy.

– Skąd mógł tutaj trafić? – zdziwiła się Angie.

– Na kilka dni przed waszym pojawieniem się tutaj zjawił się i on. Wszedł do naszego domu tak, jakby zawsze tam mieszkał. Żadne łodzie nie są wpuszczane w obręb rafy, a na wyspę wstęp mają tylko goście. Nie mogę jednak przeszkodzić w tym, by łodzie zarzucały kotwicę w pobliżu rafy. Pies niemal na pewno dostał się tu z takiej łodzi. Wysłałem kilka komunikatów radiowych i odtąd moja żona czeka na jakąś odpowiedź, ale żadna nie nadeszła. Ani słowa. A przez ostatnie cztery dni nikt nie stawał tu na kotwicy.

– Czemu więc ma pana wykończyć, Jarvisie? – zapytała Angie.

– Gdy znajdę się w odległości półtora metra od niego, nie jestem w stanie oddychać. Przypuszczam, że to jakieś uczulenie. Nie mogę powstrzymać charczenia i kaszlu. Nie chcę, by to zabrzmiało bezczelnie, ale jak widzicie, jestem zrozpaczony. Nie chcielibyście państwo zabrać go z sobą do domu?

Przeprowadzenie niemego sondażu zajęło Griffowi i Angeli zaledwie kilka sekund.

– Prawdę mówiąc... – rzekł Griff.

-
- 1 Wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.
 - 2 Eastern Standard Time – czas urzędowy wschodnioamerykański.
 - 3 M.D. – Doctor of Medicine, lekarz medycyny, Mr Deity – Pan Bóg.
 - 4 President Emergency Operations Center.
 - 5 CDC – Center for Disease Control, Centrum Zwalczania Chorób.
 - 6 Central Standard Time – urzędowy czas środkowoamerykański.
 - 7 William „Boss” Tweed (1823–1878), amerykański polityk, wpływowy przedstawiciel Demokratów, skazany za korupcję, zmarł w więzieniu.
 - 8 Fink znaczy po angielsku kapuś lub drań.
 - 9 National Institute of Health – Narodowy Instytut Zdrowia.
 - 10 NA – Narcotics Anonymous, Anonimowi Narkomani.
 - 11 Dosł. Oszłomiony i zmieszany.
 - 12 ACLU – American Civil Liberties Union, Amerykański Związek Wolności Obywatelskich.